8899
II

B Y. Baub 134/53

Inw. B.7 159/67 I

CENTRALA WYTWÓRCZO-USŁUGOWA »LIBELLA« Sp. z o. o.

WARSZAWA, MOKOTOWSKA 45
TELEFON 28-54-81
KONTO NBP III O/M WARSZAWA
NR 1527-12-755
SKRÓT TELEGRAFICZNY
„LIBELLA-WARSZAWA"
Adres pocztowy
Warszawa 1
Skrytka pocztowa Nr 78

N/znak

Warszawa, dn. 15/XI 1965

[List do Józefa Zielińskiego]

Sprawa:

Szanowny Panie.

W odpowiedzi na zapytanie Pana, donoszę uprzejmie że pamiętniki mego brata Dr. K. M. Morawskiego ocalały z pożogi wojennej i znajdują się obecnie w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Jest to maszynopis ca 800 stronic. W lekturze jest przykry – przedwojenny dziś nie= czytelny – z powodu gwałtownych, na każdej stronie, akcentów antysemickich. Nastrojom tym uległ mój brat w 1930 – 1939 latach – później mu to szczęśliwie przeszło.

Pamiętnik ten w/w pomimo nie nadaje się dziś do druku.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania
Brygida Morawska.

Jest to tylko

8899

14.XII.67

III

V

VII

Rozdział pierwszy

W MURACH „TWIERDZY" KRAKOWSKIEJ

(Sierpień 1914 — czerwiec 1915.)

Wybuch wojny zastaje mnie w Zakopanem: *la navette* miedzy Zakopanem a Krakowem. Nastroje w mieście: środowisko rady miejskiej; dwa fronty antyrosyjskie i ich charakterystyka; kontakt z obozem „niepodległościowym"; orientacje konserwatywne; infiltracje żydowskie; fizjonomia N. K. N-u; nasza „jaczejka" konspiracyjna. Pierwsza podróż do Włoch: Wiedeń śródwojenny; przełom w Pontebbie; na zamku w Apeninach. Powrót do kraju: Kraków pod grozą oblężenia; „Beiratura". Wędrówki prezydenta Lea. Ponowny wyjazd do Włoch: Włochy i Rzym przed zerwaniem neutralności. Pół roku w „twierdzy": renesans orientacji austriackiej; goście z frontu; ewenement familijny; upadek Przemyśla; plotki wiedeńskie i ich niespodziewane konsekwencje; punkt szczytowy triumfów niemieckich; na rozstajnych drogach; pożegnanie z miastem rodzinnym.

„Przez wszystko do mnie przemawiałeś, Panie!
Przez ciemność burzy, grom i przez świtanie,
Przez przyjacielską dłoń w zapasach z światem.
. . . .
I przez najsłodszy z darów Twych na ziemi,
Przez czułe oko, gdy je łza ociemi:
Przez całą dobroć Twą w tym jednym oku,
Jak całe niebo rozjaśnione w stoku.“

Cyprian Kamil Norwid

Wybuch wielkiej wojny zastał mnie w Zakopanem.

Przyznam się otwarcie, że wybuchu tego się nie spodziewałem. Jak są dzisiaj państwa, które terminologia polityczna określa jako „nasycone“, tak i ja — piszę przecie te wspomnienia, aby dać świadectwo prawdzie, a nie zyskać poklask bezwzględny i uznanie — należałem w chwili wybuchu wojny do jednostek „nasyconych“. Uważam też dzisiaj za błąd „konstytucjonalny“ burżuazji przedwojennej, w której skład — społecznie — wchodziłem, że u progu przełomowych wypadków dziejowych, jak nieraz i później, miała z natury rzeczy mentalność ludzi „nasyconych“, podczas gdy rewolucjoniści szli walczyć o lepsze jutro, także i własne, głodni łupów i władzy[1]).

„Stolica letnia“ Polski nie była obserwatorium właściwym do śledzenia ludzi i wypadków. Toteż kawał sierpnia 1914 r. upłynął mi w ten sposób, że zostawiając rodzinę (oczekującą słabości żonę i syna) w Zakopa-

[1]) Trafiały się zresztą w Krakowie przedwojennym jednostki, które na podstawie tych czy innych informacji były o nieuniknionym wybuchu wojny przekonane: do tych należeli m. i. profesorowie Ulanowski i Jaworski.

nem, sam parokrotnie udawałem się do Krakowa, *faisant* tak *la navette* — by użyć odpowiedniego wyrażenia francuskiego — pomiędzy rodzinnym moim miastem a wilegiaturą mojej żony. Podróże te na ogół były uciążliwe i odbywały się bądź w ścisku kolejowym ewakuacji, bądź na furmankach, którymi antiquo modo jechało się dzień cały.

Pamiętam dobrze pierwszą taką podróż z 1 na 2 sierpnia, gdy w natłoczonym po brzegi pociągu przyjechaliśmy po drodze do Poronina. Na stacji ujrzałem barczystą postać Jana Kasprowicza, który przez okno wagonu rozmawiał z jednym z towarzyszów mojej podróży, bodaj malarzem Jarockim. Była między nimi mowa o przebywających wtedy w Poroninie rewolucjonistach rosyjskich, których „inwigilowała" policja austriacka, a wśród których był i Lenin.

Rodzinne moje miasto zastałem już w stanie osobliwej tej „trepidacji" wojennej, w której przetrwać miało szereg tygodni (aż do swojej „ewakuacji"). Przybywszy do Krakowa późną nocą, zastałem już na dworcu śpiących po podłogach rezerwistów, a na murach miejskich czytać mogłem rozlepioną odezwę Franciszka Józefa „do moich ludów".

Z natury rzeczy wszedłem następnych zaraz dni — w środowisko rady miejskiej. Tak się bowiem zdarzyło, że niedługo przed wybuchem wojny zostałem obdarzony przez stronnictwo konserwatywne — do którego wtedy należałem — mandatem radcy miejskiego (w jakich zaś okolicznościach, wspomnę jeszcze później). Było bowiem zwyczajem „partii krakowskiej", dbałej o przychowek, kaptować sobie w miarę możności młodych adherentów, toteż i mnie częstowano zrazu mandatem do sejmu, po czym skończyło się na mandacie miejskim.

Burmistrzem był wtedy, jak wiadomo, dr Leo, człowiek energiczny i dla rozwoju miasta zasłużony, ale —

w zakresie ściśle politycznym — pieczętujący się mianem „neokonserwatysty", z czasem zaś „demokraty", tj. ze wszech miar skłonny do daleko idących kompromisów, o ile tylko odpowiadały jego ambicji. Toteż w gospodarce miejskiej opierał się Leo przede wszystkim na poparciu żydowskim, o czym przekonać się mogłem naocznie, wziąwszy udział w paru zebraniach przedwyborczych[1]).

Ta zaś symbioza Lea i jego adherentów z żydami odbiła się w najznamienitszy sposób również na szerszej jego polityce śródwojennej. Można bowiem powiedzieć, że istniały wtedy w starym Krakowie współcześnie dwa fronty antyrosyjskie. Jeden — to był ten dawny front przedwojenny, dobrze nam znany z desek teatralnych i obchodów narodowych, front „Tamtego", „Gwiazdy Syberii", „Kościuszki pod Racławicami", słowem — front „wojny z Moskalami", front powstały de facto przed stu kilkudziesięciu laty, a zażywiany tradycją przebywających w mieście weteranów i wygnańców; drugi — z punktu widzenia polskiego całkiem sztuczny, dobrze dzisiaj ujawniony front wszechświatowego żydostwa przeciwko carskiej Rosji, podsycający dla własnych celów rewolucję z lat 1905/6 i usiłujący wprzęgnąć teraz dla tychże celów do swojego rydwanu czynniki rewolucyjne polskie.

---

[1]) Jedno z takich zebrań odbywało się w odnowionej przez Lea sali „Starego Teatru", przepełnionej publicznością żydowską. Cały zresztą aparat wyborczy stał w mieście w tym czasie pod znakiem słynnego kupca porcelany Bazesa, wybory zaś, z pewnych zwłaszcza kurii, odbywały się de facto „w szufladach" wpływowych radców. Dla większej pewności używano dodatkowych „truców"; i tak „Czasowi" zdarzyło się, wbrew gorącym moim protestom i sprostowaniom, parokrotnie dodawać do mojego nazwiska tytuł profesorski, gwoli celowego mieszania mnie przez wyborców z moim ojcem.

Jedyna też uroczystość, której asystowałem w tej radzie miejskiej przed wojną, to było zaprzysiężenie żydowskiego wiceprezydenta Sarego, który składał przysięgę w meloniku na głowie.

Który z tych frontów, tych prądów, nic oczywiście w założeniu swoim nie mających wspólnego, okazał się na początku wojny w Krakowie silniejszy, który zdołał drugiego z nich sobie podporządkować — pozostaje kwestią sporną i drażliwą; dla mnie osobiście nie ulegało wszakże już wtedy żadnej wątpliwości: inna rzecz — świadomie czy podświadomie — że wówczas, jak i potem, w mentalności rodzinnego mojego miasta pierwiastki i wpływy żydowskie dominować zaczynaly nad szczeropolskimi.

Sam bowiem miałem to szczęście, że urodziłem się w domu, w którym pulsowała żywo tradycja trzech rozdzielonych dzielnic. Ojciec mój był Poznańczykiem i w roku 1870 jako młody student z piekłem w duszy patrzał na wracające do Berlina triumfujące wojska pruskie; matka — Podlasianka, która mnie odumarła niemowlęciem, zostawiła mi w spuściźnie uroczą tradycję dziadka, Władysława Wężyka, romantyka, podróżnika, ale gorącego przy tym patrioty. Od dziecka tedy, zrośnięty z całą Polską, widujący w salonach mojego ojca, babek i ciotek — jak to już opisałem w „Krakowie przed trzydziestu laty“[1]) — najznakomitszych przedstawicieli wszystkich trzech zaborów, znając je nadto wszystkie z autopsji, skłonny byłem z urodzenia i wychowania wyłącznie do takiej „orientacji“, która by je połączyła wszystkie.

Toteż w żaden sposób nie mogłem się pogodzić z atmosferą miasta, w której, podobnie jak już wcześniej, w dobie pruskiej ustawy o wywłaszczeniu[2]) — „Grunwald“ był dla Krakowa tylko obchodowym epizodem — panowała znaczna obojętność na losy pozostałej Polski zachodniej. Nie czułem tu współczucia pośród moich konserwatystów, a jeszcze mniej wśród

---

[1]) Warszawa 1932.

[2]) Urzadzałem już wtedy zebrania w tej sprawie i inicjowałem adresy propagandowe.

„demokratów“ miejskich, których większość nigdy na oczy nie oglądała Poznania.

Nie potrzebuję dodawać, że tętno miasta nie było wtedy również zgodne z tętnem Warszawy. Podczas gdy starymi ulicami przeciągały orkiestry austriackie, grające „Jeszcze Polska nie zginęła“, przygotowywał się właśnie „wymarsz kadrówki“.

Józefa Piłsudskiego poznałem cztery lata wprzódy i to znowu z racji przynależności mojej do „partii krakowskiej“. Jak wiadomo, od roku 1910 począwszy, a może i wcześniej, czynione były ze strony późniejszych konspiratorów legionowych starania wciągnięcia konserwatystów-„Stańczyków“ w orbitę wspólnej akcji antyrosyjskiej. Na wiosnę tegoż roku 1910 zaproszony zostałem przez starszego mojego kolegę z seminarium historycznego, Wacława Tokarza, do wzięcia udziału w zebraniu, na którym wypowiedzieć miał odczyt Piłsudski.

Zebranie to odbyło się istotnie — w lokalu wspomnianego seminarium historycznego w „Collegium Novum“ — w obecności ludzi dobranych bez wielkiego wyboru. Zatem spośród konserwatystów — a celem tego zebrania było najprawdopodobniej zbliżenie ze sobą „partii krakowskiej“ i tworzącego się „Strzelca“ — zaproszony został z młodszych obok mnie bodajże tylko śp. Cezary Haller, a za to dwóch weteranów wiedeńskiego parlamentaryzmu: Poznańczyk, jowialny prałat Chotkowski, oraz kolega jego, profesor August Sokołowski (może dlatego, że obaj historycy); stawiła się za to w komplecie, oprócz wodza, przytomna wtedy w Krakowie „elita“ konspiracji antyrosyjskiej: zatem czcigodny, blisko już 80-letni jej nestor, Bolesław Limanowski; dalej, wielce mi już wtedy niesympatyczny, bo rażący rosyjską „pryncypialnością“ tonu Wacław Sieroszewski, Władysław Studnicki, Michal Sokolnicki, Stanisław Szpotański, nie licząc gospodarza — Tokarza.

Piłsudski przybył na to zebranie w niebieskiej kurtce „strzeleckiej“ i wypowiedział trwający cztery godziny (licząc dyskusję) odczyt o „strategii Langiewicza“. Ani temat wysoce specjalny, ani następująca po wykładzie dyskusja (mącona w dodatku bałamutnymi wystąpieniami Sieroszewskiego) nie mogły mnie zanadto pociągać, a jednak — przyznaję — wyszedłem z tego posiedzenia pod silnym wrażeniem prelegenta, jakby zaczarowany czysto fizyczną z jego strony sugestią, z której natury nie zdawałem sobie wtedy sprawy — tym dziwniejszą, że nie uprzedziła mnie była do jego osoby wąska jeszcze wtedy i cicha stosunkowo reklama; sugestią, która mi tłumaczy wiele z jego późniejszych sukcesów, a której tło i okoliczności i on sam — jak zobaczymy z dalszego toku opowiadania — zdawał się dobrze później pamiętać[1]).

Sugestia ta jednak nie okazała się u mnie trwała. Nadszedł rok 1912, wybuchła wojna bałkańska, uczestniczyłem w innych zebraniach, zająłem w szeregu artykułów prasowych zdecydowane stanowisko anty-„strzeleckie“ („Głos Narodu“, „Świat Słowiański“, „Dziennik Poznański“) i kontakt z ową „elitą“ konspiracyjną zakończył się dla mnie w dość nieprzyjemny sposób.

Mianowicie w jesieni roku 1913 zamieściłem w krakowskim „Głosie Narodu“ artykuł, przestrzegający przed niebezpieczeństwem niemieckim. Studnicki, współpracujący wtedy ściśle z obozem Piłsudskiego, przypisał, mimo że artykuł podpisany był inicjałami moimi i nazwiskiem, rzeczony artykuł autorstwu mo-

---

[1]) Dwa razy tylko w życiu odczułem tak dotykalnie czyjąś sugestię: pierwszy raz — w Watykanie, w roku 1905, na audiencji publicznej u papieża Piusa X. Była to, jak sobie dzisiaj to zjawisko tłumaczę, z pewnością sugestia świętości, tym ciekawsza, że w dobie tej audiencji oddaliłem się bardzo od religii. Innego zgoła rodzaju była oczywiście sugestia wywierana przez Piłsudskiego.

jego ojca i zaatakował go dość brutalnie w „Gońcu" warszawskim. Na atak ten zareagowałem listownie; w zamian Studnicki zarzucił mi „karierowiczostwo" (?).

Doszło wskutek tego zajścia pomiędzy nami do pojedynku na pistolety, który odbył się pewnego poranku grudniowego 1913 r. na Panieńskich Skałach pod Krakowem. Pojedynek prowadził inżynier Stanisław Gabriel Żeleński, starszy brat „Boya", padły później w kampanii antyrosyjskiej; sekundantami Studnickiego byli — dzisiejszy minister komunikacji Ulrych oraz „strzelec" Kittay; moimi zaś — śp. Rudolf Starzewski, redaktor „Czasu", oraz późniejszy pułkownik Tadeusz Wołkowicki. Jednorazowa wymiana kul nie dała rezultatu[1]).

* * *

Konserwatyści zaś moi coraz głębiej tymczasem wnikali w orientację „niepodległościową". Byli wśród nich ludzie rozmaitego autoramentu: ludzie dziś zapomniani, przemilczani, ale tak wielkiej zasługi obywatelskiej, jak Stanisław Tarnowski, i inni, całkiem od

---

[1]) Czuję się w obowiązku zaznaczyć już tutaj, ~~co poruszone będzie w dalszym ciągu niniejszego opowiadania~~, że w tym czasie byłem słabo praktykującym katolikiem.

Kiedy mowa o zwichrzonym tym okresie przed wielką burzą, wspomnę, choćby w przypisku, o jednym z zebrań, urządzonych przez obóz „niepodległościowy" we wspomnianej sali „Starego Teatru". Na estradzie zasiedli: „Włodzio" Tetmajer, Ignacy Daszyński (w mundurach bodaj „strzeleckich"), Konstanty Srokowski i i. i wygłaszali oczywiście pełne wojowniczości przemówienia. Pod koniec zebrania wystąpił wszakże z grona publiczności z opozycyjnym w stosunku do „Strzelca", więc właściwie „pacyfistycznym" przemówieniem niemądry, ale bitny dziennikarz H. „Zobaczysz — szepnął do mnie ironicznie obecny na sali Adam Grzymała-Siedlecki — że z nich wszystkich, gdy wojna wybuchnie, on jeden na nią pójdzie, tamci zaś mówcy bić się nie będą". Tak się też stało — H. na początku wojny wstąpił jako ochotnik do armii rosyjskiej.

nich odmienni, jak Antoni hrabia Wodzicki; partykularyści krakowscy, jak rejent Tadeusz Starzewski, lub pełni polotu, jak brat jego śp. Rudolf, „Dziennikarz“ z „Wesela“.

Wszystkich spajało naprawdę jedno, a to orientacja antyrosyjska. Ale orientacja ta liczne wykazywała odcienie. Podczas gdy Tarnowski pamiętał Rosji powstańczy zgon brata swojego Juliusza, ale pamiętał też Austrii długotrwałe swoje więzienie, wielu innych przeciwstawiało się Rosji przeważnie dlatego, że zawróciły im były w głowie dworskie splendory i rozliczne korzyści orientacji austriackiej[1]).

Gdy zaś mowa o tej „partii krakowskiej“ — znowu niesposób pominąć momentu, który jak nić żółta czy czerwona snuć się będzie przez wszystkie te rozważania, niesposób pominąć wydatnych już do jej lona infiltracji żydowskich.

Czy Kraków jest dzisiaj, jak twierdzą niektórzy, duchową stolicą wszechżydostwa — na to pytanie dać odpowiedzi nie jestem w możności; wiem za to z moich studiów historycznych, jakiego nabrał był dla żydów znaczenia w wieku XVI, gdy zajął w rozwoju ich intelektualnym miejsce dawniejszej jakiejś Salamanki czy też Kordoby. Przez analogię dziejową wnosić by tedy można, że dane zjawisko powtórzyło się w odmiennej nieco postaci w cztery stulecia później, po wypędzeniu ich z Niemiec. Dziś jeszcze żywe są w „getcie“ krakowskim owe tradycje rozkwitu i luminarzy: gdy miniemy starożytny dom na Szerokiej, który przypomina żydom ich protektora, ostatniego Piasta, a w którym na wdzięczną jego pamiątkę ma się teraz mieścić biblioteka judaistyczna, i gdy znajdziemy się, w „szabas“ najlepiej, na dawnym „kirkucie“ kazimierskim, zoba-

---

[1]) Orientacja ta bywała zresztą czasem dosyć chwiejna, jak to nadmieniłem już przykładowo w moim „Krakowie przed trzydziestu laty“, str. 15.

czymy, z jakim pietyzmem kiwają się współcześni izraelici nad grobem takiego Isserlesa[1]).

Minęły dwa wieki cichych, bo utajonych żydowskich przewag, zakwitły dla nich dni tolerancji — jutrzenka swobody rewolucyjnej — i zaraz pan Paweł Popiel, jeden z przywódców duchowych ziemi krakowskiej, przestrzegał w pełnym proroczych iście przeczuć artykule „Czasu"[2]) przed rezultatami ekonomicznymi, a pośrednio politycznymi tendencji liberalnej, które w pełni zrealizować się miały za naszych czasów.

Takie było zapatrywanie starego konserwatysty; młodsza generacja „stańczykowska" nie zawsze w tym względzie bywała spójna czy konsekwentna — przypomnę chociażby niejasne stanowisko Stanisława Koźmiana jako doradcy Kazimierza Badeniego w sporze o zatwierdzenie na stolcu burmistrzowskim wiedeńskim antysemity Luegera; najmłodsze zaś pokolenie krakowsko-konserwatywnych polityków przedwojennych całkiem już jakby ignorowało czy ignorować chciało „ostrości" i groźby kwestii żydowskiej.

Do takiego zaś stawiania przez nich sprawy przyczynił się z pewnością w przeważnej mierze nowy objaw — objaw bezpośredniej infiltracji wpływów, bo krwi żydowskiej, do „miarodajnych" sfer krakowskich. Dwie poprzednie generacje: ta — powiedzmy — z roku 1848 i ta z 1866 były niemal w zupełności wolne od obcej przymieszki, bo za taką nie możemy uważać kontaktu z nimi patriotów niemieckiego, czeskiego czy nawet ruskiego stempla: owych Dietlów, Kremerów, Majerów, Smolków, Matejków czy Zyblikiewiczów. Dopiero generacja trzecia, ta — powiedzmy — z roku 1900, „ruszona" została aliażem krwi żydowskiej: już własnymi oczami obserwowałem proces, który dopro-

---

1) Mojżesz Isserles, kabalista krakowski z wieku XVI.

2) Z r. 1849, patrz „Jubileusz „Czasu", Kraków 1899, str. 132.

wadził do tego, że do twierdzy ziemiańskiej, niemal że „bogoojczyźnianej“, jaką był przez okres pierwszego swojego pięćdziesięciolecia „Czas“, — wjechał niby koń trojański zastęp wysoce zdolnych dziennikarzy: bądź rasowych żydów — chrzczonych czy niechrzczonych, to w tym wypadku okazało się obojętne, o skali społecznie rozległej, bo od radcy ministerialnego Rosnera do działacza socjalistycznego Mendelsona — bądź też przynajmniej rodzących się z żydówek lub pożenionych z żydówkami.

Nie jestem „rasistą“ i w życiu swoim z wieloma stykałem się żydami: na ławie gimnazjalnej czy uniwersyteckiej, w zawodzie publicznym czy nawet w życiu towarzyskim. Znam wielkie zdolności, wyrobione starą kulturą kwalifikacje i przemyślne metody tej rasy; nieraz się zastanawiałem nad tragicznym i pełnym zagadek iście metafizycznych jej losem; skłonny byłbym zgodzić się nawet z kimś, co by mi chciał twierdzić, że pośród tylu nieszczęsnych stadeł mieszanych znajdzie się dzięki tej rasie na tysiąclecie jedno, które poszczególnemu narodowi aryjskiemu gotowe przysporzyć największego choćby geniusza[1]). Ale wiem także o tym, co oczy moje widziały w rodzinnym moim Krakowie, jak ci żydzi, pół-żydzi czy ćwierć-żydzi z miasta pełnego uroku, jak długo było istotną stolicą duchową Polski i póki, dzięki sokom do niego napływającym z innych dzielnic, stało mocno na gruncie zaklętej w mury jego kościołów i pałaców tradycji katolicko-narodowej — uczynili to, czym jest naprawdę dzisiaj: przybudówkę odwiecznego swojego „getta“. Bo myliłby się, zdaniem moim, ten, kto by sądził, że to Warszawa wyłącznie pognębiła Kraków, zabierając zeń najcen-

---

[1]) W latach 1911—14 urządzałem w Krakowie periodyczne „obiady czwartkowe“. Osobliwym zbiegiem okoliczności pośród elity literacko-naukowej, która się na nich gromadziła, czterech najświetniejszych bodaj współbiesiadników rodziło się — jak ulał — z żydówek.

niejsze kulturalnie jednostki. Przeciwnie! Głęboko jestem przekonany, że podobnie jak ja, odszedł z miasta swojego rodzinnego niejeden inny, nie mogąc w nim wytrzymać pod duszącą presją mentalności semickiej, po wojnie już bez żadnych niemal panoszącej się osłonek — przez pieniądz zwłaszcza i prasę, dużo dotkliwiej niż w Warszawie i Lwowie, nie mówiąc zgoła o Poznaniu (obadwa te miasta, choć również prowincjonalne, skuteczniej jednak od Krakowa bronić potrafiły w stosunku do stolicy regionalistycznych swoich walorów).

A działo się tak, że do poszczególnych instytucji, jakby do sklepiku rodzinnego, jeden żyd wciągał za sobą drugiego i że od wpływów semickich wolnymi nie były już ani Uniwersytet, ani Akademia. Przeglądając zaś listy interesujących nas tu nazwisk, nie wystarczy zliczyć chrzczonych czy niechrzczonych profesorów-żydów; trzeba sięgnąć okiem wstecz, przyjrzeć się uważniej mniej choćby podejrzanym nazwiskom: uzmysłowić sobie, kto jeszcze przed wojną miał wielkie wpływy w Akademii; skąd się wzięła i w jakich dokumentach metrykalnych się odnajdzie ta tak rozrodzona i „ustosunkowana“ w mieście rodzina profesorska; którzy profesorowie pożenili się z żydówkami czy pół-żydówkami. Tego rodzaju uświadomienie — z punktu widzenia osób interesowanych oczywiście niepożądane — konieczne jest wszakże dla zrozumienia, jakimi drogami doszło do potwornego dziś zażydzenia duchowego Krakowa: jak w duszach tych wszystkich neofitów drzemały, najczęściej podświadomie, odwieczne instynkty starej i silnej rasy, które obudziły się na dobre, gdy w dniach sierpniowych 1914 r. stanęli w obliczu dwóch frontów, odrębnych od siebie w założeniu, ale zgodnych w „nastawieniu“ antyrosyjskim.

Nie należy pomijać w tej analizie innego jeszcze objawu. Wszakże to żydostwo, które tak przeklina

dzisiaj Niemcy hitlerowskie, było w swojej tradycji (żargon) i upodobaniach najmocniej związane właśnie z kulturą niemiecką. Dość znowu wspomnieć potężną rolę, jaką w przedwojennym, umysłowym, a nawet towarzyskim życiu Krakowa odegral był taki rasowy żyd, jak profesor literatury niemieckiej, Wilhelm Creizenach, potomek rabinów frankfurckich. Nie twierdzę przy tym bynajmniej, aby inteligentna ta rasa we wszelkich wypadkach nie mogła rozumieć walorów kultury romańskiej (jako wyjątek tego rodzaju zacytowany mógłby mi być „Boy", mentalność przecie wybitnie semicka), ale g r o s żydostwa krakowskiego przedstawiało niemniej — pod sztandarem wiedeńskiej „Pressy" — forpocztę kultury niemieckiej[1]).

Te zaś wpływy przesiąkały znowu w głąb intelektualnego życia Aryjczyków i stąd po części odwrócenie się w latach przedwojennych młodszej generacji naszych uczonych od kultur romańskich i bałwochwalczy u nich nieraz, a bezskutecznie przez kilku z nas zwalczany kult kultury niemieckiej.

I znowu dla kogoś, co wychowany był w kulcie kultury francuskiej, tej autentycznej i nic nie mającej wspólnego z dzisiejszym jej „judeo-bałaganem", i dla kogoś, który z bliskiej autopsji znał kulturę włoską, będąc od lat kilku z rodami włoskimi spowinowacony, ta sztuczna orgia propagandy obelgowej, która w tych pierwszych dniach sierpniowych rozpętała się była przeciwko zachodniej „Entencie", sztuczna, bo znów bez reszty się wzorująca na propagandzie dość jeszcze wtedy jednolitego centralno-europejskiego frontu żydowskiego, była zupełnie nie do strawienia.

Dochodziło do tego wszystkiego jeszcze swoiste stanowisko w stosunku do Austrii. Znowu rzec mogę,

---

[1]) „Boy" wydał był właśnie na początku wojny jako lekarz wojskowy swoje tłumaczenie Rabelais'go. Posiadam egzemplarz jego „Gargantui" z dedykacją: „w dniach ewakuacji".

że wraz z moimi bliskimi daleki byłem od tego hiperaustriackiego entuzjazmu, jaki charakteryzował niektórych uczestników naszej sfery. Przy całym uznaniu dla sympatycznych stron stołecznego Wiednia powiedzieć można, że czuliśmy się lepiej, bardziej u siebie, w Paryżu i Rzymie, na miejscu zaś Austrię reprezentowali nam przeważnie antypatyczni generałowie austriaccy, sztywni i pełni przesądów kastowych.

*

Nie mogę za to powiedzieć, by politycy krakowscy byli u progu „wielkiej wojny“ i pro foro interno pewni wygranej. Wszystko (i jak się okazało, słusznie) w ich przekonaniu zależało od czasu trwania wojny; więc zarówno Leo, z którym raz jeden rozmawiałem w tym czasie dłużej, jadąc automobilem jego do Zakopanego, jak i inny ekonomista szkoły krakowskiej, profesor Krzyżanowski, zapewniali mnie — a zapewne „życzenie było tu ojcem myśli“ — że wojna nie może potrwać dłużej ponad kilka miesięcy. Melancholijniej za to przedstawiały się poglądy właściwych „leaderów“ mojej partii: pamiętam kiedyś po wyjściu z posiedzenia rady miejskiej dość burzliwą dyskusję z Wodzickim, w ciągu której on, starzec już pono 70-letni, odezwał się do nas, młodszych: „Panowie tego nie pamiętają ani z tradycji, ale ja wiem, co znaczy wielka wojna, i że w trzydzieści jeszcze lat po jej ukończeniu uspokoić się nie mogą wynikłe z niej zamieszki“. Wodzicki miał tu rację, nie Leo.

Przykro bardzo wspominam kilka wieczorów spędzonych w tym czasie w mieszanym towarzystwie konserwatystów z Galicji i konserwatystów z Królestwa. Pamiętam taką kolację w klubie na Wolskiej, której prezydował Jaworski, w której zaś brali udział dwaj Starzewscy, mój ojciec, ja oraz przybyli z Królestwa:

jeden z tamtejszych arystokratów, jeden z głośnych później senatorów B. B. itd. Innym razem podejmowaliśmy w „Grandzie" pewnego członka petersburskiej Rady Państwa. Panowie ci (wolno mi wyjąć z tego nieporozumienia ojca i siebie) rozmawiali ze sobą naprawdę, mówiąc trywialnie, „jak gęś z prosięciem", jak „panowie z miasta" (Jaworski, Starzewscy) z „wsiowymi", a co powiększało tragizm tej konwersacji — padały w niej z obu stron określenia: „nasze wojska" — u jednych, gdy była mowa o austriackich, u drugich zaś, gdy o rosyjskich[1]).

*

Połowa sierpnia przyniosła, jak wiadomo, dla rozwoju sprawy polskiej przełomowe wypadki: odezwę w. ks. Mikołaja w Rosji i utworzenie się N. K. N-u i Legionów w Krakowie.

Ludzie, zorientowani jak ja — nie licząc już wszystkich głębszych motywów wyłuszczonych w powyższym przedstawieniu — zachowywali względem twórców zbrojnej przy Austrii orientacji z jednego jeszcze względu daleko posuniętą rezerwę. Wychowani w zasadach konserwatywnych, pełni byli nieufności względem metod ujawnionych przez obóz „Strzelca" w przeciągu pierwszej rewolucji rosyjskiej, jakkolwiek nie znali zapewne wszystkich typowych „pociągnięć" tego obozu, ani przeczuwać nie mogli tego, co nastąpiło później, to jednak zdawali sobie już wtedy

---

[1]) Celem zapobieżenia podobnym przykrym dysonansom wszczęliśmy byli wraz z ojcem w przeddzień wojny akcję wskrzeszenia „Przeglądu Polskiego", ale tym razem na podstawie trójzaborowej, akcję, która oczywiście, z wybuchem wojny została przerwana.

W późniejszych stadiach tego pierwszego roku wojny przyjeżdżali do Krakowa z polityków Kongresówki — śp. Juliusz Zdanowski i śp. Fortunat Zdziechowski.

w pełni sprawę, że dla konserwatystów społecznych do Polski, jaką ją widzieć pragnęli, Polski — powiedzmy — z ducha Krasińskiego, nie tędy wiodła droga. To był zatem pierwszy dla nich motyw taktycznego też rozejścia się z tamtymi neo- czy judeo-konserwatystami. Drugim zasadniczym a wspomnianym już wyżej motywem tego rozejścia się była niemożność, coraz mocniej się uplastyczniająca w miarę wyraźnej już słabości Austrii, dopasowania swojego stanowiska do koncepcji bądź co bądź pro-niemieckiej. I choć mogli ci „neokonserwatyści" powoływać się na prostą swoją filiację od „Stańczyków", co to pięćdziesiąt lat temu z Tarnowskim i Koźmianem prowadzili byli politykę powstańczą i antyrosyjską, to ja znowu — jako świeży monografista Ignacego Potockiego i specjalista od stulecia XVIII — zapomnieć żadną miarą nie mogłem wskazań innego protagonisty-historyka szkoły krakowskiej, Waleriana Kalinki, którego cała twórczość dziejopisarska streścić by się dała w tym jednym dwuwierszu Trembeckiego:

Albo ci to nie jest znana tego Niemca sztuka,
Co nakarmi nadziejami, a potem oszuka?

Toteż nad wyraz obcą stała mi się zaraz od pierwszych dni jego istnienia ta atmosfera N. K. N-u, ten jego przybytek przy ulicy Poselskiej w dawnym bodaj domu Estreicherów, ta kuźnia mylnych informacji propagandowych, intryg zwalczających się stronnictw, ten *Comité de Salut Public* wszelakiego pokroju radykałów. Od Wodzickiego, który w zanadrzach oportunizmu swojego się wahał, czy „stawia na właściwego konia" — do szlachetniejszego o wiele Starzewskiego, który dla kaptowania niektórych z nas nie umiał wszakże znaleźć właściwszego argumentu, jak: „Dla tych, którzy nie pójdą z nami, nie będzie miejsca w przyszłej Warszawie" (tu się zanadto nie pomylił); od Srokowskiego, tego tak pod koniec życia wytrawnego dziennikarza, któ-

ry w owej chwili grał rolę zaciekłego polemisty, wspartego o swoją żydofilską „Reformę“ i o swój mandat sejmowy... z Kazimierza — do Rydla, co naiwniejszy od innych poetów witał mnie, wchodzącego do jednego z biur N. K. N-u, słowy: „Wszyscyśmy tu *schwarzgelbery, schwarzgelbery, schwarzgelbery*“ — cała ta, powtarzam, atmosfera N. K. N-owa była mi nad wyraz przeciwna, a nawet wstrętna.

Toteż od pierwszej niemal chwili wojny, po społu z moimi przyjaciółmi, postarałem się o to, aby głównie we własnym, zacisznym mieszkaniu przy ulicy Biskupiej wytworzyć spontanicznie rodzaj zakonspirowanej „jaczejki“, rodzaj „centrali wiadomości“, w której przetapiać byśmy mogli owe najczęściej fałszywe informacje o położeniu aliantów, jakie szły do nas z N. K. N-u i jego prasy. Było nas tylko kilku, ale „zorientowanych“ twardo i nieprzejednanie: nieżyjący już dzisiaj Tadeusz Paszkowski, szwagier Daszyńskiego, ale sam firmowy „endek“, odważny w zdaniu kresowiec, co całą wojnę w ciężkich warunkach przebyć miał przy sztandarze swojego stronnictwa; dalej — Juliusz Dzieduszycki, późniejszy poseł polski w Kairze, wtedy zaś c. k. komisarz starostwa, również nie krępujący się w wyrażaniu swoich opinii, a cięty przy tym jak brzytwa, z natury zaś swojego urzędu stojący bliżej od nas, innych, źródła oficjalnych wiadomości; Józef Michałowski dalej, gorący, jak ja sam, zwolennik Włoch i Francji, pełen przy tym wykształcenia i rozsądku politycznego, prawe dziecko ziemi i szkoły krakowskiej; Jan Szembek, dzisiejszy podsekretarz stanu („Jacho“) — i kilku jeszcze innych.

To była nasza dosyć, jak się rzekło, zakonspirowana „centrala wiadomości“, dużo nieraz autentyczniejszych, niż te, które łatwowiernemu ludowi do wierzenia podawano w mieście; mieliśmy zaś inne jeszcze sposoby, aby informacje nasze sprawdzać i uzgadniać w obrębie przede wszystkim dwóch, rzec można, zaprzy-

jaźnionych z nami redakcji. Jedną był „Głos Narodu", którego ster znajdował się w rękach Jana Matjasika zrazu, później zaś Witolda Noskowskiego i gdzie ten z nieporównaną, pełną sceptyzmu ironią umiał dewaluować rzekome sukcesy Austriaków, i po części „Czas", który — zwłaszcza po wyjeździe naczelnych swoich redaktorów do Wiednia — stał się *de facto* „rzeczą niczyją", popadł we władanie zrazu tegoż Noskowskiego, a przy jego boku nieocenionego Jana Kantego Maćkowskiego, dziennikarza ze szkoły poznańskiej, który zostawszy ni stąd ni zowąd sprawozdawcą strategicznym „Czasu", tak dwuznacznie, zimową zwłaszcza porą, wyzyskiwać umiał zastój pozycyjny wojsk niemieckich, że rejestrował np. z całą powagą ich „sukcesy" w obrębie takiej, a takiej to... parafii.

Na razie jednak nie pora była na takie żarty, bo jeśli Austria „zwyciężała coraz bliżej", to Niemcy zwyciężały istotnie coraz bliżej — Paryża, a w intermezzu na froncie wschodnim odnieśli byli druzgocące zwycięstwo mazurskie. Wprawdzie w tym mniej więcej czasie doszło nas wypowiedzenie się (przypuszczam, że autentyczne) sztabowca austriackiego, późniejszego generała Rybaka, do Jerzego Miklaszewskiego, zmarłego później tragicznie senatora radykalnego: *Mein lieber Jureczek! das ist* (o wojnie) *eine Backpartie mit gleichen Chancen.* Ale — równocześnie pierwsi w Krakowie pojawili się Niemcy (sam widziałem na Wawelu przysłanego jakby dla propagandy imponującego takiego Krzyżaka, hr. Béthusy-Huca), wieść zaś o zwycięstwie Hindenburga rozegranym na tak bliskim terenie walk, poraziła depresją zwolenników Ententy.

Na dowód, jakim był w tych ciężkich dniach nastrój Krakowa, przytoczę epizod następujący. W jakąś sobotę po południu, w willi pewnej młodej pani krakowskiej, grano w brydża, któremu asystowałem jako „kibic". Towarzystwo było swoje i nieswoje: jak nazbyt często — w bujnym kwiecie ówczesnej kultury

towarzyskiej Krakowa — czaił się na dnie robak obcej przymieszki żydowsko-wiedeńskiej. Przy zielonym stoliku zasiadło do gry dwóch dygnitarzy: jedna „Ekscelencja" i inny, mocno agresywny „Ententojad". Nagle drzwi się otworzyły i zameldowano woźnego z urzędu „Ekscelencji". Przynosił wypisany na „Roneo" biuletyn zwycięski Hindenburga. Gra na chwilę została przerwana. „Ekscelencja" miarowym głosem odczytał nam wieść o rozgromie armii rosyjskich, po czym spojrzawszy rzewnie po słuchaczach, wycedził na pół żartem, ale na pół serio: *Deutschland, Deutschland über alles!*

Czyż można się dziwić, że wobec potęgującej się ciągle niepewności, kto zwycięży, a wobec niezłomnych w sercu swoim sympatii, których pobudki dość chyba wyczerpująco powyżej wyłuszczyłem, skorzystałem z pierwszej nadarzającej się sposobności, aby „zasięgnąć języka" za granicą?

W samym więc początku września, gdy na froncie austriackim było „ciepło i słonecznie" (padał Lwów)[1], udało mi się, zważywszy, że rozporządzałem dostatecznymi jeszcze stosunkami i środkami materialnymi, wywieźć oczekującą słabości żonę (wraz z synem) na zamek dziada jej macierzystego, ks. Gwidona di Carpegna-Falconieri, położony w Apeninach.

Przykrą mieliśmy zrazu przeprawę. Gdy prowadziłem żonę w tłoku ewakuacyjnym do wagonu, chcąc ją do tym większej zachęcić ze względu na stan jej ostrożności, a nie chcąc zarazem być zrozumiany od napierającego na nią tłumu, przemówiłem do niej parę słów w języku francuskim; na to z tłoczącej się ciżby uciekinierów (prawdopodobnie żydów) usłyszałem zirytowane

[1]) Słowa biuletynu c. k. Komendy o tym wypadku.

wany okrzyk: „Idź pan do Belgii — tam naszych mordują!“

Do Wiednia jechało się wtedy około 24 godzin. Wyjechaliśmy wieczorem, ale od samego rana mijały nas jadące w tę samą stronę, co my, pociągi nabite formalnie rannymi z pola bitwy.

Stolicę Austrii zastałem zgoła odmienną, niż pożegnałem ją przed kilkoma zaledwie miesiącami. Nie do poznania było beztroskie miasto *an der schönen blauen Donau*. Tłumy gromadziły się przed pomnikiem Radetzky'ego, przed nowym ministerstwem wojny, trwożnie wyczekując komunikatów; w witrynach sklepów pojawiać się już poczynały owe emblematy, tak charakterystyczne dla tych wojennych czasów, z wizerunkami modlącego się Franz-Josepha oraz Hindenburga na czele, z płochych zaś serc Wiedeńczyków znikła zwyczajna wesołość zastąpiona niepewnością jutra. Jeszcze — co wieczór niemal, z ciasnych uliczek śródmieścia — wypadał na „Graben“ czy na „Kärtnerkę“ krzykliwy rój kolporterów, głoszący *grossen Sieg in den Karpathen* i tyle a tyle jeńców rosyjskich, ale triumfom tym, urojonym nieraz, wierzył tylko kto chciał, a kto wierzył, bał się o ich nietrwałość i jałowość wobec niemieckich odsieczy.

Nie tylko „Leopoldstadt“ zawalone było galicyjskimi „Flüchtlingami“ — żydami, ale pękały już od nich i śródmiejskie hotele, bo „w czas morowy“ poniósł tu był „lękliwe głowy“ zastęp znaczny szlachty i inteligencji polskiej. W kawiarniach i restauracjach Wiednia zasiedli potomkowie Sobieskiego, bez nijakiego witani entuzjazmu przez potomków Leopolda i Starhemberga. W hotelu „Erzherzog Karl“, ulubionej kwaterze stryja mojego Zdzisława, ówczesnego ministra dla Galicji, najlepiej obserwować mogłem „potępieńcze swary“ nowej emigracji polskiej. Przy dwóch zaledwie stolikach zgromadziło się parę odmian orientacji polsko-austriackiej: od mojego stryja począwszy, wy-

twornego, jak doża czy jak markiz, humanisty, co niczym ewangeliczny Piłat wszedł był w to habsburskie *credo*, poprzez wielkich panów, jak ekscelencja Stanisław Stadnicki, hardy królik podolski, którego sympatie były raczej po tamtej stronie kordonu, lub Edward hr. Raczyński, którego serce było w Paryżu, za który walczył w młodości; poprzez sceptycznych publicystów, jak Tadeusz Smarzewski, co słabo wierzyli w Austrię i zalecali dlatego ziomkom ironicznie „orientację szwajcarską" lub „orientację Czerwonych Krzyży"[1]) —

„Albośmy to jacy tacy
Chłopcy Austriacy..."

aż do hałaśliwych trabantów legionowych i giermków arcyksiążęcych, co, jak Jerzy hr. Mycielski, nosili na piersiach plakietę z „Gott strafe England!" — wszystkie tu były w tym „Erzherzogu" orientacje, zebrane jak w arce podczas światowego potopu.

I jeszcze jeden objaw zauważyłem już w dniach tych wrześniowych 1914 roku. Wobec grozy wojny i wynikających z niej indywidualnych dla każdego opresji pękały jakby sztuczne bariery stanowe, wytwarzała się demokratyczna solidarność społeczna. Stykali się i zbliżali ze sobą ludzie, których nic dawniej nie łączyło, o których mistrz mój, prawnik Ulanowski, utrzymywał złośliwie, że wiąże ich ze sobą wprawdzie ius commercii, ale przenigdy ius connubii. Trzeba było zobaczyć, z jaką teraz przystępnością udzielał się profanom — widzę go po dziś dzień siedzącego na kamiennej poręczy w bramie dzisiejszego hotelu „Ambasadorów" — Roman hrabia Potocki wypłoszony zbliżającą się inwazją rosyjską z monarszego swojego iście Łańcuta; o innym jego koledze — „toisoniście" (kawalerze orderu „Złotego Runa"), Agenorze hr. Gołuchowskim, szeptali wtedy z przejęciem wtajemniczeni,

---

[1]) Słynną była w tym czasie jego piosenka o konserwatystach krakowskich:

że pod wpływem wojny zmienił gruntownie tryb swojego życia, że... z pałacu swojego do środka miasta jeździ tramwajem.

*

Zatrzymaliśmy się w Wiedniu wszakże tak tylko długo, ile tego wymagały formalności paszportowe i 8 września zdołaliśmy puścić się już w drogę do ówczesnej granicy włoskiej. I znowu — w uroczym krajobrazie Semmeringu i Alp Karynckich — mijały nas nie kończące się pociągi, które przewoziły rannych do południowych okolic monarchii.

W piękny wieczór jesienny przybyliśmy tak do Pontebby. Niebotyczne szczyty alpejskie, jak poprzednio oglądane przez nas siostrzyce ich, turnie tatrzańskie, odcinały się obojętnością wieczystej przyrody od przelotnych rozterek skłóconej pomiędzy sobą ludzkości. Pragnąc przenocować, wyszliśmy z żoną na uliczki dobrze nam znanej mieściny. Było święto, dzień „Najświętszej Panny Siewnej", lecz tu nie błyszczały, jak przed stu laty, w inne Jej święto, w Soplicowie — w zachodzącym słońcu kaszkiety żołnierskie, czaka napoleońskie. Pokój czuć było w powietrzu — o górską zaledwie ścianę od lecącej w przepaść wojenną monarchii — pokój w dodatku zabarwiony radością życia, bo w tych Włoszech przedwojennych, inaczej niż dzisiaj, żyło się w dzień i w nocy w orgii hałasu ulicznego. „Kameloci" krzyczeli, pary młodzieńcze śpiewały, przyjaciele interpelowali się w poprzek ulicy, kontrahenci na głos załatwiali ze sobą interesy.

Wtem zgiełk ten cały stłumiony został w okolicach dworca większym hałasem zajeżdżającego od strony Wenecji pociągu, a pociąg ten wiózł ostatnie wydanie mediolańskiego „Corriere della Sera", w tym zaś wydaniu pierwszy, już zwycięski, komunikat Joffre'a o przełomowym zwycięstwie nad Marną. W tej chwili, w ostatnich błyskach zachodzącego słońca, Alpy do-

stojną powlokły się purpurą, tłum sympatycznie otoczył rozbiegających się z nowym swoim łupem kolporterów, mnie zaś w duszy, jak przed stu laty wiarusom w Soplicowie, zajaśniała Francja, jak jej już nigdy później w życiu tak pięknej zobaczyć nie miałem.

*

Nazajutrz rano w dalszą wybraliśmy się drogę. Szlak nasz prowadził na Wenecję i Rimini ku Apeninom. Dziesiątego przybyliśmy do przepięknej Carpegni, gdzie żonę i syna pozostawić mogłem zgromadzonej na zamku ks. Falconierich najlepszej ich rodzinie.

Przez te dni, w których dane mi było wypocząć po zawierusze pierwszych miesięcy wojny, studiować mogłem psychologię Włoch neutralnych w długich rozmowach z dziadkiem mojej żony, senatorem ks. Carpegna. Książę Gwido, dwukrotnie spowinowacony z Polską, zasłużony patriota włoski (pierwszy gubernator Rzymu po jego złączeniu z Włochami) i humanista najczystszej próby (tłumacz Juwenala), przy czym istotny przyjaciel Polski (bawił był u krewnych na Białorusi w dobie popowstaniowej i poświęcił Polsce drukowane poezje) — nie był ze skłonności swoich zwolennikiem aliansu z Francją, za dobrze bowiem pamiętał z własnych przeżyć erę Solferina i Sadowy i za dużo z tej epoki zachował zastrzeżeń względem charakteru Francuzów. Ale dla humanisty, dla liberała w dobrym stylu, dla łacinnika wreszcie jedno stawało się już pewnikiem: *pas avec les boches!*

Wracałem tedy do kraju po krótkiej „pieredyszce", zostawiwszy najbliższą rodzinę pod pewną opieką i — w przekonaniu, że wojna nie skończy się tak gładko dla mocarstw centralnych, jak mi to perswadowano w dawnym domu Estreicherów na Poselskiej i że — po drugie — ani myśleć o tym, by dla „monarchii apo-

stolskiej“ z „przeniewierczych“ Włoch wyniknąć miał jakikolwiek pożytek. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy przejeżdżając znowu przez Wiedeń, w zetknięciu z „ekscelencjami“, a nawet z tak subtelnym skądinąd moim stryjem, przekonałem się, że dla nich nie było zgoła żadnej bitwy nad Marną, że mój „cud alpejski“ był autosugestią, złudzeniem. Quos Deus perdere vult...

*

Te nastroje towarzyszyły mi aż do Krakowa. W Krakowie wszakże zastałem Arabiam desertam, ewakuację dokonaną, N. K. N. do Wiednia uprzątnięty.

Zmieniły się także gruntownie nastroje w mieście. Zapał antyrosyjski wyemigrował jakby — nie licząc stojących w polu — nad brzegi Dunaju; ci, co pozostali pod Wawelem, liczyli się bądź oportunistycznie z napierającą potęgą rosyjską, bądź — z odrazy do prusko-krzyżackich Niemiec i uległe im sekundującej Austrii — woleli naprawdę orientację rosyjską.

Nie mieli wszakże racji — czuję to dzisiaj dobrze — ani tubylcy krakowscy, ani emigranci naddunajscy. Nie mieli jej w pełni, choć każdy omal z nich — przekonany o tym dzisiaj jestem — piastował teoretyczne ziarno prawdy.

Daleki jakżeż, a raczej nieziszczalny był sen starych lojalistów krakowskich, współtwórców cennej dla całego narodu autonomii galicyjskiej, szczerych przy tym katolików — o jakimś trializmie austropolskim, sen śniony przez nich do końca niemal wojny — o związku narodów środkowo-europejskich, zjednoczonych i pogodzonych w wierze i kulturze rzymskiej, z wyeliminowaniem wszakże pruskiego partnera. Ale nierealną także, a w każdym razie nieobiecującą była współcześnie mrzonka, która zajmowała jednego z ich przeciwników — o Polsce zjednoczyć się mającej pod berłem cara, o ponowić i rozszerzyć się mającym

eksperymencie przedstuletnim. Czy zaś był wtedy naprawdę kto, kto by na serio przypuszczał możliwość rozwiązania trzeciego, narzuconego w końcu przez Opatrzność — jak się tą przenikliwością w przewidywaniu wypadków chlubić zwykła dzisiejsza megalomania — śmiem na zasadzie tego, com wtedy widział i słyszał, kategorycznie wątpić.[1])

To pewna, że nastroje — o których wspominam, a które jasno a logicznie rozumowały, że bez pokonania Niemców, z którymi przecie Legiony walczyły ramię przy ramieniu, o jakimkolwiek realnym bycie Polski nie było co i marzyć — grzeszyły ze swojej strony niedostateczną znajomością Rosji: jak otoczenie młodego Mickiewicza, znaliśmy tego „węża" wyłącznie „po skórze", orientowali się w istotnej wartości niektórych (egzotycznych zresztą dla nas) składników duszy rosyjskiej, jak czar tej czy innej ich stolicy, jak wielkie dzieła ich literatury, jak ponętny koloryt ich muzyki. Ale nie docenialiśmy w zupełności groźnej prawdy dziejowej, że jeśli wszyscy trzej i każdy po swojemu paczyli nam dusze zaborcy: materializował Prusak, pozbawiał hartu Austriak — to Moskwie zawdzięczamy największy bodaj procent demoralizacji duchowej, jaka się objawić później miała w Polsce niepodległej.

Co nie wyklucza i odwrotnej strony medalu: tych mętnych pierwiastków, jakie do własnej naszej psychiki narodowej naniosła była w ciągu długich dziesięcioleci swoista psychika austriacka: tego „niesprzeciwiania się złu", tego „sztreberstwa" i oportunizmu, tego „austriackiego gadania", które nic nie ma z ewangelicznego

[1]) Por. list Piłsudskiego do Jaworskiego z 2 września 1915 r. (cytowany u Hupki: „Z czasów wielkiej wojny", str. 116): „...Na wstępie zaznaczam od razu, że politycznym celem, który sobie od początku stawiałem, było i jest dotąd zlanie się Galicji i Królestwa w składzie monarchii austro-węgierskiej. Nie sądziłem i nie sądzę, by można było w tej wojnie uzyskać lepsze warunki życia dla Polski".

„tak — tak, nie — nie!“, ale zawsze szuka tylko „wykręcenia się sianem“.

*

Zastałem tedy Kraków opozycyjny od dołu do góry, od urzędnika magistrackiego począwszy, co jadąc tramwajem, zwierzał się mojemu znajomemu, że wierzy już tylko w powodzenie „Jego Cesarskiej Mości, króla polskiego Mikołaja II“, aż do najwyższych „świateł“ Uniwersytetu i Akademii.

Pamiętam tak jedno z ostatnich słynnych tych „sympozjonów“ krakowskich, gdy Rosjanie stali już niedaleko miasta i gdy w pewne popołudnie niedzielne zgromadziliśmy się w willi sekretarza generalnego Akademii Umiejętności, prof. Bolesława Ulanowskiego. Gospodarz, pełen wigoru i impozycji kaleka, umysł nie tyle produktywny, co bujny i wytrawny, przenikliwie przewidujący wojnę i jej następstwa, a drżący wtedy o los ukochanej swojej instytucji, chociaż Rosji z serca nie znosił (i w nim też zapewne grała przymieszka krwi semickiej), zaczynał już przecie „politykować“ — dla dobra sprawy — wobec stojącego blisko murów miasta, ale bądź co bądź nieobecnego w nim jeszcze najeźdźcy. Innego zdania był przytomny tej ostatniej „herbacie pięknoduchów“ ojciec Stefan Pawlicki, Gdańszczanin z rodu, a mocno wtedy sympatyzujący z obozem centralnym: „Niemcy — to jedyni prawdziwi w tej wojnie chrześcijanie“ — mówił on do mnie już po pierwszych przewagach łodzi podwodnych niemieckich. — „Niech Ojciec da spokój!“ — przerwał mu Ulanowski — „i Rosjanie mają swoje zasługi cywilizatorskie“. — „Gdzie pan je widzi?“ — zapytał z irytacją Ojciec. — „W Chiwie i Bucharze!“ — brzmiała odpowiedź nie zdekoncertowanego profesora.

W ciągu wszakże pierwszej połowy listopada napór Rosjan na twierdzę krakowską stał się już tak niebezpieczny, że dr Leo, burmistrz Krakowa, a zarazem

prezes N. K. N-u, uznał za stosowne z resztą prezydium i większością rady miejskiej schronić się do Wiednia, bawiący zaś chwilowo w Białej, z namiestnictwem wycwakuowanym ze Lwowa, namiestnik Korytowski postanowił mianować w ich miejsce „Radę Tymczasową“ *(Beirat)* na wypadek oblężenia miasta przez Rosjan. Szefem tego „Beiratu“ z tytułem komisarza mianowany został późniejszy premier Julian Nowak, ja zaś zgłosiłem się do delegata namiestnictwa w Krakowie, p. Adama Fedorowicza, z zaofiarowaniem usług swoich władzy komisarycznej i powołany zostałem istotnie w skład „Beiratu“.

„Urzędowanie“ moje nie trwało wszakże nazbyt długo. W papierach moich zachował się akt nominacyjny owego „Beiratu“ z dnia 9 listopada 1914 r., jak również akt jego dymisyjny — już z dnia 21 tm. Dwanaście zatem niespełna dni trwały owe „rządy filozofów“ w „oblężonym“ Krakowie — tak bowiem pozwalam sobie je nazwać, skoro całe prezydium miasta w tym czasie składało sie z profesorów (Nowak, Kostanecki, Bandrowski). Dwanaście tylko „czarnych dni“, skoro tymczasem, jak doniósł z Białej delegatowi Fedorowiczowi namiestnik Korytowski — „wyraził był prezydent Leo... gotowość powrócić w najbliższych dniach wraz z wiceprezydentami do Krakowa i na powrót objąć zarząd miasta“.

*

Nie obroniwszy wieży Mariackiej ani katedry wawelskiej[1]), a zaszczycony tylko „odpisem telefonu c. k. namiestnika“, który mi z Białej wyrazić raczył „gorace i serdeczne uznanie i podziękowanie za ofiarność, z którą — w poczuciu obowiązków obywatelskich —

---

[1]) O rzekomym ich w tym czasie zagrożeniu por. niewydany pamiętnik Konstantego Broela Platera (archiwum białaczewskie).

nie wahał się Pan mimo narażenia swoich osobistych interesów, przyjąć i wśród bardzo trudnych warunków sprawować zarząd miasta w sposób, który zyskał powszechne uznanie i wdzięczność“ (sic!)[1]), niespokojny o stan zdrowia żony, która ze swojej strony niepokoiła się o mnie, postanowiłem wyjechać ponownie. Skoro Leo, nie bojąc się już nadal stryczka rosyjskiego, miał tupet powrócić do stolicy N. K. N-u, to mnie wolno było na odwrót — rozumowałem — podążyć znowuż ad limina apostolorum.

Wyjechałem zatem z Krakowa — tym razem — 26 listopada (już po rozstrzygnięciu łódzkim i pchnięciu sukursu niemieckiego na front galicyjski), nie jechałem jednak wprost do Wiednia, tylko na Białą, gdzie spodziewałem się otrzymać od namiestnika paszport zagraniczny. Przybyłem nocą do Cieszyna, a nazajutrz rano podążyłem do ewakuowanego namiestnictwa. Nie pamiętam, czy w tych tak tragicznych okolicznościach, wspominałem sobie, jako dziejopis stulecia XVIII, że około 150 lat wcześniej w tychże zakątkach Polski kupiła się inna polska emigracja.

W Białej zamieszkałem u sympatycznego kuzyna, radcy Kazimierza Chłapowskiego, przy którego pomocy udało mi się szybko uzyskać posłuchanie u namiestnika. Korytowski, kolega gimnazjalny mojego ojca z lat 60-tych, z gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, przyjął mnie dobrze, paszportu udzielił, a mocno tylko z tej okazji pomstował rubasznym, sobie właściwym trybem, na wszystkich w czambuł polityków polskich.

W dwa dni później — drogą na Węgry — puściłem się w dalszą podróż do Wiednia, który zastałem w stadium większego jeszcze niż we wrześniu przygnębienia. Znowu zatrzymałem się tylko na tyle, aby załatwić formalności związane z uzyskaniem wizy włoskiej.

[1]) Prez. Nam. L. 24399 (pr.), zastrzeżenie tylko co do mojej osoby.

Już w konsulacie włoskim na Reisnerstrasse spotkałem „wyewakuowanego" z Przemyśla starego mojego znajomego, biskupa Pelczara. Jechaliśmy też razem do Pontebby, na granicy zaś włoskiej rozstali się ze sobą: biskup wsiadł bowiem do I klasy i wysiąść miał w Padwie, ja zaś — do II i zatrzymywałem się w Wenecji. Za Pontebbą zdrzemnąłem się na chwilę, ale w Udine obudził mnie piekielny hałas na korytarzu. Było to — jak się później przekonałem — paru dziennikarzy włoskich, którzy dowiedziawszy się w Pontebbie, kto przejeżdża z Austrii, wtargnęli do przedziału biskupa, by „zdjąć" z niego „wywiad". Arcypasterz był o tyle nieostrożny, że na wywiad przystał i choć może nawet nie odmalował im stanu swojej diecezji w nazbyt czarnych barwach, to oni jednak — na złość Austrii — przemalowali ten obraz osaczanej już przez Rosjan twierdzy na kolory dantejskie.

Struchlałem, przyjechawszy w dwa dni później do Rzymu, gdy wyczytałem w całej nieomal prasie włoskiej *una intervista con Mgr Pezofar (sic!), arcivescovo di Premislia*, a jeszcze bardziej struchlał przyjaciel mój, Władysław Skrzyński, wtedy radca austriacki, a potem ambasador polski przy Watykanie, kiedy w pięknym biurze swoim w Palazzo Venezia, gdzie dziś rezyduje „Duce", sczytywał patetyczne opisy tej Grenady, w jaką pod piórem zmyślnych dziennikarzy italskich przemienić się miał opuszczony przez swojego pasterza gród przemyski.

Wenecji, Florencji i Rzymu nie poznałem za tymi moimi w rzeczonych miastach pobytami. To bowiem, co stanowiło niezbędny po wszystkie czasy korelatyw rodzimej włoszczyzny — turysta (Anglik zwłaszcza, Amerykanin i Niemiec) — zniknęło nagle stamtąd bez śladu. Laguna przez to zamarła jeszcze doszczętniej i *colli* florenckie melancholicznie prezentowały się tej jesieni, a Rzym, wyzbyty ze swoich *forestieri*, ratował

1/ patrz Claudel: Positions et propositions str. 109 (o roku 1915): „Et l'Italie que j'ai connue, c'était une Italie toute pure, toute nue, dépouillée de toute présence étrangère et frémissante aux accents et [illegible] premières invitations de la [illegible] qui devait durer trois années".

się jeszcze tylko zastępami nie zmobilizowanych, jak dotąd, prałatów, seminarzystów itp.

A co bedzie dalej? Oto pytanie, które cisnęło mi sie na usta przy czytaniu swobodnej względnie prasy włoskiej, zwłaszcza zaś stenogramów hucznych i buńczucznych mów parlamentarnych oraz na widok łagodnie rozpędzonych na „Corso" przez policję pochodów „interwencjonistów". Nie dał mi na to pytanie odpowiedzi długi jesienny spacer na Kampanię rzymską w towarzystwie Skrzyńskiego (bo Austriacy sami jeszcze nie zdawali sobie sprawy, na czym stoją); silnie mnie za to zorientowała co do zasięgu wojny wizyta u dawnego znajomego krakowskiego, o. Włodzimierza Ledóchowskiego, wybranego przed niedawnym czasem generałem zakonu Jezuitów, który gdy go odwiedziłem w dawnej jeszcze siedzibie jego zakonu, w „Collegio Germanico" — na zapytanie, jak długo, zdaniem jego, trwać może wojna, odrzekł stanowczo: „Wszystko wskazuje na to, że jeszcze trzy do czterech lat".

Takie było zapewne i przekonanie dobrze zawsze poinformowanych Włochów i niewiele w nim udało się zmienić przybyłemu w tym czasie i celu do Rzymu b. kanclerzowi Bülowowi, jak wynika z jego pamiętników i rezultatu jego misji. Bülowa widziałem w Rzymie dwa razy: raz — w roku jeszcze 1911, podczas wystawy jubileuszowej królestwa włoskiego, kiedy zwiedzał współcześnie z nami nabytą świeżo przez Wilhelma cudną willę Falconieri, niegdyś własność dziadka mojej żony; drugi zaś raz — teraz, kiedy ze swojej „villa Malta" jechał w barwnym mundurze huzarów pruskich wręczać w Kwirynale listy uwierzytelniające.

Cudzoziemców zresztą czy Polaków spotkałem w tym okresie w Rzymie niewielu: rodziny ks. Falconierich i hr. Vincich (w ich liczbie kuzyna mojej żony, głośnego później posła włoskiego w Addis-Abebie, hr. Ludwika-Horacego), rzeźbiarza Madeyskiego. Za jednym z tych pobytów włoskich zetknąłem się w pociągu

ze znanym mi bodaj z Krakowa malarzem Rychterem, który mi się rychło zdeklarował jako adherent bazylejskiego „antropozofa" (teozofa) Steinera; dziś mi się wydaje, że Rychter jeździć mógł wtedy ze Szwajcarii z misją jakową do lóż włoskich.

Zresztą spędzać mi było dane święta Bożego Narodzenia w „Wiecznym Mieście" i na łonie rodziny — osobliwy był to przywilej w tak burzliwym czasie, a może, jak mawiać zwykła była w tego rodzaju wypadkach najdroższa żona moja — prawem ludzkich rzeczy równowagi — kompensata z góry za bolesne święta z okresu 1931—4, spędzane przez nią także w Rzymie, ale w chorobie i rozerwaniu z nami[1]).

Otwierające się półrocze — pierwsze roku 1915 — było dla mnie najsmutniejszym okresem z całej wojny. Powracałem do rodzinnego mojego miasta, w którym po latach trzydziestu pogodnej na ogół młodości poczułem się nagle całkiem obcy i z tym uczuciem aż po dzień dzisiejszy pozostałem. Już bowiem w Wiedniu, w drodze powrotnej, przekonałem się o zupełnym renesansie orientacji austriackiej pośród bliższych i dalszych. Skoro minął, a raczej oddalił się strach rosyjski, wzrosły na powrót dworsko-serwilistyczne nastroje. Padłem po części ich ofiarą, gdy wywarto na mnie w tej dobie nacisk, abym podpisał przygotowany właś-

[1]) Z innych spraw rodzinnych — dzięki tej „eskapadzie" rzymskiej — udało mi się podówczas wyśledzić nieznane nam dotąd miejsce pobytu wyewakuowanej z Sandomierszczyzny — wskutek zamieszek wojennych — linii stryja mojego Tadeusza, wielce kochanego i cenionego przez całą rodzinę. Odpowiedź na tę zagadkę dał mi uczynny z natury mecenas Lednicki, do którego zwróciłem się z Rzymu do Moskwy, znając się z nim nieźle z czasów mojego niedawnego w tym mieście pobytu; Lednicki nie omieszkał niebawem wskazać mi telegramem via Tokio (!), miejsca ówczesnego pobytu stryja-emigranta i jego rodziny.

nie pod auspicjami Bilińskiego adres szlachty do cesarza. Musiałem liczyć się z tym, że zostawiam najbliższą rodzinę „za górami, za rzekami", i z koniecznością ew. ułatwień w komunikowaniu się z nią na przyszłość — pomieściłem więc nazwisko moje na liście adresantów, ale odbierający mój podpis we „wspólnym ministerstwie skarbu" śp. Jerzy hr. Dzieduszycki nie wspomniał mi nic o projektowanym tekście adresu. To peccatum omissionis mnie nie tłumaczy, powinienem bowiem był przewidywać, że marszałek kraju nie wręczy cesarzowi samych podpisów; w stanie depresji, w jakim wszakże wtedy — i nie bez racji — się znajdowałem — okoliczność ta nie przyszła mi do głowy i wskutek tego miałem później przykre uczucie czytania w pismach tekstu adresu, gdzie była mowa o Austrii jako przedmurzu cywilizacji zachodniej w walce z barbarzyństwem, podczas gdy ja wtedy cywilizację i barbarzyństwo upatrywałem zgoła gdzie indziej[1]).

Jeżeli wszakże z okazji tego epizodu nie wykazałem był dostatecznego hartu, to następne półrocze postarało się o to, by mi dać hartu tego szkołę. Prawdziwie było tak, jak pisała do mnie wtedy najdroższa żona moja słowami Pisma: „Nie troszczcież się tedy o jutrze! Albowiem jutrzejszy dzień sam o się troskać się będzie. Dosyć ci ma dzień na swej nędzy" (Mat. 6, 34 — cytat ten umieściłem też później na jej obrazku żałobnym).

Będąc uparty, zamknąłem się de facto prawie na pół roku we własnym mieszkaniu i wychodziłem dwa razy tylko dziennie: raz rano do pobliskiego archiwum Czartoryskich, aby uzupełniać zaczętą już przed wojną, a dotąd nie ukończoną pracę o pierwszych latach Stanisława Augusta i — drugi raz, o zmroku — na sa-

[1]) Tekst tego adresu w wydawnictwie „Zbiór dokumentów dotyczących sprawy polskiej", Szwajcaria 1915, str. 58 (przemowa tajnego radcy marszałka krfaju, Stanisława Niezabitowskiego.

motny spacer, najchętniej na cmentarz, na grób matki. Tak żyłem przez długie miesiące zimowe i wiosenne. Na starym drzewie przed moimi oknami siadało całymi gromadami i krakało ptactwo, wypłoszone podobno z Karpat hukiem armatnich strzałów, w mieszkaniu zaś „dobrzy towarzysze“ ze słynnej „jaczejki konspiracyjnej“, jak druhowie Mickiewicza „drzwi zatrzasnąwszy od Europy hałasów“ — „pomagali rozmowie“.

Nie samiż jednak „swoi“ brali udział w tych rozmowach. Z pobliskiego bowiem frontu nad Nidą zjawiali się u mnie także goście, których orientacja wcale nie była „etentowa“. Zjawił się więc tak pewnego razu „bajecznie kolorowy“ ułan, jakim go oglądać możemy po dziś dzień na współczesnym portrecie Malczewskiego, Aleksander Skrzyński, ochotnik wtedy austriacki i kawaler już medalu za waleczność, adiutant generała Rozwadowskiego.

„Oleś“ był moim przyjacielem od lat młodych. Wychowywany zrazu przez jezuitów w Kalksburgu, przeniósł się w końcu lat 90-tych do szkół krakowskich i mocno się wtedy ze mną zaprzyjaźnił. Długie zwłaszcza wieczory spędzaliśmy ze sobą w zimie roku 1904/5, kiedy Skrzyński z olbrzymią iście pilnością przygotowywał się do końcowych egzaminów prawniczych, ja zaś referowałem w miejscowym seminarium historycznym pracę z okresu Jagiellonów. Wielka to była przyjemność w towarzystwie tak inteligentnego chłopca czytywać całymi godzinami wspólnie Tetmajera lub France'a. Potem „Oleś“ poszedł do dyplomacji, ja zaś pozostałem w kraju. Ale stosunki między nami się nie zerwały i przed samą wojną bawiłem u niego przez dni parę w cudnych jego, jeszcze nie zniszczonych, Zagórzanach.

Teraz jednak, drogi nasze się rozeszły. Skrzyński — jak zresztą wówczas i Rozwadowski — był nie tyle *kaisertreu*, co *zentralofil*, był pełen ognia, impozycji, nieprzejednania. Był kimś, ale mam powody przy-

puszczać, że ta jego buta załamała się w dalszym przeciągu wojny, że uległ sprzecznościom swojej orientacji i wpływom wojennym swojego politycznego otoczenia.

Zgoła inny zakrój postaci reprezentował inny gość znad Nidy, inny też lat moich najmłodszych przyjaciel, Emanuel Pusłowski. Przeszło już czterdziestoletni, w długim płaszczu „landszturmisty“ i z długą, ciemną brodą — wyglądał „Nelo“ całkiem na rycerza, co zstąpił na pole bitwy z katedralnego nagrobka. Zdolny, szlachetny, ale nieproduktywny, zmęczony nieco szczep wytwornej, a poniekąd i tragicznej rodziny, chcący iść do armii rosyjskiej w latach 1904/5, poszedł teraz do austriackiej, narażając majątek i rodzinę (cudne jego Czarkowy oblali naftą i spalili Rosjanie) i poświęcając życie (zginąć miał w kilka miesięcy później). Nie godziłem się z jego orientacją, podziwiałem bijący odeń urok.

Bywały również w ówczesnym życiu i momenty weselsze. Takim był 4 lutego, kiedy przybiegł do mnie goniec od profesora Kostaneckiego z prezydium miasta z wieścią, że w Rzymie urodziło mi się na raz dwóch synaczków. „Klęska wojenna“ — szepnąłem z początku do moich przyjaciół z „jaczejki“, przy starym wszakże węgrzynie, cudem istnym wyratowanym z Wadowa mojego przed Moskalami, pocieszyłem się i dzisiaj trwam w pocieszeniu, przekonawszy się całkiem do moich bliźniaków. Wtedy zaś, w gronie „dobrych towarzyszy“, fraszkom nie było końca. Opowiadano więc anegdotę o dwóch bliźniakach „landszturmisty“, Francu i Wilhelmie, których rodzice pomieszali ze sobą, ale jednak w końcu rozpoznali („Franciszek ciągle śpi, a Wilhelm ciągle gada“). Ze względu na mój zły stosunek do N. K. N-u radzono mi dalej żartobliwie, abym nazwał jednego Władysławem, a drugiego Leopoldem (dla prezesa Jaworskiego); znalazł się w końcu i taki jowialista, co dowodził, że dla równowagi jeden powinien był się urodzić w Watykanie, a drugi w Kwi-

rynale. Bądź jak bądź, nowocześni Romulus i Remus wpisani zostali w metryki kapitolińskie i otrzymali na chrzcie imiona papieży wojennych: Aleksander-Pius i Władysław-Benedykt.

•

Tragedia wojenna rozgrywała się tymczasem dalej: 23 marca wpadł w ręce rosyjskie Przemyśl — o wypadku tym dowiedziałem się bezpośrednio po nadejściu o nim wiadomości oficjalnej do starostwa, a wiadomość tę przyniósł mi do „pałacu Wielopolskich“, gdzie zasiadałem właśnie we wspomnianej wyżej „radzie przybocznej“[1]) — Juliusz Dzieduszycki. I nie powiem, by wiadomość ta okryła była serce moje żałobą[2]).

O ogólnym jednak rytmie wypadków wojennych dowiadywaliśmy się w murach „twierdzy“ po dawnemu nader mało. Czasem tylko zjawiał się w moim mieszkaniu internowany w Krakowie Francuz Jacquier, przynosząc ze sobą pliki genewskiej „Guerre mondiale“; swobodniej też komentowaliśmy bieg wypadków z takim Tadeuszem Stryjeńskim (architektem poddanym dzięki tej okoliczności szwajcarskim, mogącym niejednokrotnie w czasie wojny jeździć do Szwajcarii, a nawet do Francji, jak również z internowanymi w Krakowie kuzynami z Kresów. Zjawił się też raz na tej mojej „Biskupiej“ wielki żyd (spod znaku rabina Thona) i kolega z rady miejskiej, niby to pod pozorem załatwienia jakiejś agendy municypalnej, a jak dziś sądzę, raczej dla zwęszenia, jak wygląda tego rodzaju gniazdko opozycyjne, z takiego jednak nie dało się żadnych informacyj wojennych wyciągnąć.

Na Wielkanoc pojechałem znowu do Wiednia. Pamiętam popołudnie wielkosobotnie w stolicy Habsbur-

---

1) Reaktywowanej tymczasem przy prezydencie Leo.

2) O przyczynach tych nastrojów patrz wyżej, str.

gów, pełne jeszcze nastrojów świątecznych, nabożeństw, dzwonów, chociaż mącone „złymi wieściami" wojennymi z Karpat i — jakby pożegnanie z tym Wiedniem cesarskim — „święcone" u „Hartmanna" w towarzystwie mojego stryja, pana ministra dla Galicji, oraz wspomnianego wyżej Józefa Michałowskiego. Niestety! te wakacje wiedeńskie miały znowu mieć dla mnie niemiły epilog.

W Wiedniu bawili wtedy inni jeszcze członkowie mojej rodziny, mianowicie trzy siostry mojego ojca, a wśród nich hr. Zofia Platerowa. Zastałem tę panią, noszącą już w sobie zadatek choroby śmiertelnej, mocno zalterowaną aresztowaniem jednego z synów, a kuzyna mojego, przez Prusaków, które to aresztowanie przypisywała kategorycznie, na podstawie informacji z okupowanego Królestwa, denuncjacji jednego z czołowych działaczy N. K. N-u.

Powróciwszy do Krakowa, w gronie bliskich znajomych i krewnych podzieliłem się z nimi tą wiarogodną dla mnie wersją. Jakież było wszakże moje zdziwienie, gdy jednego z najbliższych po tej rozmowie poranków zjawił się w mieszkaniu moim jeden z jej przypadkowych uczestników, a czynny też członek N. K. N-u, zapytując mnie oficjalnie, bo imieniem prezesa, prof. Jaworskiego — czy wersję rzeczoną podtrzymuję. Odpowiedziałem bez namysłu, że uważając źródło jej za dostatecznie poinformowane, słów moich nie cofam.

W parę dni później wezwał mnie woźny do starostwa, gdzie funkcjonowała jedyna linia telefoniczna łącząca Kraków z Wiedniem. Przy telefonie był mój stryj — minister, który mi obwieścił mocno zalterowanym głosem, że wyszedł był właśnie od niego kolega jego Ignacy Rosner i że dowiedział się od niego o zamierzonym jakoby wyjeździe z Wiednia dwóch oficerów legionowych z wyzwaniem dla mnie. Podzięko-

wałem stryjowi za uprzedzenie i rozglądnąłem się za sekundantami. Nie łatwo ich było znaleźć wobec ewakuacji „twierdzy". W końcu jednak udało mi się zapewnić sobie ewentualną pomoc ks. Hieronima Radziwiłła i mojego kuzyna, wspomnianego już wyżej Kazimierza Chłapowskiego, obu zresztą mieszkających poza Krakowem. Ale z Wiednia — pomimo telefonu ministerialnego — nikt się wówczas ani później nie zgłosił, Platera zaś niedługo potem Prusacy szczęśliwie wypuścili na wolność.

*

Rydwan tymczasem wojenny toczył się niepowstrzymanie dalej: padało uderzenie pod Gorlicami, które nie całkiem zastawało nas nieprzygotowanymi, gdyż „zakorkowani" przez parę dni (tj. odcięci od reszty świata) w „twierdzy", mieliśmy przecie pewne wieści o wielkich ruchach wojsk niemieckich, widywali bitnych Bawarów w świątyniach krakowskich, kamerdyner zaś rzeczonej mojej ciotki, pozostały w jej krakowskim mieszkaniu i chodzący stale się gapić pod podkop kolejowy, referował mi o jadących jeden za drugim z zachodu pociągach z wojskiem niemieckim.

Był to szczytowy punkt triumfów państw centralnych. Dla ludzi zaś, tak jak ja zorientowanych, otwierała się alternatywa — wytrwania nadal na przegranej, jak się z bliska przynajmniej wydawało, platformie czy nagięcia się, jak czyniło to wtedy wielu, do chwilowej ewolucji wypadków. Wybrałem to pierwsze, a solucja moja była radykalna: postanowiłem znowu wyjechać za granicę.

Mogłem zaś tak uczynić, będąc na razie wolnym od wojska, chociaż do poboru stawałem już dwa razy. Ale za każdym razem — jako na rzecz radcy miejskiego — interweniował wydział wojskowy magistratu. Szło się do sali, gdzie za pierwszym zwłaszcza razem,

zastęp golców pędzony był jakby do szlachtuzu przez oficera, który szpicrutą znaczył im zadki, drugim razem — kiedy znalazłem się przed wyjściem, którym wychodzili tylko zwolnieni, z czekającego przed tymi drzwiami tłumu usłyszałem okrzyk: „Badeniego puścili!" (z powodu mojego rzekomego podobieństwa do Kazimierza czy Stanisława Badenich).

* * *

Nieraz dziwiono mi się później, że ja, tak pono jasno zdający sobie w dalszych latach sprawę z niebezpieczeństwa masońskiego, postawiłem na jedną kartę majątek i karierę, solidaryzując się z obozem „masońskiej" iście Ententy. Oto co na zarzut ten mam do odpowiedzenia:

Po pierwsze — nie było wtedy innej drogi do osiągnięcia przyświecającego mi, jak to już uwydatniłem, hasła zjednoczenia Polski; kto zaś szedł drogą inną, wyrzekał się logicznie Śląska, morza, Pomorza i Poznania.

Po drugie zaś daleki przecie byłem wtedy od jakiegokolwiek uświadomienia w zakresie zagadnień związanych z działalnością masonerii. Nieliczni byli bowiem u nas ci, co tego rodzaju niebezpieczeństwo sobie uświadamiali, ci zaś, co przed nim przestrzegali (Jan Popiel, Jerzy Moszyński), celowo byli ośmieszani przez czynnych już wtedy w kraju naszym adherentów masonerii. Krótko przed wojną przyjechali byli do Polski, z inicjatywy, jak się zdaje, Jana Floriana hr. Zamoyskiego dwaj belgijscy działacze antymasońscy, hr. de Renesse i Brifaut, ale poza kołami ściśle katolickimi mało się kto wtedy ich propagandą zainteresował.

Po trzecie w końcu myliłby się lub świadomie zmyślał ten, kto by śmiał twierdzić, że w początkach wojny masoneria działała wyłącznie tylko po stronie

Ententy; owszem, z niemniejszym nasileniem funkcjonowała wszak ona w lożach niemieckich, staropruskich, węgierskich, tureckich, krypto-austriackich, żydowskich wreszcie („B'nai Brith" krakowski), czegośmy wiedzieć i widzieć nie mogli, co się wszakże instynktem dawało wyczuwać.

Decyzja moja była więc spontaniczna, jak sądzę dziś jeszcze, śmiała i z mojego punktu widzenia indywidualnego nieodzowna, ale jak każda decyzja czy „posunięcie" ludzkie musiała posiadać i „odwrotną stronę medalu".

*

Wyjechałem tedy z Krakowa 13 czerwca 1915 r. — na przeszło 3½ roku. Jechałem do Wiednia w towarzystwie dwóch wybitniejszych działaczy z „Prawicy" krakowskiej, dwóch ziemian. W ciągu tej 12 godzinnej bodajże wspólnej jazdy nagadać się mogliśmy ze sobą do syta. Ale — znowuż — dialog to był „gęsi z prosięciem" — „Habebald" i „Raufebold" — pozwolą czytelnicy, że tych rozmówców moich opatrzę tu pseudonimami dwóch „gwałtowników" z II części „Fausta" — ziali nienawiścią, skłonną do „mordu i pożogi" względem „świata wrogów", wrogów — oczywiście — Niemiec i Austrii. Gdy więc dojeżdżaliśmy do Wiednia, gdy Kahlenberg i błękitna wstęga Dunaju zamigotały w zachodzącym słońcu, ten zapał obu rycerzy sprawy „centralnej" rozżarzył się do białości:

— Spalić Wenecję! (było to wszak trzy zaledwie tygodnie po zerwaniu neutralności włoskiej) — wołał „Habebald".

— Zniszczyć Mediolan! — sekundował mu „Raufebold".

— Zbombardować Florencję! — nastawał „Habebald".

Pociąg stanął. Podałem obu krwiożerczym moim towarzyszom podróży rękę. Był to zarazem symboliczny gest pożegnania z Krakowem mojej młodości. Z Krakowem wojennym, o którym zwykł był mawiać w pasji jeden z „konspiratorów“ słynnej naszej, charakteryzowanej tu wyżej „jaczejki“: „Mury zostawić, ludzi wystrzelać!“[1]).

---

[1]) Mógłby mi kto zrobić zarzut, że charakteryzując Kraków śródwojenny, przepomniałem zgoła o błogosławionej działalności „Książęcego Biskupiego Komitetu“ (K. B. K.). Zarzut niesłuszny — urywam przecież opowiadanie niniejsze pod koniec pierwszego roku wojny, kiedy to K. B. K. był zaledwie in statu nascendi.

Rozdział drugi.

NA EMIGRACJI SZWAJCARSKIEJ

Na wolnej ziemi Tella. Pierwsze półrocze emigracyjne. U Sienkiewicza. W innych ośrodkach polskiej pracy propagandowej — Lozanna. Spotkanie z Dmowskim. Koordynacja propagandy (Piltz, Seyda, Skarbek i inni — założenie ajencji prasowej). Pierwsze starcia emigracyjne — polemika z „Uwagami" Askenazego. Fizjonomia naszej emigracji. „Piąty listopada" w Lozannie. Śmierć i pogrzeb Sienkiewicza. Kryzys „orientacji" wojennych — refleksa rewolucji rosyjskiej na gruncie szwajcarskim. Ramy zewnętrzne naszej propagandy. Powstanie „Komitetu paryskiego" i „fronda" przeciwko niemu w Szwajcarii. Blaski i cienie naszej „Federacji". Obchody kościuszkowskie w Lozannie, Rapperswilu i Solurze. Zima pokoju brzeskiego i lato drugiej Marny — polityka antyaustriacka w Genewie. Zwycięstwo i „hiszpanka". Wyprawa do kraju i podróż przez zrewolucjonizowane Niemcy; austriacka „obrzydliwość spustoszenia"; powrót syna marnotrawnego; „*laciate ogni speranca voi ch'entrate*"; jazda przez nieprzyjacielskie Czechy; kontrabandą do Szwajcarii. Ostatni kwartał emigracyjny. Niespodziewana nominacja. Po dziesięciu latach.

„Wer von Ergebung spricht an Oesterreich, Soll rechtlos sein und aller Ehren bar.“

(Schiller: Wilhelm Tell).

„W więzieniach cytadeli warszawskiej, zamknięci po celach więźniowie, gdy po długim, nużącym milczeniu szelst w sąsiedniej izbie posłyszą, zbliżają się do ściany, nadstawiają ucha i cichym, miarowym pukaniem dają znać o sobie. Tym językiem tajemniczym teraz jeszcze rozmawiają między sobą rozćwiartowane dawnej Polski ziemie; ich głosu słuchamy pilnie i, o ile rozumiemy, powtarzamy go towarzyszom wygnania... Z różnych stron polskiej cytadeli, gdy nas dochodzi coraz żywsze pukanie, spółwięźniom, spółtowarzyszom niedoli i my pragniemy odpowiedzieć.“

(„Roczniki Polskie“ — Paryż — z 30 czerwca 1860 r.).

I znowu przywitała mnie ta sama przyroda alpejska, którą pożegnałem był w styczniu, w ponurej szacie zimowej[1]). Teraz, na wolnej ziemi Tella, nad uroczym jeziorem Czterech Kantonów, mogłem przez dni kilka rozpamiętywać w spokoju o tym, o czym mnie przez pierwszych jedenaście miesięcy kampanii pouczyła była wojna.

Ale nie przedłużyłem nadto tego pobytu. Pchało mnie w inną stronę, ku Francji, a że do niej przedostać się nie mogłem — bywały co prawda w czasach tych dziwne wypadki z tymi wojennymi podróżami: sam później widziałem u jednego z Polaków paszport austriacki, wystawiony czasu wojny przez starostwo

[1]) Wyjechałem z Wiednia w końcu czerwca 1915 r.

w Krakowie, a z wizą ambasady rosyjskiej — podążyłem niebawem do Lozanny.

Gdzieś w początku lipca 1915 r. poznać mi zatem zostało przeznaczone to miasto, w którym spędzić miałem następne trzy lata. Położona malowniczo na stokach Alp berneńskich, „nad wodą wielką i czystą“ mickiewiczowskiego Lemanu, Lozanna skąpe tylko miała stosunkowo tradycje emigracyjne. Krótki tylko czas związana była z życiem „Adama“, poza tym rzadki się do niej tylko zawieruszył kto z Polaków, jak ów „Belwederczyk“ Orpiszewski.

Ale dzisiaj — wiedziałem o tym — dzięki konfiguracji stosunków wojennych, wytworzyło się tu już tymczasem ognisko psychiki i akcji polskiej. W Vevey rezydował wszak Sienkiewicz, jedyny w wirze wielkiej zawieruchy godny następca lozańskiego profesora; w Lozannie, Montreux, Fryburgu, Genewie — kupić się i zwoływać już poczynały jednostki z różnych stron Polski przybyłe.

W Lozannie czekał na mnie Tadeusz Smarzewski. Sceptyczny umysł autora „Wakacji w Anglii“ więcej niż zwykle pełen był ironii i skrupułów w stosunku do niespodzianek czy zawodów wojny. Mimo że dawniej ode mnie bawił w Szwajcarii, „Gorlice“ równie silne jak na mnie uczyniły na nim wrażenie; mimo że komunikował się z mieszkającym wtedy bodaj we Fryburgu Piltzem, w zwycięstwo Rosji wierzyć się nie zdawał. Pamiętam długi z nim spacer w lesie pod Bex-les-Bains, gdzieśmy razem rozważali aktualne zagadnienia, kontakt wszakże z najinteligentniejszym bodaj z „Ariów“ galicyjskich nie rozświetlił trapiącej mnie wtedy rozterki; wskazówek szukać należało gdzie indziej.

Ale przede wszystkim postanowiłem poszukać własnej rodziny. Mogłem nareszcie nawiązać przerwaną od tygodni korespondencję z żoną i zabrać się do sprowadzenia jej wraz z dziećmi z Włoch do Szwaj-

carii — zaraz też doznałem pomocy poselstwa włoskiego, któremu przewodniczył w Szwajcarii markiz Paulucci de Calboli, brat innego Paulucciego, u którego krótko przed wojną bawiłem w gościnie i dla studiów historycznych w pałacu jego we Forli.

Po dłuższym oczekiwaniu, skomplikowanym jeszcze śmiertelną niemal chorobą jednego z synów moich w Rzymie, otrzymałem nareszcie wiadomość o przyjeździe żony i — po półrocznym przeszło rozłączeniu miałem radość ujrzenia jej znowu, na granicy włosko-szwajcarskiej, u wylotu Tunelu Simplońskiego; tam też poznałem dwóch moich młodszych synów. Żona moja dla odetchnięcia po spiekocie rzymskiej, której ofiarą omal nie padł jeden z chłopców, zatrzymała się najpierw w Bex, później zaś w Montreux, ja zaś skorzystałem z tego, by zapoznać się z miejscową emigracją.

*

Zacząłem bodaj od Vevey. Stosunki moje z Sienkiewiczem były już choćby z tego względu ułatwione, że w okresie tworzenia „Quo Vadis" zbliżył się on był duchowo z moim ojcem, wżywając się nie bez jego pomocy w odtwarzaną przez siebie epokę; bywał zresztą i u nas w Krakowie[1]). Nie dążyłem doń po dyrektywy polityczne, ale w otoczeniu jego — w „Grand-Hôtel de Vevey" czy później „Grand-Hôtel du Lac" — był ruch, krzyżowały się ze sobą poglądy, działania, orientacje.

W tymże przecie „Grand-Hôtel de Vevey" rezydował wtedy mistrz mój, profesor Szymon Askenazy. Siedem lat wprzódy, w jesieni roku 1907, udało mi się dotrzeć do jego pracowni i wspólną z nim przeprowadzić robotę. Nie było to sprawą całkiem łatwą. Ojciec

---

[1]) Wspomnieć mi tu należy też o przyjaźni od dziecka ze szlachetnym synem wielkiego pisarza, który podobnie jak ojciec przebywał wtedy w Szwajcarii.

mój bowiem — o czym dzisiaj się nie wie i nie mówi — żywił skrajną nieufność w stosunku do metod lwowskiego profesora, podejrzewał go wprost o to, że chce paczyć historię polską, słowem, jako rasowy Polak obawiał się mocno, że potomek tylu znakomitych rabinów musi mieć odrębne cele w opracowywaniu dziejów narodu-„gospodarza" od jego „rdzennych" dziejopisów, a zatem i mnie gotów „dwutorowością" swoją zawrócić w głowie.

Ja jednak nie dałem sobie ojcu tak łatwo „Askenazego wyperswadować". Znałem bowiem z autopsji wszechnicę krakowską i wiedziałem dobrze, że ówczesna generacja jej profesorów historii, ludzi zacnych i w zakresie swoim skądinąd zasłużonych, nie dorastała jednak rozmachowi twórczemu i pobudczemu autora „Księcia Józefa". Już bowiem wtedy ciążyła na moim rodzinnym mieście pewna zaściankowość, mierżąca mnie na razie podświadomie, a która później wielokrotnie dać mi się jeszcze miała we znaki.

Askenazy za to takiej zaściankowości zupełnie wśród cech swoich nie posiadał. Potomek rabinów, których tablica genealogiczna w „Jüdische Enzyklopädie"[1]) świadczy już o internacjonalizmie danej rasy, czuł się we wszystkich niemal archiwach europejskich u siebie, znał możnych i wpływowych tego świata. W stosunku zaś do uczniów — przytwierdzą mi to przypuszczalnie wszyscy z żyjących — okazywał staranność maksymalną.

Była jednak w temperamencie nie-temperamencie profesora rysa, która sprawiała, że zażyły ten stosunek mistrza i ucznia prawie z reguły w dalszym ciągu ich symbiozy psuł się i paczył. Z licznej szkoły Askenazego szczupła chyba tylko pozostała garsteczka, co zapłakała nad jego trumną. A cóż było tego powodem? To „podświadome" znowu, z którego wielu z nas nie

---

[1]) Por. „Encyklopedia Judaica" III (Berlin 1929), 491—2.

zdawało sobie wtedy sprawy, ta wewnętrzna rozbieżność psychiki polskiej a żydowskiej, którą dostatecznie naówczas uświadamiał sobie mój ojciec, wzdragając się aprobować wyjazdu mojego do Lwowa, a której ja wtedy nie rozumiałem, będąc, jak wielu krakowian jest aż po dziś dzień, w tym względzie „daltonistą".

W otoczeniu Sienkiewicza różne tedy i sprzeczne ze sobą ścierały się wpływy: dominował pozornie wpływ Askenazego, co niby ambasador ościennej jakiejś a obcej potencji zamieszkał zrazu w najbliższym sąsiedztwie mistrza. Widywałem ich razem: długą, zgarbioną sylwetkę Askenazego, niespokojniejszego w tym okresie wojennym niż kiedykolwiek, obładowanego gazetami, tryskającego wiadomościami, renomującego znajomościami. Odbijało od tego ahaswerycznego niepokoju olimpijskie dostojeństwo Sienkiewicza. Pamiętam jednak wspólnie z nimi spożyty podwieczorek, gdzie Sienkiewicza w towarzystwie Askenazego widocznie „puszczały nerwy".

Ale była to jedna tylko strona medalu veveyskiego. Do Sienkiewicza bowiem miewali dostęp i ludzie innych poglądów czy „orientacji". Pamiętam znowu — a nieco tu „antycypuję" wypadki — w przeddzień wilii, jeśli dokładnie datuję, 1915 r., wieczerzę w Vevey, gdzie wokół autora „Quo Vadis", obok domowników: żony i Osuchowskiego, zebrali się dla odmiany przybysze z różnych stron Europy, więc Dmowski i Konstanty Plater, świeżo przybyli z Petrogradu, więc Alma Tadema z Londynu, więc Władysław Skrzyński z Berna i w końcu piszący te słowa.

*

Ale punkt ciężkości działań emigracyjnych przesuwał się już stopniowo z Vevey do Lozanny. Stało się to w ciągu pierwszego półrocza mojego pobytu w Szwajcarii i rozstrzygnęło zarówno o przeniesieniu

po prof. 17.8.39

się moim do tego miasta, jak o pozostaniu w nim na stałe do końca wojny.

Nim jednak z kolei przystąpię do scharakteryzowania tego środowiska emigracyjnego, zaznaczyć muszę, że zanim się ono wytworzyło, gdzie indziej już też, jak to napomknąłem zresztą wyżej, skupiały się luźne zespoły emigracyjne.

I tak starą tradycję polską miał za sobą Fryburg, tradycję uniwersytecką i religijną — w nim rozpoczęto teraz natychmiast działalność propagandową, wspartą o zmysł organizacyjny Erazma Piltza i o erudycję miejscowych profesorów — że wspomnę tu Tadeusza Estreichera; miał — dalej — Zurych z pobliskim Rapperswilem i miała w końcu gościnna zawsze dla wszelakich uciśnionych i rewolucjonistów Genewa.

Ale za tych dni „wielkiej wojny" Lozanna pobiła dotychczasowe polsko-szwajcarskie rekordy emigracyjne. Skupiła ona w swoich murach barwną mozaikę wszelakich „orientacji" polskich, od tych żywiołów począwszy, co potem wytworzyły „Polski Komitet Narodowy" w Paryżu, aż do najskrajniejszej lewicy.

Nie od razu wszakże „Kraków zbudowano". Z pierwszych czasów pobytu mojego w Lozannie — gdzieś w lecie czy jesieni 1915 r. — pamiętam zaledwie jedną formację emigracyjną o charakterze propagandowym, tzw. „La Pologne et la guerre", gdzie pod przewodnictwem późniejszego premiera Kucharzewskiego, a z udziałem kilkunastu innych uczonych, artystów, księży itd., kładziono pierwsze podwaliny pracy propagandowej w Szwajcarii. Wszedłem i ja w kontakt z tym kołem ludzi, ceniąc wysoko prawość ich przywódcy Jana Kucharzewskiego, ale pierwszy ten okres działalności mojej na emigracji, może dlatego że mnie dręczyła niepewność dalszej przyszłości, alternatywa: czy wracać do kraju, czy pozostać w Szwajcarii — dał nikłe stosunkowo rezultaty (obszerna, ukończona

wtedy i częściowo przetłumaczona na język francuski praca o cywilizacji polskiej pozostała dotychczas w rękopisie).

Trwalsze kontury akcji naszej propagandowej rysować się poczęły dopiero gdzieś pod jesień 1915 r., a na dobre dopiero z przybyciem Romana Dmowskiego do Lozanny.

Nie jestem członkiem stronnictwa „demokratyczno-narodowego" (dziś „narodowego"), losy jednak tak zdarzyły, że dwukrotnie: w latach 1915-18 i później: od przedednia zamachu majowego aż do doby dzisiejszej pozostawałem z nim w bliskich stosunkach. Dziwnym to wydawać by się mogło komuś, kto wie, jak dalece urodzeniem i wychowaniem związany byłem z partią krakowską, kto wie — z drugiej strony — jak dalece ta partia stronnictwu demokratyczno-narodowemu się przeciwstawiała: toteż dwukrotną tę moją ewolucję niechętni z reguły przypisywali wrodzonemu duchowi przeczenia, *esprit de contradiction.* Sądzę jednak, że kto uważnie przeczytać raczył część pierwszą tych notatek, ten już rozumie, jakie negatywne powody skłoniły mnie w tym okresie do — jak się to mawia — „przejścia na podwórko endeckie".

Ale były i powody pozytywne. Nie zapisałem się do stronnictwa „demokratyczno-narodowego" głównie dlatego, że kiedy się pierwszy raz z nim zetknąłem, stało ono jeszcze w całej pełni pod znakiem konspiracji: w tym więc punkcie dochowałem wierności właściwym zasadom starego stronnictwa krakowskiego i po dziś dzień się im nie sprzeniewierzyłem. Ale choć nie wpisany do kadrów stronnictwa, zrozumiałem od razu naczelną zasługę jego przywódcy Romana Dmowskiego i dla zasługi tej jego pełen jestem uznania.

Wielkie problemy dziejowe wymagają ludzi, aby je odświeżali, ożywiali i trzymali ciągle przytomne narodowi. Wielki problem stosunków polsko-niemieckich,

żywy od prawie tysiąclecia, zatarł się był nieco w świadomości współczesnych właśnie w przededniu „wielkiej wojny“. Trzy się na to złożyły momenty dziejowe: raz — naturalne, ale i sztuczne, rozrośnięcie się frontu antyrosyjskiego, sztucznie właśnie poddymane przez Germanów, ale naturalne — ze względu na zachłanność i brutalność Rosji, ze względu na wielki obszar Polski przez nią zagarnięty, ze względu wreszcie na stosowane przez nią wschodnie metody korupcji i deprawacji. Innym momentem było to, że choć srożył się ucisk pruski, łagodniejsza, ale germańska także, dłoń austriacka asymilowała niektóre mentalności, hołubiła niektóre charaktery. Ostatnim momentem było wreszcie, że, jak nadmieniłem już w rozdziale pierwszym, potężny współczynnik życia polskiego, żydowski, opowiedział się w całości za wyłącznością frontu antyrosyjskiego.

Dmowski — a ta jego zasługa w dużej mierze bywa przemilczana, jak w ogóle zasługi tych, co nie cieszą się poparciem krzykliwej reklamy żydowskiej („*ohne Juden keine Unsterblichkeit*“ — powiada Schopenhauer), zwrócił ponownie oczy narodu na problem zachłanności niemieckiej: manifestacja grunwaldzka Paderewskiego jest z roku 1910, ale „Niemcy, Rosja i Polska“ datowane są rokiem 1908.

Dmowskiego poznałem w Paryżu tegoż roku 1908, ale teraźniejsze z nim spotkanie pouczyło mnie o tym, że w mózgu jego nowe klarują się zagadnienia. Jechaliśmy razem pociągiem z Lozanny do Solury — o czym jeszcze niżej — i w pierwszej tej naszej intymniejszej rozmowie padły słowa, które po latach dwudziestu osobliwego w moich oczach nabrały dźwięku i waloru. Dmowski przedstawił mi już wtedy (grudzień 1915 r.) wojenne fronty europejskie jako plan pierwszy, za którym kryje się inna, zgoła odmienna kondygnacja, mówił mi sporo już wtedy o sprzecznych ze sobą pozornie matactwach „Wielkiego Wschodu“ i „Wielkiej

Loży", nie pomnę tylko, czy już wtedy dopowiedział słowo o trzeciej, zakulisowej kondygnacji: żydowskiej.

*

Miesiące zimowe roku 1915/16 przyniosły tedy wybitne zmiany na tworzącym się „froncie" lozańskim. Objawem tych zmian stała się — po pierwsze — koordynacja zabiegów propagandowych, dotychczas luźnych i rozproszonych; po drugie — wytworzenie się na gruncie szwajcarskim niebywałego dotąd kontaktu pomiędzy obu emigracjami: zachodnią i wschodnią a krajem i — nareszcie — towarzyszące tamtym zjawiskom zaostrzenie się sprzecznych konturów „orientacyjnych" myśli emigracyjnej polskiej.

Zacznę od koordynacji wewnętrznej. Już od dłuższego czasu — jak wspominałem o tym wyżej — gromadziły się nad Lemanem (może przypadkowo, ale w tej przypadkowości „była metoda") jednostki, które dzięki swojej przeszłości politycznej i swojej rutynie organizacyjnej predestynowane były do tego, żeby w oderwaniu od kraju wytworzyć centrum na kraj oddziaływające. Znalazł się tu więc najpierw i przede wszystkim Erazm Piltz, zasłużony i doświadczony „leader" konserwatystów z „Kongresówki", namiętnie zwalczany przez lewicę naszą z powodu poglądów swoich rzekomo rusofilskich, wytrawny z uzdolnień organizator i rzutki dziennikarz, którego talenty publicystyczne najpełniej zrealizowały się swojego czasu w „Kraju" petersburskim.

Z innych stron, z innego pokolenia, z innymi metodami przybywał Marian Seyda, późniejszy nasz minister spraw zagranicznych, Poznańczyk twardy i nieustępliwy, którego psychika była wówczas dla mnie prawdziwym odpoczynkiem po znanych metodach galicyjskich. Pamiętam pierwszy z nim bodaj spacer nad brzegami jeziora, kiedy czułem się jeszcze moralnie

znużony półroczem owym, spędzonym w murach „twierdzy", gdzie taki panował chaos myślowy i tak ustawicznie nastawiały się orientacje „równolegle do ruchu trenów". Seyda — i to była jego niedoceniana znowu dzisiaj zasługa — przynosił na emigrację powiew słynnej tężyzny poznańskiej, zaprawionej w tyluletnim boju z najbardziej konsekwentnym i najbezwzględniejszym z najeźdźców, przynosił autentyczne „nastawienie" całej naszej dzielnicy zachodniej, tak bardzo niedoceniane czy bagatelizowane przez polityków N. K. N-owych, przynosił wreszcie sympatyczne wtedy dla mnie zacięcie: *nous les aurons*[1]).

Jeżeli wszakże wyraziłem się, że w tym kupieniu się na wolnej ziemi Tella żywiołów politycznie wyrobionych była metoda, to metoda ta przyświecała już niewątpliwie stronnictwu „demokratyczno - narodowemu". Jeszcze bowiem na długo przed przyjazdem Dmowskiego wytworzyło się nad Lemanem *noyau* tego stronnictwa. W Lozannie, w „pension Sainte-Luce", zamieszkał „wyobcowany" z Małopolski i Wiednia Aleksander Skarbek, a niebawem sprowadził się również do tego miasta przyjaciel jego, „krajan" i współstronnik, śp. — także — Jan Rozwadowski.

Skarbka na terenie małopolskim nie znałem. Ale ewolucja jego lozańska, której w ciągu lat dwóch (wrócił do kraju już w roku 1917) byłem nieustannym świadkiem, pouczyła mnie, jak dalece w tyglu „upalenia" wojennego zdolne są wypalać się szlachetniejsze

[1]) Pamiętam — z opowiadań Seydy jako niedawnego redaktora „Kuriera Poznańskiego" — wzmianki o bojach jego z pruską cenzurą, jakżeż na ogół odmienne od tego, co widywałem w mojej dzielnicy. Kiedy np. cenzor zarzucił Seydzie, iż w poczytnym jego piśmie nie dosyć uwypuklają komentarze redakcyjne wagę zwycięstw niemieckich, „Kurier" ograniczył się odtąd do zamieszczania samego tylko tekstu biuletynów wojennych lub cytatów z pism urzędowych. Gdy zaś — skądinąd — użalał się cenzor, że redakcja nie znajduje wiernopoddańczych słów, pisząc o cesarzu, „cesarz — jak się do mnie Seyda wyraził — odtąd dla nas umarł".

pierwiastki duszy ludzkiej, jak z nich opada żużel nędznych, przelotnych, ziemskich namiętności. Powtarzam: nie wiem, jakim był Skarbek w kraju, jak wyglądał bilans politycznych zasług jego i błędów, ale że widywałem go stale na emigracji i że darzył mnie pomimo różnicy wieku swoją cenną dla mnie przyjaźnią, pragnę tu dać świadectwo temu, czym był na wygnaniu.

Nie był to już ten szykowny hrabia, którego widywało się przed wojną w lwowskim „Imperialu", może trochę galicyjski, może trochę wiedeński. W tej „pension Sainte-Luce", której mury kilkadziesiąt już lat temu słuchały zapewne westchnień innych emigrantów polskich[1]), wiódł wysadzony z siodła polityk żywot samotnika. Rycerski w postawie i geście moralnym, rozpamiętywał z cicha, sam i z przyjaciółmi, wypadki, które go doprowadziły na to „zesłanie", wypadki, w których był aktorem i ofiarą, czyny, którym przyświecała pewna wyraźna doktryna, wśród których trafiać się mogły zapewne błędy taktyczne, ale których z pewnością nie kalała skaza charakteru. Dzisiaj, kiedy w chwili słów tych pisania uprzytomniam sobie, jak wygląda obecna Polska, ile na grunt odzyskanej cudem niepodległości naniosło tych lat kilkanaście brzydkich żądz władzy, dostatku i używania, odpoczynkiem staje się dla mnie myślowym postać Skarbka, tego ze „Sainte-Luce", tego późnego emigranta w dobrym polskim stylu. Sam bowiem byłem wtedy „wrzący, zacięty", pełen ambicji, pełen chęci odegrania dużej roli, agresywny i polemiczny. Tutaj zaś — w osobie Skarbka — miałem do czynienia z kimś, który wyszedł był właśnie z bitwy politycznej, w którym tliła jeszcze na pewno ambicja, ale który w myśl haseł wyższych niż zadowolenie „ja" osobistego czy nawet „ponad — ja" partyjnego, umiał znajdywać w stosunku do przeciwników

---

[1]) Tam właśnie mieszkali Orpiszewscy i tam zapewne odwiedzał ich Mickiewicz.

politycznych — żyją niektórzy, więc zaświadczyć mi mogą — słowa pojednania, w których nic nie było z kompromisu zasad, a wiele z najwyższej mądrości ludzkiej, mądrości serca.

Nie przychodziło to Skarbkowi łatwo: męczył się więcej od któregokolwiek z nas w oderwaniu od kraju, bił z wątpliwościami, ale wytrwał aż do chwili, gdy z odwagą i zaparciem się siebie uznał za możliwy powrót swój do Polski. Było to, jak już wzmiankowałem, w lecie 1917 r.: na Wielkanoc bodajże tego roku namawiałem go, potomka muzykalnego na wskroś rodu, tak blisko związanego z Szopenem, aby poszedł ze mną do katedry posłuchać chorałów protestanckich: „Nie mam na to, mój drogi, nerwów" — odrzekł; odczułem wtedy, jak bardzo cierpiał, i więcej w nim jeszcze pokochałem niezawodnego, wypróbowanego przyjaciela.

*

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, gdy Piltz, który zawsze pełną miał głowę pomysłów organizacyjnych, zaproponował nam kilku utworzenie z lekka zakonspirowanej „szóstki" (dziw, jak ów „leader" konserwatystów gustował w konspiracyjnych metodach) dla — jak się zbyt może patetycznie wyrażał — nadawania kierunku politycznego całej naszej pracy propagandowej na tej emigracji. Nie wiem już, kiedy to było, ale za to pamiętam owe zebrania, odbywające się nie najrzadziej w nowym mieszkaniu moim w Ouchy pod Lozanną, w istniejącej jeszcze bodaj, choć już inaczej nazwanej „Villa Florence" przy Avenue des Tilleuls. Przychodził więc na nie Piltz-inicjator, tajemniczy nieraz, lubujący się w grach i rozgrywkach niby parlamentarnych (on, co w żadnym parlamencie nie zasiadał), skłonny do niespodziewanych nawet czasem kompromisów. Nie przychodził Skarbek, rezerwujący swoje „dziewictwo" w stosunku do polityki emigracyjnej,

z myślą zawsze napiętą w kierunku powrotu do kraju i dalszej tam działalności. Brali za to udział w naradach naszej „szóstki“ dwaj jego partyjni komilitonowie: Seyda i Rozwadowski.

Zaraz też na tle pierwszej tej wspólnej naszej wymiany myśli uwydatniła się pomiędzy nami różnica metod: Piltz, który uchodził za „rusofila“, gdyż wyznawał teorię może nazbyt prostolinijną, że jeszcze nie zdarzyło się w grze (politycznej) — cytował tu przykład z brydża — ażeby jeden z dwóch równocześnie współgrających partnerów — wygrał (Ententa zachodnia), a przegrał drugi (Rosja), liczył się jednak mocno z przewagami państw centralnych, z gruntowaniem się ich wpływu na życie realne terytoriów okupowanych, z refleksami tego wszystkiego na nastroje emigracji. Seyda i Rozwadowski — przeciwnie — reprezentowali w tym gronie jak najbardziej integralne angażowanie się za „Ententą“ zachodnią (czynił to i Piltz, mający już wtedy ścisłe kontakty francuskie, np. z merem Lugdunu, dobrze później znanym Herriotem), *mais c'est le ton qui faisait la chanson*, i do kogoś, który przybywał z Krakowa, mając duszę wymaglowaną „ruchem trenów“ i stosownie do nich — jak się wyżej rzekło — układającymi się orientacjami, przemawiała wtedy raczej metoda „endecka“, szorstka i bezwzględna, jak u Seydy, przeniknięta może czasem u gorąco kąpanego Rozwadowskiego — jak mu to zarzucali przeciwnicy — „sekciarstwem partyjnym“, ale prosta, szczera, otwarta. *Nous les aurons* — oto było hasło „skrajnych“, ciągle się powtarzające w tych rozważaniach.

Nic też dziwnego, że w naszej „szóstce“ zaraz wytworzyły się dwa jakoby skrzydła: jedno — „prawicowe“ — bo umiarkowańsze w sposobach angażowania się, manifestowania, propagandy, do którego oprócz Piltza należało dwóch jeszcze współemigrantów naszych: jeden — z dawna już w Szwajcarii osiadły, a od

czasu niepodległości, „żelazny“ nasz ambasador przy Radzie Związkowej, żonaty z uroczą Szwajcarką, baronówną Diesbach, Jan Modzelewski; drugi — przybyły z Poznańskiego i wraz ze Seydą przedstawiający na emigracji „ententowo“ usposobione sfery wielkopolskie, dzisiejszy prezes tamtejszego „Związku Ziemian“, Jan Żółtowski. Nie potrzebuję dodawać, że przy całym uznaniu dla rozumu Piltza sympatie moje skierowały mnie na skrzydło „lewe“, tak iż pan Erazm — czas jakiś — przemyśliwał nawet podobno o fikcyjnym rozwiązaniu owej „szóstki“ i natychmiastowym jej z powrotem zawiązaniu, przy zastąpieniu tylko mojej osoby — niechętnym zresztą względem takiej kombinacji — Skarbkiem.

*

Na to jednak, by te „rodaków rozmowy“ nie stały się jedynie „potępieńczymi swarami“ i wykroczyły poza ramy emigracyjnych rozhoworów — potrzeba było, żeby nasza tendencja wytworzenia w Szwajcarii swobodnego ośrodka, komunikującego się zarówno z krajem jak i z „Ententą“ zachodnią, przybrała realne i określone na zewnątrz kształty. Pierwszym wyrazem takiej „realizacji“ stało się też — gdzieś na przełomie lat 1915 i 1916 — założenie w Lozannie polskiej „Centralnej Agencji Prasowej“ z niewątpliwego pomysłu Erazma Piltza, ale w wykonaniu przede wszystkim Mariana Seydy.

I zaraz także uwydatniła się w poczynaniach tych tendencja druga, aby nie powtarzać błędu, który był błędem dawniejszych emigracji, aby nie zawisnąć, jak tamte, w bolesnej i jałowej od kraju izolacji. Umożliwiła ten kontakt przede wszystkim sprężysta wtedy organizacja stronnictwa „demokratyczno-narodowego“, umożliwiła jego konspiracja, która — cokolwiek się później na tych stronach wypisze zasadniczo antykon-

spiracyjnego — w owym burzliwym czasie niezaprzeczone oddała usługi.

Zaczęło się od zjazdu w Solurze. Aż dziwić się przychodzi, że czujni na ogół i rygorystycznie usposobieni Niemcy zdecydowali się wypuścić w momencie, gdy Dmowski już był w Szwajcarii, jakby na sam jego przyjazd (a wiedzieć o nim przy legionach swoich szpiegów dobrze musieli) — osobę politycznie tak znaczną, jak p. Władysław Seyda, pełniący wówczas obowiązki prezesa berlińskiego Koła Polskiego w zastępstwie ks. Ferdynanda Radziwiłła, internowanego chwilowo w Rosji. Musiało się do tego chyba przyczynić przeoczenie jakoweś psychologiczne z ich strony, w których tyle obfitowała historia wojny, ale dzięki któremu zyskaliśmy sposobność po raz pierwszy bodaj od początku konfliktu nawiązać tak cenny kontakt polityczny.

Na tle tedy murów kościuszkowskiej Solury, spowitej niby ad hoc w „konspiracyjne" zasłony mgły zimowej, spotkaliśmy się w końcu grudnia 1915 r. z prezesem Seydą. Był wśród nas Dmowski z towarzyszem swoim Platerem, był Seyda Marian, Rozwadowski i nawet Skarbek. W długich rozmowach, rozpoczętych następnego ranka po przyjeździe, jęliśmy po kolei stosować względem wysłańca berlińskiego po raz pierwszy tę propagandę, która tylokrotnie jeszcze później rozświetlać miała wątpliwości przybyszów i emisariuszów z kraju. Przemawiał Dmowski, jasną swoją i mocną logiką trafiać umiejący do mózgu polityka wielkopolskiego, co całym sercem sprzyjał naszej koncepcji wojny, ale przyjeżdżał przecie z kraju zwycięskiej okupacji, wrogiej propagandy i bynajmniej nie sporadycznych załamań we własnym społeczeństwie. Pierwszy też raz po tak niedawnym wzięciu Warszawy usłyszał Seyda z ust Dmowskiego program na przyszłość, program już ani w uncji „rusofilski" — uskarżał się Dmowski w wyczerpującym swoim wywodzie na złą

wiarę, głupotę, apatię kierujących sfer rosyjskich z premierem Goremykinem na czele — program za to pełen wiary w zwycięstwo „Ententy“ zachodniej, w tak bardzo wtedy niedocenianą przez naszych polityków „centralnych“ potęgę Anglii, w owocność heroicznych wysiłków Francji i mądrych zabiegów jej dyplomacji... A potem po kolei wszyscy: synowiec prezesa i zapalny Plater, i dwaj politycy galicyjscy, i ja sam nareszcie dorzucaliśmy do tej mowy propagandowej Dmowskiego gorące słowa otuchy, wezwań do przetrwania, zobowiązań z naszej strony, że wytrwamy. Był to — sui generis, by użyć ówczesnego „żargonu“ wojennego — *bourrage de crâne*, ale pełen patosu, bo wiedzieliśmy dobrze, że to, co mówimy — niby skrzydlate słowa o rozgrywającej się na Zachodzie epopei — poleci niebawem nad Wisłę i Wartę: do pruskiego z dawna Poznania, do pruskiej chwilowo Warszawy, rozprostować może karki schylone w zwątpieniu kochanej mojej „jaczejki konspiracyjnej“ w Krakowie i tylu jej podobnych na ziemiach polskich, na szale opinii zaburzone w swej równowadze butą przewag pruskich rzuci ważkie słowo prezesa Koła, melius informati i osłabi tajną propagandę tych, których z ideą polską nic nie łączyło zaiste prócz etnograficznego sąsiedztwa.

Potem zaś wyszliśmy wraz z Dmowskim i Seydą na malownicze wały starej Solury, rozjaśnione przeświecającym poprzez mgły słońcem, gdzie mnie znów ogarnęła myśl o nieprzerwanych filiacjach emigracyjnych, o tych barzanach, co mniej szczęśliwi od naszych pokoleń przechadzali się zapewne niegdyś po tych samych „glacisach“ i „aproszach“, marząc o lepszym jutrze dla Rzeczypospolitej, którą musieli byli opuścić.

*

Ten zjazd był ważny, ale nie równał się znaczeniem ze zjazdem innym, odbytym krótko potem w Lozan-

nie. Zjazd ów, w ścisłym tego słowa znaczeniu, też o tyle nie miał charakteru trójzaborowego, że spotkali się w jego ciągu politycy emigracyjni z jednym tylko czynnym wciąż jeszcze na gruncie krajowym politykiem, ale — zarówno ze względu na jawność poniekąd swoją (o której jeszcze niżej), jak i na wzmocnioną w stosunku do Solury obsadę emigracyjną, poruszył żywo całokształt emigracji i opinię krajową.

U jego genezy — tym razem już na pewno — czaiła się krótkowzroczność austriacka. Przemyślne bowiem Andriany, Hoyosy i Ugrony z wiedeńskiego „Ballplatzu" (ministerstwa spraw zagranicznych) wyimaginowały sobie, że ks. Witold Czartoryski, spadkobierca starej tradycji patriotycznej księstwa Adamów i Jerzego, da się użyć jako odpowiednie narzędzie — capax subiectum — do nawrócenia przybyłego do Szwajcarii (i rozczarowanego do stosunków i metod rosyjskich) Dmowskiego na koncepcję austropolską. Kto wszakże choć trochę znał Dmowskiego i kto znał księcia Witolda, temu jasnym stawało się od razu, że z kontaktu świetnego mózgu autora „Niemiec, Rosji i Polski" z wypróbowanym w walkach politycznych charakterem przywódcy „Podolaków" — nic dobrego dla Austrii się nie okroi. Pomysł był machiawelski, ale — jak mawiają Francuzi — *de Machiavels au petit pied* i nic na jego dziwaczność i koślawość pomóc nie mogli aniołowie-stróże, którzy przyjechali w eskorcie księcia.

Wielki jest po dziś dzień urok nazwisk historycznych — świadczy o tym polityka personalna „sanacji" — i na mnie działał on niejednokrotnie, niestety! jednak w ciągu lat, przeżyć i studiów wyrobiło się we mnie pojęcie, do którego sprecyzowania jeszcze powrócę, że oligarchia nasza, czyli ten zespół rodów arystokratycznych, które — jak powiadał (cytowany już przeze mnie) Ulanowski — posiadają pomiędzy sobą ius connubii, skłonna bywa zbyt często z dziada pra-

dziada do uprawiania polityki „dynastycznej", z zapoznaniem czy lekceważeniem interesów innych warstw narodu, a nawet ziemiaństwa.

W Lozannie tak się jednak zdarzyło, że spotkało się tam ze sobą dwóch kuzynów wyjątkowo szlachetnych, dwóch ludzi noszących czyste i nieraz jaśniejące zasługą społeczną nazwiska rodowe: Czartoryskich i Zamoyskich. Ani księciu Witoldowi, ani przybyłemu tymczasem z Piotrogrodu hrabiemu Maurycemu Zamoyskiemu nie dane było odegrać w dziejach wznowionej naszej niepodległości roli przełomowej: jeden jako zasłużony poseł w Paryżu, drugi jako efemeryczny komisarz rządu w Krakowie wycofali się prędzej lub później pod naporem zachłannych i nie przebierających w środkach metod demokratycznych w zacisze domowe. Ale — podczas wojny — książę Witold w Galicji, hrabia Maurycy na emigracji potrafili być, każdy w zakresie stosunków swoich i możliwości, sztandarami: książę Witold—uporem w strzeżeniu swoich przekonań, prostolinijnością polskiej swojej natury, zbawiennym wreszcie „nie pozwalam" wobec serwilizmu i braku godności; hrabia Maurycy — wyczuciem subtelnym linii politycznej, pańską, senatorską iście wspaniałomyślnością, urokiem wreszcie całej swojej postaci — „byli szlachcicami i mieli prawo".

Zaszczytem więc dla mnie było, że w domu moim (jako że jedyny bodaj z emigracji politycznej rozporządzałem wtedy zacisznym a obszernym mieszkaniem) schodziło się tylu wybitnych mężów na konspiracyjne z natury rzeczy narady. Pamiętam, że zaprosiłem ich dnia pewnego na śniadanie, i dla mnie, zgaszonego jeszcze duszną atmosferą wojenno-galicyjską, rozkoszą było słuchać dialogów, w których *brio* Dmowskiego, wytrawność Piltza, zdrowy rozsądek Czartoryskiego, zmysł psychologiczny Zamoyskiego, zapał Platera i wytworność Władysława Skrzyńskiego — gdyż i on został zaproszony na to śniadanie — stwa-

rzały rzadki wśród Polaków kompleks „wielopłaszczyznowej" myśli politycznej, lśniącej się całym polorem zachodnio-europejskiej kultury.

*

Pobyt Czartoryskiego w Lozannie i jego konferencje z zastępem naszych działaczy emigracyjnych stanowiły jednak zbyt ważny moment ze względu na ich przyszłe oddziaływanie na stosunki krajowe — książę, o ile mi wiadomo, wyjechał z Lozanny przeświadczony o niechybnym zwycięstwie „Ententy" — ażeby nie wywołać reakcji po stronie czynników inaczej od nas zorientowanych.

Jeszcze więc podczas posiedzeń lozańskich — o ile sobie przypominam — dostarczono nam niewielkiej broszury, oczywiście przygotowanej wcześniej, ale nawiązującej w pewnych miejscach wyraźnie do przyjazdu Dmowskiego i Platera, godzącej w Piltza itd. itd. Styl tej broszury dla kogoś, który jak ja miewał tyle do czynienia z prozą profesora Askenazego, wskazywał nieodparcie na jego autorstwo, cała zaś broszura nosiła piętno, które pozwolę sobie krótkimi tutaj scharakteryzować słowy:

Istnieją dwa wydania tych „Uwag" — jedno wojenne, to, o którym właśnie teraz jest mowa i które da się zapewne z łatwością odnaleźć w publicznych i prywatnych bibliotekach, i drugie, powojenne (1924), znajdujące się zapewne po dziś dzień jeszcze w handlu księgarskim. Olbrzymia zaiste między dwoma tymi wydaniami zachodzi różnica. Wertując wydanie powojenne, można nieraz nie godzić się z tezami czy ujęciami Askenazego, ale czytelnik bezstronny utrwala się w przekonaniu, śledząc jego wywody, że ma do czynienia z rasowym — tym razem nie w pejoratywnym tego słowa znaczeniu — historykiem, mężem ogromnej wiedzy, erudycji i obycia.

Inna rzecz z „Uwagami“ wojennymi. I w nich Askenazy pozostaje sobą: i tu — jak później na łamach „Moniteur Polonais“ — sypie informacjami, rewelacjami, analogiami; nie o to jednak przede wszystkim mu chodzi, chodzi o tendencję, tendencję obniżania innych osób działających w wielkim dramacie dziejowym dla sprawy polskiej.

Aby tego celu dopiąć, stwarza Askenazy — dla siebie, ale i dla stanowiska, które zajmuje — fikcję jakby eksterytorialności, ponadpartyjności, neutralności; nie angażując się wyraźniej za „Ententą“, ale nie występując też ostrzej przeciwko Niemcom, radzi Polsce, aby przetrwała — na „księżycu“ niejako, jak mówi Słowacki — zawieszona pomiędzy realnymi wymaganiami okupantów a moralnymi postulatami „Ententy“, w wygodnej bierności na wszystkich polach poza wysiłkiem zbrojnym „Legionów“, które szczędzi. I aby tę tezę swoją obronić, rozprawia się autor anonimowo, ale dosadnie, nie darując sobie żadnego epitetu i nie uznając żadnej w tym obozie zasługi — z obozem Dmowskiego, z jego poplecznikami, z jego dążeniami. Szermując na zmianę cytatami z Mickiewicza, górnymi frazesami, popularnymi „ukłonami“, hoduje Askenazy w „Uwagach“ sztuczną jakby roślinę „hurrapatriotyzmu“, nic nie mającego wspólnego z polską rzeczywistością, ale zakażającą ją zatrutą wonią.

W rok po przeczytaniu „Uwag“, lecząc się po jakiejś grypie, znalazłem się przypadkowo w wielkim hotelu górskim w Villars sur Ollon. Hotel pełen był „internowanych“ jeńców wojennych, pośród których różne mieszały się narodowości. Przeważali Francuzi i Anglicy, ale trafiał się i Niemiec, chociaż ten zdejmował z reguły mundur i chadzał po cywilnemu. Wieczorem całe to towarzystwo — z żonami, rodzinami — zbierało się w hallu hotelowym. Zasiadano do brydża, do którego przygrywała orkiestra hotelowa. Zauważyłem, że przy stoliku niedaleko ode mnie zasiadło troje

Niemców: starszy pan o wyglądzie junkra i młode małżeństwo (on był zapewne „internowanym“ jeńcem wojennym). Aż tu nagle na zakończenie wieczoru orkiestra grać zaczęła marsze i melodie alianckie. Przegrano „Tipperary“ i poczęto grać „Marsyliankę“. Cała sala wstała, tylko moi trzej Niemcy siedzieli nieporuszeni przy stoliku brydżowym. Trudno im się było dziwić, niemniej cała sala zawrzała oburzeniem i docinkami. Incydent byłby się jednak na tym skończył, gdyby nie znalazł się był żyd egipski (Mr. Golo) — znałem go tylko z widzenia — który pobiegł na galerię i skłonił orkiestrę, aby zagrała jeszcze jeden hymn „ententowy“. Ta oczywiście nie kazała się o to prosić, a wtedy powtórzył się incydent poprzedni, tylko w formie o tyle ostrzejszej, że Niemcy zmuszeni byli opuścić salę. Uczynili to zresztą z godnością, defilując dumnie przed zniewagami obecnych.

Postępek Mr. Gola, rzucającego świadomie większe jeszcze zarzewie niezgody pośród przedstawicieli zwaśnionych już pomiędzy sobą narodów europejskich, dużo mi dał do myślenia. I zestawiłem go — pro foro interno — z postawą zajętą przez prof. Askenazego w pierwszych jego „Uwagach“, licytującą się w patriotyzmie polskim z tradycyjnymi i wypróbowanymi jego piastunami. Wobec bałamuctw, jakie taki *truc* budził na emigracji, zwłaszcza pośród kobiet, z natury rzeczy mniej krytycznych, bo kierujących się sentymentem, postanowiłem profesorowi dać replikę.

Zaczęło właśnie wychodzić w Lozannie czasopismo, stworzone wytrwałym trudem Mariana Seydy, do którego zaś powstania i ja się przyczyniłem, dostarczając mu mianowicie nazwy przeznaczonej przed wojną — jak była o tym wyżej mowa — dla mającego wychodzić pod moją redakcją w Krakowie czasopisma: „Przegląd Polski“. Dawać ono miało emigracji, docierającym na emigrację emisariuszom krajowym, a w pewnych pomyślnych wypadkach samemu nawet bezpośrednio kra-

jowi obraz przejrzysty całokształtu spraw polskich śledzonych z niezależnego obserwatorium. Tam to — będąc od początku pisma tego współpracownikiem — umieściłem swoje „Uwagi nad Uwagami" (nieznacznie tylko wyretuszowane przez redakcję). Rzecz podpisana była pseudonimem, ale na wąskim z natury rzeczy „podwórku" emigracyjnym rozniosło się od razu, kto repliki rzeczonej jest autorem. Wątpliwości mieć nie mógł przede wszystkim sam profesor, znający mój styl i ujęcie historyczne. Podobno mocno wziął sobie do serca tę polemikę, a że był mściwy („zasadą moją — powiedział raz do mnie — jest nie: ząb za ząb, ale cała szczęka za ząb"), więc sądzę, że nieraz jeszcze dane mi było poczuć na sobie jego „karcącą prawicę".

*

Doszedłem tak w opowiadaniu moim do wiosny mniej więcej 1916 r., a że kraj opuściłem zeszłą, późną wiosną, przeto myślę, że nie od rzeczy będzie nakreślić w tym miejscu czytelnikom w najszerszych konturach obraz fizjonomii naszej emigracji.

Stanę w tym celu na lozańskim placu St. François, który był niejako centrem idealnym całej tej emigracji, bo na nim i z niego, jak w ogóle z tej *plaque tournante* kolei szwajcarskich, jaką jest Lozanna, schodziły się poniekąd i rozchodziły awiza i impulsy, idące via Berno i Zurych w stronę i ze strony kraju, a via Genewę, Brigue i Vallorbe w stronę i ze strony zachodu. Na wylocie tego placu, tak zwanego od starożytnego kościoła, sięgającego jeszcze czasów, gdy Lozanna była miastem cesarskim, wznosił się za czasów moich „Hôtel Gibbon", upamiętniający w swojej nazwie pobyt w tych stronach wielkiego historyka Rzymu, od hotelu zaś tego stromym ku jezioru spadkiem schodziła uliczka Petit-Chêne, sięgająca nowoczesnego dworca.

W tej to okolicy, tętniącej ruchem napęczniałego w czasie wojny miasteczka, koncentrowało się najbujniej życie polskie. Na rogu Petit-Chêne i rue du Midi znalazły siedzibę biura „Polskiej Ajencji Centralnej", w „Gibbonie" zaś umieścił się „Klub Polski".

Na tle też tych starych, a dzisiaj nie istniejących już murów hotelowych „umiejscowić" mogę najłatwiej życie potoczne emigracji polskiej. Pracowało się w domu lub biurze, ale tu spotykało się ze swoimi. W kilku pokojach, wynajętych i zagospodarowanych przez mojego kolegę z Monachium i Paryża, Leonarda Glabisza, toczyły się dyskusje, wymieniały się informacje, załatwiały sprawy bieżące.

Oto odbywa się posiedzenie „klubu". Nic ono nie ma w sobie z nastrojów „klubizmu" francuskiego czy późniejszych „klubów" warszawskich. Ale dla tych długoletnich emigrantów, spragnionych wiadomości o kraju i czekających wraz z nim „jutrzenki swobody", bywa nastrój tych zebrań uroczysty, nieraz podniosły. Prawdziwie — jak w owej alegorii starego emigranta, cytowanej w motcie tego rozdziału — „głosu (Polski) słuchamy pilnie i, o ile rozumiemy, powtarzamy go towarzyszom wygnania".

Wokół podium ~~chwilowego~~ prelegenta zgromadził się cały sztab „Ajencji". Jest więc Seyda, jest Rozwadowski, który mieszka w Lozannie z całą rodziną, przychodzi czasem Skarbek. Są dalej „prorocy mniejsi", inni współpracownicy „Ajencji", więc Stefan Natanson, zawsze lojalny w stosunkach osobistych dyrektor jej biura; Ślązak Stanisław Filasiewicz, zasłużony wydawca jej „dyplomatariusza"; Stanisław Kobyliński, gorliwy prekursor powojennego antysemityzmu; młodociany wreszcie, a „robotny" i ambitny, i „wygluzowany" z kraju wraz ze Skarbkiem, również na tle rozwiązania „Legionu Wschodniego", Aleksander Ładoś, późniejszy poseł nasz w Rydze. Z tego też naszego „ajencyjnego" koła rekrutują się główni prelegenci.

Zebranie zagaja Jan Perłowski, późniejszy nasz poseł na Półwyspie Iberyjskim, w Lozannie zaś — prezes „Klubu“ i prezes zarazem rady nadzorczej „Ajencji“. Wytworna jego sylwetka, której odpowiada zawsze kulturalny akcent jego przemówień, dominuje nad natłoczoną salą. Różnobarwny to zespół: dużo pań, które wojna zastała tu przeważnie na wywczasach letnich lub kuracji; sporo starszych panów, co na tej skale szwajcarskiej zatrzymali swój skołatany wybuchem wojny korab życiowy; garstka studiującej młodzieży[1]).

Żeby jednak ogarnąć całokształt emigracji lozańskiej, trzeba nam przekroczyć mury „Gibbonu“ i przeprowadzić idealną znowu fuzję pomiędzy ekskluzywniejszym przybytkiem „klubowym“ a mieszczącym się w innej stronie miasta, bardziej eklektycznym, funkcjonującym pod moim przewodnictwem „Domem Polskim“.

Na tym bowiem terenie spotykają się ze sobą wszelkie już zabarwienia emigracyjne, gama odcieni od prawicy do lewicy, odmienne się też, kontradyktoryjne nieraz toczą po referatach dyskusje. Jesteśmy tu w zarządzie, ale i „La Pologne et la guerre“ współżyje z nami. Nieczęsto pojawia się Kucharzewski, ten już domator, jakim później znaliśmy go w Warszawie; częściej widujemy jego „adiutantów“ — w pierwszym rzędzie Ludwika Janowskiego, przedwcześnie zmarłego historyka szkolnictwa na Litwie i Rusi, może trochę wschodniego w swojej mentalności, ale szczeropolskiego w patriotycznym swoim entuzjazmie. Obok niego wyróżnia się szlachetna sylweta Bronisława Pił-

---

[1]) Dobrze się będzie rozejrzeć i po tym „Katzentischu“. W Lozannie bowiem — tak się już wydarzyło — każdy z nas omal w „ruksaku“ swoim emigranckim nosił pióropusz dyplomaty. Więc i pośród tej młodzieży klubowej siedzi dwóch przyszłych ambasadorów: Lipski i Romer, a dalej przyszły poseł Hołyński i — *last but not least* — kochany mój przyjaciel, „Pawełek“ Kucharski, filozof, który nie dał się znarowić dyplomacji i pozostał wierny nauce.

sudskiego, brata marszałka, uczonego etnologa, ujmującego prostotą i otwartością weredyka. Przypomina mi się, jak śp. Bronisław wybrał się raz do Vevey i zastał tam w otoczeniu Sienkiewicza „polityczkę“ emigracyjną, która mocno nie trafiła mu do gustu, poddymaną zapewne przez Askenazego, ale realizowaną przez zasłużonego skądinąd, lecz na codzień podobno nieznośnego mecenasa Osuchowskiego. Toteż wybuchnął niebawem krewki nasz uczony: „Panie mecenasie — wypalił śpiewnym swoim, litewskim akcentem — co do mnie, to jestem zdania, że rzeczą młodych jest walczyć, mężów — radzić, a starców — modlić się“. Ten ostatni argument był ad hominem.

„La Pologne et la guerre“ dostarczała emigracji i jej propagandzie innych jeszcze pisarzy, artystów itd. Z artystów — osiedli tutaj Jan Rosen, Henryk Pstrokoński, Eugeniusz Dąbrowa i i.; pomagali oni talentem swoim w wyposażaniu szaty zewnętrznej wydawnictw, jak piórem znów pomagali Henryk Józef Sienkiewicz, X. Wacław Tworkowski, i i. Morges — Riond — Bosson stało już wtedy pustką: jedynym dla nas genius loci pozostał tam w nieobecności Paderewskiego najmilszy Henryk Opieński.

Więc znowu niechaj wolno mi będzie otworzyć zebranie! Wykroczę poza ciąg chronologiczny tego opowiadania, w burzliwą dobę po manifeście dwójcesarskim 5 listopada. Sala znów pełna, gdyż o znaczeniu manifestu tego będzie mówił berneński delegat N. K. N-u, dr Karol Bader, późniejszy poseł nasz w Wiedniu. Mam pewne trudności, przewodnicząc, w utrzymaniu sporów na wodzy, gdyż, jak wkrótce zobaczymy, atmosfera emigracyjna była w tym czasie najbardziej przeładowana elektrycznością. Argumenty p. Badera nie bardzo trafiają audytorium do przekonania, jakkolwiek pośród pań, a zwłaszcza „paniuś“, zakorzeniło się już gdzieniegdzie przekonanie, że po enuncjacji Beselero-Kukowej „będzie Polska, co mó-

wię: jest już Polska". I z naszej strony padają ważkie, a nieraz namiętne kontrargumenty. Achillesem w tej polemice bywa zwłaszcza kochany mój przyjaciel Leszek Malczewski, szlachcic jak z gawędy Pola, gorąco kąpany, zadzierzysty, pełen uroku „sejmikowicz". Nagle ktoś inny o głos mnie prosi: wstaje postać jak z powieści Dostojewskiego, jeden z typowych przedwojennych emigrantów rosyjskich, którzy gdzieś pochowali się byli tymczasem po swoich spelunkach, a na ulicę szwajcarską na dobre wylegli dopiero po wybuchu rewolucji 1917 r. Nazywa się Feliks Kon (to jeden z przyszłych, lecz niedoszłych w roku 1920 władców Polski w razie zwycięstwa bolszewickiego). Mówi czystą polszczyzną i — co dziwniejsza — mówi całkiem do rzeczy, co prawda w pre-wilsonowskim duchu, ale subtelnie wykazując cały nierozsądek listopado-beselerowskiej koncepcji, tego paktu wilka z jagnięciem, tego sojuszu uzbrojonego od stóp do głów Krzyżaka z „mięsem armatnim" byłej Kongresówki. Toteż dwójgłos Bader-Kon kończy się wyraźną dialektyczną przewagą przyszłej Bolszewii nad „bywszą" asymilacją.

Kontakt z krajem — jak się już rzekło wyżej — (nie mówiąc o innych emigracjach: zachodnio-ententowej i wschodniej) podtrzymywać było naszym najwyższym staraniem, ułatwianym momentami, o których też już wyżej była mowa. Nie zasługiwaliśmy więc na zarzut częstokroć a tendencyjnie nam stawiany, że podobnie jak emigracje inne, izolowani byliśmy od kraju.

Ileż bowiem jeszcze razy ponowiła się scena opisywana wyżej na tle murów Solury: emisariusz czy emisariuszka, dyktujący nam poglądy i zlecenia kraju (najczęściej warszawskiego „Koła Międzypartyjnego" lub „Koła Polskiego" w Berlinie), my zaś wsłuchani w ten wywód i notujący pilnie jego szczegóły, po czym — na zmianę — my podający nasze informacje, dezyderaty, uwagi, a gość nasz zapisujący je, by je potem utrwalić na dobre w swojej pamięci. Robota wrzała, gdy nad

Lemanem zjawił się taki fenomen pamięciowy, jak śp. Zofia Sokolnicka, która jak najwierniejszy dysk gramofonowy zdawała nam relację krajową wyuczoną w najściślejszych detalach w Poznaniu, potem zaś w ciągu kuracji, która była pretekstem tych jej ryzykownych wypraw, magazynowała z kolei w mózgu nasz materiał.

Albowiem wysłańców tych „oficjalnych" czy przygodnych bywało stosunkowo dużo. Jedni wpadali „jak po ogień": pamiętam tak jedno popołudnie niedzielne, spędzone w kilku, w jakiejś ustronnej izdebce lozańskiej, z wracającym do kraju ks. Arkadiuszem Lisieckim, późniejszym biskupem śląskim. Inni nie ryzykowali przyjazdu do Łozanny, jak to jednak uczynił zacny śp. Antoni Rostworowski lub śp. ks. Eustachy Jełowicki, zaufany księcia-biskupa Sapiehy. Trzeba się było wówczas wyprawiać w góry, nieraz odległe, do jakichś Davosów czy Zermattów, gdzie wszędzie leczyli się Polacy, badać wysłańca czy przyjezdnego na miejscu, a po „zdjęciu z niego protokółu" „nafaszerować" go ze swojej strony wiadomościami i otuchą. Pośród tych emisariuszy „oficjalnych" prym zawsze liczebnością — na przekór rygorom pruskim — trzymała Wielkopolska i dzielnice przyległe: przodował w tym względzie śp. Władysław Grabski z Kurcewa, nieustraszony a wypróbowany przykład ówczesnej dyscypliny swojego stronnictwa, sekundowali mu zaś: śp. Leon Grabski, Kazimierz Hacia, Wojciech Lipski, Stefan Łaszewski, Andrzej Mielęcki i i.

Osobną kartę wśród tych przyjazdów z zaboru pruskiego stanowiły „eskapady" mojego kochanego kuzyna, Franciszka Morawskiego. Znakomity ten publicysta najosobliwszą chyba podczas wojny przebył ewolucję. Z parlamentarzysty dobrze widzianego przez dwór berliński (od czasów Kościelskiego pierwszym był Polakiem, który doczekał się mianowania członkiem pruskiej izby panów przez cesarza), przerzucił się w cia-

gu wojny potajemnie na stronę „ententową" i sam widziałem po wojnie u niego w Paryżu dyplom „Legii honorowej" z wzmianką o zasługach jego dla Francji: *„avant la guerre, pendant la guerre et après la guerre"*. Co do tych zasług jego „podczas wojny", to mam nadzieję, że padnie na nie kiedyś światło historyczne przede wszystkim z kompetentnej strony francuskiej; dzisiaj wszakże istnieją już w literaturze wojennej niektóre ciekawe, ale pośrednie tylko i zgoła niewystarczające o nich wersje.

Przyjazdów z innych dzielnic bywało stosunkowo mniej i mniej ważnych[1]) — wliczyć tu nie mogę dosyć gęsto napływających na terytorium szwajcarskie „aktywistów" wszelakiego pokroju[2]). Za to żywy był kontakt z emigracją zachodnio-ententową, a zwłaszcza rosyjską. Kolejno na terenie lozańskim zjawiać się poczynali działacze z tamtych stron: b. członkowie petersburskiej Rady Państwa, jak Milewski, Orłowski, Skirmuntt, czy młodsi, jak Marian Lutosławski[3]).

Z Hipolitem Milewskim i Ksawerym Orłowskim utrzymywałem bliższe nieco stosunki. Pierwszy z nich to był niewątpliwie „ktoś", ale bardzo już przeszłowieczny, żubr kresowy, pełen jadu — „woreczkiem żółciowym" zwano go podobno za młodu w Wilnie lub

---

1) Dla całości wspomnę tu jeszcze o pobycie — pod koniec wojny w Vevey — ks. Eustachego Sapiehy oraz o kilku dojazdach do sympatycznego swojego siostrzeńca genewskiego, intelektualisty Zanelli, wspomnianego już wyżej architekta Stryjeńskiego.

2) Mieli oni centralę w Bernie (M. Rostworowski, Morstin, później Zaleski, Bader) z radykalniejszymi odgałęzieniami (Wł. Baranowski), dużo ich jednak przyjeżdżało epizodycznie, widując się zresztą z nami (Dziewulski, L. Górski, Kowalski, Ronikier i i.).

3) Brat jego, prof. Wincenty rezydował wtedy w Sabaudii i dojeżdżał czasem do Lozanny. Przy tej sposobności nadmienię, że kontakt nasz z Rzymem podtrzymywali głównie Maciej Loret i niesłusznie tak potem spotwarzany śp. Bronisław Janiszowski; między Londynem, Paryżem i Lozanną jeździł nieustannie „podróżnik", Jan Marian Horodyski.

le nain jaune (aluzja do małego jego wzrostu, cery i zarazem tytuł pisma satyrycznego z epoki Drugiego Cesarstwa). Nie odmawiam mu zasług nawet na emigracji, bo „Les dangers mortels de la révolution russe“ pisane są z graniczącą z intuicyjnym przewidywaniem wypadków znajomością rzeczy. Co do pamiętników jego jednak (znacznie później wydanych), to mogłyby — sądzę — służyć one za przykład, jak ich nie należy pisać, aby malutkie bądź co bądź „ja“ człowiecze nie zasłaniało ogromnych wypadków dziejowych.

Milewski górował kulturą nad Orłowskim, ten jednak nie ustępował mu złośliwością. Związany urodzeniem (matka, ks. Talleyrand) z dużym odłamem arystokracji europejskiej, Orłowski wahał się nieustannie pomiędzy orientacją procentralną a proententową (krewnych miał i w Prusiech i we Francji), mącąc tym bardziej nie zawsze klarowne mózgi emigracji.

Dzięki wszakże niemu zetknąłem się z tym właśnie światem, który by zasługiwał w pełni na epitet „międzynarodówki gotajskiej“. Duże kolonie tego mocarstwa, dziś zapewne nieco podupadłego, lecz przed wojną dyktującego mody i obyczaje, rozsiadły się czasu wojny między Montreux a Lozanną. W Montreux gnieździła się zwłaszcza *gentry* austriacka: Salmy, Metternichy itp.; w stronę Lozanny grawitowała arystokracja rosyjska w orbicie stuletniej przeszło księżnej Sayn-Wittgenstein. W świecie tym nie znano okopów i bojkotów: lepiej niż u „proletariuszy wszystkich krajów“ ostała się tu w czasie wojny solidarność klasowa[1]).

W końcu marca 1916 r. urządził tedy Orłowski, będący zresztą w Lozannie najbliższym moim sąsiadem, śniadanie „wybitnie polityczne“. Nie licząc państwa

[1]) Z narodowością bywało za to gorzej. Nie widziałem tego na własne oczy, ale opowiadal mi o tym wiarogodny informator, że jeden z książąt Odescalchich, posesjonowany w dawnych Węgrzech, zaraz po przewrocie listopadowym kazał się zapisać w hotelu jako „Odescalchi, Tchécoslovaque“.

domu, brały w nim udział dwie wielkie panie i nas dwóch z „Ajencji“. Z grona jej wybrał gospodarz Piltza i mnie; paniami były — dwie kuzynki: hrabina „Betka“ z Radziwiłłów Romanowa Potocka oraz hrabina Janowa de Castellane (z domu Talleyrand).

Hrabina de Castellane, jak było nam wiadomo, należała wtedy we Francji do kobiet namiętnie polity-kujących i to nie zawsze w duchu swojej sfery, rządu czy „Ententy“. Rozmówki jej z Piltzem (było to w czasie ciągłego napięcia bojów pod Verdun) obracały się, o ile pamiętam, wokół możliwości „pokoju separatywnego“ z Austrią. Ja siedziałem koło pani na Łańcucie, a kiedy w rozmowie z nią zaryzykowałem lekki gest *désintéressement* w stosunku do Austrii, spotkałem się z dość przejrzystą reprymendą, wyskandowaną charakterystycznym radziwiłłowskim akcentem: „Wychowałam się w pogladach mojego teścia (Alfreda hr. Potockiego), że stać winniśmy zawsze przy cesarzu i przy Austrii“.

*

Moja zaś „prawowierność“ austriacka w tym właśnie czasie na najpoważniejsze narażona została szwanki. Jak już bowiem wspominałem, pseudonim mój w ataku na Askenazego nie dał się żadną miarą utrzymać, a — nie uciekając się do dalszych nawet z tego faktu wniosków — okoliczność sama ujawnionego z mojej strony współpracownictwa w wyraźnie antyaustriackim „Przeglądzie Polskim“, jak również pewne wypady mojej polemiki, zgoła nie zatracające „błagonadiożnością“ austriacką, uczyniły mnie osobistością w sferze austriackiego konsulatu generalnego podejrzaną.

Był zaś ten konsulat wiernym odbiciem starej monarchii. Na jego szczycie stał i reprezentował szlachcic

węgierski, Géza von Gaspárdy, niepozorna człowieczyna, z pozorów Bogu ducha winna, starająca się z nami, poddanymi austriackimi, utrzymywać, o ile możności, stosunki towarzyskie; spiritus movens jednak w tym konsulacie, „szarą eminencją" był Niemiec Schulhof, funkcjonujacy tu jako ramię „drugiego oddziału". By zaś analogia z mozaiką ludów habsburskich była zupełna, *attaché* czy sekretarzem konsulatu los uczynił Czecha z nazwiska, niejakiego Nowaka, wszędywścibskiego, przylepnego, węszącego gdzie się da „centusia".

W początku września wezwany zostałem tedy do konsulatu celem przeprowadzenia trzeciej już z rzędu w stosunku do mnie *Musterung* (asenterunku). Tym razem znikły wszelkie kurtuazje austriackie: Schulhof gromkim głosem zapytał mnie, dlaczego nie służę jeszcze z bronią w ręku „ojczyźnie"; lekarz szybkim badaniem stwierdził doskonały, zdaniem jego, stan mojego zdrowia; Nowak po poborze zapytał mi się — dosłownie — czy mam kwalifikacje na telegrafistę lub trębacza.

Położenie moje w istocie bynajmniej jednak nie było wesołe. O ile miałem usłuchać niebawem nadeszłego z Krakowa wezwania, bym dnia tego a tego „o 8 rano stawił się w koszarach Rudolfa", to, będąc już na tyle pokompromitowany, ile byłem, musiałem liczyć na najgorsze w rzeczonych koszarach przyjęcie. Gorzej jednak prawie przedstawiała się moja sytuacja w razie niestanięcia do apelu; wprawdzie — na tej nawet emigracji — liczyłbym pośród poważnych zgoła ludzi niejednego kolegę *insoumis*, ale w specyficznym moim wypadku rzecz się komplikowała tym, że miałem stryja ministrem dla Galicji, że miałem ojca na wysokim stanowisku społecznym w Krakowie i że miałem... przyjaciół (w cudzysłowie), o których wiedziałem z góry i wiem jeszcze dzisiaj, jaką im przyjemność

sprawić musiała możliwość „obnoszenia“ mnie po kraju jako „dezertera“[1]).

W rozprawie z monarchią „apostolską“ pozostawał mi jednak zawsze na czas pewien jeden wypróbowany przez pokolenia poddanych habsburskich środek, a to *Schieber*, rekurs, zwłoka. Właśnie byłem w trakcie przesuwania legalnego owej koszarowej „godziny 8-ej“ o kilka dobrych „rekursowych“ miesięcy, gdy zaszły wypadki, które w stosunku moim do Austrii zamiast brutalnego rozwodu, wprowadziły łagodną niemal — tacito obu stron consensu — separację.

Nadszedł bowiem listopad i po wielu znakach, wieszczących burzę, rankiem 5-go t. m. wpadł do pokoju spoczywającego jeszcze w łożu Skarbka wspomniany Nowak, który, trzymając w ręku „Gazette de Lausanne“ z tekstem manifestu dwóch gubernatorów, wykrzyknął: *„Herr Graf, Herr Graf, was für ein Glück!“*

Taki był prolog tego tygodnia po-proklamacyjnego, ten zaś cały spłynął nam na wyczerpujących naradach, na komunikowaniu się z Paryżem, gdzie bawili Dmowski, Zamoyski i Plater, przyjazdach tych dwóch ostatnich do Lozanny i wraz z nimi, a zwłaszcza z Zamoyskim, układaniu wspólnej naszej parysko-lozańskiej deklaracji[2]).

Na 11 też listopada byliśmy gotowi z odezwą, której tekst polski (francuski był w przeważnej mierze dziełem Zamoyskiego) niniejszym raz jeszcze tu podaję:

„Dnia 5 listopada 1916 roku władze okupacyjne w Królestwie Polskim wydały proklamację, ogłaszającą rozstrzygnięcie losów Polski przez porozumienie cesarzów Niemiec i Austrii.

---

[1]) Dodać do tego należy komplikacje w przesyłkach własnych pieniędzy z kraju (mój teść od początku 1917 r. poczynał już być zrujnowany finansowo): tym trudnościom zapobiec wszakże potrafiła świetna zaiste, „endecka“ organizacja konspiracyjna.

[2]) Por. Plater Broel Konstanty: „Z dni listopadowych 1916 r. na Zachodzie“ (Pro fide, rege et lege, zesz. 2).

Pomimo że proklamacja ta stanowi zapowiedź państwa polskiego, my, niżej podpisani, przebywający za granicą Polacy ze wszystkich dzielnic Polski, przemawiając w imieniu swoim i tych swoich rodaków, którzy swobodnie wypowiedzieć się nie mogą, uważamy za swój obowiązek narodowy oświadczyć co następuje:

Naród polski jest jeden i niepodzielny. Aspiracje jego do własnego państwa obejmują wszystkie trzy części Polski i bez ich zjednoczenia zaspokojone być nie mogą. Zjednoczenia przede wszystkim oczekują Polacy od obecnej wojny, wojny, która podniosła hasło: „Wolność i niepodległość narodów".

Zapowiedź utworzenia państwa polskiego wyłącznie z ziem okupowanych, wyłącznie z jednej dzielnicy, nie tylko dążeniom tym nie czyni zadość, lecz utrwala dzieło rozbiorów. Podtrzymując rozbicie się narodu polskiego, Niemcy i Austro-Węgry skazują przyszłe państwo polskie na niemoc, czynią zeń narzędzie swojej polityki.

Bez określonych zobowiązań co do warunków bytu przyszłego państwa, zastrzegając jedynie jego od siebie zawisłość, żądają jednak Niemcy i Austro-Węgry od Polaków armii. Armia ta, jako siła pomocnicza wojsk obcych, obcym podporządkowana celom, za cudzą, nie za polską walczyć ma sprawę.

Pomimo pozorów, w jakie czyn ten ubrany być może, cel jego jest widoczny: obejście prawa międzynarodowego. Odpowiedzialność za to spadnie na państwa centralne.

Dla narodu polskiego widzimy w planie militarnym Niemiec i Austro-Węgier groźbę nowej klęski, w ich akcie politycznym nową sankcję rozbiorów"[1].

(20 podpisów)

*

Miałem zaszczyt położyć podpis jako drugi z rzędu na zacytowanym dokumencie zaraz po podpisie Dmowskiego. Powtarzam: „miałem zaszczyt", gdyż głęboko jestem przeświadczony, że zaszczytnym było przywilejem móc się wypowiedzieć w ważnej, rozstrzygającej zapewne chwili dziejowej na temat najżywotniejszych wtedy zagadnień narodowych, a rzucając na szalę z wolnej i nieprzymuszonej woli swoje zdanie,

[1]) Cytat z „Przeglądu Polskiego" (Fryburg Szwajcarski 1916), zeszyt IV, str. 93—4, tekst francuski u Filasiewicza: „La question polonaise pendant la guerre mondiale", (Paryż 1920), str. 69.

przyczynić się tak w pewnej mierze do ustalenia opinii tego narodu.

Nie piszę tutaj historii polityki polskiej podczas wojny, wskazać tylko mogę na szczere enuncjacje powojenne polityków i wojskowych niemieckich, świadczące o tym, że akt 5 listopada w intencjach „miarodajnych" czynników pruskich miał istotnie na oku w pierwszym rzędzie wyzyskanie dla obcych a zgoła wrogich nam celów rekrutacyjnego polskiego materialu.

To przekonanie rządziło już nami, gdyśmy układali i podpisywali cytowany dokument, i dziwić się przychodzi, że i dzisiaj, gdy tyle już padło światła na kulisy taktyki wojennej, znajdują się nieuświadomione jeszcze jednostki, które nam z tej deklaracji czynią zarzut, które negują jej uprawnienie i celowość.

Natomiast, że tak bywało w listopadzie 1916 r., żadną miarą dziwić się nie można: w kraju odciętym od Zachodu a mąconym propagandą obcą, zewnętrzną i wewnętrzną, nękanym w dodatku widmem wciąż jeszcze żywej, carskiej Rosji i nie mogącym przeczuć końca wojny, deklaracja nasza była przeinaczana i niedoceniana w swoim znaczeniu.

Że nic wszakże w tekście jej nie było, czego nie mógłby był podpisać każdy prawy, kraj swój miłujący Polak, że wypływała z troski o jutro tego kraju i chęci uchylenia „grozy nowej klęski" — to zobaczył już niejeden z dawnych jej krytyków. Sam mój ojciec, który po tym akcie 5 listopada wybuchnął był tak pięknym, a zarazem tak pełnym rozsądku akordem publicystycznym (w krakowskim „Głosie Narodu"), a jednak w stosunku do naszej deklaracji żywił pierwotnie zastrzeżenia, jeszcze na łożu śmierci, gdy mu ją odczytywano w tekście świeżo wydanej książki Dmowskiego, uznał, że podpisując ją, postąpiłem, jak powinienem był wtedy postąpić. Cytowano mi również opinię innego kulturalnego Polaka, a bardzo zbliżonego

Pomimo że proklamacja ta stanowi zapowiedź państwa polskiego, my, niżej podpisani, przebywający za granicą Polacy ze wszystkich dzielnic Polski, przemawiając w imieniu swoim i tych swoich rodaków, którzy swobodnie wypowiedzieć się nie mogą, uważamy za swój obowiązek narodowy oświadczyć co następuje:

Naród polski jest jeden i niepodzielny. Aspiracje jego do własnego państwa obejmują wszystkie trzy części Polski i bez ich zjednoczenia zaspokojone być nie mogą. Zjednoczenia przede wszystkim oczekują Polacy od obecnej wojny, wojny, która podniosła hasło: „Wolność i niepodległość narodów".

Zapowiedź utworzenia państwa polskiego wyłącznie z ziem okupowanych, wyłącznie z jednej dzielnicy, nie tylko dążeniom tym nie czyni zadość, lecz utrwala dzieło rozbiorów. Podtrzymując rozbicie narodu polskiego, Niemcy i Austro-Węgry skazują przyszłe państwo polskie na niemoc, czynią zeń narzędzie swojej polityki.

Bez określonych zobowiązań co do warunków bytu przyszłego państwa, zastrzegając jedynie jego od siebie zawisłość, żądają jednak Niemcy i Austro-Węgry od Polaków armii. Armia ta, jako siła pomocnicza wojsk obcych, obcym podporządkowana celom, za cudzą, nie za polską walczyć ma sprawę.

Pomimo pozorów, w jaki czyn ten ubrany być może, cel jego jest widoczny: obejście prawa międzynarodowego. Odpowiedzialność za to spadnie na państwa centralne.

Dla narodu polskiego widzimy w planie militarnym Niemiec i Austro-Węgier grozę nowej klęski, w ich akcie politycznym nową sankcję rozbiorów"[1]).

(20 podpisów)

*

Miałem zaszczyt położyć podpis jako drugi z rzędu na zacytowanym dokumencie zaraz po podpisie Dmowskiego. Powtarzam: „miałem zaszczyt", gdyż głęboko jestem przeświadczony, że zaszczytnym było przywilejem móc się wypowiedzieć w ważnej, rozstrzygającej zapewne chwili dziejowej na temat najżywotniejszych wtedy zagadnień narodowych, a rzucając na szalę z wolnej i nieprzymuszonej woli swoje zdanie.

[1]) Cytat z „Przeglądu Polskiego" (Fryburg Szwajcarski 1916), zeszyt IV, str. 93—4; tekst francuski u Filasiewicza: „La question polonaise pendant la guerre mondiale", (Paryż 1920), str. 69.

przyczynić się tak w pewnej mierze do ustalenia opinii tego narodu.

Nie piszę tutaj historii polityki polskiej podczas wojny, wskazać tylko mogę na szczere enuncjacje powojenne polityków i wojskowych niemieckich, świadczące o tym, że akt 5 listopada w intencjach „miarodajnych" czynników pruskich miał istotnie na oku w pierwszym rzędzie wyzyskanie dla obcych a zgoła wrogich nam celów rekrutacyjnego polskiego materiału.

To przekonanie rządziło już nami, gdyśmy układali i podpisywali cytowany dokument, i dziwić się przychodzi, że i dzisiaj, gdy tyle już padło światła na kulisy taktyki wojennej, znajdują się nieuświadomione jeszcze jednostki, które nam z tej deklaracji czynią zarzut, które negują jej uprawnienie i celowość.

Natomiast, że tak bywało w listopadzie 1916 r., żadną miarą dziwić się nie można: w kraju odciętym od Zachodu a mąconym propagandą obcą, zewnętrzną i wewnętrzną, nękanym w dodatku widmem wciąż jeszcze żywej, carskiej Rosji i nie mogącym przeczuć końca wojny, deklaracja nasza była przeinaczana i niedoceniana w swoim znaczeniu.

Że nic wszakże w tekście jej nie było, czego nie mógłby był podpisać każdy prawy, kraj swój miłujący Polak, że wypływała z troski o jutro tego kraju i chęci uchylenia „grozy nowej klęski" — to zobaczył już niejeden z dawnych jej krytyków. Sam mój ojciec, który po tym akcie 5 listopada wybuchnął był tak pięknym, a zarazem tak pełnym rozsądku akordem publicystycznym (w krakowskim „Głosie Narodu"), a jednak w stosunku do naszej deklaracji żywił pierwotnie zastrzeżenia, jeszcze na łożu śmierci, gdy mu ją odczytywano w tekście świeżo wydanej książki Dmowskiego, uznał, że podpisując ją, postąpiłem, jak powinienem był wtedy postąpić. Cytowano mi również opinię innego kulturalnego Polaka, a bardzo zbliżonego

do dworu austriackiego, Karola hr. Lanckorońskiego, który w rozmowie z przyjacielem (już po wojnie) znalazł słowa uznania dla faktu i treści tej deklaracji. Była ona ryzykiem osobistym, więc do ryzyka tego z góry włączyć należało ataki w kraju i na emigracji, fałsze i obelgi; z drugiej wszakże strony widoczne było, że jasne przez nas i rozważne postawienie sprawy pozyskiwało nam, ale przede wszystkim sprawie naszej sympatie uczciwych żywiołów politycznych na Zachodzie, które, jak p. Tardieu w „Temps", w kilka dni zaraz potem, biorąc asumpt z naszej deklaracji, wysunęły postulat „internacjonalizacji" sprawy polskiej.

Toteż przeciwnicy, nie mogąc bynajmniej zaczepić tekstu enuncjacji, woleli szermować „kruczkami", imając się np. personaliów. Tą bronią walczyły, dajmy na to, złośliwe plakaty, skierowywane przeciw nam („dwudziestu wolnym strzelcom") a rozlepiane na murach okupowanej Warszawy, główny zaś atak dywersyjny poszedł na nas w związku ze śmiercią Sienkiewicza.

Było zapewne usterką deklaracji, że skoro przemawiała do kraju z trybuny emigracyjnej, nie znajdowała przecie gwarantów niejako w podpisach starych emigrantów o znanych i cenionych w kraju nazwiskach. Ani więc Władysław Mickiewicz, ani Władysław Zamoyski, obaj bawiący podówczas w Paryżu, nie byli do pozyskania dla naszej odezwy, bo Rosja carska przesłaniała nawet drugiemu z nich krzyżackie Niemcy. W przekonaniu więc głównych inicjatorów deklaracji — magnum nomen Sienkiewiczowskie zrównoważyć mogło jedynie tamte braki.

Role tu zresztą zostały między nas podzielone. Ja wówczas do Vevey nie jeździłem, ale przy sposobności opowiem o dwóch innych z mojej strony w tej materii interwencjach, obu, zdaniem moim, dosyć charakterystycznych. I tak wysłany zostałem przez kolegów moich do Genewy, do starego emigranta, profesora tamtejszego uniwersytetu, Zygmunta Laskowskiego,

z prośbą o podpisanie deklaracji. Podjąłem się tej misji, nie będąc jednak wcale pewnym, czy uczony przyrodnik zadośćuczyni mojej prośbie. Odczytując mu zatem tekst dokumentu, wytężyłem się jak najbardziej, aby głos mój uczynić „radiofonicznym" — powiedziałoby się dzisiaj — i przekonywającym. Skutek mnie nie zawiódł, a zgoda profesora została przypieczętowana serdecznym uściskiem. Wróciłem z nią pośpiesznie do Lozanny, podpis zdążył jeszcze na czas, ale jakież było moje zdziwienie, gdy nazajutrz w prasie szwajcarskiej wyczytałem telegram z Rapperswilu, donoszący, że na tamtejszym zamku wywieszono flagi na znak radości z powodu aktu 5 listopada, a z polecenia... prezesa prof. Laskowskiego.

Po powrocie do Lozanny, gdy tekst deklaracji odchodził już do ajencji i poselstw zagranicznych, proszono mnie znów w „Ajencji" naszej, bym uprzedził o przygotowującym się fakcie Władyslawa Skrzyńskiego, ówczesnego radcę legacyjnego przy poselstwie austriackim w Bernie, którego poprawne stosunki osobiste z opozycją emigracyjną wymagały, zdaniem naszych kół kierujących, tego rodzaju lojalności. Okazało się, że Skrzyński jest w drodze z Berna do Genewy, pobiegłem więc na dworzec. Właśnie zajeżdżał ekspres berneński, zatrzymujący się bodaj na dworcu lozańskim tylko minutę. Odnalazłem Skrzyńskiego, zakomunikowałem mu wiadomość (w mowie będącą) przez okno wagonu; pociąg gwizdnął i ruszył, a z ust oddalającego się dyplomaty jedno padło jeszcze tylko pod adresem moim pytanie: „Ilu poddanych austriackich podpisało tę deklarację?" — „Czterech" — nie omieszkałem go objaśnić.

Epizod, wiążący fakt deklaracji ze śmiercią Sienkiewicza, wymaga dłuższych wyjaśnień. Na dnie jego szukać należy nieporozumienia czy pechu. Z góry mogło się być przekonanym o tym, że autor „Krzyżaków" deklaracji nie podpisze — wystarczało znać na to ów-

czesną atmosferę veveyską. Prosić o podpis miał mistrza ordynat Zamoyski w towarzystwie starego Andrzeja hr. Platera, dobrego znajomego Sienkiewicza; z wrodzonym taktem postanowił hr. Zamoyski odbyć tę wizytę raczej dla obowiązku, niż z przekonaniem o jej sukcesie. Zresztą dnia tego jeszcze przyszło do Lozanny z życzliwej nam strony ostrzeżenie, aby do Vevey w ogóle w tej sprawie nie jeździć. Z ostrzeżeniem tym wybrał się do „Ajencji" Polak pewien, poddany pruski, na zewnątrz się jeszcze nie „kompromitujący". Kiedy przyszedł na rue du Midi, zauważył, że ulica przed „Ajencją" roi się od „tajniaków" wszelakiej maści, ostrożnie zatem „zrejterował", a wskutek tej „rejterady", ostrzeżenie już nie doszło na czas Zamoyskiego, który tymczasem wsiadł był na odpływający do Vevey statek. W Vevey nowa komplikacja: gdy Zamoyski spostrzegł, że Sienkiewicz na propozycję reaguje niechętnie, natychmiast postanowił przerwać dyskusję, ale tu wdał się Plater, zapalczywy, a co gorzej głuchy, i jął kontrować, mimo przerywań Zamoyskiego, stopniowo wzburzającemu się Sienkiewiczowi, co w stanie zdrowia wielkiego pisarza musiało się na nim odbić ujemnie. Dalszy ciąg wiadomy.

Dla żywiołów mało skrupulatnych i „z każdego drzewa robiących strzałę" zbieg śmierci autora „Quo Vadis" z poprzednią wizytą u niego delegatów „Ajencji" był jakby „znalezioną" okolicznością. Wzmogły się od razu ataki na nas, przenoszone też skwapliwie na grunt krajowy i operujące wobec mniej krytycznych insynuacją, że na naszych dłoniach jest „krew Sienkiewicza". Na samejże emigracji doszło napięcie do szczytu 20 listopada, w dzień pogrzebu mistrza. Pamiętam ten mroczny ranek jesienny: wyjazd z Lozanny, gdzie doszły nas wiadomości o śmierci Franciszka Józefa i postępach ofensywy „centralnych" w Rumunii, potem zaś — wnętrze kościoła w Vevey natłoczonego ludźmi: swoimi i cudzoziemcami. Pamiętam, jak w stronę oł-

tarza kroczył dyplomata niemiecki Schubert, dobrze później znany w erze stresemanowskiej, aby imieniem swojego rządu złożyć wieniec na trumnie autora „Krzyżaków". I pamiętam te dwa obozy emigranckie, co jakby na sejmiku jakowym zbiły się naprzeciwko siebie w tej świątyni. Ale nie potrzeba było aż Sanctissimum, aby nas rozdzielać. Powaga chwili dziejowej, świętość miejsca i szczerość żaloby narodowej podziałały zbawiennie na skłócone umysły. Czekałem tylko niespokojnie mowy pogrzebowej, ale i w niej — kazał ks. Gralewski — nie było na szczęście akcentów, które by mogły zmącić nastrój żałobny.

*

Nadszedł rok 1917, *l'année trouble*, jak trafnie nazwał go Rajmund Poincarè w wspomnieniach. Pamiętam nasz „opłatek" klubowy roku poprzedniego, gdy przemawiając do dużego zastępu rodaków, co pomimo trawiącej ich rozterki zasiedli wspólnie do wigilijnego stołu, przestrzegałem ich przed szczerością i wartością mieckich. Ale i dla nas, którzy ryzykowaliśmy mocno i już przez to samo wiązaliśmy trwale nasze nadzieje ze zwycięstwem mocarstw zachodnich, „rok mętny" był rokiem próby, więcej od innych — rokiem próby charakterów, szkołą umysłów i okresem doświadczeń.

Wielkie wypadki bowiem znaczyły kalendarz tego roku. Styczeń już przyniósł pamiętne orędzie Wilsona w sprawie polskiej, gdy zaś fakt ten przełomowy sprowadził znowu do Lozanny naszych polityków z Zachodu, gdy wraz z nimi przyjechał delegat z Petrogradu Marian Lutosławski, pamiętam rozmowy z nimi na temat przewidywanego wybuchu rewolucji rosyjskiej, pamiętam zwłaszcza jedno śniadanie z Dmowskim i Dillonem[1]) — obu znakomitymi znawcami mentalności ro-

---

[1]) Autorem słynnej później książki „The Peace Conference".

syjskiej, gdzie wszakżeż ani żaden z nich, ani najświeższy świadek wypadków rosyjskich, a późniejsza ofiara przewrotu bolszewickiego, Lutosławski — nie przewidywali, by nieuchronny, zdaniem ich, wstrząs przekroczyć miał ramy „rewolucji pałacowej".

Było to na ledwo kilka tygodni przed epokowymi wypadkami; spadły one na nas niespodzianką, na niektórych gromem. Do jasno widzących sens przewrotu należał teść mój, śp. Aleksander Mańkowski, osiadły od wybuchu wojny z całą rodziną na Zachodzie, umysł krytyczny, którego walory literackie (był za młodu dramaturgiem i powieściopisarzem) trafnie ocenił Stefan Żeromski w swoich „Elegiach". Podczas gdy pośród nas sporo panowało złudzeń co do możliwych wyników rewolucji — gama ta sięgała od wiary Piltzowej w potęgę Rosji do „wilsonowskich" zapałów u nas młodszych — Mańkowski od razu, ze zdrowszym sensem — a był, jak mawiają Francuzi, *payé pour le dire*, gdyż w tej rewolucji stracić miał ogromny na Kresach majątek — ocenił horoskopy drugiej „wielikoj smuty", stwierdzając, że „nic dobrego wróżyć sobie nie należy po pokropionych dziegciem zasadach Jana Jakuba Rousseau".

Wielu z nas wszakże, jak się już rzekło, inaczej reagowało na te wypadki. Bawiłem w Rapperswilu — gdzie ówczesny zarząd biblioteki z dyrektorem Żmigrodzkim, historykiem emigracji Lewakiem i mistycznym „elsem" Komenda — najgorliwiej ułatwiał nam nasze prace propagandowe — gdy nadeszła tam wiadomość o proklamacji polskiej rosyjskiego „Rządu Tymczasowego". Widzę stary zamek, pełen romantyczno-emigracyjnych wspomnień na tle bladej jeszcze wiosny, warzonej w dodatku zimnym podmuchem od jeziora. Szedłem do muzeum, niosąc właśnie ze sobą telegraficzny tekst odezwy Kiereńskiego i towarzyszy, zredagowany — jak zwykle te manifesty rosyjskie — z dużą maestrią stylu i polotem. Spotkawszy dyrektora Rap-

perswilu, dałem mu do przeczytania odezwę, która tak go wzruszyła że pod jej wpływem rzucił mi się na szyję. Czyżby nie wolno nam było w tej świątnicy naszych dziejów porozbiorowych wspominać natchnionego wiersza Mickiewicza:

Gdy wiatr swobody owieje te państwa,
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?

I w Lozannie odezwa „Rządu Tymczasowego“ niepośledniе na umysłach naszych polityków uczyniła wrażenie. Nie byłem na zebraniu, urządzonym nie pamiętam z czyjej inicjatywy, na którym udało się jednak zetknąć znów ze sobą oba ówczesne odłamy naszej emigracji. Nie byłem obecny, ale miałem o przebiegu tego zebrania bezpośrednie a dokładne relacje, które mówiły, że podczas gdy „na froncie“ ludzie, jak Skarbek i Kucharzewski, bliscy byli wtedy znalezienia wspólnego języka politycznego, w „kulisach“ profesor Askenazy pracował dalej niezmordowanie nad popsuciem zgody.

Tymczasem bowiem zaszedł inny jeszcze, poważny zwrot w „orientacjach“ wojennych. Powtarzam, com powiedział wyżej, że te pierwsze miesiące roku 1917 szczególnie były brzemienne wypadkami. Nie należy zapominać dziś, gdy już obraz wojny rysuje nam się w kilku odrębnych planach, że między orędzie Wilsona (styczeń) a rewolucję rosyjską (marzec) weszła deklaracja Bafoura (z lutego).

Z tą chwilą mówić można zaiste o „kryzysie orientacji wojennych“. Żydostwo światowe, ten potężny, choć ukryty współczynnik „wielkiej wojny“, rozporządzający możnymi wpływami w krajach „Ententy“ i w Ameryce, przygotowujący świadomie przewrót w Rosji, uzyskawszy w tym momencie od najpotężniejszego wówczas mocarstwa koalicji obietnicę spełnienia snów swoich odwiecznych, otrębuje niejako odwrót, wszczyna przegrupowanie sił i ruchów na różnych odcinkach,

„zwekslowuje“ ordynki swoje z wąskich torów „centralnych“, na które pchało dotychczas adherentów i wykonawców, na szeroką platformę „Wilsonowych“ celów wojennych wielkiej koalicji. Potężny ten przewrót, niedostrzegalny częściowo oczom współczesnych, bo osłonięty wówczas jeszcze w pewnej mierze „tajemnicą gabinetową“, w trzech niejako dokonywający się kondygnacjach: Wilson — Balfour — Lenin, nie dziw, że zaburzył wstrząsami swoimi opinię publiczną świata.

Stąd — *l'année trouble*. Stąd, gdy na tę wiosnę przybył do Lozanny ciężko podówczas chory uczestnik „jaczejki“ mojej krakowskiej, Juliusz Dzieduszycki, nic mu rzec nie mogłem pocieszającego na temat przebiegu i dalszych przewidywań wojennych. Czuło się w powietrzu ten *disease*, to niedomaganie moralne, które ogarnia narody, gdy w świecie ducha kryzys się znaczy sił ustawnie zmagających się ze sobą. Wszakże w tej chwili, gdy bunt się zaczął na frontach francuskich, gdy Lenin wsiadał do „plombowanego“ wagonu, gdy Wilson miotał w świat szlachetnie brzmiące, ale obosieczne nieraz w zastosowaniu swoim hasła, gdy Balfour składał deklarację swoją Weizmanowi — i u nas, w kraju, poważne znaczyły się przewroty.

Wykroczę może nieco poza ciąg tych wypadków, sięgając naprzód do momentu, gdy wskutek łącznie wciąż ze sobą działających wstrzasów (Wilson — Balfour — Lenin) i u nas doszło do znamiennych przemian w nastrojach, wyładowujących się w całym szeregu reakcji społeczno-politycznych, których etapem końcowym było wywiezienie Piłsudskiego do Magdeburga.

Pomimo rozłamu, jaki wniosła w emigrację nasza deklaracja listopadowa, nie nadwerężyłem umieszczonym na niej podpisem dobrych osobistych stosunków z sympatykami innych zapatrywań. Odwiedził mnie więc Kucharzewski, wracający wtedy do Warszawy na przyszłego premiera; komunikowałem się dalej dość

często z panią Pilecką, rozumną starszą panią, co niegdyś była zamężną za przemysłowcem niemieckim Thileniusem i w salonach berlińskich, gdzie stykała się także z Bismarckiem, nabrała wytwornej, wielkoświatowej kultury. Znałem jej odmienne od naszych poglądy, ale ani Skarbkowi, ani mnie nie przeszkadzały one w utrzymywaniu przyjaznych z nią stosunków. Mniej się orientowałem w ówczesnych zapatrywaniach Bronisława Piłsudskiego, ale czując sympatię do cechującego go idealizmu, napisałem do niego słów parę po wywiezieniu brata jego do Magdeburga, dając wyraz nadziei, że nic już chyba odtąd nie stanie na przeszkodzie wytworzeniu się jednolitego polskiego frontu. Otrzymałem na to od Piłsudskiego odpowiedź, którą — jako charakterystyczną dla ówczesnych nastrojów — pozwalam sobie in extenso tu przytoczyć:

Musée Polonais,
Rapperswil

1. VIII. 1917.

Szanowny i Łaskawy Panie,

Przepraszam, że natychmiast nie mogłem odpisać na serdeczny, a tak dla mnie miły list Pana. Pan nie wie, jak ja mocno się cieszę ze stanowiska zajętego przez brata, chociaż wiedziałem, że takie zakończenie musi nastąpić. Cieszy mnie zaś to, że dziś jest możliwą wspólna praca tych odłamów naszego społeczeństwa, które są najszlachetniejsze — niezależnie od ich warunków społecznych — i najwięcej niezależne od obcych wpływów moralnych i materialnych, najsilniej przesiąknięte tradycjami naszej Rzeczypospolitej polsko-litewskiej, ideałami najlepszych jej synów.

Dziękuję serdecznie za słowa płynące od młodego historyka, który przypomniał mi bardzo sto-

sownie chwile naszej przeszłości, a który tym dla mnie jest milszym, że jest synem naszego wielkiego uczonego, bardzo przeze mnie szanowanego.

Z prawdziwym poważaniem i szacunkiem
Bronisław Piłsudski[1])

*

List śp. Piłsudskiego nosi datę 1 sierpnia 1917, dokładnie trzeciej rocznicy wybuchu wojny. Znowu zatrzymajmy się chwilę w naszym opowiadaniu, by — w momencie, gdy część emigracji szwajcarskiej przenosi się do Paryża, do tworzącego się tam właśnie „Komitetu Narodowego" — utrwalić w pewnym zarysie ramy zewnętrzne dotychczasowej naszej na tym terenie propagandy.

Okres powojenny uwydatnił w całej pełni znaczenie propagandy. Ciano we Włoszech czy Goebbels w Niemczech stali się symbolami akcji planowej, mającej na celu „waloryzowanie" polityki danego państwa, wbijanie w mózgi jego „plusów", tuszowanie „minusów". I w każdy dziś wieczór z rozgłośni moskiewskiej, która najwcześniej bodaj zastosowała te metody, idzie na świat w kilku kolejno językach ideologia bolszewicka.

Ta „propaganda" jest córą wojny, bo w ciągu wojny, jakby w krwawym jakim laboratorium, kształtowała się jej technika; na żywym organizmie walczących i cierpiących narodów doświadczano jej „chwytów" i „parad", Szwajcaria zaś była od początku wojny tą centralą, skąd nieraz najsubtelniejsze rozchodziły się nici intryg politycznych i kampanii prasowych.

Dziwny to był zbieg okoliczności, gdy pewnego wiosennego bodaj popołudnia 1916 roku zgłosił się do

[1]) List śp. Piłsudskiego prawdziwie cudem zachował się w moim „archiwum", które niemal w całości zrabowane zostało w Bukareszcie w roku 1919, o czym jeszcze niżej.

mnie dawny mój znajomy z Krakowa, Józef Rettinger, z propozycją zapoznania mnie z pewnym młodym dyplomatą francuskim. Rettinger przed wojną redagował był w Krakowie miesięcznik literacko-artystyczny, w którym współpracowałem, po czym, utopiwszy w nim podobno cały majątek, udał się do Paryża, zyskując tam poparcie ojca swojego chrzestnego, Władysława Zamoyskiego; później jeszcze przerzucił się do Londynu, gorzej podobno będąc widziany przez sfery rządowe francuskie; tam — nie on jeden zresztą z ówcześnie bawiących Polaków — wyrobił sobie dobre stosunki angielskie (Asquithy?). Potem straciłem go z oczu, aż tu — o dziwo! — w czas jakiś po wojnie — wypłynął w osławionym meksykańskim „Cromie" (głównej tamtejszej organizacji antyreligijnej), co by wskazywało, że łączyły go węzły jakoweś z masonerią.

Młodym zaś dyplomatą, z którym zetknął mnie wówczas Rettinger, był René Massigli. Propaganda francuska nie od razu rozwinęła się z biegiem wojny. Podczas kiedy Niemcy zaludnili Szwajcarię przede wszystkim siecią swoich szpiegów, ale subwencjonowali tu też pewne czasopisma, Francuzi, licząc zwłaszcza na ustalone względem siebie sympatie wśród Szwajcarów romańskich, działali raczej sporadycznie, wysyłając tu od czasu do czasu „conférencierów" o głośnych nazwiskach: sam słyszałem wtedy w Lozannie takiego Barthou i Thomasa. Ale wobec „nasilenia" propagandy niemieckiej (mówiono o 20.000 jej ajentów na terytorium szwajcarskim) Paryż zrewidował swoje dotychczasowe sposoby i z udziałem nowoprzyciągniętych dyplomatów, jak np. eksrodaka naszego, ministra Kłobukowskiego, nadano starej rutynie dyplomatycznej francuskiej bardziej nowoczesne oblicze.

Ambasadorem francuskim w Szwajcarii był zrazu p. Beau, typowy administrator kolonialny o manierach wielkorządcy, rzadko tylko wchodzącego w kontakt

bezpośredni ze światem pozabiurokratycznym. Toteż Paryż przydał mu niebawem — jakby „lotną brygadę" wywiadowców i propagandzistów — osobne biuro prasowe, zostające pod kierownictwem prof. Haguenin, który przed wojną zajmował był katedrę literatury francuskiej w uniwersytecie berlińskim.

Massigli wchodził właśnie w skład rzeczonego biura. Haguenina znałem również osobiście, ale nie mogę powiedzieć, iżbym był kiedykolwiek nawiązał z nim intymniejszy kontakt. Już po wojnie, z okazji bodaj jego zgonu, czytałem w jednym z pism polskich, jakoby miał być wtedy ekspozyturą masonerii. Rzecz to możliwa, tym bardziej, iż ta ajencja prasowa francuska nie wypierała się nigdy koneksji czy filiacji z kierunkiem Briand-Berthelot; była też widoczna u Haguenina rezerwa pewna, która trąciła konspiracją, nigdy wszakże nie zauważyłem w nim niczego, co by przeciwstawiało się polskim celom politycznym.

Inna rzecz byla z jego dwu współpracownikami. Tu się miało do czynienia z dwiema indywidualnościami, z których każda zabłysnąć miała już po wojnie. Massigli, typowy Francuz, jeżeli chodzi o pracowitość i realizm polityczny, a nie pozbawiony przy tym prawdziwego koleżeństwa w stosunku do współpracujących z nim politycznie Polaków, zrobił karierę najpierw jako sekretarz „Rady Ambasadorów", potem — jako przedstawiciel Francji w Genewie, w końcu zaś jako jedna ze „szarych eminencji" w paryskim Quai d'Orsay. Innym był kolega jego Andrzej François-Poncet, były długoletni ambasador w Berlinie. O charakterystycznej etnicznie twarzy Galla, Poncet był dużo wstrzemięźliwszy od Massigliego w komunikowaniu się z Polakami, a jeżeli potem w Berlinie, jak słyszałem niedawno z najbardziej kompetentnej w tym względzie strony, wspominał chętnie te swoje stosunki polskie, to jednak nadmienię, że inaczej niż u Massigliego, czułem u niego

pewną jakby niechęć czy może nieufność w stosunku do nowych aliantów[1]).

Te wznowione bowiem stosunki polsko-francuskie nie zawsze bywały łatwe ani gładkie. W drugiej połowie roku 1917 przyszedł we Francji przewrót, nastała dyktatura Clemenceau. Pamiętam, że Massigli z bardzo mieszanymi uczuciami przyjął tę nominację; miał o tyle ze swojego punktu widzenia rację, że na gruncie szwajcarskim nie sprowadziła ona korzystnej reakcji personalnej.

Nastąpiła więc przede wszystkim zmiana w ambasadzie: miejsce Beau zajął syn naturalny Clemenceau, Paweł Dutasta, przyszły sekretarz generalny konferencji pokojowej, z typu fizycznego Mongoł na czarno, jak papę widywało się już Mongołem siwym. Dutasta wnosił do swojej ambasady te same maniery, których niejeden z nas mógł doświadczyć już po wojnie na gruncie kolejnych ambasad francuskich w Warszawie. Wychowanie jego szwankowało: pamiętam, gdzieś pod koniec wojny, zaproszony zostałem na obiad do ambasady i posadzony obok „rodaka"-dziennikarza, Maurice de Waleffa (żyda polskiego?). W trakcie obiadu zapytał mnie Waleffe, jakie mam wiadomości z Warszawy. Posłyszał to pytanie ambasador i wmieszał się do naszej rozmowy następującym, mocno nie-wersalskim wtrętem: *Oh, monsieur de Waleffe, ces messieurs avec lesquels travaille monsieur de Morawski, n'ont que très peu de contact avec Varsovie. C'est le prince Lubomirski* (Władysław, kuzyn regenta) *qui nous en apporte de temps en temps des nouvelles intéressantes.*

Jeżeli więc w erze Clemenceau nieświetnie bywało w Bernie, a nepos jego z ambasady trącił raczej prostodusznością „Hal" paryskich niż wytwornością przod-

---

1) Pewne też, mniej zasadnicze, szczegóły o tej „niechęci" Ponceta, których tu nie powtarzam, podałem w „Polsce" warszawskiej z okazji mianowania go ambasadorem.

V z 26 sierpnia 1931

ków swoich z Wandei, to gorzej rzecz się jeszcze przedstawiała w Genewie. Tam rządził się Jerzy Casella, dziennikarz jak z symbolu, gdyby się do niego chciało zastosować wszelkie pejoratywne tylko kryteria zawodu. Przewodniczył on z ramienia Paryża klubowi dziennikarzy alianckich, w którym i my uczestniczyć musieliśmy, a pozycję miał mocną, podobno dzięki roli odegranej przez siebie przy odkryciu zdrady Bola-paszy, za co go Clemenceau własnoręcznie udekorował „Legią honorową"[1]).

Poselstwa anglosaskie różniły się oczywiście od przedstawicielstwa francuskiego gatunkiem ludzi, a przez to i charakterem swojej propagandy. W angielskim, gdzie późniejszy poseł w Warszawie sir Horace Rumbold zastąpił był sir George Grahama — „szarą eminencją" był skromny konsul, znany nam później z długoletniego pobytu w Warszawie p. Frank Savery. W niektórych bowiem instytucjach — a należy do nich i dyplomacja angielska — rzeczy się mają tak, że „frontowe", reprezentacyjne figury w istocie mało mają do powiedzenia, a główną rolę spełniają, rzeczywisty wpływ wywierają, inspirują swoich najwyższych zwierzchników, pracownicy skromni, „fiołki, głęboko ukryte w trawie". Ci to prowadzą *de facto* politykę ambasad; jak Lawrence prowincje całe przysparzają swojemu imperium; działają niewidocznie, ale skutecznie, zasadnicze nieraz w rządach, przy których są akredytowani, wywołując przewroty.

P. Savery podobno już przed wojną bywał w Polsce; kiedy go wszakże poznałem w Bernie, nie mówiliśmy ze sobą o tym pierwszym jego pobycie i nie orientowałem się zgoła, czy zna już tak dobrze, jak

---

[1]) Do osoby Caselli będę jeszcze musiał powrócić. Na razie wspomnę, że z innych dziennikarzy francuskich w Genewie wybijał się już głośny dziś żyd Sauerwein, kończył zaś bujną karierę pogodny cynik, wicehrabia de Gauthier-Villars („Willy").

później było to faktem, język i literaturę polską. Ale wyczuć było, że w jego biurze zbiegają się nici, które z niego czynią główną jakby dyplomatyczną ekspozyturę brytyjską na Europę środkową. Polską interesował się zawsze żywo, a w osobistych z nim stosunkach nauczyłem się cenić ten typ Anglika, który, jako wspomnienie lat spędzonych za granicą, utrwalił się odtąd w mojej świadomości. Jest zapewne prawdą, że z wyspiarzami tymi łączy nas zaiste niewiele, że ani interesy, ani cechy charakteru, ani tradycje przeszłości nie stwarzają zazwyczaj pomiędzy nami wspólnoty duchowej; dlatego mam wrażenie, że Anglik z trudem przekonywa się do poszczególnego Polaka, skoro go jednak polubi i uzna jego dżentelmenerię, istotnym się dlań staje przyjacielem. Podczas wojny nic nas nie różniło z p. Saverym; że zaś był mi nawet życzliwy, kilkakrotnie miałem tego dowody (do jednego w następnym powrócę rozdziale), po wojnie za to rozdzieliło nas sporo: bliski i otwarty stosunek p. Saveryego do naszych żywiołów lewicowych i jego swoisty, a zabarwiony filosemityzmem pogląd na sprawę żydowską, któremu dawał wyraz nawet w korespondencji ze mną. To jego zaś — jak się dzisiaj mawia — „nastawienie" przenikało nawet do jego sądów literackich czy bodaj artystycznych (bo znawcą sztuki naszej i kolekcjonerem był niepoślednim). Bądź jak bądź, zachowałem ze Saveryego wrażenie silne: dyplomaty w wielkim stylu, nie cofającego się przed ryzykowną grą polityczną, w życiu zaś prywatnym — Anglika, który dobiera sobie przyjaciół wedle tego, co uważa każdorazowo za zgodne z interesem swojego narodu, ale tym wybranym bywa wierny: *right or wrong, my friend*[1]).

I w amerykańskim poselstwie berneńskim zauważyłem pewną analogię z tym, co widziałem w angielskim: tutaj z posłem-„kapelusznikiem" czy jakowymś

---

[1]) „Ma rację czy jej nie ma, obojętne: to mój przyjaciel".

innym fabrykantem, wybrańcem zapewne „kongresu" czy prezydenta, co w nagrodę za zasługi swoje elektoralne wysłany został do Europy — mało kto się stykał, a poselstwem zawiadywała de facto „ekipa" młodych dyplomatów, starannie dobranych w przewidywaniu europejskiej już roli Wilsona. Nazwiska tych młodych „asów" czy „speców" dyplomacji odnajdujemy częściowo na kartach zapisek parysko-wersalskich sir Haralda Nicholsona[2]), gdzie pomimo daleko posuniętego swojego sceptycyzmu względem kierowników konferencji pokojowej autor młodym tym Amerykanom nie szczędzi sympatii i uznania. Był więc pośród nich p. Wilson, późniejszy przedstawiciel U. S. A. w Berlinie, Bukareszci, Genewiee i znów Berlinie,był Frank Dolbeare, którego potem spotkać miałem w Warszawie, i Allan Dulles, i Day, siostrzeniec ministra Lansinga. Wszyscy ci młodzi nasłuchiwali pilnie ech europejskich, uczyli się empirycznie historii „starego świata" i torowali ścieżki koncepcji swojego prezydenta. A kiedy pośród nich trafiał się dyplomata ze starszej szkoły, jak np. p. Whitehouse, to dlatego zapewne, że był pisarzem, znawcą przeszłości europejskiej (napisał był m. i. monografię znanej patriotki italskiej, księżnej Belgiojoso) i wnosił w ten kulturalny zresztą zespół nutę jeszcze wyższej, humanistycznej kultury.

Humanistów jednak *par excellence* szukać należało w innym poselstwie — włoskim. Wspomniałem już o pośle, margr. Pauluccim de'Calboli: uczynność jego i uprzejmość znajdowały pomocników i wyręczycieli w sztabie dzielnych dyplomatów i propagandzistów ze słynnej szkoły Machiawela i Cavoura. Należał do niego nieżyjący dziś Genueńczyk, markiz Durazzo; późniejszy dalej zięć ambasadora, barone Ruso di Paulucci de'Calboli, sekretarz poselstwa, oraz dwóch uczonych, profesorów-literatów: Giuseppe-Antonio Borgese

---

[2]) „Comment on a fait la paix".

i Giuseppe Gallavresi. Wszyscy oni mieli zrozumienie i zainteresowanie Polską, ale z Durazzem, Gallavresim, a zwłaszcza Borgesem, bliższe mnie łączyły stosunki.

Zacznę więc od tego ostatniego. G. A. Borgese rozpoczął karierę literacką jako współpracownik mediolańskiego „Corriere della Sera"; tam wyrobił sobie imię, dając już w czasie wojny zbiór rozumnie przemyślanych artykułów pt. „La guerra delle idee". To wprowadzilo go na drogę propagandy — w latach, o których mówię, prowadził w Bernie oficjalne włoskie biuro prasowe. Rasowy pisarz, powieściopisarz i dramaturg, o światowej dziś nieomal sławie, w ojczyźnie swojej nie żyje, jak mi się wydaje, in odore sanctitatis[1]). Ale w latach, kiedy go bliżej znałem, był istotnym jakby — co zdarza się niekiedy „wieszczom" (patrz d'Annunzio!) — prekursorem ideałów faszystowskich. Pamiętam tak raz jeden jazdę naszą wspólną, koleją z Berna do Lozanny czy z Lozanny do Berna, gdy leżąc na ławce wagonu z powodu upału, kreślił mi Borgese wizje italskiej przyszłości. Pamiętam własne jego zwroty: „Austria i Węgry — naszymi wasalami; potężne wpływy na Bałkanach, zmierzające do opanowania bolszewickiej nawet Odessy..." O Abisynii nie wspominał wtedy Borgese, ale to zresztą, co w tym roku 1917 wydawało mi się marzeniem poetyckim „ściętej głowy", dzisiaj, po latach dwudziestu, dzięki geniuszowi Mussoliniego stało się ~~niemal~~ ciałem.

Inny był Giuseppe Gallavresi, dziś także profesor uniwersytetu mediolańskiego[2]), katolik, historyk dawnej Austrii i niewątpliwy nasz przyjaciel; w zamian za usługi, jakie on i całe poselstwo oddawali naszej sprawie, doczekał się i od nas kiedyś rewanżu. Było to

[1]) W erze faszyzmu wolał przenieść się jako profesor do Ameryki.

[2]) Zmarł na wiosne 1937 r.

przed czy po bitwie pod Caporetto (jesienią 1917 r.). Durazzo i Gallavresi, obaj głęboko poruszeni, przyszli do mnie z następującą sprawą: Były wiadomości, że komenda powietrzna austriacka planuje atak bombowy na Wenecję, jak był już jeden, co zniszczył plafon Tiepola w kościele „Scalzi". Jak temu zapobiec? „My nic na to nie poradzimy — wywodzili moi Włosi — i nawet trudno nam o czyjąkolwiek prosić interwencję, gdyż mogłoby to być wzięte za objaw naszej słabości. Ma pan dobre stosunki z intelektualistami szwajcarskimi, niechżeż Pan, nie wspominając im, że inicjatywa od nas wychodzi, podnieci ich w tym kierunku do akcji w myśl wspólnych ideałów kultury".

Nie kazałem sobie dwa razy powtarzać tej prośby. Pobiegłem do najbliższych moich znajomych szwajcarskich, trafiłem im do przekonania; wysztyftowali podniosły apel zbiorowy neutralnych na łamach „Gazette de Lausanne" z nieuchronnym apelem do wspaniałomyślności cesarza Karola i cesarzowej Zyty i — traf czy nie traf — ataki na przecudne miasto już się nie ponowiły. Niechajby mi przebaczyły cienie „Habebalda" i „Raufebolda" z zakończenia poprzedniego rozdziału!

Z wielkich mocarstw — pozostała mi tylko do wzmiankowania propaganda japońska. Tu pragnę wspomnieć jednego tylko z tych czasów znajomego, ale obiecującego i zdolnego bardzo sekretarza w Bernie, a dzisiaj posła w Warszawie, p. Nobubumi Ito. Ito, bardziej jeszcze niż Savery, zadziwiał znajomością szczegółów nawet spraw europejskich. Gdy pierwszy raz do niego się zameldowałem, zapytał mnie nasamprzód do jakiego należę stronnictwa; rzekłem mu, że chwilowo do żadnego, ale że zbliżony jestem do konserwatystów, podniósł wtedy palec w górę, jakby mówił „distinguendum!", i zauważył: *„Entendons-nous!"* bo przecie macie u siebie dwa odłamy konserwatystów:

„Stańczyków“ krakowskich i „realistów“ warszawskich“.

Mniejsze państwa i narody wojujące utrzymywały także przedstawicielstwa swoje prasowe w Szwajcarii.

Rumunię w tym zakresie reprezentował za czasów moich stale adwokat bukaresztenski dr Mikołaj Petresco-Comnéne, późniejszy poseł w Rzymie i Berlinie[1]). Comnène był inteligentnym, rzutkim, europejskim człowiekiem. Jedyną może słabością jego było przybrane przezeń nazwisko od wioski bodaj rumuńskiej Comnen, w której się urodził, ale górnie przerobionej na bizantyńskie miano dynastyczne Comnène, tak jak współcześnie inny dyplomata (francuski) przybrał był miano Paleologów. Dwa nazwiska dyplomaty rumuńskiego kłóciły się nieco ze sobą, gdyż „Petresco“ pospolitością w Rumunii dystansuje prawie niemieckiego „Müllera“; toteż gdy później przy wręczaniu przez pierwsze poselstwo polskie w Bukareszcie listów wierzytelnych, król Ferdynand zapytał mi się w „cercle‘u“, czy znałem jakich Rumunów podczas wojny, ja zaś odpowiedziałem, że Comnène‘a, monarcha uśmiechnął się dobrodusznie i zauważył: *„Comnéne, oui — Petresco„ Petresco!“*

Delegacja jugosłowiańska nie odznaczała się zbytnią jednolitością. Na pierwszym jej planie funkcjonowali oczywiście Serbowie ze „starego królestwa“, pośród których prym trzymał późniejszy minister Łazarz Markowicz, nie wiem, czy nie podległy wpływom „Wilekiego Wschodu“; sympatyczniejsi byli przedstawiciele „irredenty“: Słoweńcy, Chorwaci, Macedończycy nawet, pośród których znowu przewodnią grał jakby rolę Milan Grol, dyrektor teatru z Belgradu i późniejszy także minister.

Równie dobre stosunki jak z Jugosłowianami łączyły nas jeszcze wtedy z Czechłami, pomiędzy którymi wybijał się na czoło dzisiejszy poseł w Paryżu, Osuski, gładki Słowak — rasa to widać miększa po sło-

rymi wybijał się na czoło dzisiejszy poseł w Paryżu, Osuski, gładki Słowak — rasa to widać miększa po słowiańsku od Czechów, ale i pomocnikom jego — Bożinowowi, dziś wysokiemu urzednikowi w ministerstwie na Hradczynie, i Baratchich-Jacquierowi — nic również ujemnego w stosunku do sprawy naszej zarzucić nie było można.

Nim przejdziemy na zakończenie do charakterystyki opinii neutralnej (szwajcarskiej), pokrótce omówić nam jeszcze wypada pewne propagandy z terenu bezpośrednich naszych sąsiadów: Niemiec, Rosji i Litwy.

Mówiąc o Niemcach, mam na myśli wyłącznie tylko propagandę republikańską, której widoczną głową był tu w tych latach znakomity filozof i pedagog, Fryderyk Wilhelm Förster. Ten jasny „nordyk", który już powierzchownością swoją świadczył do syta, że płynie w nim krew słowiańska, oświadczył mi kiedyś, że istotnie jest pochodzenia mieszanego, gdyż ojciec jego był słynnym astronomem pruskim, matka zaś „Wasserpolaczką" ze Śląska i że on — dlatego — z wszystkich narodów europejskich najbliższy sercem się czuje Niemców i Polaków. Toteż stosunki moje z autorem wzniosłej „Etyki politycznej" były jak najlepsze, a przez niego bodaj wszedłem w kontakt z kręgiem aktywnych już wtedy w Szwajcarii republikanów niemieckich (figurą wśród nich reprezentatywną był b. konsul Schlieben vel Schlieffen) i współpracowałem nawet od czasu do czasu w organie ich „Freie Zeitung".

Mniej zwarta, przejrzysta i pociągająca od już wymienionych była propaganda rosyjska. Mieniła się istotnie wszelkimi barwami tęczy, od kolorów carskich począwszy, noszonych w Genewie przez niejakiego p. Swatkowskiego, mocno zalatującego zapachem „drugiego oddziału" — poprzez ględzenia liberalno-„kadeckie" p. Wiktorowa-Toporowa — aż do notorycznie probolszewickich wystąpień jakiegoś p. Zwezdiena (żyda?).

Niejednolita była również propaganda litewska. Tu odcinał się ks. Wiskont — poważny dziś kanonik kapituły wileńskiej, działacz pełen umiaru — od awanturniczego, a znajomego nam także, zapadłego odtąd w niepamięć polityczną Gabrysa. Propaganda ta miała swoich sympatyków zarówno pośród obcych (dziennikarz francuski Pellissier, który z nami również w tej materii się komunikował), jak nawet wśród Polaków (dwaj hr. Tyszkiewicze — Alfred i Michał; Ukraińcy, specjalnie przez tego ostatniego protegowani, do Lozanny tłumnie napływać poczęli dopiero po zawieszeniu broni). Pamiętam chwilę, gdy w jednym z dwóch hoteli berneńskich, w których koncentrowało się podówczas życie dyplomatyczne, Massigli czy Poncet pokazał mi dwóch świeżo tu przybyłych, a mało jeszcze w świecie znanych mężów stanu. Byli to przedstawiciele świeżo utworzonej przez Niemców „Taryby": Smetona i Waldemaras; „pilotował" ich zaś bodaj ten sam młody, a niepozornie wyglądający hr. Tottenbach z poselstwa niemieckiego, który wcześniej nieco zawierał był z Leninem i Ska słynną tranzakcję w sprawie „plombowanych wagonów".

Pozostaje Szwajcaria: tu liczyliśmy sporo wypróbowanych przyjaciół. Wspomnę na ich czele żyjącego bodaj jeszcze Edmunda Rossiera, znakomitego historyka i publicystę lozańskiego; wspomnę dalej nieżyjącego, świetnego redaktora politycznego „Journal de Genève", Alberta Bonnarda. Pierwszy z nich nie potrzebował ze strony naszej pouczeń, bo solidna wiedza historyczna uświadamiała go dostatecznie o wartościach, zadaniach i możliwościach Polski. Drugi, wytrawny dziennikarz, ale nadto może żeglujący w wodach aliansu franko-rosyjskiego, wymagał jeszcze pewnego impulsu, by sprawę polską na wyższe i szerszę postawić platformie. Krótko przed jego zgonem udało nam się sprowadzić w nim tę ewolucję, odtąd zaś mieliśmy wszelkie powody w większej mierze być zeń za-

„Stańczyków“ krakowskich i „realistów“ warszawskich“.

Mniejsze państwa i narody wojujące utrzymywały także przedstawicielstwa swoje prasowe w Szwajcarii.

Rumunię w tym zakresie reprezentował za czasów moich stale adwokat bukaresztański dr Mikołaj Petresco-Comnéne, późniejszy poseł w Rzymie i Berlinie[1]). Comnène był inteligentnym, rzutkim, europejskim człowiekiem. Jedyną może słabością jego było przybrane przezeń nazwisko od wioski bodaj rumuńskiej Comnen, w której się urodził, ale górnie przerobionej na bizantyńskie miano dynastyczne Comnène, tak jak współcześnie inny dyplomata (francuski) przybrał był miano Paleologów. Dwa nazwiska dyplomaty rumuńskiego kłóciły się nieco ze sobą, gdyż „Petresco“ pospolitością w Rumunii dystansuje prawie niemieckiego „Müllera“; toteż gdy później przy wręczaniu przez pierwsze poselstwo polskie w Bukareszcie listów wierzytelnych, król Ferdynand zapytał mi się w „cercle'u“, czy znalem jakich Rumunów podczas wojny, ja zaś odpowiedziałem, że Comnène'a, monarcha uśmiechnął się dobrodusznie i zauważył: *„Comnène, oui — Petresco„ Petresco!“*

Delegacja jugosłowiańska nie odznaczała się zbytnią jednolitością. Na pierwszym jej planie funkcjonowali oczywiście Serbowie ze „starego królestwa“, pośród których prym trzymał późniejszy minister Łazarz Markowicz, nie wiem, czy nie podległy wpływom „Wielkiego Wschodu“; sympatyczniejsi byli przedstawiciele „irredenty“: Słoweńcy, Chorwaci, Macedończycy nawet, pośród których znowu przewodnią grał jakby rolę Milan Grol, dyrektor teatru z Belgradu i późniejszy także minister.

Równie dobre stosunki jak z Jugosłowianami łączyły nas jeszcze wtedy z Czechami, pomiędzy któ-

[1]) Do niedawna minister spraw zagranicznych Rumunii.

98 b.

dowoleni, niż z równie zdolnego, a nieżyjącego już także, następcy jego w „Journalu", Williama Martina, publicysty w duchu „ligowym". Przy tej sposobności przypomnieć należy wydatne znaczenie w tym czasie „Journal de Genève", jako najbardziej bodaj poczytnego ze światowych organów neutralnych, z drugiej zaś strony zaznaczyć, że w redakcjach tych pism szwajcarskich — sam miałem sposobność raczej to wyczuć, niż skonstatować — nie brakowało na pewno i mniej Polsce przychylnych inspiracji masońskich. Borykać się z nimi musieliśmy nieraz podświadomie, na ogół jednak wszystkie te dzienniki: „Journal de Genève", „Gazette de Lausanne", „Tribune de Lausanne", „Suisse" itp. oddawały sprawie naszej usługi stałe a bezinteresowne.

Osobna karta należy się w tym względzie zmarłemu przedwcześnie Maurycemu Millioud, profesorowi ekonomii politycznej w uniwersytecie lozańskim, którego pomocy w propagandzie naszej doznawaliśmy nieustannie. Wprowadził mnie on m. i. jako kronikarza politycznych spraw polskich do czcigodnej, Mickiewiczowskie jeszcze pamiętającej czasy, genewskiej „Bibliothèque universelle", do młodszej bodaj a żywo redagowanej „Semaine littéraire" i — *last but not least* — do sympatycznego, pełnego archaicznej „myszki", klubu lozańskiego „Cercle littéraire" przy placu St. François, gdzie mogłem ten i ów pożyteczny nawiązać stosunek[1]).

*

Dzieje „Komitetu narodowego" w Paryżu nie wchodzą oczywiście w zakres niniejszego opowiadania; wystarczy zaznaczyć, że z latem 1917 r. datować się po-

[1]) Podkreślić tu pragnę, że jeżeli zwłaszcza w latach 1917 i 1918 naprawdę intensywną rozwijałem propagandę, to możność jej uprawiania zawdzięczam głównie nie zawodzącej nigdy, pełnej poświęcenia i sumienności współpracy mojej żony.

czyna zmierzch emigracji szwajcarskiej, że mianowicie coraz liczniejsi działacze poczynają się przenosić z Lozanny do Paryża.

Objaw ten wpływa ujemnie i na samą strukturę rzeczonej emigracji: zżyliśmy się tu byli ze sobą, a nowe czynniki, które skądinąd napłynęły do tworzącego się „Komitetu", nie odpowiadały nam, pozostałym w Szwajcarii, nieraz w tym samym stopniu; w oddaleniu od centrum mnożyły się zasadnicze i osobiste rozdźwięki.

De nomine pozostaję w łonie „Ajencji" do połowy lipca 1918 r. (faktycznego rozstrzygnięcia się wojny) — z tej bowiem daty posiadam list prezesa Dmowskiego, wyrażający mi „szczerą wdzięczność" za dotychczasową współpracę (zerwanie moje z „Ajencją" nie było więc ostre i przykre), nieraz też w tym czasie przejściowym liczyć się z nią muszę i współpracować. Ale in merito podlegam już wpływom odmiennym i wchodzę w skład „Federacji politycznej polskiej", która działa w latach 1917 i 1918.

Twórcy tego ostatniego związku wszyscy niemal są już w grobie: nie żyje kuzyn mój, Konstanty Plater, do którego osoby powrócę szczegółowo w dalszych rozdziałach tej pracy; nie żyje Jan Zieliński, który najwięcej się przyczynił do rozbudowy ideologii „federacyjnej", i nie żyje Paweł Benni, który przedstawiał w naszym gronie skrzydło najbardziej demokratyczne.

Odezwa ujawniająca „Federacji" pojawiła się dopiero w październiku 1918 r., więc już po wyjściu moim z „Ajencji"; rzec jednak można, że poglądy stanowiące podłoże ideowe naszego związku nurtowały w nas o wiele, wiele już wprzódy. Oceniając zaś trafność ich lub zawodność w perspektywie pełnych lat dwudziestu, mam do zauważenia, co następuje:

1) Zaczynając od wartości pozytywnych ideologii „Związku", uważam, że po dziś dzień nie przebrzmiała i zachowała walor realny zasada, która niejednemu

skim widzieć szerszą płatformę międzypartyjną, aby w braku tej spójni nie znaleźć się „sam na sam" w stosunku do przerostów partyjnych czy „nahalstw" mniejszościowych. Głosili hasła wilsonowskie, przekonani o tym, że ich ogólna tendencja odpowiada „duchowi dziejów Polski". Ale tu w grę wchodziła znowu nierozłączna trójca polityczna: Wilson—Balfour—Lenin; i „Komitet paryski", jakkolwiek taktycznie z pewnością wielokrotnie nie miewał racji (przyczyniały się do jego błędów wydatnie elementy „napływowe", o których wyżej była mowa), miał jednak w stosunku do nas o tyle słuszność, że — nie zawsze świadomie, nie zawsze zręcznie, nie zawsze skutecznie przeciwstawiał się jednak temu, co w Wilsonie — powiedziawszy symbolicznie — trąciło Balfourem czy nawet Leninem. Myśmy chcieli być sam na sam z naszymi ideałami dziejowymi, szerocy w pogladach miedzypartyjnych i międzystanowych, nie braliśmy zaś tego pod uwagę, w dostatecznej przynajmniej mierze, że te nasze szczerze pojęte koncepcje wyzyskać gotów ktoś trzeci, uznajacy „międzypartyjność" o tyle tylko, o ile by ona nie kolidowała z jego interesami rasowymi, i głoszący „wilsonizm", jak dawniej „demokrację", wyłacznie po to, aby przy ogniu entuzjazmów anno 1918, jak dawniej anno 1848, upiec swoją pieczeń.

*

Na razie jednak pod koniec tego brzemiennego wypadkami roku 1917 (jesień przyniosła klęskę włoską) — po dawnemu, nad Lemanem czy nad Aarem, stały naprzeciw siebie dwa skłócone ze sobą fronty polskie. Rozłam ten wystąpił najjaskrawiej na jaw w październiku wspomnianego roku z okazji urządzanych wtedy przez emigrację obchodów setnej rocznicy zgonu Kościuszki — w Lozannie, Rapperswilu i Solurze.

1) por. wzmiankę w pamiętnikach Wojnickiego

z nas przyświecała przy tworzeniu „Związku“, a to żeby życie państwowe przyszłej Polski oprzeć na możliwie szerokiej kolaboracji żywiołów usposobionych narodowo, patriotycznie. Ja osobiście wielkim jestem przeciwnikiem „kapliczek“ czy „sekt“ partyjnych, społecznych, literackich, ubolewajac zawsze, gdy widzę, że ten objaw zachodzi tam, gdzie jedna powinna nas wszystkich przykrywać kopuła. Dzieje ostatnich lat blisko już dwudziestu wskrzeszonej niepodległości uczą nas do syta, jak to jedno „partyjnictwo“ luzowało drugie, ile do zaburzenia równowagi narodowej przyczyniły się nieprzytomne, nieraz pijane prywatą ataki na tego czy innego działacza itd. W tym więc sensie zacytowany na tych kartach testament niejako polityczny Bronisława Piłsudskiego (umarł wszak wkrótce potem śmiercią tragiczną u wrót naszej niepodległości) był istotnie szczytnym, choć dotąd nie zrealizowanym programem.

2) Szlachetnie również pomyślanym punktem naszego programu był jego „wilsonizm“. Zbyt bowiem dużo w „duchu dziejów Polski“ (kraj także myślał wtedy tego rodzaju kategoriami) było analogicznych wspomnień historycznych: unijnych, federacyjnych czy bodaj nawet „ligowych“, by na donośny głos prezydenta Stanów, który w dodatku gerował się wtedy jako jeden z wskrzesicieli Polski, nie zareagowały żywszym tętnem młodsze, goretsze serca Polaków. Dość wziąć do ręki niektóre z naszych ówczesnych wydawnictw[1]), aby zobaczyć, że tak było. Wszak i w okresach późniejszych niektórzy „dobrze myślący“ i żywo przywiązani do tradycji Polacy „brali“ się na hasła „Ligi Narodów“, póki się z czasem — niektórzy przynajmniej — nie przekonali, komu, czyim celom ona służy.

3) I tu roztwiera się dylemat trzeci. Patrioci „federacyjni“ — jak się rzekło — pragnęli w narodzie pol-

Obchód w Lozannie był nie zmącony żadną waśnią. Rdzeń jego stanowiła uroczysta — jak się dziś mawia — „akademia“ w wielkim teatrze miejscowym z zagajeniem Perłowskiego, słowem wstępnym Milliouda i obszerną moją prelekcją historyczną, oczywiście w języku francuskim. Druga część obchodu przeznaczona była przede wszystkim dla cudzoziemców licznie wypełniających teatr. Złożyły się na nią żywe obrazy o wysokiej klasy podkładzie muzycznym (Opieński, Szymanowska itp.), a punktem kulminacyjnym przedstawienia była świetnie wykonana „Przysięga Kościuszki na Rynku krakowskim“.

Kiedy przebrzmiały dźwięki „Jeszcze Polska“, towarzyszące żywemu obrazowi, jako jeden z głównych organizatorów obchodu wezwany zostałem z widowni za kulisy. Wyniknął tam bowiem pierwszy i Bogu dzięki jedyny dnia tego „incydens“. Oto sympatyczna delegacja jugosłowiańska, prowadzona tego wieczoru przez b. premiera czarnogórskiego, Miuszkowicza, postanowiła złożyć wspaniałe kwiaty u stóp symbolicznego „Kościuszki“. Na ten widok, na widok wkraczającego na scenę byłego przywódcy narodu, o którym car rosyjski niegdyś się wyraził, że jedynym jest przyjacielem caratu, zawrzało w piersiach niektórych emigrantów. Ale kurtuazja wzięła w końcu górę nad sentymentem czy resentymentem: ~~epizod z~~ wieńcami nie został zakłócony.

Gorzej już było w Rapperswilu. Tam zjawiła się delegacja z okupowanej Warszawy (jeszcze niekompletna — w pełnym składzie przybyć miała dopiero do Solury) i zaraz poczęto z tej strony robić wysiłki, aby nadać obchodowi, zapewne dla uwydatnienia momentu, w którym powstawała „Rada Regencyjna“, specyficzne piętno polityczne. Obchód w Rapperswilu wypadł zresztą ~~poważnie~~. Rankiem zbudziły nas surmy z wież zamkowych; potem na wałach uszykował się pochód; jedną z głównych mów wygłosił późniejszy prezydent

Rzeczypospolitej Narutowicz, podówczas profesor w Zurychu.

Dopiero jednak w Solurze Polska i Szwajcaria podały sobie dłonie, aby uczcić „Naczelnika", który tu się schronił przed stuleciem. Gdyśmy wkraczali do wspaniałej katedry na nabożeństwo, zbliżył się do mnie jeden z delegatów warszawskich, kuzyn mój, poeta Ludwik Hieronim Morstin, i zakomunikował mi, że przybyła już pełna delegacja z Warszawy, której imieniem przemawiać ma jeden z członków kreowanej przez okupantów „Rady Stanu". Nic oczywiście nie mogliśmy mieć przeciw osobie mówcy, którym miał być czcigodny, dzisiejszy biskup podlaski, ksiądz Przeździecki, ale mieliśmy za sobą wyraźny pakt zamykający przewlekłą waśń emigracyjną, datującą się jeszcze od aktu 5-go listopada i śmierci Sienkiewicza, wyraźny pakt, który stanowił, że dla zagwarantowania zupełnej jednomyślności narodowej w czasie tego wielkiego obchodu nikt z zaangażowanych politycznie po którejkolwiek stronie frontu nie będzie zabierał w szeregu oficjalnych przemówień głosu. W Solurze występowałem jako delegat „Komitetu paryskiego", z którego nikt przemawiać tu nie zamyślał, i strzegłem twardo dochowania naszej umowy. Toteż dramatyczna była chwila, gdy ruszył już olbrzymi pochód, gdy zagrały orkiestry szwajcarskie, Morstin zaś, blady, przybiegł do mnie, grożąc mi represaliami opinii krajowej, gdybym trwał nadal na opornym moim stanowisku. Ugiąć się nie myślałem i pewien jestem, że powaga i harmonia pięknej manifestacji w znacznej mierze zagwarantowane zostały moją nieustępliwością.

*

W okresie tym nie straszyły mnie już „represalia opinii krajowej", którymi groził mi Morstin, dlatego że opinia ta była rozbita, ale w przeważającej części swojej przechylała się już do tych poglądów, które myśmy

żywili na emigracji, obchodzić mnie za to musiały inne jeszcze „represalia“, a to — ze strony austriackiej.

Napisałem, że rozwód mój jako poddanego „monarchii apostolskiej“ z tąż monarchią odbył się w formie raczej łagodnej separacji. Do pewnego tylko stopnia: istotnie, jeżeli chodzi o „powinność wojskową“, fakt podpisania przeze mnie wiadomej „deklaracji lozańskiej“ przeciął o tyle radykalnie stosunki moje z c. k. „*Ersatz-komendą*“ austriacką, że odtąd od niej żadnych dalszych wezwań do „narukowania“ nie otrzymałem, co nie przeszkadzało wszakże, że zrezygnowawszy z „wcielenia“ mnie do c. k. armii, Austria zapisała mnie niemniej na „czarnej liście“, a mianowicie ojcu mojemu do Uniwersytetu Jagiellońskiego przysłane zostało zawiadomienie o wszczęciu przeciwko mnie dochodzenia karnego na podstawie paragrafu ... kodeksu k. („o czynne pomaganie nieprzyjaciołom państwa“).

Ojciec mój, nie mogąc docenić powolności metod austriackich, których tempo nabrałoby było ostrości dopiero na wypadek wygranej wojny, prosił wtedy jadącego do Davosu przyjaciela naszej rodziny, dr Buzdygana, o widzenie się ze mną i możliwe nakłonienie mnie, abym zaniechał wszelkiej akcji politycznej. Spotkałem się z Buzdyganem, ale żadnej w tym względzie obietnicy mu nie dałem, a jedynym bodaj rezultatem tej ojcowskiej interwencji było powstrzymanie się moje — następnej wiosny — od wzięcia udziału w niezbyt podobno zresztą fortunnym kongresie „uciśnionych przez Austrię narodowości“ w Rzymie. Postąpiłem tak m. i. i dlatego, że ojciec wybrany został właśnie wtedy prezesem Akademii Umiejętności w Krakowie, więc sądziłem, że ta moja abstynencja dopomoże do niezbędnego zatwierdzenia go na tym stanowisku przez cesarza.

Ale znowu wypadki w ułatwianiu mi moich decyzji poszły mi na rękę. Wprawdzie gdzieś od Nowego Roku

1918 wiedzieliśmy już (bodaj przez przybyłego do Szwajcarii, w tajemniczy zawsze nieco sposób Miklaszewskiego) o przygotowującej się na froncie zachodnim potężnej ofensywie niemieckiej, ale luty, miesiąc pokoju brzeskiego, oświecił nas (na okres ten przypadła wspomniana już misja do nas X. Jełowickiego), że kraj cały już prawie poczyna myśleć tak, jak my, tj. życzy sobie zwycięstwa „Ententy".

W tym nastroju uczestniczyłem i przemawiałem na dużym mityngu robotników polskich w Zurychu urządzonym przez wspomnianego wyżej Benniego[1]). A przebieg zebrania tego był wzruszający: pierwszy raz usłyszałem tam m. i. odśpiewaną „Rotę". Że jednak strona nam przeciwna, strwożona postępami jednomyślności w narodzie, również nie „zasypiała gruszek w popiele", posłuży jako przykład fakt poniższy, noszący na sobie niewątpliwe dla mnie znamiona prowokacji.

Teren szwajcarski bywał w czasie wojny nader śliski. Obecność owych „20000" szpiegów niemieckich, nie licząc innych, rozsianych po różnych miejscowościach i organizacjach, stwarzała sytuacje wymagające ciągłej ostrożności. Pamiętam np., gdy na Nowy Rok bodaj 1916 telefonowałem do Montreux, do późniejszego ambasadora Skrzyńskiego, w chwili gdy się zgadało z nim o świeżym przemówieniu jednego z ministrów austriackich, uczułem nagle, jakby Skrzyńskiego przy telefonie zabrakło, gdyż ja ostatnią moją tyradę wypowiedziałem pod adresem czyim innym, dajmy na to — portiera hotelowego. Była to dla mnie „wiosna" podsłuchu, co tak bujnie rozplenić się miała w Polsce. Innym razem zjawiło się u mnie, przypadkowo a równocześnie, dwóch przyjezdnych z różnych stron znajomych mi dobrze Polaków, z których każdy — tutaj już „psychoza wojenna" wkraczała w swoje prawa — prosił mnie najpierw „na boczku", abym przedstawił

1) Patrz moje „Trzy przemówienia".

go drugiemu koniecznie pod zmienionym nazwiskiem[1]). Abstrahujac wszakże od przesad, przyznać trzeba, że strzec się należało nade wszystko prowokacji, którą ajenci ‚centralni" umieli też uprawiać w tym sensie. aby starać się działaczy „ententofilskich" kompromitować możliwie przed „Ententą".

Z taką to „fałszywą grą" spotkałem się osobiście na tę wiosnę 1918 r. Sprawcą pokoju brzeskiego był, jak wiadomo, hr. Czernin, i o to chodziło teraz, aby tego autora odpowiedzialnego możliwie „wymyć" ze słusznie mu stawianych, i to z niejednej strony, zarzutów. Oto więc jakiego fortelu chwyciło się austriackie biuro prasowe:

Przez „kanał" arystokratycznych kół austriackich, które, jak wiadomo, kupiły się głównie w Montreux, poczęto rozpuszczać pogłoskę, przez niektórych w dobrej powtarzaną wierze, że pokój brzeski wcale nie był dziełem hr. Czernina, ale „kliki katolickiej", koncentrującej się wokół cesarzowej Zyty, a pośród której „pierwsze skrzypce" grać mieli rzekomo dwaj wysocy dostojnicy kościelni: generał jezuitów Włodzimierz hr. Ledóchowski i metropolita lwowski Andrzej hr. Szeptycki.

Wiadomość ta podana mi została w Lozannie przez osobę komunikującą się bezpośrednio czy pośrednio z rzeczonym środowiskiem w Montreux, „dobrze myśląca", ale w tym wypadku naiwna, z wyraźną insynuacja, abym wiadomość tę przekazał urzędującemu już biuru prasowemu „Komitetu Paryskiego" do ewentualnego rozpowszechnienia w prasie francuskiej.

---

[1]) Działy się i inne fakty, dotąd dla mnie nie wytłumaczone. Tak np. wręczono mi przez pomyłkę — w Ouchy — telegram do innego działacza polskiego, także w tej dzielnicy miasta zamieszkałego, poddanego pruskiego, ale „wszędobylskiego", od syna, jeńca wojennego, internowanego w Moskwie, z zapytaniem, kiedy go ojciec tamże odwiedzi. A było to przed wybuchem rewolucji rosyjskiej.

Wiadomość brzmiała bardzo sensacyjnie i muszę się przyznać, że otrzymawszy ją, namyślałem się, czy jej nie posłać do Paryża. Znałem wszak z historii tendencje zakonu jezuitów do propagowania obrządku rzymskiego na Wschodzie, nazwisko zaś metropolity Szeptyckiego figurowało w tej informacji coś jakby przynęta dla „endeckich" moich kolegów. Skoro jednak wraz z najdroższą żoną moją usiedliśmy do maszyny i myśli moje rozpocząłem stroić w formę komunikatu, ona, z tą niezawodną intuicją kobiecą, która ją zawsze charakteryzowała, od razu zreflektowała mnie w kierunku możliwej prowokacji. Żachnąłem się na nią zrazu — pamiętam: tu bowiem grała we mnie „żyłka" czy „deformacja" zawodowa, ale w końcu ustąpiłem i substrat rzeczonej informacji poszedł do kosza.

W parę zaś dni później szydło wyraźnie wyszło z worka. W „Basler Nachrichten", organie inspirowanym przez propagandę „centralną", pojawiła się ta sama „bajeczna" wersja z przydatkiem jeszcze projektu austriackiej „sekundogenitury" w Rumunii, co już wyraźnie wskazywało na patronat hr. Czernina[1]); inspiratorowie zaś tej „sensacji" tak dalece byli pewni, że na lep ich pójdziemy, że jeden z ludzi blisko ich stojących, przybywszy w tym czasie do Lozanny, insynuował wprost dyrektorowi naszej „Ajencji", że myśmy też ogłosili tej treści komunikat. Ręka Boska mnie tu strzegła: gdybym nie był posłuchał rad żony, zaraz u nieufnej „Ententy" wygrałoby się było zbieżność naszych informacji z tymi z germanofilskich „Basler Nachrichten", a do kraju byłaby pobiegła wieść skrzydlata, jak to plugawimy suknię duchowną dostojników Kościoła[2]). Nie odmówiłem sobie tylko w końcu przyjemności

1) Por. „Encyklopedia Nauk Politycznych", Warszawa 1937 (art. „Czernin").

2) Nawiasem mówiąc, rezultatem tejże propagandy były nieco wcześniej artykuły w poważnym miesięczniku katolickim na temat rzekomego akcesu „endeków" do idei „kościoła narodowego".

przedstawienia całej tej sprawy X. generałowi Ledóchowskiemu, który bawił wtedy również w Szwajcarii (w Zizers).

*

Wszczynała się i pękała tymczasem ostatnia niemiecka ofensywa; trzeszczała militarna budowa Austrii, o czym nam konkretne wiadomości przywoził wspomniany już wyżej, „wszędobylski" Władysław ks. Lubomirski. W Galicji zaś łudzono się jeszcze ciągle w dobrej wierze (po sprawie Sykstusa i pokoju brzeskim!), że „Ententa" pójdzie na tzw. „rozwiązanie austro-polskie". Jeszcze w początku września 1918 przywiózł mi Skrzyński list od ojca, zalecający mi, bym się zastanowił nad tą koncepcją. Dużo sceptyczniejszy w tym względzie był bawiący wtedy znowu w Lozannie kuzyn mój Franciszek, który z właściwym sobie humorem ironizował, że kiedy teraz trafia mu się pojechać do Galicji, to jakby mu tam w uszach brzmiała „Marsylianka", śpiewana na nutę „Gott erhalte!" (po czym pociesznie produkował ten motyw muzyczny).

Żart jednak na bok: skoro zapragnąłem, aby te pamiętniki wypadły obiektywnie, w niewielu zdaniach postaram się uwydatnić dylemat, którego „stromości" widoczne są całkiem wyraźnie z 20-letniej blisko perspektywy.

Politycy polsko-austriaccy — nie wszyscy zapewne, bo i wśród nich trafiać się mogli „fałszywi bracia" — dużo silniej na ogół od polityków polskich na Zachodzie odczuwali wtedy — że się tak wyrażę — sensus catholicus toczącej się wojny. Odczuwali go nieraz tylko podświadomie, gdyż doświadczenie lat przedniepodległościowych wykazało, jak słabo uświadomieni byli na punkcie masonerii. Więc nikt nie mógł wymagać w tej dobie ode mnie, młodego stosunkowo działacza, aczkolwiek historyka, ażebym zdawał sobie sprawę — ach! wiemy wszakże ,co w sobie kryje „historia oficjal-

na"! — z tego, że wojna 1914—18 była między innymi epilogiem odwiecznego szturmu masońskiego na katolicką Austrię. Tam Cromwell czy Komeński, tu Lloyd George czy Masaryk, prowadzili szturm ten z nie zmniejszonym od Białej Góry i „Okrągłych głów" impetem. Austria zaś — to nie była już Austria Ferdynandów, katolicka, bądź co bądź do szpiku kości, choć, jak chcą przeciwnicy, sztywnie fanatyczna, ale Austria „mająca w kościach" Józefa i Metternicha, stulecie rządów policyjnych i pięćdziesięciolecie koncepcji parlamentarnej, divide et impera, które zmogło w końcu viribus unitis.

Toteż, gdy pod koniec tej wojny patricci idei habsburskiej (Węgrzy i nieliczni Polacy) skłonni byli ratować jeszcze tę tonącą nawę, inni Polacy — a do tych myśmy należeli — z Czechami i Włochami z „irredenty", z Jugosłowianami i Rumunami zadawali jej w Genewie cios ostateczny.

Widzę tę salę, gdzie się zebrali przedstawiciele tych pięciu narodowości. Prezyduje Amerykanin, profesor Herron, przyjaciel Wilsona, pastor nie pastor, z wyglądu wolnomularz, *wie es im Buche steht* — dziś to piszę i taki „jestem mądry", ale wtedy nie orientowałem się w tej jego zewnętrznej kwalifikacji. Jest koniec października. Czesi mają gęste miny: wczoraj dopiero ogłoszona tu została ich niepodległość. W przeciwległym hotelu „Beau-Rivage" spotkaliśmy właśnie z Platerem Kramarza, którego Plater znał już poprzednio. Gdy mu zostałem przedstawiony, zapytałem trochę zdawkowo: „Ekscelencja (tak się mawiało „po galicyjsku" do byłych „tajnych radców", nawet „zdrajców stanu") musi być mocno zmęczony podróżą w uciążliwych warunkach". — „Gdzież tam? — odrzekł, śmiejąc się, Kramarz — wobec przerwanej komunikacji z Feldkirch do Buchs (granicy szwajcarskiej) Austriacy przewieźli mnie w umyślnie przystawionej „salonce". *(O, du mein Oesterreich!)*

Czesi więc mieli gęste miny, choć w stosunku do nas już zaczynały się z ich strony rozdźwieki (Plater odbył nazajutrz długą rozmowę z Kramarzem, która wielce zaniepokoiła go co do Cieszyna). Ale w przemówieniach delegatów — mówił najpierw imieniem Włochów ks. Vercesi, późniejszy biograf Piusa X, potem ja, potem ktoś imieniem Rumunów, potem Czech, potem Chorwat Gmajner — pobrzmiewała nuta optymistyczna: byle nie dopuścić do „federalizacji" Austrii (a o to chodziło głównie w tej chwili cesarzowi Karolowi i jego Węgrom) — wszystko będzie dobrze, nastanie „wiek złoty" i wieczysta zgoda... między Czechami a Polakami, między Jugosłowianami a Włochami itd.

Taki to był sen tego wieczoru nad Lemanem na dwa tygodnie przed zawieszeniem broni[1]).

*

Dzień rozejmu spędzam w łóżku: „hiszpanka" o wyniku zawsze wtedy niepewnym, jakby na znak, że nie mam się nadto cieszyć ze spełnienia moich marzeń, bo może legnę sam „u sławy grodu". Ale dzięki mojej żonie, pielęgnującej mnie z jej tylko właściwym poświęceniem, w kilka tygodni potem, z nieznacznym zatem

[1]) W rozgrzanej wówczas atmosferze genewskiej narażony zostałem również osobiście na przejściowe qui pro quo: mianowicie szef wywiadu włoskiego na tym terenie, niejaki Perri, uwięziony zresztą przez władze szwajcarskie rywal francuskiego Caselli, insynuował w zeznaniach jakobym w swojej działalności propagandowej działał jako ekspozytura... stryja mojego, b. ministra austriackiego. Wersjom tym szpiegowskim nie uwierzył chyba nikt, znający charakter moich poczynań, tak jak nie brano z drugiej strony na serio wspomnianego Caselli; mając zaś doskonałe stosunki z oficjalną reprezentacją włoską, ukręciłem tej „kaczce" zawczasu głowę, skoro tylko uprzedzony o niej zostałem przez dwóch rodaków, ideowo mi nie bliskich, ale wtedy ze mną sympatyzujących, a to inż. Stanisława Hempla i owego „strzelca" Kittaya, który sekundował był niegdyś przeciwko mnie Studnickiemu.

tylko opóźnieniem, gotów jestem do dawno zamierzonej wyprawy do kraju.

Wyjeżdżam do Polski w towarzystwie kolegi mojego z „Ajencji", później zaś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Aleksandra Ładosia. Ruszamy z Berna w przeddzień bodaj wilii 1918 r. Droga przed nami niepewna, bo Niemcy w demobilizacji, w rewolucji. Radzimy się profesora Förstera, który tymczasem awansował na posła bawarskiego i okupuje gmach poselstwa niemieckiego. Förster, uprzejmy jak zawsze, odprowadza nas na kolej, chce dać list do Kurta Eisnera (jeden to przykład więcej, jak w tej i po tej wojnie najszlachetniejsi ludzie mieszali się niekiedy z mętnymi awanturnikami), przestrzega nas tylko, byśmy ze względu na tłok demobilizacyjny nie brali ze sobą, broń Boże, więcej ponad małą walizkę.

Nazajutrz rano jedziemy do Lindau, na granicę niemiecką, przez jezioro Bodeńskie. Tam nowa czeka nas niespodzianka. Gdyśmy przybyli do portu, obskakuje nas u wybrzeża „rada robotników i żołnierzy" (mieliśmy mocne podejrzenie, że to przebrany „drugi oddział"), indaguje nas z osobna w improwizowanych separatkach o rozmaite „personalia" (w wywiadzie ze mną kładą wywiadowcy nacisk zwłaszcza na osobę kuzyna mojego, Franciszka). Puszczeni wolno, idziemy odsapnąć w hotelu, a wieczorem coś przekąsić. Sala hotelowa pełna, ale nie żołądki: wilia to osobliwa, bo jej punkt centralny stanowi gęś pieczona, ale w tak minimalnych dawkach, że co głodniejszy chętnie by się dobrał do konserw podróżnych. Nastrój grobowy. Hindenburg ponuro spogląda ze ściany; szepcę do towarzysza podróży: „Tu Wilson by się spłakał!"

Nazajutrz Monachium, kochane miasto moje uniwersyteckie: demobilizacja, czerwone sztandary na pałacach, tylko w „barze holenderskim" w „Vier Jahreszeiten" zacisznie i przedwojennie, jak za swobodnych dni mojej młodości.

Wieczorem Salzburg. Z lekką emocją przestępuję granicę starej monarchii, ale dawnego reżimu już ani śladu.

W drugie święto wieczorem dobijamy do Wiednia: miasto tonie w ciemnościach, tchnie „obrzydliwością spustoszenia“ wojennego; nędza może nie tak jeszcze rzuca się w oczy, jak następnej wiosny, gdy — od dorożkarza do dzieci na ulicy — każdy tu żebrał o resztki chleba z wagonu restauracyjnego. Odwiedzam stryja i nazajutrz ruszamy dalej do Krakowa.

Zatytułowałem ustęp ten w spisie rzeczy: „Powrót syna marnotrawnego“. Trzy i pół roku przeszło nie było mnie w mieście rodzinnym, teraz zastaję je, może nie bliskim mi, jak dawniej, ale zgoła odmiennym. Chorągwie alianckie bujają się na starych pałacach, mundury „Ententy“ mieszają się z polskimi. Trzy i pół roku wyrwanych z normalnej egzystencji sztukuję kontaktem z rodziną i znajomymi. Niejednemu siwizna przyprószyła młodą niegdyś głowę. Niejeden wraca z frontu, jak najdawniejszy mój przyjaciel, Hieronim Tarnowski, co w wojsku austriackim dzielnie przeciwstawiał się Prusakom. A piękna pani, towarzyszka moich zabaw dziecinnych, mówi do mnie z właściwą sobie werwą: „Ta szmata, na której się pan podpisał (deklaracja lozańska), to była porządna szmata“.

Szukam polityków. Na widzenie się z niektórymi może za wcześnie, niemniej odwiedzam i mam zaszczyt przyjmować u siebie jednego z wodzów dawnej mojej partii, Michała Bobrzyńskiego. Spotykam się z Daszyńskim, który, jak mi mówiono, chciał mnie ze skandalem wyrzucić z rady miejskiej, nim w porę przestrzeżony, nie nadesłałem swojej dymisji. Poznaję Witosa.

W Warszawie półtorej godziny rozmawiam z Piłsudskim. Naczelnik Państwa dobrze sobie przypomina ów odczyt krakowski, w czasie którego uległem jego sugestii; ja mówię z nim o nieżyjącym już bracie jego Bronisławie i obiecuję nadesłać mu cytowany tu list

zmarłego, ostatni głos zza grobu. Tym razem Piłsudski nie wywiera na mnie równie fascynującego, jak kiedyś, wrażenia; jest to moment przyjazdu do kraju i dojścia do władzy Paderewskiego — „Naczelnik“ może czuje się słaby i nie wywiera dlatego ówczesnej sugestii; z Ładosiem i ze mną rozmawia m. i. o tym, że zawsze starał się utrzymywać linię neutralną Polski między „centralnymi“ a „Ententą“[1]).

Stykam się także z byłymi regentami, których bądź spotykam u wspólnych znajomych — „aktywistów“ (Kucharzewskiego czy Morstina), bądź też odwiedzam umyślnie, jak ks. Zdzislawa Lubomirskiego. W jego pałacyku na „Frascati“, dzisiejszej siedzibie poselstwa chińskiego, wysłuchuję obszernej opowieści księcia-regenta o latach okupacji; gdy dochodzimy do jego jazdy berlińskiej, dialog się zacina: czuję, że tak zresztą sympatyczny mąż stanu uległ był wtedy nieszczęśliwym wpływom ciaśniejszego swojego otoczenia.

Biorę dalej udział w wielkim obiedzie dyplomatycznym, urządzonym przez śp. szambelana Karskiego na cześć monsignora Rattiego. Przyjechawszy, zgodnie z zaleceniami prof. Főrstera, z jedną tylko walizeczką, tłumaczę się uprzejmemu gospodarzowi, że przyjść nie mogę, mając jeden tylko kostium podróżny. Karski rozprasza moje obawy, zapewniając mnie, że będziemy *en tout petit comité.* „Wyszło“ całkiem inaczej i apartament szambelana zaroił się tego wieczoru od fraków i toalet. Może późniejszy Pius XI przebaczył „kopciuszkowi“ emigracyjnemu i nie zapytał go się, przynajmniej w duchu: „Przyjacielu, jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej?“, trzeba jednak było widzieć „złe“ spojrzenia naszego szefa protokółu.

[1]) Rozmowa ta odbywała się niedługo po znanym zamachu ks. Sapiehy. Nocy tej burzliwej, wychodząc z „Klubu Myśliwskiego“, natknąłem się na kuzyna mojego, Gustawa Chłapowskiego, który mi szepnął do ucha: „Za parę godzin urządzony będzie zamach“.

W Poznaniu, gdzie głębiej niż w Krakowie, wzruszają mnie chorągwie czy mundury alianckie — głodniej i chłodniej, niż w Warszawie. Spotykamy się tam m. i. z Korfantym i Trąmpczyńskim, który uprzejmie ułatwia nam powrotną drogę, tak że nie potrzebujemy jechać we wspólnej „tiepłuszce".

A stosunek do „Komitetu paryskiego"? Właśnie równocześnie z nami bawi w Polsce emisariusz jego, prof. Stanisław Grabski. Z nim się nie spotykamy i nigdy w życiu nie potrafię się porozumieć z tym zdolnym zresztą politykiem i publicystą. A gdybym był zelotą „endecji", mógłbym o sobie powiedzieć, że zawsze bliski byłem „ortodoksyjnej" linii Dmowskiego, nie bacząc na poboczne obrządki niektórych z jego akolitów[1]).

Wrócić do kraju nie było tak łatwo, ale wyjechać z niego wprost wydawało się niepodobne: *Lasciate ogni*

[1]) Mogłoby kogoś zdziwić i mógłby mnie ktoś posądzić o „egomegalomanię", której się nade wszystko chcę tutaj wystrzegać, czytając o wszechstronnych wówczas i łatwych rozmowach moich: Pilsudski, Bobrzyński, regenci itd. Zagadka się wyjaśni, gdy czytelnik sobie uprzytomni, że byliśmy z Ładosiem zaledwie drugimi z kolei w kraju po wojnie przybyszami z Zachodu, a do prof. Grabskiego niekażdy miał zaufanie.

Czasem wszakże z okoliczności tej i dobrych moich niewątpliwie w tym czasie stosunków z „Ententą" zabawne wynikały qui pro quo. I tak, gdy przejeżdżałem w kilka miesięcy później przez Wiedeń tzw. „pociągiem ententowym" (z Paryża), na dworcu Zachodnim znalazła się grupka miejscowej arystokracji polskiej. Był wśród niej i pewien magnat, o jakie 20 lat ode mnie starszy i nie wolny od ambicji czy przynajmniej ruchliwości politycznej. Pociąg stał krótko, ale nasz oligarcha zdołał się ze mną w czasie krótkiego postoju na tyle spoufalić, że zaproponował mi — przez okno wagonu — braterstwo. „Diabli wiedzą — myślał sobie z pewnością — może tu mam do czynienia z przyszłym ministrem spraw zagranicznych" (było to świeżo po mojej nominacji na radcę poselstwa); zawiodłem jego nadzieje i odtąd jesteśmy dalej na „pan" i „książę". Sic transit gloria mundi.

speranza, voi ch'entrate. Miałem ze sobą mocne rekomendacje (*laissez-passer*) „Ententy", ale na „zakorkowanie" nas w stosunku do Zachodu przez Czechów (i Niemców) nic poradzić nie mogła „Ententa" wielka (w szczególności obecna w kraju misja generała Barthélemy'ego) ani Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ani nawet „drugi oddział".

Po wielu legalnych a próżnych wysiłkach (było to już w drugiej połowie lutego) przeważyło zdanie energiczniejszego Ładosia, że należy tentować „zamachu stanu". Wybraliśmy się więc do „węzłowej" podkrakowskiej Trzebini i czekaliśmy noc całą — z innymi zresztą towarzyszami podróży — na pierwszy bodaj tzw. pociąg „ententowy", który miał jechać z Warszawy do Paryża. Niebawem wjechał istotnie na stację trzebińską bliźni jego „ekspres" Paryż-Warszawa (wiozący m. i. przyszłego ambasadora Skirmunta), ale wjeżdżając na dworzec — o złe dla nas omen! — zahaczył o „osobówkę" nadjeżdżającą tymczasem z Krakowa (skończyło się zresztą bez większych ofiar i uszkodzeń ambasadorskich).

Po tym intermezzu zjawił się wkrótce „ekspres" z przeciwnej strony. Ten trzeba było brać szturmem, gdyż *wattman* francuski puszczał pasażerów z Polski bardzo niechętnie, bojąc się czeskich represaliów. Ale w tym punkcie pomogły moje rekomendacje „ententowe" i do sleepingu wtargnęliśmy: Ładoś, ja, dziennikarz Nunberg z Zurychu, dwóch panów z Warszawy, wiozących ważne dokumenty do „Komitetu narodowego" i — *last but not least* — oficer polski Słonecki, w pełnym mundurze, jadący do chorego ojca do Wiednia.

Minęliśmy graniczną Olzę, strzeżoną przez uzbrojonego szyldwacha, i pociąg nasz, zdobny w malownicze „trykolory" na wagonach, zajechał na stację w Piotrowicach. Sytuacja była dramatyczna. Ale jak w napiętych chwilach dramatu zjawia się czasem na scenie satyr i potrząsa błazeńskim swoim kaduceuszem, zna-

lazła ujście i wyjście najprostsze i niespodziewane. Oto Słonecki w pełnym swoim polskim mundurze wychylił się pierwszy przez okno wagonu i za chwilę z ust jego posłyszeliśmy pełen poufałości okrzyk: „*Servus*, Berski, świnio jedna, cóż to mnie nie poznajesz?" Tak brzmiało powitanie wystosowane do dawnego towarzysza broni spod czarno-żółtych sztandarów monarchii habsburskiej. Chwyt się udał, a reszty dokonała moja czeska rekomendacja podpisana przez późniejszego premiera Svehlę.

Słoneckiego udało się przemycić do Wiednia, my zaś via Pragę skierowaliśmy się w stronę granicy szwajcarskiej. Ale tu czekał nas kram nowy: Szwajcaria nie chciała w tej porze wpuszczać do siebie cudzoziemców, lękając się o aprowizację i propagandę bolszewicką: nie chciała dać nam zatem w Warszawie wizy powrotnej i nie byłaby nas wpuściła w swoje granice. Wdał się jednak w tę sprawę oficer francuski, eskortujący w Austrii nasz pociąg, któremuśmy pokazali byli moją rekomendację ambasady w Bernie i — bez wizy — udało nam się przejechać Buchs. Epilog tego nadużycia był niezwyczajny: w szereg tygodni po tym epizodzie zjawił się w moim mieszkaniu w Lozannie „tajniak" szwajcarski z zapytaniem, czy nie jestem przypadkiem „bolszewikiem". Pytanie naiwne, ale w biurokratyczno-policyjnej jego czaszce dostatecznie motywowane ostatnim wjazdem moim do Szwajcarii.

*

Końcowy kwartał pobytu mojego w Lozannie był już mdły i blady. Miasto wracało do swojej przedwojennej funkcji „kurortu". Z Polski napływali do niego ludzie, zmęczeni wojną, na dobrze zasłużony odpoczynek. Przybył więc m. i. ks. Zdzisław Lubomirski. Do niedalekiego Prangins zawitał biedny, wygnany z Wiednia, cesarz Karol: w Genewie, w „autobusie", spotkałem jadącego doń starego znajomego z Krakowa, „czer-

wonego księcia" Ludwika Windischgrätza. Lozanna też coraz bardziej przypominała wtedy jakąś arystokratyczną „Koblencję", trochę już *le Coblence de la réforme agraire.*

Postawiony raz więcej w życiu na rozstajnych drogach: czy wracać do kraju, czy imać się czegoś innego na obczyźnie, 23 maja otrzymałem niespodziewaną depeszę z Warszawy. Jan Marian Horodyski telegrafował mi w imieniu Paderewskiego: *Alexandre* (Skrzyński) *nommé ministre Bucarest, toi conseiller*[1]). Tak się kończył dla mnie trzechletni przeszło pobyt w Lozannie.

*

W dziesięć lat po wyjeździe z Lozanny, z okazji udziału w kongresie katolickim we Fryburgu, zawitałem znowu nad Leman. Jak za czasów mickiewiczowskich,

jego woda, jak dawniej czysta
stała wielka i przejrzysta.

Ale w starych budynkach ludzie już uczynili wyłomy. Zniknął poczciwy nasz „Gibbon" ze swoim pięknym widokiem na jezioro, ustępując miejsca bardziej „amerykańskiej" budowli. Stały jeszcze inne gmachy, ale cicha Lozanna „amerykanizowała" się i skądinąd widocznie: rącze autokary łączyły ją już od niedawna z odległymi nawet gniazdami górskimi, awiony z przeciwległym brzegiem francuskim.

Jak Chitcher z wschodniej ballady generała Morawskiego, chodziłem po tym zmienionym dla mnie mieście:

---

1) Horodyskiego znałem jeszcze z karnawałów krakowskich. O jego znaczeniu podczas wojny na Zachodzie, a specjalnie w otoczeniu Paderewskiego, świadczy rozmowa, którą miałem był na wiosnę t. r. z *chargé d'affaires* amerykańskim w Bernie, wspomnianym Wilsonem, który dał mi do zrozumienia, że dwaj Polacy, do których rząd Stanów w tej chwili największe żywi zaufanie, to — Paderewski i Horodyski.

I znów zastałem gród wielki, wspaniały

. . . .

Pytam: od dawna te gmachy powstały?

I znów jak ten Chitcher — w odległości tylko dziesięciolecia, ale w okresie zawrotnie pędzących naprzód wypadków — odczułem przelotnie marność, znikomość rzeczy ludzkich. Stała jeszcze „Sainte-Luce“ (dziś podobno już nieistniejąca), gdzie ostatni wieczór po wojnie spędziłem ze Skarbkiem i panią Pilecką, ale ich obojga nie stało. Zeszedłem ku jezioru i zatrzymałem się na chwilę przed inaczej już nazwaną moją „willą Florence“, nie wiedzialem zaś, że w kieszeni noszę wyrok śmierci nie na siebie, ale na najdroższą żonę moją, która jak zawsze, tak i w tej Lozannie, była mi w ciężkich nieraz chwilach ostoją charakteru, radą, pomocą i sumieniem. Był to list jej własny z pierwszą wiadomością o rozpoczynającej się długotrwałej, śmiertelnej już jej chorobie.

Więc, jak owemu Chitcherowi z ballady generalskiej, tak i mnie — po latach dziesięciu — zrobiło się w tym cudnym, słonecznym krajobrazie pusto jakoś i cmentarnie. I skłonny byłem powtórzyć jego skargę, gdy na gruzach przebrzmiałej bez śladu przeszłości spotkał wieczny wędrowiec pośród stepów i lasów pasterza czy pustelnika:

Zastałem stepy puste, nieprzejrzane

. . . .

Badam i pytam o straszną przemianę,
Lecz on o żadnym nie zasłyszał grodzie.

. . . .

Jedno się wali, drugie wzrasta z czasem,
Tak las ten zawsze był i będzie lasem.

Rozdział trzeci

NA PLACÓWCE BUKARESZTEŃSKIEJ (1919—1920)

Dramatyczna wyprawa. Wjazd do Bukaresztu. Trzy i pół poselstwa polskiego w stolicy hospodarów. „Wręczenie listów". Dzień Wersalu. „Independence day". „Szkoła" p. Docana. „Intermezzo" szwajcarskie. Szpital w poselstwie. Przyjazd rodziny i jego niespodzianki. Pierwszy raz „chargé d'affaires". Poselstwo nasze i poselstwa obce. Stosunek do Rumunów: rząd Vaidy-Voëvoda. Epizod ze zbiegami polskimi z Odessy. Inauguracja uniwersytetu rumuńskiego w Koloszwarze. Powrót Skrzyńskiego: seria wielkich balów w poselstwie. Charakterystyka towarzystwa rumuńskiego. Przyjazd Rozwadowskiego. Wyprawa do kraju. W okresie bitwy warszawskiej. Drugi raz „chargé d'affaires": urzędowanie w poselstwie i kontakt z rumuńskim światem politycznym. Kryzys w stosunkach z posłem. Decyzja wyjazdu. Pożegnanie ze służbą dyplomatyczną. Cienie śmierci nad wołoską równiną.

„Ihr naht euch wieder, schwankende Gestalten,

. . . .

Versuch ich wohl, euch diesmal festzuhalten?
Fühl' ich mein Herz noch jenem Wahn geneigt?

. . . .

Ihr bringt mit euch die Bilder froher Tage,
Und manche liebe Schatten steigen auf;

. . . .

Der Schmerz wird neu, es wiederholt die Klage
Des Lebens labyrinthisch irren Lauf
Und nennt die Guten, die, um schöne Stunden
Vom Glück getäuscht, vor mir hinweggeschwunden.

. . . .

Ein Schauer fasst mich, Träne folgt den Tränen,
Das strenge Herz, es fühlt sich mild und weich;
Was ich besitze, seh' ich wie im Weiten,
Und was verschwand, wird mir zu Wirklichkeiten".

(Goethe : *Faust.*)

Kiedy w czerwcu 1919 r. przejeżdżałem znowu przez Kraków, udając się z Lozanny do Bukaresztu, w salonie hr. Katarzyny Baworowskiej spotkałem wuja jej męża, Agenora hr. Gołuchowskiego. Stojący już nad grobem mąż stanu wspominał mile pierwociny rumuńskie wielkiej swojej kariery: „Najprzyjemniejsza to była z placówek moich" — wyraził się do mnie, a przywtórzyliby mu zapewne koledzy jego z tej placówki: Bülow i Czernin.

Do Bukaresztu jechałem w poselstwie innego dyplomaty ze szkoły austriackiej. Był nim Aleksander Skrzyński, którego już z lekka scharakteryzowałem w pierwszym rozdziale tych wspomnień.

Skrzyński, mężczyzna wówczas 37-letni, młody ciałem i duchem, niezwykle zdolny i bystry, niepozbawiony też dodatnich stron charakteru, jak odwagi fizycznej, odwagi brania odpowiedzialności za postępki swoje, wytrwałości wysiłku w grze politycznej, kiedy chodziło mu o wielką stawkę, silnie rozwiniętego wreszcie zmysłu solidarności rodzinnej, posiadał jednak wady, które nieraz unicestwiały bilans aktywny wymienionych zalet.

„Byłem źle wychowany" — zwierzał mi się w chwili szczerości na kilka lat przed wojną. Miał tu zapewne na myśli atmosferę austro-galicyjską, w której żył od dziecka i która go przenikała pierwiastkami sprzecznymi z psychiką szczeropolską. Ten habitus austriacki, nabyty pewnie jeszcze w szkole kalksburskiej, gdzie „człowiek zaczynał się od barona", szkodził mu nadal mocno: w towarzystwach warszawskich i krakowskich, a nawet później w Bukareszcie, gdzie — po wiedeńsku — „schneidował" od czasu do czasu najwyższych dostojników państwowych. Natomiast na placówkach zachodnich, gdzie przedtem „terminował", umiał snadź lepiej narowy swoje trzymać na wodzy, a pozyskiwał zresztą aplauz ogólny przysłowiową w takich wypadkach wystawnością polską.

Skrzyński — jak zaznaczyłem wyżej — nie był już wtedy „mohn człowiekiem". Trawiła go olbrzymia ambicja: w tymże czerwcu, kiedym go odwiedzał w jego apartamencie w warszawskim „Bristolu" i wyszliśmy razem na przyległy balkon, wskazał mi ręką na sąsiedni pałac „Radziwiłłowski" (Prezydium Rady Ministrów), a potem w stronę pałacu „Brühlowskiego" (przyszłe M. S. Z.) i powiedział: „Bukareszt będzie dla nas tylko epizodem, a właściwe rzeczy dziać się będą tam i tu".

W drodze zaś do zrealizowania swojej kariery hołdował niestety Skrzyński czasem zasadzie, że „cel uświęca środki", zwłaszcza zaś wszelakich nadarzających mu się gwoli osiągnięcia tego celu pomocników. Stąd też

„dawnego" pozostawić!

u niego owa „judofilia" galicyjska, naśladowana bodaj z wzorów taktyki [redacted] dawnego „Koła polskiego", lubująca się w faktorach dworskich i totumfackich semitach. Tradycją [redacted] było też zapewne przenoszenie metod galicyjskich na teren poselstwa Rzeczypospolitej, które niebawem z jego zgodą, a ku przerażeniu nieobytych z takimi zwyczajami podwładnych, zaroiło się od tych faktorów, pachciarzy czy pośredników. Symboliczną niejako zapowiedzią złowrogiej tej dla niejednego z jego podwładnych przyszłości stał się już exodus nasz z Krakowa, gdy wyruszających sprzed miejscowego „Grand-Hotelu", którego Skrzyński był współwłaścicielem, żegnał portier-izraelita, a nawiasem mówiąc, sprawny konfident policyjny, osobliwą „waletą": „A róbcie tam zdrową politykę!"

*

Jechaliśmy do Rumunii zwykłym szlakiem na Lwów — Halicz — Stanisławów — Kołomyję i Czerniowce. Nocą przyjechaliśmy do Lwowa, który w okresie tym ofensyw polsko-ukraińskich opuszczeniem i zbiednieniem podobny był niemal Wiedniowi. Ale za Lwowem wyraźniej jeszcze dał nam się odczuć stan wojenny. Na stacji — jeżeli dobrze pamiętam — Bukaczowce zastaliśmy panikę wywołaną zbliżającą się rzekomo kontrofensywą ukraińską. W Haliczu, dokąd wyraźnie już dochodził huk armat i gdzie słychać było z bliska salwy karabinowe, powtórzyło się to samo. Były to podobno, jak usłyszeliśmy później, odgłosy tylko rekonesansów polskich, ale tego my wiedzieć nie mogliśmy i Skrzyński dał dowód męskiej odwagi, zmuszając wojskowego komendanta stacji, który sam szerzył panikę, twierdząc m. i., że pobliski most na Dniestrze pod Jezupolem jest niepewny, aby mu zaraz kazał przystawić do wagonu, którymśmy rozporządzali, ło-

22. V —

komotywę dla przejechania właśnie tego mostu. Tak się też stało i niebawem ruszyliśmy w dalszą drogę. Gdy zaś znaleźliśmy się u wylotu rzeczonego mostu, Skrzyński z właściwą sobie prozopopeją, która w tej chwili miała wszakże posmaczek jakby „kadetów gaskońskich“, wydobył z eleganckiej walizy butelkę bardzo starej „Madery“ i nalawszy po kieliszku sobie, mnie i towarzyszącemu nam *attaché* Baczewskiemu, powiedział do nas z brawurą: „Nic tu się nam stać nie może, gdyż ja czuję, że mam w życiu wiele jeszcze do przeprowadzenia“. Most istotnie — wbrew opinii „spietrzałego“ oficera — okazał się bezpieczny i niebawem znaleźliśmy się w Stanisławowie, gdzie Skrzyński odbył dłuższą konferencję ze stacjonującym w tym mieście generałem Żeligowskim, a przed wieczorem w okupowanej przez naszych nowych sprzymierzeńców Kołomyi.

Z Czerniowiec do Bukaresztu jechaliśmy noc i dzień cały, ten ostatni — siedząc przeważnie w otwartej „Minerwie“ Skrzyńskiego, umieszczonej na sprzężonej z naszym wagonem „lorze“. Cudny to był widok — ta Mołdawia, przez którą teraz przejeżdżaliśmy w pogodny dzień czerwcowy, kraj żyzny a falisty, opasany wstęgą Karpat na horyzoncie, przepasany kępkami topól i zielonymi dąbrowami, zaznaczony tu i owdzie kopułkami swoich licznych cerkiewek i kraśniejący pstrokacizną „huculskich“ swoich serdaków. Przedmiot pożądliwości tylu panów i hetmanów polskich! Gdzieś zaś za Seretem zmieniał się ten krajobraz, ustępując miejsca równemu, niskiemu, jednostajnemu stepowi wołoskiemu, który największe czynił wrażenie w nocy, w blaskach księżyca, tej tajemniczej „lampy Akermanu“.

Pod wieczór dojechaliśmy do Bukaresztu. Na dworcu czekał nas pan Stanisław Koźmiński, reprezentant

„Komitetu Paryskiego“. Nie on wszakże jeden tylko reprezentował wtedy Polskę w dawnej stolicy hospodarów. Już w Czerniowcach wsiadł był bowiem do naszego pociągu p. Marian Linde, konsul generalny, umocowany w Rumunii przez „Radę Regencyjną“ czy też rząd p. Moraczewskiego, brat niegodziwie później zamordowanego w Warszawie ministra Huberta. De facto zaś z chwilą przybycia naszego do dawnej stolicy hospodarów fungowało w niej jakby 3½ poselstwa polskiego, gdyż w pałacyku na „Calea Victoriei“, znacjonalizowanym dziś już przez bolszewików, zamieszkiwał wtedy jeszcze nasz inny rodak, p. Stanisław Koziełł-Poklewski, ostatni poseł carski, nader dobrze widziany na dworze, zwłaszcza przez królową, wnuczkę Aleksandra II i synowicę Edwarda VII, z którym Poklewski za czasów swojej służby w Londynie był w przyjaźni.

Ulicą „Grivitzei“ i „Aleją Zwycięstwa“ („Calea Victoriei“) wjechaliśmy do stolicy. Minęliśmy przeładowany nabrzmieniem kłócących się ze sobą stylów pałac Cantacuzenów, cerkwie i cerkiewki i wjechaliśmy w reprezentatywną dzielnicę miasta. Przyzwyczajony do porządków zachodnich, zwierzyłem się Skrzyńskiemu, że nie jestem pod urokiem tego miasta. *J'aime la ville, où je suis ministre* — odburknął mi wesoło (rozmowa toczyła się po francusku ze względu na obcego bodaj szofera-Polaka).

Rząd Bratiana nie wysadził się zgoła, ofiarowując poselstwu polskiemu kwaterę w jednym z podrzędniejszych hoteli. Ledwom oczy zmrużył po utrudzającej podróży, zapukał ktoś do drzwi i ujrzałem na korytarzu hotelowym dobrze mi znaną z kraju rodzinnego postać faktora-żyda, który z przymilającym się uśmiechem zgłaszał ofertę: *„Exzellenz! schönes Fräulein!“* Zatrzasnąłem mu śpiesznie drzwi na nos, chroniąc się znowu w objęcia Morfeusza.

Nazajutrz Skrzyński zrobił o takie pomieszczenie „piekło", gdzie było potrzeba, po czym przeniósł siebie i nas do pierwszorzędnego wtedy „Bulevardulu", w końcu zaś wynajął dla poselstwa kapiący od złoceń pałac Laskara Catargi. Mnie polecił tymczasem załatwienie kłopotliwej sprawy z dwoma „antyposłami", z której wywiązałem się ku jego zadowoleniu i ich widocznie także, skoro po dziś dzień zachowałem poprawne stosunki zarówno z konsulem Lindem, jak i z ministrem Koźmińskim[1]). Ten zaprosił nas jednego z pierwszych wieczorów — wraz z Poklewskim — do typowego „ogródka" bukareszteńskiego na kolację, w czasie której — jak się wyrażał — świetna orkiestra cygańska przejeżdżała się smyczkiem po nerwach. W czasie tej *partie carrée* obserwowałem z ciekawością różnicę między swobodnym, pełnym „bonomerii", zachowaniem się Poklewskiego a sztywniejszym, bardziej wymuszonym dostojeństwem młodszego odeń i z innej wywodzącego się szkoły dyplomatycznej Skrzyńskiego.

Po pierwszych wizytach oficjalnych nastąpiło — jeśli dobrze pamiętam: 22 czerwca 1919 — wręczenie listów wierzytelnych poselstwa w zamku bukareszteńskim. Pierwszy to był wypadek tego rodzaju w dawnej stolicy hospodarów, którzy wprawdzie utrzymywali niegdyś agentów swoich dyplomatycznych w Warszawie, ale, o ile mi wiadomo, jako dawni lennicy nie doznawali w tym względzie wzajemności ze strony pierwszej Rzeczypospolitej.

Przy dźwiękach „Jeszcze Polska" zajechaliśmy na dziedziniec starego „Palatulu" w towarzystwie sympatycznego pułkownika Respaldizy (*attaché* wojskowego „z prawdziwego zdarzenia"). W pałacu czekała nas świta królewska, na jej zaś czele w zastępstwie bawiącego na konferencji paryskiej premiera Bratianu minister Ferekyde. Skrzyński poszedł wraz z nim wręczyć kró-

[1]) Zmarł w roku 1938.

lowi „listy“, po chwili zaś do sali, w której reszta poselstwa i świty były się zatrzymały, wszedł król Ferdynand wraz z synem, dzisiejszym królem Karolem. Stąd, po odbyciu krótkiego z nami *cercle*, przeszliśmy wszyscy do „ogrodu zimowego“, gdzie udzieliła nam audiencji królowa Maria.

*

Wyszedłszy z zamku, jąłem pilniej przyglądać się Bukaresztowi. Byłem pierwszy raz na „bliskim Wschodzie“, odmiennym w charakterze od tej egzotyki, która osiem lat wprzódy fascynowała mnie w Moskwie. Ten Wschód był zaiste bardziej zbliżony do tego, który tak podobno kongenialnie opisał był sto blisko lat temu dziad mój macierzysty, Władysław Wężyk w swoim „Egipcie“[1]). Toteż myślałem wciąż o tym „dziadzi“, paradującym na pysznej miniaturze Marszałkiewicza, którą posiadam, w tureckim stroju i zawoju, gdy na pełnych słońca i kurzu ulicach bukareszteńskich widywałem wynurzających się z jakiegoś zaułka stacjonujących tu chwilowo francuskich spahisów lub gdy w długich spacerach pieszych zanurzałem się w głąb — z turecka tak zwanej — *mahalli* (przedmieść bukaresztenskich), pełnej osobno stojących w ogrodach domków, w typie architektury maurytańskiej, które w noc wiosenną dzięki osobliwym refleksom świetlnym tamtejszej aury robią wrażenie fantastyczne, jakby w skład wchodziły śnionych w dzieciństwie przez nas królestw bajkowych Aladyna, Sindbada, Szeherezady...

W tych ramach, nie tkniętych jeszcze dzisiejszą amerykanizacją, która zaskoczyła mnie tu w piętnaście lat później, rozwijało się ówczesne życie uliczne Bukaresztu. Życie południowców, mających sporo pieniędzy, więcej jeszcze czasu, bo nie uznających — po wschodniemu — że „czas to pieniądz“, życie wahające

---

[1]) „Podróże po starożytnym świecie“, Warszawa 1842.

się pomiędzy luksusem bojarów a skrajną nieraz nędzą proletariatu, patriarchalne i okrutne, powierzchowne i liryczne (nie tylko w poezji poetów, lecz i w pełnym głębokiego wdzięku muzycznym folklorze), nacechowane łącznie kosmopolityzmem i ksenofobią. W Mołdawii było owo życie za czasów moich jeszcze na wskroś — na modłę polską — chłopsko-ziemiańskie; w samym zaś Bukareszcie, gdzie zresztą wpływy tureckie dogłębniej skaziły były duszę wołoską, trąciło już urbanizmem naśladowanym z Paryża. U „Capsy", u „Enesca", w „Chateaubriandzie", przy stłoczonych obok siebie stolikach, gdzie co drugi był zajęty przez znajomych, przy dźwiękach narodowej „hory", czy przyswajanego tu sobie właśnie „jazzbandu", jadało się staro-rumuńskie *papanase cu smantana* (po prostu pierogi ze śmietaną) lub — na odmianę — co najwybredniejszego rodzi gleba i woda rumuńska: jesiotry i sterlety z Dunaju, przepiórki ze stepu, kawior... Potem zaś zajeżdżał przed taką budę „rozśpiewaną w noc ciemną" tętniący ekwipaż, zaprzężony w rysaki, powożony przez „skopca"[1]), i wiózł podochoconego gościa na tzw. „Szosę Kisjelewa", na woniejące zapachem wiosennych akacji „Pola Elizejskie" Bukaresztu, stworzone dekretem „istinno-ruskiego" gubernatora.

*

W sześć dni po uroczystości w zamku, w piątą rocznicę tragicznego serajewskiego „Vidovdanu", znaleźliśmy się wraz z całym ciałem dyplomatycznym, w dzień Wersalu, na nabożeństwie dziękczynnym za pokój i zjednoczenie „Wielkiej Rumunii", w katedrze prawosławnej na jednym z wzgórzy bukareszteńskich. W tydzień później, 4 lipca, w siedzibie „Czerwonego Krzyża" amerykańskiego święciliśmy, znów w tym samym

---

[1]) członka sekty rosyjskiej kastratów (z Besarabii).

gronie i z udziałem pary królewskiej „*Independence day*“, święto narodowe ojczyzny prezydenta Wilsona.

Wkrótce po tej ceremonii, podleczywszy nieco chorą chwilowo nogę, która drobnej nawet wymagała operacji, pojechałem na dwa tygodnie do Szwajcarii celem ostatecznego zlikwidowania spraw moich oraz przygotowań do przeniesienia się rodziny. Podróż była to nie lada w ówczesnych warunkach powojennych, jechało się bowiem pięć dni „Simplon-Expressem“, z 24-godzinnym np. postojem na węzłowej stacji Vinkovce pod Belgradem i ze strzelaniną w komunizującym wtedy nie na żarty Trieście, tak, że — znowuż — Szwajcaria, wytrawna, rządna, umiarkowana, wydała mi się oazą w stosunku do bolszewicko-bałkańskiego chaosu, szerzącego się w pozostałej Europie.

Powróciwszy do Bukaresztu w najbardziej upalnym okresie tamecznego, ultra-kontynentalnego łata (stolica ta ma względem poziomu morza najniższe położenie Egiptu) — wpadłem od razu w wir zajęć poselskich. Zważywszy bowiem ciężkie z kolei zachorowanie posła, który zapadł — jak twierdzili lekarze rumuńscy — na reumatyczne zatrucie organizmu, musiałem poza normalnie mi przydzieloną pracą kancelaryjną przeprowadzać w zastępstwie jego wszystkie również interwencje na zewnątrz, oczywiście przede wszystkim w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Mało znam w świecie gmachów architektonicznie równie dziwacznych, jak ów bukareszteński palac Filodora ve Sturdza, rumuńskie *quai d'Orsay*. Kto był w Moskwie, ten mnie zrozumie, kiedy mu go określę, mówiąc, że to chyba „Wasyl Błażennyj“ z tamtejszego „Placu Czerwonego“ natchnął tworzącego ten budynek architekta. Wewnątrz zaś osobliwej konstrukcji równie wschodnie nieraz krzewiły się metody wpajane Rumunom przez dawniejszych ich suzerenów z Yildiz-kiosku, pełne dylatoryjności, ewazywności, ale przez to będące

dobrą „szkołą“ dyplomatyczną dla początkującego jak ja zachodnio-europejskiego dyplomaty. Miałem w tym okresie nieustannie do czynienia w zawiłych i zabagnionych sprawach z p. Docanem, ówczesnym sekretarzem rumuńskiego M. S. Z., „przetartym“, jak mało kto drugi, we wszelakich sztukach i sztuczkach swojego fachu, a że w dodatku dobrze poinformowany Rumun wiedział dokładnie, że w mojej osobie zgoła nie ma do czynienia z fachowcem, prawnikiem, rutynistą, ale — [illegible]kinierem od wiedzy humanistycznej, przeto ów Berthelot czy Bertoni na sosie ormiańskim dawał mi — za każdą niemal z mojej strony, a coraz częstszą, u niego interwencją — niezgorszą „szkołę“, za którą zresztą żadnej dziś nie mogę rościć sobie do niego pretensji.

*

Gorszym wszakże od „obstrukcji“ p. Docana okazał się dla mnie stan sanitarny Bukaresztu. Stało się bowiem tak, że zaledwie przyszedł do zdrowia Skrzyński, ja ponownie rzucony zostałem chorobą na łoże boleści. Lekarze miejscowi — po dłuższym wahaniu — skonstatowali tyfus.

Chorowałem nań w warunkach dosyć przykrych, bo wprawdzie w sympatycznym i wygodnym, świeżo najętym mieszkaniu przy strada Viitor, ale w zupełnej niemal samotności (bo moi koledzy z poselstwa za często odwiedzać mnie nie mogli), a w nieobecności tej najbardziej idealnej pielęgniarki, jaką była najdroższa żona moja. Przez trzy pierwsze tygodnie choroby dobry lekarz wojskowy rumuński podtrzymywał siły moje — na zmianę — mlekiem tylko i szampanem, w drugim zaś okresie — rekonwalescencji — odrodzony jakby fizycznie dziwną tą chorobą, rzuciłem się z pasją na zaniedbaną w Szwajcarii lekturę historyczną, przede wszystkim zaś na dzieje rumuńskie Jorgi.

Pod koniec mojej choroby przyjechała nareszcie żona moja, ale po burzliwej również podróży, z odcięciem wagonu z bagażami przez kłócących się wtedy z Rumunami Jugosłowian (bagaże te z trudem tylko udało się nam później odzyskać) i z olbrzymim opóźnieniem godziny przyjazdu na dworzec bukaresztański, na którym bezskutecznie oczekiwał jej Skrzyński. Zwątpiwszy, czy tej nocy w ogóle pociąg przyjedzie, zostawił poseł tymczasem samochód ze służącym, który w nim jednak zasnął, tak że biedaczka, przyjechawszy nareszcie, znalazła się wśród ciemności panujących na prymitywnym jeszcze wtedy dworcu z trojgiem dzieci i stosem walizek. Wtedy też, korzystając z zamieszania, ściągnął jej jakiś „amator literatury pamiętnikarskiej" pokaźnie prezentującą się walizę w której było całe niemal archiwum moje emigracyjne. Habent sua fata libelli.

*

Pozycja Skrzyńskiego w tym czasie nie była jeszcze w Warszawie o tyle silna, aby się obyło bez częstszych i dłuższych jego do centrali dojazdów, więc w czasie wspólnego naszego urzędowania zdarzyło się aż dwukrotnie, że przez szereg tygodni samodzielnie zarządzałem poselstwem: raz — w grudniu i styczniu 1919/20, drugi — we wrześniu i październiku 1920.

Nim przystąpię do omówienia działań moich w charakterze *chargé d'affaires*, przerwę wątek opowiadania dygresją na temat składu naszego poselstwa i poselstw innych.

Pomocnikami ~~mymi~~ było przede wszystkim dwóch młodych ludzi, obu „kombatantów" i przyjaciół. Pierwszy sekretarz, Stanisław Hempel, były adiutant legionowy „komendanta" Piłsudskiego, później więzień benjaminowski czy szczypiorniański, potem jeden z mężów zaufania Naczelnika Państwa w Paryżu na tzw. „Lauristonie", do niedawna długoletni poseł w Teheranie

i Kabulu[1]); to był „legun“ jak się patrzy, współpracownik bez zdrady, „dusza człowiek“ (trza było widzieć, jak się zaraz wziął do pielęgnowania mnie w ciężkiej mojej chorobie). Jedno mu tylko w tym okresie miałem do zarzucenia: w naszej wspólnej „radosnej twórczości“ brakowało mu nieco zrozumienia dla „wyścigu pracy“. Nie wątpię, że odpowiedzialna praca na zagrożonym wraz z nami przez komunizm Wschodzie, naszego „Stacha“, mającego we krwi skłonność do szarż napoleońskich, nagięła do działań „pozycyjnych“.

II sekretarz, Marian Grzegorczyk, reprezentował „endecję“. O ile Hempel był w pracy więcej „zagończykiem“ niż biurokratą, o tyle Grzegorczyk, były *rond de cuir* z galicyjskiego namiestnictwa, umiał w razie potrzeby dobrze przysiąść fałdów. Wolał to robić w nocy, niż we dnie — utrzymywaliśmy złośliwie, że ma naturę nietoperza i dopiero o zmroku krążyć poczyna pod pułapami poselstwa. Toteż jesienią 1920 r., w okresie kończącej się kampanii polskiej a rodzącej na tutejszym gruncie „Małej Ententy“, w chwili gdy znów kierowałem poselstwem z Grzegorczykiem jako prawą ręką — on jeden w poselstwie, jeszcze pod Koźmińskim, świetnie opanował był niełatwą rumuńszczyznę — siadaliśmy do szyfrów i raportów późnym wieczorem, pracowali całą noc z chwytnym i sprawnym, jak chyba tylko Polak być potrafi, poczym on drżącą od zmęczenia ręką pieczętował już nad ranem ekspedycję do Warszawy i wręczał ją odjeżdżającemu kurierowi. Szedłem spać, a i kochany mój „nietoperz“ znikał mi z oczu, nie przyzwyczajony snać do blasków słonecznych.

Żart na bok: i Grzegorczyk był rasowym żołnierzem, chlubnie zapisanym czasu bojów o niepodległość w tworzącej się armii polskiej na zrewolucjonizowanym terytorium rosyjskim, gdzieś w okolicach Dniepru,

---

[1]) Od r. 1938 senator Rzeczypospolitej.

Bobrujska, Mohylowa, dzisiaj zaś jest powszechnie szanowanym, niezmordowanie pracowitym, niezłomnym w narodowych swoich przekonaniach dygnitarzem warszawskiego cechu dziennikarskiego. Niechaj mi przebaczy, że sobie z niego trochę pożartowałem: on też pisywał na nas wszystkich wierszyki — i wcale niezłe — w Bukareszcie.

W orbicie poselstwa koncentrowały się jego przybudówki: „ataszat" (wojskowy), konsulat, „Puzapp" (Polski urząd zaopatrywania w artykuły pierwszej potrzeby), „Jur" (repatriacja jeńców, uchodźców itd.) oraz luźne agendy prasowe.

W „ataszacie" po Respaldizy zapanował major Olgierd Górka, dzielny badacz Wschodu, a dziś dyrektor Instytutu Wschodniego w Warszawie. Mówił mi wielki Jorga, jak mu jest wdzięczny za odkrycie w Monachium najstarszej kroniki rumuńskiej. Górka też był miłym kolegą, a jeśli się nawet czasem w stosunku do kogo wykoleił, to nie z własnego impulsu. Po wojnie — dla niektórych — wyrósł na urzędowego pogromcę Sienkiewicza; w Bukareszcie też miewał „ekstratury", gromiąc ostro partnerów w miejscowym „Jockey-Clubie".

Na strada Popa Tatu (do końca się nie dowiedziałem, kto zacz był właściwie ten pop Tatu!) rezydował przezacny konsul Roman Łazarski. Syn prezesa Koła Polskiego w Wiedniu, pierwszorzędny urzędnik, dlatego dziś (jest znacznie ode mnie młodszy) pędzący w Rabce żywot pełnego sił emeryta, Łazarski był najmilszym towarzyszem i po siarczystej pracy serdecznie lubił się zabawić. Przestrzegałem go wtedy żartobliwie przed zasadzkami „zdradliwej Wołoszy": caveant consules!

„Dublował" Łazarskiego wicekonsul Andrzej Ziemięcki, dawny mój znajomy z Krakowa, przejęty na wskroś kulturą zaczerpniętą w murach tego miasta,

gdzie miał jednego stryja feldmarszałkiem austriackim, drugiego — kustoszem Muzeum Narodowego, duży a „niewyżyty" talent literacki (patrz „Przegląd Współczesny"), bawiący wtedy nad Dambowicą z żoną, panią Jadwigą z Marszewskich, dzisiaj świetną profesorką w Puławach.

Uzupełniały zespół funkcjonariuszy poselstwa personel „Puzappu" i „Jura" (również wyjątkowo szczęśliwie dobrane), nadto zaś luźne „agendy" czy „imprezy" prasowe, jak dłuższy pobyt propagandowy prof. Wędkiewicza w jesieni r. 1920, dość owocny w skutki, oraz analogiczna działalność w własnym zakresie zmarłego później tragiczną śmiercią polsko-rumuńskiego publicysty Rueckera i kolegi jego Smutnego.

*

Przechodzę do charakterystyki obcych składników ciała dyplomatycznego.

A tout seigneur tout honneur. Zacznę od Francuza, hrabiego de Saint-Aulaire, przeniesionego niebawem jako ambasador do Madrytu, a stamtąd do Londynu, znakomitego później biografa Talleyranda, ustępującego w tym charakterze historyka dyplomacji z żyjących jedynemu chyba Hanotaux.

St. Aulaire był przystojny, postawny, w miarę sztywny i w miarę przystępny. Kiedy wchodził do salonu, przywodził na pamięć owych przedstawicieli „króla-słońca", co w respekcie i dystansie utrzymywali pomniejsze dwory. Ożywiał się i weselał wszakże przy stole biesiadnym: pamiętam jak jedno z opowiadań jego anegdotycznych o sposobie przyrządzania ptaszków, które w swojej *gourmanderie* zatrącało posmakiem wytwornych żarłoctw Dumasa-syna czy Rossiniego. Pertraktowałem z nim stosunkowo mało, bo w zimie wyjechał na urlop najpierw, a później na nową

placówkę, przedtem jednak podejmowałem go u siebie z całą ambasadą śniadaniem pożegnalnym, a nawet wypiłem jego zdrowie, będąc przekonany, jak wtedy wszyscy, że jedzie nie nad Manzanares, ale nad Wisłę, jako następca msgr. Pradta i hr. de Broglie. Dlaczego w ostatniej chwili postanowione zostało inaczej, zrozumiałem, obserwując później w Warszawie fatalną politykę szczęśliwszych od niego rywali. Następcą jego został sympatyczny Alzatczyk Daeschner, późniejszy ambasador w Waszyngtonie, ale łącznikiem pomiędzy starym a nowym reżymem w poselstwie pozostał p. Henryk Cambon, syn znakomitego londyńskiego Pawła, synowiec berlińskiego Juliusza, dzisiejszy poseł w Sofii. Stosunki nasze z obojgiem Cambonów były jak najlepsze, ale nie tak bliskie, jak z szefem misji wojskowej francuskiej, generałem Wiktorem Pétin (dziś komendantem korpusu w Lille) i jego uroczą małżonką. Pétin był nie tylko dzielnym oficerem, ale i wszechstronnym, bystrym, politycznym umysłem. Ta ostatnia cecha nie często trafia się u wojskowych, więc kiedy raz mu z tego powodu wyrażałem swój podziw: „*Que voulez vous, mon cher?* — odparł żywo — ja przecie przed wstąpieniem do wojska ukończyłem uniwersytecki fakultet". Był on mi także prawdziwym przyjacielem: od pierwszej chwili, na każdym kroku — do czego jeszcze powrócę — i bez cienia inspiracji czy premedytacji politycznej, co u Francuza rzadkie, prostował przede mną zawiłe zrazu ścieżki bukareszteńskie, kiedy zaś doszła kresu lakoniczna moja kariera, okazał się — rzecz równie rzadka w tym zawodzie — *courtisan de malheur*. Składu świetnej tej, iście przedwojennej ambasady dopełniało dwóch sekretarzy: znany i w Warszawie dziarski wicehrabia de Bastard i późniejszy *chargé d'affaires* w Pradze, de Monicault.

Poselstwo angielskie prowadził przez cały czas mojego pobytu w charakterze *chargé d'affaires* sir Frank

Rattigan. Rattigan, doskonały typ przeciętnego Anglika, z manierami sportowca i „viveura", pełen zresztą swoistej rezerwy w stosunku do cudzoziemców, chyba że nabrał wysokiego pojęcia o ich dżentelmenerii, nie miał przed sobą w Bukareszcie większych wtedy zadań politycznych, tym bardziej, że popierała z reguły zabiegi jego, podobnie jak ze Skrzyńskim na rzecz spraw polskich, tej miary ambasadorka kultury, jeśli nie polityki angielskiej, jak królowa Maria. Za to lady Rattigan, pełna przystępności, prostoty i pogody, wyniosła blondynka o typie celtyckim, pierwsze zajmowała po królowej miejsce w poczcie dostojnych piękności na dworze rumuńskim, co również się przyczyniało do zwiększenia już i tak wielkiego prestiżu brytyjskiego poselstwa. Trzecim zaś współczynnikiem w tym wyspiarskim zespole był marcjalny Szkot, generał Duncan, cieszący się także znacznymi względami na dworze.

Włochy reprezentował najpierw Giacomo Auriti, późniejszy poseł w Wiedniu i ambasador w Tokio, następnie zaś Albert ~~hrabia~~ Martin-Franklin, późniejszy pierwszy ambasador italski w Warszawie, dziś senator królestwa. Z Martinem, jako żonaty z pół-Włoszką, wyrobiłem sobie doskonałe stosunki. Równie sprytny jak Tommasini (i pokrewny mu z wielu względów), ale może jeszcze giętszy, w stosunku do sprawy polskiej objawiał niejaką, dość rzadką u Włocha, rezerwę (doświadczyłem tego na nim podczas bitwy warszawskiej), co przyczyniło się może następnie do skrócenia jego urzędowania w Warszawie. Nie miał za to w swej karierze ambasadorskiej takiego dobrodziejstwa inwentarza małżeńskiego, jak miał tamten — w Bukareszcie zaręczył się właśnie z dobrze znaną Warszawie hrabianką Miniscalchi, rodaczką Giulii Capuletti, i może dlatego, jakkolwiek obcy duchem faszyzmowi, przetrwał mniej fortunnego przyjaciela.

Wesołą nutę w dyplomatyczny zespół bukareszteński wnosiło trzech innych posłów. Jednym z nich

był dziekan korpusu a poseł U. S. A., Vopicka, Czech z pochodzenia i rasy fizycznej, jeden z tych spryciarzy „kongresowych“ w Stanach, o których pisałem wyżej, że manewrom wyborczym zawdzięczać zwykli swoje placówki. Tancerz namiętny a groteskowy w swojej zażywności, miewał zacny dziekan właściwe sobie chwyty, przystojne „bossowi“ czy „schemerowi“ amerykańskiemu, ale mniej w użyciu na dworach europejskich. I tak opowiadano mi, że pewnego razu, gdy król Ferdynand zaszczycił obecnością swoją bal w poselstwie amerykańskim i jako zamiłowany palacz pochwalił ofiarowane sobie przez Vopickę cygaro, ten zaproponował królowi, aby i resztę z pudełka zabrał ze sobą do domu.

Wytworniejszą parę przyjaciół stanowili posłowie „potencji morskich“, holenderski i portugalski: Holenderski, jonkheer Henrik Müller van der Werendyke (perswadował każdemu, że kropeczki nad owym jego Müllerem chronią go przed wzięciem go za zwykłego Niemca: mówi się Möller), Möller więc, politycznie będąc tu bezrobotny, a fizycznie — typ jak z „ripaille'y“ Jordaensa, interesował się wyłącznie szczegółikami małej kuchni dyplomatycznej, więcej zaś jeszcze wszelkimi detalami kuchni w dosłownym tego słowa znaczeniu. Kolega jego portugalski, o holenderskim także nazwisku, de Brederode, wierny towarzysz latającego po salonach Holendra, nieustannie, w każdej okazji się z nim przekomarzał, lecz zaraz godził w obopólnej harmonii uciech kulinarnych[1]).

Nie było za tych moich czasów w Bukareszcie przedstawicieli żadnego z państw pokonanych: nie było Niemców, Austriaków, Węgrów, Bułgarów, Turków,

---

1) Hiszpanię reprezentował najpierw *chargé d'affaires* Ramon de Basterra, później zaś poseł książę Amalfi; Szwajcarię — posłowie Boissier i hr. de Salis oraz sympatyczny *chargé d'affaires* Walter de Bourg.

bo wszak kleiły się dopiero współcześnie traktaty w Wersalu, Saint-Germain, Trianon, Neuilly i Sèvres. Nie były też zgoła reprezentowane państwa skandynawskie ani bałtyckie z wyjątkiem Finlandii, a częściowo Łotwy. Osobny za to rozdział stanowić musiał nasz stosunek do tworzącej się właśnie „Małej Ententy", z którą, pomijając nawet Rumunię, ułatwiony miałem kontakt, wynikający z faktu poprawnych niegdyś stosunków z przedstawicielami tych narodów w Szwajcarii. Poseł czeski, Czermak, zmarły wkrótce potem — typowy inteligent z wyglądu, ale w duszy szlachetny Słowianin, mocno się ze mną zaprzyjaźnił i nie mógł mi sprawić większej przyjemności, jak prosząc mnie na gościnne występy muzyczne swoich współrodaków. Pamiętam tak przemiłą jedną kolację w restauracji „Elysée", w której uczestniczył też zmarły później tragicznie kompozytor czeski Oskar Nedbal. Czech był dnia tego muzycznie bierny, ale posłużył niczym ten koczur, którego widziałem na wystawie ptaków w Monachium, a który rzekomo podniecał ich do „gruchania" — okoliczność jego obecności przy naszym stole na tyle bowiem podnieciła dyrygującego w tym lokalu świetną orkiestrą cygańską genialnego Ciolaca, że cały wieczór grał nam „do ucha" najpyszniejsze melodie rumuńskie. Żyło się równie dobrze i z *chargé d'affaires* jugosłowiańskim Łukowiczem, typowym Serbem ze „starego królestwa", szczerym, rosłym, urodziwym, o drapieżnej tylko nieco, wilczej szczęce.

Miałem dalej zaszczyt witać imieniem poselstwa pod koniec mojego urzędowania pierwszego nuncjusza w osobie dobrego naszego znajomego warszawskiego, dzisiejszego kardynała Marmaggiego, najpierw w nunciaturze, później zaś ~~asystując~~ pierwszej uroczystej jego mszy św. w miejscowej katedrze arcybiskupiej.

Dalszy Wschód przysłał na razie dwóch tylko przedstawicieli: Japonia — w „rekonesansie" — sztabsoficera, Persja za to posła, który przechadzał się wśród

Europejczyków z powagą, ale bez większej u nich powagi, z fotografią szacha na piersiach, a nieustannymi zażaleniami protokólarnymi na ustach.

*

W okresie pierwszego mojego „chargé d'affaires'atu" wybuchnęło pierwsze za naszego pobytu w Rumunii przesilenie ministerialne: ustąpił rząd liberalny Bratiana, zastąpiony niebawem gabinetem, któremu przewodniczył Siedmiogrodzianin p. Vaida-Vojvod.

Tajemnicze były kulisy tego przesilenia nawet dla kogoś, który jak ja podówczas, nie dopatrywał się owego „drugiego dna" wypadków, jak dziś to czynię. P. Vaida był wolnomularzem — odnalazłem jego nazwisko po latach w „Annuaire maçonnique" — jak w następnym gabinecie p. Argetoianu, a w późniejszych zapewne p. Titulescu, ale i ustępujący obecnie liberali, trzymający rękę na życiu ekonomicznym kraju i związani przez to z wielką finansjerą, nie wolni byli z pewnością od wpływów masońsko-żydowskich.

Szefa tej partii, Jonela Bratianu, w Bukareszcie nie znałem; poznałem go dopiero w kilka lat później w Warszawie na śniadaniu u Witosa. Zetknął się był z nim wtedy Skrzyński, korzystając z przelotnej bytności jego w stolicy w przerwie prac konferencji paryskiej i odwiedzając go w charakterystycznej jego rezydencji w rodzimym stylu. Bojar, dynasta, ksenofob zrobił wówczas na moim szefie wrażenie — jak się wyraził — Andrzeja Potockiego *à l'orientale*. Podobnym był do niego fizycznie brat jego Vintila, także późniejszy premier. W braku Bratianów stykaliśmy się z pomniejszymi liberałami: późniejszym premierem Duca, redaktorem „Indépendance Roumaine" Corbesco, generałem Iliesco, dawnym szefem sztabu, pogromionym pod Turtukaia; wiceburmistrzem Bukaresztu, Polakiem, doktorem Skupiewskim, oraz drugim delegatem na kon-

ferencję paryską, późniejszym ministrem dworu Miszu, który przybiegł informować się do mnie do poselstwa o świeżym „raidzie“ generała Żeligowskiego.

Liberali związani byli w czasie wojny z Francją, z Niemcami szli częściowo rywalizujący z nimi konserwatyści. Za moich czasów (czy już podczas wojny) podzielili się konserwatyści na dwa odłamy: jeden z nich wsparty był o *gentry* mołdawską; przewodniczył mu niegdyś p. Piotr Carp, o którym i o którego utrzymującej stosunki z Polska rodzinie wspominał mi z uznaniem ks. Kazimierz Lubomirski, a głową jego był obecnie p. Aleksander Marghiloman, skompromitowany wobec „Ententy“ wskutek zawarcia z Niemcami w r. 1918 pokoju bukareszteńskiego, wytworny *gentleman*, który z dawniejszych swych godności zachował jedynie prezesurę „Jockey-clubu“.

Ten odłam konserwatystów — zapewne od wydawanego przez siebie w języku francuskim pisma *„Le Progrès“* — przybrał dziwacznie brzmiącą wspólnazwę „progresistów“, podczas gdy odłam drugi, sprzyjający „Ententcie“ odsuniętego również chwilowo Take Jonescu, pieczętował się niemniej niespodziewanym mianem „konserwatystów-demokratów“. O ich wodzu — bo Titulescu, jego adiutant, nie grał wtedy wydatniejszej w Bukareszcie roli — wspomnę jeszcze szerzej w momencie tworzenia się „Małej Ententy“.

Przejście od tej „prawicy narodowej“ do formacji bardziej radykalnych stanowiło kilka stronnictw o typie wyraźnie już demokratycznym. Było więc pośród nich przede wszystkim stronnictwo ludowe dzisiejszego marszałka Averescu[1]), które dojść miało niebawem do władzy; było dalej — obejmujące teraz ster rządów stronnictwo „siedmiogrodzkie“, pomiędzy zaś „prawicą“ wyżej wymienioną a inną grupą „ludowców“ („tsaranistów“) rumuńskiego Witosa, Mihala-

[1]) Zmarł w r. 1938.

chego wplatały się dwa nacjonalizmy „profesorskie“: bardziej oportunistyczny prof. Jorgi oraz nieprzejednany — w stosunku zwłaszcza do żydów — a za czasów moich bez większego wpływu w Bukareszcie, profesora jasseńskiego Cuzy.

„Siedmiogrodzianie“, wzrośli w aurze politycznej starej monarchii habsburskiej, w orbicie wpływów katolickich, a zwłaszcza „Unii“ — spotkałem się z barokiem jezuickim w Braszowie czy Koloszwarze — w zakresie politycznym grawitowali ku Zachodowi, ale nie w szczególności, jak liberali, ku Francji. Niektórzy z nich (wicepremier Pop) angażowali się byli podobno w czasie wojny za „centralnymi“; inni — mason Vaida czy katolik Maniu — orientowali politykę swoją, wydaje mi się, stosownie do bolączek czy pretensji swych terytorialnych, niezałatwionych stosownie do ich życzeń — bez względu na olbrzymi zysk globalny — przez konferencję paryską. Ten patriotyczny malkontentyzm sfer rumuńskich umiały wyzyskiwać niektóre czynniki polityczne i mocarstwa, jak współcześnie we Włoszech czy nawet u nas, i niezadowolenie z niepełnych sukcesów liberalnych wyzyskała zapewne Anglia, żeby obalić rząd Bratiana.

*

Z „Siedmiogrodzianami“ miałem wielokrotnie w czasie tym do czynienia — i nie z nimi tylko, bo i z ich sprzymierzeńcami: „spryciarzem“-radykałem Lupu (ministrem oświaty) lub prezydentem ówczesnym parlamentu Jorgą (o czym niżej), ale miałem osobiście do czynienia przede wszystkim w dwóch kapitalnych dla rozwoju stosunków polsko-rumuńskich w tej wczesnej ich fazie sprawach, a to w sprawie repatriacji uchodźców polskich z bolszewickiej Odessy i w sprawie udziału Polski w inauguracji uniwersytetu rumuńskiego w Koloszwarze.

//to rumuńskiego Cluj/

Pierwsza z tych spraw była oczywiście ważniejsza, gdyż niezałatwienie jej groziło rzezią około półtora tysiąca Polaków, którzy uchodząc z przypadającej ostatecznie z poręki zdradzieckiej bolszewikom Odessy, unosili ze sobą z kresowych swoich pieleszy nie tylko życie, ale i część mienia i skarbów kulturalnych z najżyzniejszych dzielnic dawnej Polski.

Przewodnikiem tej karawany uchodźczej był d e f a c t o adwokat kijowski (dziś warszawski) Marian Niedzielski, pod jego zaś konwojem garnęło się do „starego kraju“ 1500 zbiegów, prowadzących ze sobą „w czas morowy“ — zasoby gotówkowe, walory i księgi filii kijowskiej warszawskiego „Banku Handlowego“, dalej — cenne zbiory i sprzęty artystyczne z Podola i Ukrainy (pod opieką p. Tadeusza Dachowskiego), jak również oddział kijowskiego „Czerwonego Krzyża“, kierowany przez dra Zielińskiego.

Uchodźcy przybyli nad Dniestr, odgraniczający rumuńską już Besarabię od Podola, i zatrzymali się w Tyraspolu. Było to w połowie stycznia (1920 r.); rzeka, o ile pamiętam, nie była zamarznięta, tak że łódką przeprawić się było można na brzeg rumuński, co też uczynił — zapewne *moyennant finance*, o co w Rumunii łatwo — ~~[illegible]~~ mecenas Niedzielski. Pewnego też styczniowego poranka zjawił się on w mojej kancelarii w Bukareszcie.

Tu wszakże zaczęła się wspólna nasza „droga krzyżowa“. Niedzielski nie obwijał „słów w bawełnę“ i wskazywał mi odpowiedzialność, jaka na mnie z pewnością zaciąży, o ile mi się nie uda przyjść z pomocą jego towarzyszom. Rumuńska bowiem straż graniczna, powołując się na rozkazy z Bukaresztu, stanowczo się wzbraniała puścić Polaków na prawy brzeg Dniestru. Zwątpiwszy o dojściu z nią zbiorowo „do ładu“, przeprawił się Niedzielski indywidualnie przynajmniej przez rzekę.

Truchlejąc o los rodaków, pojechałem natychmiast do prezesa ministrów i ministra spraw zagranicznych, p. Vaidy-Voëvoda. Przyjął mnie uprzejmie, ale zasłonił się brakiem kompetencji, a decydującym skądinąd głosem w tego rodzaju sprawach zahaczających o bezpieczeństwo kraju, „Wielkiej Kwatery Generalnej" *(Mare Cartier General).* Niewiele się namyślając, przejechałem tam stante pede, gdzie mnie przyjął zastępca marszałka Prezana, zacny i przyjacielski gen. Henryk Cihoski.

Cihoski był synem emigranta, z którym również zaznajomiłem się blisko, członka tej ekipy naddunajskiej naszego „pielgrzymstwa", która od czasu Sadyka-paszy i Zamoyskiego zaroiła się była w księstwach mołdowołoskich, dając młodemu państwu Cuzy i Karola obfity rewanż za tak gorące niegdyś propolskie uczucia rumuńskich Costinów czy Hasdevów. W odrodzonym Bukareszcie zaroiło się od różnych Dąbrowskich, Górskich, Skupiewskich, Różyńskich, Cichowskich — budowali drogi i mosty, gospodarowali w stolicy hospodarów, ale nade wszystko przysługiwali się armii, gorliwie reformowanej przez pierwszego Hohenzollerna. Stary Cihoski, sam do śmierci biegle władający językiem ojczystym, poświęcił wszakże tej współpracy polsko-rumuńskiej dwie spółgłoski swojego nazwiska i narodowość synów, z których dwóch wysokich doczekało się szarż w wojsku Carola I (Aleksander Cihoski był za czasów moich szefem gwardii).

Jenerał Cihoski przyjął mnie jeszcze lepiej od prezesa Vaidy, tzn. szczerze, a nawet serdecznie (w fizjonomii swojej żołnierskiej i wzięciu był nieodrodnym Polakiem i odsłonił im część kulis) zapowiadającej się tragedii.

Co się okazało? Oto „Ilustrowany Kurier Krakowski" bawił od kilku dni czy straszył swoich czytelników

opisami dantejskimi dżumy, szerzącej się rzekomo na Ukrainie i na Podolu, i to w przyległych do Polski powiatach. *Je ne peux rien faire* — konstatował z żalem wiceszef „Wielkiej Kwatery", ale niech pan stąd zaraz pójdzie do szefa sanitarnej służby wojskowej, generała Vicola, a on panu wyjaśni, czy mocen byłby zmienić decyzję zaprowadzenia kwarantanny na całej przestrzeni granicznej rumuńsko-rosyjskiej.

Pobiegłem do generała Vicola. Ale i ten dostojnik — grzecznie, stanowczo, z motywami — uchylił się od pójścia mi na rękę. Sprawa w tej fazie wydawała się przegrana.

Niedzielski wrócił był tymczasem do Tyraspola dla doglądnięcia swojej „trzódki", piekielnie zdenerwowanej widmem coraz bliżej następujących bolszewików. Toteż, kiedy zjawił się po raz drugi w poselstwie, ton jego nabrał akcentów presji, niemal groźby. I trudno było mu się dziwić.

Położenie moje było istotnie pełne grozy. Miałem poczucie wielkiej odpowiedzialności i zupełnego osamotnienia. Na moje szyfry odpowiadała Warszawa w sposób Piłatowy. A dźwigać na sobie klątwę 1500 ewentualnie pomordowanych ofiar — było okropną perspektywą.

Tym razem odsiecz przyszła wszakże ze strony francuskiej. Doskonałe moje, już wspomniane stosunki z generałem Pétin, szefem misji wojskowej francuskiej, sprawiły, że świetny ten dyplomata zainteresował się losem moich współrodaków. Rozumiał dobrze, że tego rodzaju hekatomba — u progu wznowionych stosunków polsko-rumuńskich — byłaby wysoce niepożądana także z punktu widzenia interesu politycznego Francji. Puścił więc w ruch potężne na gruncie bukareszteńskim wpływy francuskie i wynikiem jego starań stał się wydany przezeń obiad dyplomatyczny, w którym oprócz

mojej żony i mnie, wzięli jeszcze udział dwaj znakomici Rumuni: marszałek Prezan i marszałek dworu Henryk Catargi z małżonką.

Interwencja Pétin'a była tym bardziej na czasie, że zgłosiłem się już w zamku królewskim z prośbą o posłuchanie u króla Ferdynanda, które natychmiast wyznaczone mi zostalo na 20 stycznia.

Sytuacja przedstawiała się dramatycznie. Ryzykowałem wszystko „na jedną kartę", bo gdyby monarcha zajął był stanowisko odmowne, nie byłoby już do kogo apelować, i los Polaków zostałby przesądzony.

Ze zrozumiałym wzruszeniem wchodziłem tego mrocznego popołudnia styczniowego w podwoje starego „Palatulu" Cuzy, który tylu tragicznych scen bywał świadkiem w chwilach poprzedzających „wielką wojnę", gdy dynastia niemiecka z krwi i kości wypowiedzieć się miała za wojną z innymi Hohenzollernami. Adiutant prowadził mnie do króla, który powitał mnie życzliwie i kazał usiąść przy sobie. Zaraz też wywiązała się między nami rozmowa, trwająca pełne trzy kwadranse i nie pozbawione dla mnie, wiedzącego, że „rzucam" tu „kości" o życie wielu setek moich rodaków, momentów emocjonalnego napięcia.

Król Ferdynand był mężczyzną już niemłodym, dochodzącym sześćdziesiątki. Księżna Bibesco, źle zresztą widziana na dworze bukaresztenskim, opisała nam w swoich „Quatre portraits" ciężkie przejścia jego żywota, wynikające z dysharmonii pomiędzy jego przynależnością do wiary katolickiej i zachodniej kultury niemieckiej a obowiązkami władcy wschodniego, prawosławnego narodu. Król był z natury nieśmiały — obserwowałem to nieraz — a jednak miał w sobie wyrobiony wieloletnią już rutyną gest władczy, który raz jeden i w tej rozmowie dał mi się odczuć.

Zagaiłem ją od gorącej prośby, aby J. Kr. Mość, jako najwyższy szef „Wielkiej Kwatery“, raczył zmienić wiadomą decyzję obchodzącą los moich rodaków. Ferdynand I przyjął do wiadomości moją petycję, ale — w odpowiedzi — zamiast konkretnie się wypowiedzieć, odsłonił mi drugą część kulisów znaczącej się w Tyraspolu tragedii. Okazało się z tego, co mówił król, że był ktoś pośród urzędników konsulatu naszego w Odessie, który handlował w tej burzliwej dobie paszportami, stąd obawa Rumunów — przebijająca się i z wywodów królewskich, że w pocztcie naszych uchodźców dostać by się mogli do Rumunii goście niepożądani, *des bolchéviques* — jak się król do mnie wyraził — *aux faux-nez.*

Rewelacja ta królewska uderzyła mnie jakby obuchem; nie tracąc ducha, chciałem jednak powrócić do wyrażonej na początku rozmowy petycji, gdy w tym miejscu król takim właśnie władczym, jak wyżej była o tym mowa, odruchem odsunął jakby od siebie ten temat konwersacji.

Może nie chcąc tym gestem budzić we mnie wrażenia „niełaski“, zatrzymał mnie król u siebie czas jeszcze długi. Zacinał się nieco w mowie, a wtedy ja starałem się podtrzymywać tok rozmowy. Mówiliśmy ze sobą o przedmiotach najróżniejszych: o Polsce, z której ten potomek Jagiellonów znał wtedy tylko szlak kolejowy na pograniczu Śląska; o rodzinnym jego Sigmaringen, dla którego obawiał się wówczas skutków republikańskiej reformy rolnej; o zdobytym świeżo Siedmiogrodzie, dokąd wybierał się za kilka dni na inaugurację uniwersytetu; o Amerykanach, względem których usposobiony był nieufnie, przypisując im „kombinatorstwo“ pod pokrywką filantropii („Ymca“?). W końcu, nie znajdując innego tematu, napomknąłem o swoich synach, że „mają zaszczyt co niedziela słuchać tej samej

mszy św., co W. Kr. Mość" (miałem tu na myśli kościołek zakonnic niemieckich, bliższy naszego mieszkania, podczas gdy żona i ja uczęszczaliśmy wespół z innymi dyplomatami „ententowymi" do kościoła franciszkanów włoskich). Na to moje dictum odezwała się zapewne w sercu królewskim stara, niezagojona blizna jako Niemca i katolika: *Oh! vous ne vous figurez pas, combien on a persécuté ces bonnes soeurs pendant la guerre!*

Gdy król powstał i gdyśmy mocno dłoń uścisnęli sobie na pożegnanie, zdołałem jeszcze wtrącić kilka słów proszalnych w obronie życia i mienia tyraspolskiej gromady. Ale wychodząc z pałacu po tak wyjątkowo łaskawym przyjęciu, naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, czy stoję przed zwycięstwem, czy przed klęską.

Nazajutrz przed południem zadzwonił wszakże w biurze moim telefon. Wołała mnie „Wielka Kwatera", wzywając do natychmiastowego przybycia. Uczułem, jakby skrzydła mi wyrosły. W mig stawiłem się w „*Mare Cartier General*". Wprowadzono mnie do komnaty, gdzie na tle mapy pogranicza besarabskiego rysowała się piękna postać marszałka Prezana w otoczeniu wicepremiera Popa (któremu dwa tygodnie później notyfikować miałem podjęcie przez nas ponowne kroków wojennych z bolszewikami) i sympatycznego generała Cihoskiego.

D'ordre de Sa Majesté le Roi — oświadczył mi marszałek — *j'ai l'honneur de vous communiquer, monsieur le chargé d'affaires, que vos compatriotes viennent d'être renvoyés dans des wagons plombés*[1]*) vers la frontière polonaise.*

---

[1]) „Plombowane wagony" chronić miały Rumunię przed rozwleczeniem dżumy bolszewickiej i dżumy *tout court.*

Ferdynand I — nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni — okazał się wiernym sprzymierzeńcem Polski[1]).

*

W dyplomacji za wszystko się płaci, obowiązuje handel jakby wymienny kompensat: 21 stycznia doznałem był ze strony króla, zjednoczyciela wielkiej Rumunji, szczególnej i owocnej w skutki łaski; w równe dziesięć dni później zrewanżować się mogłem i musiałem

---

1) Polski Czerwony Krzyż

Misja w Kijowie
Nr 384.
Pascany 7-III
1920 r.

Szanowny i łaskawy
Panie Radco,

W przede dniu rozstania się z terytorium rumuńskim, przebiegamy myślą wszystkie etapy naszej pracy tutaj, złączonej z natury rzeczy z bardzo znacznymi i licznymi trudnościami. W tej chwili nie mogę nie uprzytomnić sobie tej roli, jaką Pan Radca odegrał w okresie dla nas najcięższym, w okresie zwątpienia i upadku ducha, kiedy ogół uchodźców w Tyraspolu przestawał już wierzyć w wybawienie i z rozpaczą oczekiwał nadejścia bolszewickich hord.

Wtedy to Pan Radca gorąco, jak nikt, przyjąwszy do serca sprawę naszych rodaków, nie szczędził sił i zabiegów, aż do czasu osiągnięcia pomyślnego skutku i wyzwolenia naszych rodaków z ich tragicznej sytuacji. Mnie, jako naocznemu świadkowi, pozostaną na zawsze w pamięci zapał i energia, z jakimi Pan Radca bronił naszej wspólnej sprawy. Panu w największej mierze zawdzięczamy, żeśmy mogli nasze zadanie doprowadzić do końca.

Proszę przyjąć, Panie Radco, od całej naszej Misji wyrazy najgorętszej wdzięczności i wysokiego poważania.

(—) M. Niedzielski
Przewodniczący Misji
Polskiego Czerwonego Krzyża

Do
Jaśnie Wielmożnego Pana Radcy
Morawskiego
w Bukareszcie

rządowi „siedmiogrodzkiemu“ udziałem Polski w uroczystościach inauguracyjnych uniwersytetu rumuńskiego w Koloszwarze.

Kiedy byłem na owym posłuchaniu u króla, wspomniał mi m. i. monarcha o wielkiej wadze, którą jako zdobywca Siedmiogrodu przywiązuje do zrumuńszczenia starej wszechnicy „Wyższej Dacji“, wspominał mi o działalności zasłużonego dla madziaryzacji kraju prof. Apathy'ego i o zabiegach jego rumuńskiego następcy, prof. Puscarin. Mogłem stąd osądzić, jak dalece Ferdynand Hohenzollern nawiązać pragnie do tradycji swojego poprzednika, Michała Walecznego, który dokoła Cluju stworzył był niegdyś, w XVII wieku, ośrodek walk wyzwoleńczych od Turków i Habsburgów zarazem.

Węgrzy wszakże znanymi metodami rządzenia głęboko się wkorzenili w etniczną strukturę Siedmiogrodu. Koloszwar — niemiecki Klausenburg — to była przecież zbiegiem ewolucji dziejowej jedna z central budzących się do nowego życia Węgier; Bethlen Gabor i Báthory Istvan i cała generacja insurgenckich dynastów, Rakoczych, związała tę górską ziemię, zaszytą lasami („Transylwania“), tę ziemię siedmiu grodów („Siebenbürgen“), mocną tradycją chwały, buntu i sekciarstwa z węgierską Budą, nie z odległymi i podległymi hospodarstwy. Już nikt naprawdę nie wiedział, kto był tu pierwszym tubylcem wśród pstrokatej mozaiki ludów; gdzie, u której rogatki miejskiej kończył się element węgierski, by ustąpić miejsca „innorodnej“ ludności wiejskiej, wśród której pojawiali się znienacka skolonizowani tu Sasi siedmiogrodzcy.

Wara było naszej Polsce mieszać się kiedykolwiek do zaciekłych tych sporów etnicznych — obcą jej była ta ziemia, niczym Słowaczyzna, a jednak — w ciągu wieków — między Krakowem a Koloszwarem różne za-

dzierzgały się węzły: Siedmiogród dawał nam wielkiego króla, my zaś mu cały „ausszus" naszych różnowierców. Bo mocna była to twierdza kalwińska, sekciarska w ogóle i proto-masońska nawet — to gniazdo górskie Rakoczych i Komeńskiego. Bliższe i głębsze związki łączyły nas wszakże jeszcze z Węgrami. Nie tylko zaś jawne: Bem w Siedmiogrodzie, Batory w Koloszwarze, Jadwiga, nie tylko przed a niemniej po utracie zobopólnej niepodległości — braterstwo broni (Warna, Mohacz), ale i „braterstwo" tajnych związków. Wiek XIX zbliżał naszych „węglarzy" i węgierskich liberałów i jeszcze w XX galicyjscy masoni orientowali się nie ku „apostolskiemu" Wiedniowi, ale ku „kacerskiej" Budzie.

Coś z tych górnych wspomnień, rzewnych sympatii, zakonspirowanych związków wsiąkło i w owo wielkowojenne pobratymstwo „dwóch bratanków". Rządził Węgrami kalwin Tisza, stykał sie tymczasem w Szwajcarii z polityką naszych lóż hrabia Andrassy, a niektórzy, żyjący in odore triangularitatis, członkowie N. K. N.u specjalnie gerowali się „z polska po węgiersku".

Nie dziw tedy, że w tym roku 1920, w aurze tak świeżych wspomnień legionowych od przełęczy karpackich do Marmarosz-Sziget, „miarodajne" wówczas w Warszawie koła nastrojone były pro-węgiersko i co najwyżej biedziły się nad znalezieniem „kwadratury koła", nad pogodzeniem przyjaźni dla Węgier ze sojuszem rumuńskim, ludząc sie mirażami nawet unii personalnej pomiędzy Budą a Bukaresztem.

Nic te[illegible] dziwnego, że skoro zdecydowałem się pojechać do Koloszwaru — co uczyniłby był z pewnością i mój szef, gdyby wtedy na placówce był obecny — zakotłowało się równocześnie nad Wisłą i nad Dunajem: politycy i prasa jęli szturm przypuszczać do ówczesnego przedstawiciela naszego w Budapeszcie, hr. Szembeka, w Warszawie zaś na konwentyklach lożowych (ta-

kiego czy innego obrządku) wśród eks-aktywistów, inspirowanych przez „hofrata“ Rosnera i gorąco kąpanych „sufrażystek“ czy „teozofek“ — żądano *purement et simplement* mojej głowy, którą rzekomo straciłem był w „rauszu“ festywali koloszwarskich.

*

Ja jednak pojechałem, bo pojechać musiałem, bo nie mogłem narażać na szwank stosunków polsko-rumuńskich w pierwszej ich fazie. Świadom też byłem, że czyniąc to, jadę na wielkie święto zjednoczonego po wielu stuleciach walk narodu, tej „Wielkiej Rumunii“, która jak za Jagiellonów winna nam być sprzymierzeń-zarówno przeciw zalewom z Zachodu, jak i podkopom ze Wschodu.

Pociąg nasz dyplomatyczny mknął w słoneczny ranek styczniowy ku stolicy rumuńskiego już *Ardealu*. Po wspólnie spędzonej nocy w wygodnie przysposobionych przedziałach, wysypali się dyplomaci o szarzejącym już popołudniu na miasto. Nie wyglądało ono na razie zachęcająco. Myślałem o przyjazdach Wilhelma do Poznania, gdy znalazłem się wraz z kolegami przed pięknym pomnikiem Macieja Korwina, „największego z renegatów rumuńskich“, jak nas objaśniali gospodarze. Miasto miało wejrzenie ponure, bez śladu owacji, z przechodniami snującymi się jakby chyłkiem. Wszyscyśmy odczuwali taki nastrój, jak się o tym przekonałem, zasiadłszy w towarzystwie kolegów: czechosłowackiego i jugosłowiańskiego w kawiarni przed butelką „Szamorodnera“.

*

Rankiem 1 lutego zmieniła się jednak sceneria miasta. Wstał dzień pogodny, świąteczny, i barokowy Koloszwar zaroił się od nieprzebranych zastępów wieśniaków i wieśniaczek z odległego aż nieraz Maramureszu,

wesołych, rozśpiewanych, roztańczonych niekiedy w swojej „horze".

Bardzo wcześnie podążyliśmy do auli. Wchodząc do tej sali, którą dwuglowa monarchia mogła była w tym samym stylu uszczęśliwić jedną z wszechnic galicyjskich, wybieglem myślą o lat dwadzieścia wstecz, kiedy to w innej „auli", zaimprowizowanej w kościele barokowym św. Anny, czciliśmy — w nieporównanym nastroju 500-lecia krakowskiej Almae Matris — na przemiany Jagiełłę i Franz Josepha, słuchaliśmy Tarnowskiego i „geheimrata" Hartla, Sienkiewicza i hakatystę z Berlina. Tu nie było, jak tam, kontuszów i pirogów z pióropuszami, ani kardynalskiej purpury, ani świadków dawno przebrzmiałej epoki, jak hr. Nigra, ale w tej sali, w jednym z ognisk zapalnych „Mitteleuropy", koncentrowała się i syntetyzowała epoka już powojenna, chaotyczna, bo jeszcze „niewypierzona", szukająca nowych form i z trudem adaptująca wyszłe z tygla wojennego aliaże.

Weszła królowa, najpiękniejsza z europejskich i tak na festyn ten przybrana, że oczy wypatrzyć było można na mieniącą się w subtelnych barwach i odcieniach szatę jej zwiewną jak rusałka Alecsandriego. Przy niej kroczyl król, nieco w cień usunięty przy tym blasku, jaki bił od wspanialej postawy nieodrodnej wnuki i siostrzenicy przedostatnich rosyjskich carów. Za parą zaś królewską postępowała pełna wdzięku młodzieńczego para: królewicz Karol, co wdał się w matkę, bardziej Koburg niż Hohenzollern, oraz księżniczka Elżbieta, późniejsza królowa grecka, nie pozbawiona w wyglądzie pewnych cech melancholii ojcowskiej.

Rozsiedliśmy się w amfiteatrze. Przemówił najpierw król, potem miejscowi dostojnicy. Cała bowiem ówczesna Rumunia zgrupowała się wokół suwerenów: biskupi prawoslawni i uniccy, jak mgr Miron Cristea, późniejszy regent i premier, oświecony zachodni Tran-

sylwańczyk, którego dary umysłowe ocenić mogłem, siedząc obok niego później na królewskim bankiecie, i jak imponujący mgr Radu, co jeszcze tej samej jesieni zginąć miał jako ofiara zamachu bombowego w senacie bukareszteńskim. A dalej — generałowie i ministrowie, poeci i uczeni z Oktawianem Gogą, synem tej ziemi siedmiogrodzkiej, i Mikołajem Jorgą na czele.

Posypały się teraz mowy cudzoziemców, witane każda huraganem ciepłej owacji południowców. Ani wystawić sobie nie mogłem, by w atmosferze tej, rozgrzanej do białości, przedstawiciel Polski świecić miał nieobecnością.

Skoro więc przebrzmiały salwy oklasków i niekończące się brawa, którymi sala witała kolejne speech'e dyplomatów — wśród tych wyróżniały się pyszne mowy rumuńskie pobratymców szczepowych *Romaniei mare*, ambasadora włoskiego i *chargé d'affaires* hiszpańskiego, jak również adres Sorbony, odczytany przez znakomitego archeologa Fougères'a — powstałem i ja z miejsca i przemówiłem, jak następuje, do królewskiej pary i zgromadzonych słuchaczy:

„Przejściowe zapewne trudności komunikacyjne przeszkodziły przedstawicielom uniwersytetów polskich przybyć na czas celem złożenia hołdu Almae Matri claudiopolitanae[1]). Nie wątpię wszakże, że Warszawa, Kraków, Lwów, Poznań i Wilno łączą się sercem z radością Cluju, którego prawa doczekały się przywrócenia.

Z Siedmiogrodu doszły nas niegdyś najszlachetniejsze natchnienia kulturalne. Książę, nie Rumun wprawdzie, ale wywodzący się od jednego z najwierniejszych sprzymierzeńców i współpracowników waszego

[1]) Dopiero w jesieni, jeszcze gdym kierował poselstwem, przybył z Poznania prof. Wędkiewicz na inaugurację uniwersytetu rumuńskiego w Czerniowcach.

Stefana Wielkiego, któremu to księciu wielki wasz historyk Jorga wystawia tyle pochlebne świadectwo (Batory)[1] — założył uniwersytet wileński, który zeszłego roku odżył po stuleciu ucisków rosyjskich. Inny zaś uniwersytet polski, wszechnica poznańska, ona także wskrzeszona z popiołów niemniej długiego i twardego ucisku pruskiego, weszła natychmiast na drogę realizacji, a dając tym wyraz przyjaznym i sprzymierzeńczym względem was uczuciom, stworzyła pierwsze seminarium i bibliotekę rumuńską na ziemiach polskich.

Wypowiem wszystko zresztą w sprawie wzajemnego stosunku Polski a Rumunii, gdy powiem, że nasze rozterki, zresztą bez większego znaczenia, sięgają zamierzchłych czasów, wspólnota za to interesów naszych błyszczy jaskrawo w świetle przyszłych przeznaczeń. Nie zapomnimy nigdy w Polsce, jak dalece delegacja, reprezentująca w Paryżu rząd J. Kr. Mości Ferdynanda I, była zawsze gorącą orędowniczką słusznych dążeń Polski.

Niech żyje Rumunja i uniwersytet w Cluj, bratnia wszechnica wszechnic polskich, odrodzonych przez wojnę!"

*

Niebawem po uroczystościach w Koloszwarze i po dwumiesięcznej blisko nieobecności w Bukareszcie powrócił z Warszawy mój szef. Powrócił umocniony na swoim stanowisku i bardzo na mnie niełaskaw. Nie znosił bowiem w tym czasie w otoczeniu swoim aktywności, która by nie szła bez reszty na jego rachunek, miał mi przeto za złe samodzielne wystąpienie moje w sprawie uchodźców i na inauguracji koloszwarskiej.

---

[1]) Szczegół o tej tradycji rumuńskiej w rodzinie Batorego zaczerpnąłem przed samym wygłoszeniem mowy mojej od obecnego na sali Jorgi, który znał dobrze stosunki polsko-węgierskie i rozumiał trudności w tej chwili przedstawiciela Polski.

Przyjazd hr. Skrzyńskiego na placówkę bukareszteńską, zbiegający się z zawsze hucznym w Bukareszcie karnawałem, zainaugurował w poselstwie serię wspaniałych balów, obiadów i innych przyjęć. Zapewne wystawność, z jaką były urządzane, która w następstwie nadszarpnęła znaczny majątek posła, nie była nieodzownym warunkiem powodzenia jego misji, to pewna jednak, że w kraju wschodnim, a więc szczególnie wrażliwym na blask zewnętrzny, jakiego udzielają pieniądze, zbytek, właściwy trybowi życia w dawnym pałacu Lascara Catargi (siedzibie pierwotnej poselstwa polskiego), przyczynił się do wyrobienia tej świetnej pozycji, jaka stała się udziałem mojego szefa w ciągu jego trzechletniego posłowania, i nam, jego podwładnym, a mnie w szczególności, ułatwiła wyrobienie sobie doskonałych stosunków z towarzystwem miejscowym oraz ciałem dyplomatycznym.

Niezapomnianym zwłaszcza będzie zawsze dla mnie wspomnienie pięciu balów, które poseł nasz wydał w okresie od lutego do czerwca 1920 r. Odbywały się one wszystkie we wspomnianym już pałacu Lascara Catargi przy Calea Victoriei, położonym *entre cour et jardin*, na pryncypalnej ulicy miasta, o komnatach rozległych, nadających się do tłumnych przyjęć, nieco tylko przeładowanych szychem złoceń i stiuków, których zły gust starał się Skrzyński równoważyć artystycznymi walorami sprowadzonych ze swej kolekcji krakowskiej dzieł polskich malarzy.

W tych to salach zgromadzał poseł w ciągu pięciu następnych miesięcy wspólnego naszego urzędowania „kwiat" — jeśli tak banalnie powiedzieć można — towarzystwa bukaresztenskiego i dyplomacji.

Dwór w tym czasie przyjmował mało: zbyt świeże były tam jeszcze przykre wspomnienia wojny: klęsk jej i chorób, ewakuacji i utraty stolicy, emigracji jasseńskiej, defekcji i infekcji rosyjskich. Królowa, z na-

tury tak ruchliwa i towarzyska, dotknięta w czasie wojny bolesną stratą najmłodszego ze swoich synów, księcia Mircei, udzielała się stosunkowo niewiele, z rzadka tylko u siebie w zamku (byliśmy wszystkiego na jednej u niej herbacie) czy w Cotroceni; chętniej przyjmowała w skromnym podmiejskim dworku należącym do jednej z jej dam dworu. Jedno pamiętam tylko wielkie przyjęcie dworskie za mego pobytu, a to na cześć wracającego z Ziemi Świętej arcybiskupa Paryża, kardynała Dubois, połączone z przedstawieniem, w czasie którego kabaretowa śpiewaczka francuska śpiewała nazbyt, jak na taką okoliczność, frywolne pieśni[1]).

Arystokracja podobnież powstrzymywała się za dni moich na ogół od prowadzenia „domów otwartych“ czy nawet sporadycznych przyjęć. „Reforma rolna“, przeprowadzana jeszcze przed wojną przez rząd Jonela Bratiania, po której przyszły zniszczenia i uciski wojenne, sprawiła, że warstwa bojarska, niegdyś tak bogata, skurczyła się w swoich dochodach, a przeto też i w ekstensywnym i ekspansywnym trybie życia. Byli wśród nich i tacy, co nie mogąc się przyzwyczaić do zmiany warunków a rozporządzając jeszcze kapitałami, woleli utartą przed wojną koleją ekspatriować się czasowo za granicę, najchętniej do Paryża.

Pustką więc stał za moich czasów nieładny, ale bogaty (*cossu*) pałac Cantacuzenów w bliskim sąsiedztwie poselstwa; rzadko tylko spotykało się w stolicy najbogatszego z potomków hospodarskich księcia Konstantego (Costikę) Brancovan (Brincoveanu), którego wysoce „zracjonalizowane“ majątki oparły się skutecznie „reformie rolnej“. W niedalekiej Buftei, wsławionej

1) Nie bylo wtedy w Bukareszcie księcia Mikołaja ani też księżniczki Marioary (późniejszej królowej jugosłowiańskiej), oboje bowiem bawili za granica; malutka księżniczka Ileana (późniejsza arcyksiężna Antonijowa austriacka) bawiła się z moim najstarszym synem u generałostwa Duncanów.

preliminariami pokoju bukaresztеńskiego, odwiedzaliśmy z żoną księstwa Stirbeyów, bardzo wpływowych na dworze i niezmiernie jeszcze bogatych (podziwiając zwłaszcza pokazywane nam przez księcia postępowe ule). Księżna Marta Bibesco, znana autorka, źle zapisana podczas okupacji niemieckiej, pojawiła się tylko na jednym balu u Skrzyńskiego, częstym natomiast gościem bywałem — chroniony w tym względzie przez moją reputację „ententową" — u innej wielkiej, a równie o uczucia „germanofilskie" posądzanej damy, pani z książąt Bibesców Aleksandrowej Darvary. Była ona siostrą znanej mi również markizy du Belloy i hrabiny Leopoldowej Starzeńskiej, żony posła austriackiego w Portugalii, który w roku 1919 zginął zamordowany przez Rusinów.

Z obowiązku raczej bywało się w domu starej pani Catargi, zwanej w towarzystwie bukaresztеńskim „piękną Heleną", która zarekomendowała mi się przy poznaniu jako potomkini kilkunastu hospodarów. Więcej za to uroku towarzyskiego posiadała znakomita i utalentowana rodzina Ghika[1]), której znałem wszakże same tylko przedstawicielki, podobnie jak i z innej, znamienitej zwłaszcza na polu dyplomatycznym, rodziny Lahovarych.

Nie wchodząc w dalsze szczegóły, powiem, że co mnie uderzyło najmocniej w zetknięciu z tym nieco już na dalszy plan odchodzącym w „Wielkiej Rumunii" światem bojarów, to niezwykły i w różnych odmianach spotykany czar jego kobiet. Wspominam po dziś dzień ów wysoce estetyczny zespół, jaki na balach polskich, przyjęciach dworskich i innych dyplomatycznych, stanowiły piękne panie znad Dambowicy czy Seretu. Córy bojarów, prawnuki hospodarów, owe Ghikówne, Stur-

---

1) Książę Matila napisał niezłą francuską powieść: „Pluie d'étoiles"; ksiądz katolicki tegoż nazwiska cieszył się dużym wzięciem w Paryżu.

dzówne czy Lahovarówne łączyły w sobie drogocenny egzotyzm Wschodu z przednią nieraz kulturą paryską. Pulsowała w ich żyłach krew różnoraka: ormiańska czy ruska, jak u naszych lwowianek, ale trafiała się i gruzińska, wytwarzając typy najrzadszej piękności oczu i ruchów. Wszystko to zalatywało Fanarem, Lewantem, w najlepszym razie Bizancjum. W „Boulevardzie" czy w „Ateneulu", przy stolikach restauracyjnych, wykwitały znienacka przed oczyma cudzoziemca wizje jakby przecudnych ikon moldawskich; to znów w zacisznym jakimś „mezzaninie", będącym własnością rumuńskiego dyplomaty, gromadziła się „sosjeta" stołeczna przy czarnej kawie z fusami, w tureckich podawanej czarkach, na tle bezcennych kobierców i makat. Miejscowe Armidy, żony ministrów, generałów, dyplomatów, w nonszalanckich pozycjach leżały więcej niż siedziały na otomanach, paląc wonne „macedonie" czy przegryzając sposobem tureckim sorbety popijane wodą lub aromatyczne poziomki leśne smakowitą zaprawne śmietaną. Patrząc na ten wschodni obrazek, ileż razy powtarzałem sobie wiersz Mickiewicza:

Padyszach nie ma takiej krzewiny
W sadzie rozkoszy w Stambule...

Ta przedwojenna iście idylla, która tak bardzo zapewne fascynowała Gołuchowskich, Bülowów i Czerninów, miała oczywiście i odwrotną „stronę medalu". Właściwie zaś — stron tych było aż kilka: przedział czy przepaść pomiędzy poszczególnymi warstwami społecznymi za czasów moich ziały nie zmniejszone; wiem coś o tym z bliska, bo zamieszkiwaliśmy ładną, z dobrym smakiem paryskim urządzoną willę pośrodku nędznej dzielnicy, właściwej *mahalli* (bukareszteńskiego przedmieścia).

Dalej — dla intelektualisty — był ten świat może „ugornym" wypoczynkiem, ale *à la longue* nużył swoją jałowością. Drobne intryżki, błahe zainteresowania

Sygn. ... dnia 4.5.39

składały się na to, co klasyk rzymski nazywał animula vagula, blandula. Gdzież było mi szukać pożywki czy odżywki: chyba w muzeum dostojnego p. Tsigara-Samurkasha albo też w willi o zdrowym, rodzimym charakterze, tak łaskawego na mnie, a pełnego żywotności, błyskotliwości geniuszu Mikołaja Jorgi[1]).

Zarzucało się nieraz i dalej zarzuca Rumunii płochość jej obyczajów, obfitość rozwodów, korupcję mężczyzn i kobiet. Za moich czasów istotnie lekkie tam, powierzchowne życie sprzyjało zagęszczeniu się tych wad, które skądinąd są cechą całego niemal powojennego świata. Kiedy kapłan prawosławny — sam nieraz na bardzo niskim stojący poziomie — nakładał w cerkwi na głowy nowożeńców złocone obręcze, symbol ten nie znaczył, że obręcz wytrzyma napór krwi południowej i nowinek zachodnich. Poligamię zaś wschodnią mieli we krwi potomkowie i podwładni niegdyś „Fanariotów". Małżeństwa się rozchodziły, schodziły znowu, spotykały ze sobą; dziwiło to cudzoziemca, mniej dziwi dzisiaj, skoro we własnej ojczyźnie napatrzył się odtąd podobnych rzeczy.

Na odwrót, być może, że ekspansja „Wielkiej Rumunii", która tak potężnie zaznaczyła się na wewnątrz w ostatnim piętnastoleciu, że parcie zwłaszcza peryferii na centrum zmodyfikuje w rezultacie fizjonomię, także moralną, „starego królestwa". Już za moich czasów w towarzystwie rumuńskim, sporadycznie co prawda i na marginesie niejako właściwej *gentry*, spotykało się naloty czy napływy z innych, nowoprzyłączonych dzielnic. Z Besarabii przybywali na dwór królewski ci tak bardzo wyróżniani przez królową Marię książęta Trubeccy i Sayn-Wittgensteinowie; z Sied-

[1]) Jeszcze w kilka lat później, za pobytem w Polsce, zagaił Jorga odczyt swój o Rumunii, przeznaczony dla urzędników naszego M. S. Z. serdeczną wzmianką o moich rzekomych zasługach dla uprzystępnienia Polakom znajomości Rumunii.

miogrodu — znany i w Polsce wielki łowczy Mocsonyi; na wyścigach w Baneasa siadywałem przy znajomych z Bukowiny b. pośle do parlamentu austriackiego Hormuzakim i baronie Starcea, późniejszym ministrze dworu. Rzadziej pojawiał się tu Polak z Bukowiny; z uroczych Polek wspomnę tylko panią Vladaiano, córkę malarza Ajdukiewicza.

*

Wybiegnę naprzód w opowiadaniu moim, gdy dla scharakteryzowania, czym były owe fety Skrzyńskiego, postaram się odmalować bal kostiumowy, urządzony przezeń w początku czerwca 1920 r. na cześć księżniczki Elżbiety, późniejszej królowej greckiej.

Wystawmy sobie ogromną salę w nieokreślonym stylu „pacotille", ale pojemną i przewiewną. To zaś ostatnie jest przydatne, bo Bukareszt tonie właśnie w czerwcowym żarze, który przeleje się w skwarne lato, po czym lato ustąpi miejsca „złotej" jesieni, surowej zimie i nagle wybuchającej, gorącej na ogół wiośnie.

Jest więc upalnie, ale nie duszno; przez okna sali balowej prześwieca wyiskrzone już po wschodniemu niebo, którego blaski osobliwymi refleksami stroją ogród i kontury przyległych budowli. Skrzyński zasłał formalnie westybul, klatkę schodową i salony tym kwieciem, co współcześnie wieńczy baseny parku Cismegiu lub gazony parku Joanid. W kącie sali roztasował się Ciolac czy Dinicu ze swoją orkiestrą, ze swoimi cymbałkami, na których wygrywa zarówno rzewne „hory" folkloru rumuńskiego, jak i modne już, ale nowością jeszcze brzmiące nam w uszach powojenne „jazzy".

Cóż to za rój piękności wyroił się dzisiaj na tę salę? Incessu patuit dea, kroczy jak Junona na spotkanie gości swojego brata pani Marja ze Skrzyń-

skich Adamowa Sobańska; sekunduje gościnnym jej zabiegom żona moja na czele pań poselstwa. Obie wymienione wyżej noszą na tę okazję strój ludowy rumuński. przywdziała go i księżniczka Elżbieta, a za jej przykładem najurodziwsze panie Bukaresztu, więc — obok lady Rattigan i pani Pétin — śliczna jenerałowa Mano i siostra jej, córka wielkiej ochmistrzyni dworu, Magda Mavrodi, i urocza pani Giurgea z Mołdawii wraz z córką swoją, słynną i w stolicach europejskich ze swojego wdzięku, panią Laurette Crutzesco, co „jak tatarska orda w jasyr bierze corda", sama jednak nie z Tatarów się wywodzi, ale z Gruzji. Pysznie wygląda w swoim kostiumie narodowym pani Take Jonesco, późniejsza księżna Woroniecka, niegorzej pani Davila, żona późniejszego posła w Warszawie.

Zabawa wre już w najlepsze, gdy Dinicu zagrywa mazura. Skrzyński — prześwietny tancerz — prosi jedną z pań w pierwszą parę, za nim rusza w tan Poklewski z panią Sobańską i kto tam mógł jeszcze dopełnić „wszystkie pary".

Potem zaś „tango" i „fox-trot" luzują ten polski taniec. Dinicu coraz szaleniej rzepoli na swoich cymbałkach; służba roznosi szampan i czareczki z kawiorem. Stoję „bez przydziału" z sympatycznym sceptykiem z Besarabii, Michałem Catargi, który mi szepce do ucha: „Niech pan patrzy! *Voilà la danse d'une humanité fatiguée!*"

*

Nie należy wszakże myśleć, że dnie i noce upływały nam na zabawach i uciechach. Skrzyński, bardzo zazdrośny o swoje prerogatywy polityczne, powierzył mi ~~wszakże~~ kierownictwo kancelarią poselstwa, w którym mnożyły się z każdym dniem liczne i nieraz bardzo zawiłe sprawy, natury zwłaszcza ekonomicznej, handlowej: importu, eksportu, tranzytu; dalej — skomplikowane sprawy przynależności państwowej, zwlaszcza

zbiegłych w czasie wojny żydów; szyfry itd. Często przyjeżdżały do Bukaresztu i przez Bukareszt przejeżdżały misje: raz jechał generał Karnicki do Wrangla na Krym, to znów Tytus Filipowicz do republik kaukaskich; interwencji było bez końca, na ogół skutecznych, ale nieraz mozolnych i kłopotliwych, a czasem i ryzykownych, gdy zgłaszali się spryciarze, domagający się od poselstwa... opieczętowania transportu kokainy .

Z klientami żydowskimi, nahalnymi jak zawyczaj, wychodziłem na ogół jako tako, musząc hamować nieraz słuszną wobec ich nietaktów irytację, która i tak zauważona była i rejestrowana ad usum delphini przez nieodzownych „sykofantów"; skonstatowałem dalej, że jeden z członków poselstwa pochodzenia żydowskiego, sam wielce nietaktowny i niekoleżeński w pożyciu, wyróżniał stale, zakreślał na czerwono i podsuwał mi do załatwienia akta proweniencji żydowskiej, tj. tyczące się interesów firm żydowskich.

W zakresie politycznym Skrzyński, który wyraził się był wobec jednego z mych przyjaciół, że poza robotą kancelaryjną winienem studiować wyłacznie literaturę i sztukę rumuńską, nie dopuszczał mnie do „intimów" swojej misji, chociaż z drugiej strony, jakby ze starego nałogu, radził mnie się nieraz. Stosunek nasz wzajemny był już wtedy definitywnie popsuty, śmiem powiedzieć, że więcej z jego winy, niż z mojej (argumentum probans mam w tym, że był fatalny i do innych, podwładnych mu członków poselstwa). Mówił mi wielokrotnie rzeczy przykre, nawet wobec tychże podwładnych, krytykował bez racji i wszelkich odmawiał mi zasług. Jedną mi właściwie tylko przyznawał zaletę dyplomatyczną, tj. że wskutek długiego pobytu na łacińskim Zachodzie potrafię lege artis redagować „noty werbalne". Raziło go natomiast i korciło najbardziej to, że podczas wojny wyznawałem inną od niego orientację.

ale musiałem

Ta jego drażliwość wywoływała czasem osobliwe konsekwencje. Jadąc do Bukaresztu i czując się niepewnie jako nowoupieczony dyplomata, prosiłem w Bernie bardzo dla mnie wówczas uprzejmego p. Franka Savery, ażeby napisał list polecający mnie do swego kolegi bukareszteńskiego, p. Franka Rattigana. Zdarzyło się tak, że wkrótce po naszym przyjeździe do Bukaresztu Skrzyński został zaproszony w czasie *garden-party* do stolika królowej wespół ze wspomnianym sir Frankiem. W trakcie rozmowy zapytał się go zapewne bez złej intencji Anglik: „*Écoutez, comte Skrzyński, il paraît que vous avez à votre légation un conseiller, qui a été très ententiste pendant la guerre*“. Ten incydent wystarczył, aby Skrzyńskiego gorzej jeszcze niż poprzednio względem mnie usposobić.

*

Sezon wiosenny przyniósł ze sobą wielkie ożywienie polityczne na placówce bukareszteńskiej. Odezwa Wodza Naczelnego z końca kwietnia 1920 r. wprawiła w ruch żywszy polski aparat propagandowy, w stosunku zaś do Rumunii wyrazem wzmożonego jego tempa stała się misja generała Rozwadowskiego, który przybywał do miasta, gdzie niegdyś spędził lat jedenaście jako *attaché* wojskowy austriacki.

Można powiedzieć, że nowy gabinet generała Averescu, który zastąpił był tymczasem „Siedmiogrodzian“, jakkolwiek Rozwadowski osobiście witany był w Bukareszcie z wielką sympatią, odniósł się raczej sceptycznie do politycznych zabiegów Polski w kierunku uzyskania czynniejszej pomocy rumuńskiej na froncie antybolszewickim, i jeżeli strona polska łudziła wówczas naszych sprzymierzeńców mirażem zdobycia Odessy, to mężowie stanu bukareszteńscy, trzeźwo waloryzujący informacje swojego wywiadu, znaczną okazywali powściągliwość w honorowaniu ofert general-

skich, zbywając grzecznymi słowy nasz optymizm urzędowy i propozycje współdziałania.

Cały początek maja wypełniony był konferencjami i przyjęciami. Zaczęło się od uroczystości trzeciomajowej z mszą św. w katedrze i przemówieniem Skrzyńskiego w poselstwie, po czym dnia 8 maja przybyła do niego para królewska, witana przez nas wszystkich i przez generała z jego świtą, którą składali młodzi wojskowi polscy, Aleksander Zaleski i Stanisław Dzieduszycki.

Po obiedzie na 24 nakryć rozpoczął się wspaniały bal, największy i najpiękniejszy ze wszystkich, jakie widziałem w Bukareszcie. Królowa pozostała w sali balowej i przyglądała się tańcom, podczas gdy król, Averecu, Rozwadowski, Skrzyński i minister spraw zagranicznych Zamfiresco zamknęli się w sypialni Skrzyńskiego na dwugodzinną konferencję. Wytworzyła się zabawna sytuacja, gdyż obcy dyplomaci nie wiedzieli, gdzie król zniknął, i wypytywali nas o to z zaciekawieniem. Nareszcie królowa, późno w nocy, dała sygnał do odejścia, Skrzyński zaś wówczas, w otoczeniu całego poselstwa i świty dworskiej, sprowadził parę królewską do dolnej sali jadalnej na podkurek. Gdy podano szampana, królowa wzniosła w górę swój kielich i wypiła toast „na cześć dzielnej i zwycięskiej armii polskiej“ (było to nazajutrz po zdobyciu przez nas Kijowa). Król natomiast, lojalnie zapewne strzegąc zalecanej mu przez swoich ministrów linii rezerwy, nie przerwał jedzenia i nie przypił się do toastu żony. Uczynił to dopiero wtedy, gdy energiczna władczyni wezwała go do tego angielską apostrofą: *„Fernando! now's your turn!“*

*

. . . O tym, że pełne ostrożności przewidywania Rumunów co do naszego położenia były trafne, zdołałem się przekonać w miesiąc później, za pobytem urlopowym

w Polsce, dokąd w początku czerwca pojechałem w towarzystwie żony, najstarszego syna, pań: Adamowej hr. Sobańskiej i Lauretty Crutzesco, dostarczonym nam przez Rumunów b. wagonem salonowym hr. Tiszy.

Przyjęty w Belwederze, dokąd udałem się na życzenie Skrzyńskiego, przez referenta do spraw politycznych Naczelnika Państwa, późniejszego premiera Świtalskiego, usłyszałem z ust jego zapewnienie, że sytuacja na froncie jest świetna, podczas gdy w opinii publicznej krajowej najżywsze już się co do niej budziły wątpliwości i obawy.

Wątpliwości te i obawy spotęgowały się oczywiście wśród Polaków bukaresztеńskich za powrotem moim do tego miasta, gdzie przeznaczone mi było spędzić drugie z kolei lato, podczas gdy rodzinę ulokowałem zrazu w Predealu, później zaś w Sinai, dojeżdżając do niej mniej więcej co niedziela, niekiedy w cudzej „salonce", ale częściej w natłoczonym po brzegi — wobec rozpaczliwego wówczas stanu kolejnictwa w Rumunii — wagonie bagażowym.

Gdzieś od początku sierpnia jęło się i z bukareszteńskiej perspektywy precyzować oblicze przegrywanej przez nas kampanii. Pierwsze wieści hiobowe jęły dochodzić nas ze strony obcej pod postacią panicznych depesz posła rumuńskiego Florescu z Warszawy, które komunikowane nam były w urzędowych odpisach. O zachwianiu się wiary w zwycięstwo polskie świadczyła ponadto postawa miejscowych dyplomatów i „notablów": takiego Poklewskiego, gładkiego zwykle i taktownego, z którym w tych dniach miewał Skrzyński ostre scysje; takiego Martin-Franklina, późniejszego ambasadora włoskiego w Warszawie, który przychodził do mego biura, by mi się zwierzać półżartem: *„Je vous avouerai, mon cher, que je suis un peu bolchévique"*, takiego Costiki Brancovana, który spotkaw-

szy mnie u Capszy, nie bez ironicznego niepokoju pytał mnie o wieści z Warszawy[1]).

Moje zaś osobiste położenie było w tym czasie także niepozbawione rozterki. Pragnąłem jechać do kraju i zamiar ten przedstawiłem Skrzyńskiemu, po czym zgłosiłem się do służby telegramem, wystosowanym do kancelarii Naczelnego Wodza[2]). Skrzyński jednak potraktował ten mój zamiar możliwie niechętnie i zapowiedział szorstko, że na wypadek chaosu, który łatwo wywiązać się może w Rumunii z powodu przegranej polskiej, on nie bierze na siebie odpowiedzialności za los pozostałej tu mojej rodziny. Był to argument trudny do odparcia, któremu wszakże ulegając i bez względu na wynik toczącej się kampanii, czułem dobrze, że zniewolony zaniechać mojego zamiaru, wytwarzam w życiu swoim dotkliwą lukę. Patrząc dzisiaj

---

[1]) Charakterystyczny przebieg miało również śniadanie, które spożyłem w tym czasie u posła francuskiego Daeschnera w wyłącznym towarzystwie *attaché* wojskowego angielskiego, generała Duncana. Sympatyczny zresztą wojskowy zaczął ni stąd ni zowąd natrącać coś — w duchu znanej propagandy angielskiej — o naszych mniejszościach, na co mu się odciąłem, cytując przede wszystkim Egipt i Irlandię.

[2]) Nr/aktu 2532.

Odpis.

6 Août 1920.

TELEGRAMME:
Adjutantura Glowna Naczelnego Wodza

Varsovie.
Belweder.

Apprenant par voie presse rupture armistice tiens a ré-[illegible]er voeu antérieurement exprimé chef mission stop S[illegible]vant exemple nombreux collegues profession je place disposition chef suprême et prie utiliser ma personne service actif au front. Conseiller Légation Morawski.

Za zgodność:
Ambasada Polska w Bukareszcie.

wstecz na to życie, nie będę mógł bowiem napisać, jak pisał o sobie z dumą stary Popiel: „Bogu dziękuję, że na starość wspomnieć mogę: byłem pod Grochowem, pod Dębem i pod Warszawą“.

*

Powróciłem właśnie do Bukaresztu z „*weekendu*“ spędzonego u rodziny w Alpach Transylwańskich, gdy zawiadomiono mnie w poselstwie, że przybył do Rumunii marszałek Joffre. Nie widziałem się jednak z nim, gdyż widział się tylko Skrzyński, podobnie jak — współcześnie — z bawiącym wtedy równocześnie w stolicy nad Dambowicą Beneszem. Te dni były wszakże dniami urodzin „Małej Ententy“, z którą w następnych miesiącach, ostatnim kwartale mojego radcowania, nadzwyczaj wiele miałem mieć do czynienia.

U kolebki wszakże tej „małej“, która *de facto* urodziła się była w Paryżu, stał dobry mój znajomy ze Szwajcarii, wpływowy Czechosłowak Osuski — z Czechami bowiem i Jugosłowianami łączyły mnie w tej dobie jeszcze poufałe stosunki: pamiętam wieczór styczniowy, w którym do mnie przyszli przedstawiciele Pragi i Belgradu, Czermak i Łukowicz i gorąco namawiali, abym parł na Warszawę w kierunku przystąpienia Polski do tworzącego się sojuszu. Tę myśl podjął w czerwcu 1920 r., zostawszy ministrem spraw zagranicznych, Take Jonescu, z tą myślą pojechał w jesieni t. r. do Warszawy. W zabiegach tych sekundował mu Skrzyński, który w tym czasie szereg znowu tygodni spędził w Warszawie, podczas gdy ja kierowałem ponownie poselstwem. Nie mam pod ręką olbrzymiego zwału raportów, jakie w tej dobie posłałem do Warszawy: była to w każdym razie ze strony mojej i pomocnika mojego Grzegorczyka wszechstronna praca informacyjna, uwzględniająca wszelkie odcienie myśli politycznej rumuńskiej: od Miszu do Lupu przez Mar-

ghilomana; może przynajmniej przyszły historyk skorzysta i zacytuje z czasem te relacje „Morawskiego do Sapiehy".

*

Dzień wszakże, w którym Skrzyński i Take Jonescu wspólnie powrócili z Warszawy, rebus napozór infectis, ale z zalążkiem już przymierza polsko-rumuńskiego, przesądził o moim także losie. Skrzyński postanowił się mnie pozbyć, ja zaś nie czepiałem się „stolca radzieckiego".

Odjazd nasz z Bukaresztu nastąpił w początku listopada. Wyjeżdżaliśmy w dosyć burzliwej stąd chwili: jedną z ostatnich osób, które widziałem, był minister sprawiedliwości, sympatyczny ziemianin mołdawski Greceano, który wkrótce potem zginąć miał podczas zamachu bombowo-zegarowego w senacie.

Na samym wyjezdnym zjawił się u mnie z pożegnaniem w biurze zacny generał Pétin, przyjaciel w złej i dobrej doli; na dworcu, wczesnym rankiem, przed wagonem, którym odjeżdżałem z rodziną i sekretarzem Grzegorczykiem, również zdymisjonowanym, żegnało mnie poselstwo in corpore ze Skrzyńskim na czele, z obcych zaś dyplomatów — inny przyjaciel, *chargé d'affaires* szwajcarski, Walter de Bourg.

*

Na tym urwała się moja krótkotrwała kariera dyplomatyczna. Później dwukrotnie jeszcze była mowa o zużyciu mnie na placówce zagranicznej: w lutym, jeśli się nie mylę, 1921 r., podpisał książę Sapieha nominację moją na *chargé d'affaires en pied* w Wiedniu[1]); przy-

1) Dokument nominacyjny miałem sposobność oglądać w kancelarii kuzyna mojego, późniejszego wiceministra Kajetana Morawskiego.

znam się, iż nie bardzo garnąłem się do tej „centralnej“ placówki (jak poprzednio odmówiłem „przydziału“ do Budapesztu, dokąd mnie znowu chciała wysłać „propaganda“ Witos—Daszyński—Baranowski). Wielce mi się natomiast uśmiechała postanowiona już w czerwcu 1921 r. nominacja na *chargé d'affaires ad interim* przy Watykanie, gdzie liczyć mogłem na poparcie wpływowej jeszcze w kołach dyplomatycznych arystokracji „czarnej“, spokrewnionej z moją żoną. I ta wszakże nominacja (w tej sprawie minister wezwał mnie był nawet do Warszawy) została cofnięta, co mnie skłoniło ostatecznie do wniesienia prośby o zwolnienie ze służby na ręce nowego ministra Skirmunta[1].

*

Różne, ale wyłącznie personalne przyczyny złożyły się na rozbrat mój ze służbą dyplomatyczną. Miałem już wtedy zbyt wielu i zbyt potężnych wrogów: przez wiceministra Dąbskiego dowiedziałem się, jak zwalczał mnie mój mistrz Askenazy; Skrzyński też na pewno mi nie pomagał. Najbardziej przecie z tzw. „korytarzowania“, tj. oczekiwania na nominację, wyleczyła mnie klika czy raczej kliczka kolegów moich ministerialnych pnących się wówczas w „centrali“ do kariery i rozgłosu.

Wyszli przeważnie z domów arystokratycznych i szlacheckich, choć z lekka naszpikowani też elementami biurokratycznymi (ze służby przeważnie austriackiej), stanowili ci młodzi na ogół ludzie typową koterię, sprzęgniętą solidarnością nieomal masońską (choć nie-

---

[1] Wspomniany minister przypisywał mi w następstwie udział w wywołaniu swojego upadku — tak się wyraził m. i. w pożegnalnej mowie, wygłoszonej w warszawskim „Klubie myśliwskim“ o moim „Zmierzchu ministra Skirmunta“. Jak było, to było: dzisiaj, po latach szesnastu, wyznaję, że pisząc i wydając tę broszurę, „niosłem tylko siebie“.

Skończonym niejako akordem tej mojej kilkuletniej współpracy z [illegible], a zarazem epilogiem mych młodych lat krakowskich stał się odczyt mój w uroczystym obchodzie stulecia Napoleońskiego 15 maja 1921 [illegible] w uniwersytecie Jagiellońskim, [illegible] mój [illegible], a na którym mnie [illegible] w udziale ~~[illegible]~~ referat historyczny.

wiem, czy „afiliowani" byli do masonerii), ożywieni gorliwą chęcią „dojścia" i wytrwałym o to staraniem, pozbawieni za to nieraz podkładu poważniejszych studiów, a zawsze wyobraźni i ideologii politycznej. Wsparci jeden o drugiego i niewybrednymi posługując się metodami, doszli nawet niektórzy do wysokich stanowisk, giętko naginając się do przejściowych koniunktur, umiejąc być *plus catholique que le pape* i *plus Witos que Witos*. „Tajfun" totalizmu rozproszył właściwie na cztery wiatry owo bractwo wzajemnej pomocy i admiracji; niektórych tylko z nich zatrzymał na placówkach, ale resztę zwolnił i — w miejsce nich — rozbrzmiały przytulne i gwarne niegdyś korytarze naszego M. S. Z. marsowym krokiem „majowych" kapitanów i poruczników. „Bubki z M. S. Z.", załamawszy się w życiu, żyją odtąd nieśmiertelnością swojego komizmu na deskach teatrów stołecznych.

*

Epizod tej „służby" — jakkolwiek wypełniający pełne półtorarocze życia mojego — stał się dla mnie niemniej „intermezzem". Kiedy dziś wstecz na nie spoglądam, nie żałuję jasnych dni spędzonych nad Dambowicą, ale nie użalam się też nad okolicznościami, które skróciły owo moje „niepróżnujące próżnowanie".

Zacytowałem na wstępie do tego rozdziału inwokację z „Fausta", melancholiczny odzew starego Goethego do widm radosnej młodości. I ja też dziś, gdy sięgam myślą do dni bukareszteńskich, śnię jakby „taniec śmierci" Holbeina.

Nie masz już wśród żyjących szlachetnego Hohenzollerna, pobożnego księcia z Niemiec południowych, wiernego sojusznika Polski. Ciężką miał król Ferdynand i przedwczesną starość, umarł bowiem w rozterce między Kościołem, do którego przynależał, a narodem, który zjednoczył, ukojony w niej dopiero dłonią

śmierci. Nie urodziłem sie dworakiem, ale wdzięcznym sercem wspominam ludzką naprawdę dobroć okazaną mi przez zmarłego monarchę w opisanym kryzysie „uchodźczym". Jeszcze w roku 1923, za pobytu w Krakowie, wspomniał o mnie życzliwie mojemu ojcu, królowa zaś chwaliła sobie potem wobec jednej z moich znajomych dłuższą z ojcem mym (przy którym siedziała podczas bankietu) rozmowę, mówiąc, że wtedy zrozumiała, jakby „Wielkiej Rumunii" potrzebny był ośrodek intelektualno-kulturalny w rodzaju Krakowa[1]).

W pięć lat po królu stracił życie — jak wiadomo — w wypadku samochodowym szef mój Skrzyński. „Umarł, jak żył, w ruchu" — słusznie wyraził się o nim jego kuzyn i imiennik, ambasador.

Jeżeli na poprzedzających stronicach starałem się „dać świadectwo prawdzie", uwydatniając zalety mojego szefa, ale cieniując i jego wady, to — rozstając się tutaj z jego pamięcią — powiem, że w sercu moim więcej jednak pozostawił dobrych wspomnień, niźli żalu. Pragnę go widzieć nadal tym uroczym, obiecującym młodzieńcem, jakim był przed wojną, na tle ukochanych jego Zagórzan, gdzie spoczywa snem wiecznym wśród czarownej scenerii małopolskiej okolic sędziwego Biecza. Pragnę pamiętać tyle fascynujących jego rozmów, w których ten umysł wyższy, pojętny i przetwórczy „wyżywał" swoją nieskażoną jeszcze nalotami lat późniejszych młodość. Umysł to zaś był filozoficzny, świadom zagadnień i arkanów psychiki ludzkiej, a chociaż pełen radości życia, niewolny też od zadum „Ekklezjasty". Ileż mi razy za młodu mówił, że po bujnym życiu rad by był osiąść w samotni rozmyślania. To nie zostało mu dane; przeciwnie, ostatnie lata miał zamącone palącą się w nim ciągle ambicją i jej zawo-

---

1) Zmarły król odznaczył mnie, w półtora roku po opuszczeniu przeze mnie służby, komandorią „Gwiazdy Rumunii".

dami. Ale wierzę, że na dnie tej duszy, bogatej i chłonnej, już się był znalazł i przybytek dla Boga. Nie Deo ignoto poświecony, ale temu, co „lubi huczny lot olbrzymich ptaków i rozhukanych koni... co nie kiełza". Requiescat in pace!

Jednym z pięknych odruchów Skrzyńskiego była mowa wygłoszona nad grobem wojskowego niegdyś zwierzchnika i towarzysza broni generała Rozwadowskiego. I jego już nie masz! Świetny żołnierz, historyczny zwycięzca, „legł u sławy grodu" śmiercią rycerza-patrioty. Na cmentarzu lwowskim stróżuje duch jego kresom Rzeczypospolitej, którędy szedł niegdyś szlak mołdawski, wiodący do tej Wołoszczyzny, gdzie i on spędził najszczęśliwsze lata swojego życia.

*

Ihr naht euch wieder, schwankende Gestalten! Kiedy to piszę, spogląda na mnie podobizna tej, co też już odeszła w zaświaty, a za dni tych bukareszteńskich była mi, jak zawsze, najgorliwszą, najbardziej oddaną towarzyszką życia i pomocnicą. Wspominam szczęśliwe, spędzone z nią tam chwile, w których zabłysły i na zewnątrz bezcenne walory starej rasy jej łacińskiej i, pełen uwielbienia i tęsknoty, patrzę w tę twarz, „co świeci nade mną na kształt światła z niebios, poprzez które mi się jawią wszystkie inne przedmioty, panuje nad nimi i na wskroś je przenika. I trwa. Obracam głowę i widzę ją, pełną pięknej, właściwej jej pogody, tuż obok siebie. Moja lampa już gaśnie, jako że pisałem późno w noc, ale ta droga obecność, bez której nie byłbym niczym, wciąż mi towarzyszy. O duszo moja! niechby ta twarz towarzyszyła mi podobnie, gdy będę kończył życie moje, abym czuł jej obecność w pobliżu, jako wskazówkę, by spoglądać ku górze"[1]).

---

[1]) Dickens, „David Copperfield", zakończenie.

Rozdział czwarty

W OKRESIE TWORZENIA „STRONNICTWA ZACHOWAWCZEGO“

(1921—1926)

Puścizna „panów krakowskich“. Konflikt z „Kapekami“. Upadek rządu Śliwińskiego. Plater i jego inicjatywa. „Iter italicum“ w osobliwych okolicznościach — „marsz na Rzym“. „Hidden hand“ na widowni polskiej — zabójstwo Narutowicza i niektóre kulisy jego boczne. Od Sikorskiego do Witosa. Wydział polityczno-prasowy Prezydium Rady Ministrów. Pod znakiem rzezi krakowskich ułanów: decyzje ziemian małopolskich — wielkie zebranie we Lwowie. Renesans polskiego monarchizmu. „Fuzja“, która nie strzela. Pogrom dobrej sprawy.

„Nie w ludzkiej mocy zniewolić zwycięstwo,
Godzien jest chwały, kto na nie zasłużył.“

(Napis na medalu jubileuszowym margrabiego Wielopolskiego.)

„Konserwatyzm... (winien być przede wszystkim) ...konserwatyzmem (nie majątków i stanowiska, ale) skarbów duchowych“.

(Paweł Popiel.)

„Odszedł, kiedy zupełnie nowy świat zdaje się zapowiadać, lecz kiedy nic nie zadaje kłamu naszym wierzeniom“.

(Stanisław Koźmian o Stanisławie Tarnowskim.)

„Potrafić bez nadziei... uznania ani nagrody poświęcić miłość własną całego życia dla ochrony czynnika, który nie dziś, to jutro, nie za tego, to za przyszłego pokolenia, stanie się... nieodzownym, którego niczym nie można zastąpić, a wobec braku którego powstać musi luka, mogąca być zapełniona wyłącznie... anarchią albo samowolą jednostki...“

(Konstanty Broel Plater.)

Autor niniejszych „Wspomnień“ otrzymał niegdyś w puściźnie po Stanisławie Tarnowskim osobliwą pamiątkę. Było nią „Officium hebdomadae sanctae“, brewiarz nabożeństwa wielkotygodniowego wydany w Mechlinie (w stolicy prymacjalnej Belgii) roku Pańskiego 1857. Dziwnym zbiegiem okoliczności, a raczej świadomą wolą właścicieli, stała się książeczka ta brewiarzem zarazem polskiego konserwatyzmu. Nabył ją, czy dostał lat temu z osiemdziesiąt Leon Rzewuski, syn „Emira“ i Rozalii z Lubomirskich, córki Aleksandrowej z Chodkiewiczów, której głowa padła niegdyś pod nożem gilotyny. Po śmierci Rzewuskiego († 1870), „jednego z najpiękniejszych, najodważniejszych i naj-

rozumniejszych ludzi swojego czasu" — jak go określa Popiel — przeszła wspomniana książeczka na własność Maurycego Manna. Był to czołowy bojownik katolicyzmu, zarazem wielce kulturalny Polak, a jeden z pierwszych redaktorów „Czasu". Po śmierci tegoż († 1876) otrzymał ją Józef Badeni, zmarły młodo († 1878) pomocnik margrabiego Wielopolskiego. Po nim odziedziczył „Officium" Stanisław Tarnowski.

Dlaczego wzmiankuję tu ten szczegół? Z podwójnego czynię to powodu: raz, by w świetle jego przypomnieć, że „partia" czy „szkoła" krakowska, z której wyrosłem, uznawała starą zasade Hotelu Lambert, że „miłość ojczyzny jest z miłości Boga" i że ta właśnie miłość była jej fundamentem, była tym „sakramentem", do którego inny jej przywódca, Szujski, przyrównywał każdą — serio pojętą pracę społeczną.

Ale pozwoliłem sobie przytoczyć tutaj ten epizod i ze względów czysto osobistych, pamiętnikarskich, na dowód, że doktrynę „szkoly krakowskiej" wyssałem niejako z mlekiem matki — i ona bowiem także, Helena z Wężyków, synowica kasztelana-poety, córka uroczego podróżnika (wspominanego tu przeze mnie) była przez krótki okres czasu właścicielką tej książeczki: ona, której Popiel miał (w roku 1884) poświęcić pełne pietyzmu wspomnienie pośmiertne, a która pięć lat wprzódy jako wdowa po jednym z właścicieli tegoż „Officium", zmarłym podówczas Józefie Badenim, przekazywała je Stanisławowi Tarnowskiemu.

Dwa to bowiem mieniały się już w tych latach poczty „panów krakowskich". Urodzeniem, majątkami, choć oczywiście nie stanowiskiem politycznym, byli niektórzy z nich równi przodkom i pierwowzorom swoim sprzed stuleci: Tarnowscy reprezentowali w tym gronie odnowioną tradycję tężyzny wojennej i mądrości państwowotwórczej Spytków z Melsztyna i Jaśków z Tarnowa; splendor senatorski świeższej nieco daty,

lecz olbrzymich zasobów, miał znowu przedstawicieli swoich w parze magnatów, których zasługi krajowe liczyły się od brzemiennego w wypadki roku 1848, w Adamie Potockim i Jerzym Lubomirskim; z niedalekiego Chrobrza zjawiał się tu czasem także w rodzinnym swoim Krakowie, w erze między dwoma powstaniami, Aleksander margrabia Wielopolski.

To byli proceres regni, primi inter pares, ale tuż obok tych wielmożów, książąt, ordynatów rysowała się sarmacka, stylowo-szlachecka, a zarazem europejska postać Pawła Popiela. Z Rusi przyszedł ród jego, jak częściowo na Rusi wyrosły i w pierze porosły wspomniane wyżej rody magnackie, ale z Krakowem i otaczającą go ziemią związany był Popiel każdym „włóknem" swojej duszy; gospodarował i modlił się, powróciwszy z bojów powstańczych, w staroświeckiej swojej parafii rusieckiej, gdzie na witrażu gotyckim modli się równie gorliwie XIV-wieczny Wierzbięta; w wieku jeszcze Woltera, a w latach już „Ciemnogrodu", wychowany i utrzymywany był w wierze — jak to w Polsce często bywało — przez matkę (Badeniankę, gorącego serca); z latami, z zasługami, z doświadczeniami stawał się „pan Paweł" — w tej przynajmniej dzielnicy — prototypem viri catholicissimi, jednym z tych szlachciców, o których roił Krasiński, gdy pisał swoją „Legendę". Czy trzeba było podeprzeć starą bazylikę Odrowążową, co waliła się wskutek pożaru w gruzy; czy z pietyzmem pochować na Wawelu ekshumowane przypadkiem zwłoki wielkiego króla Piasta, czy syna posłać na odsiecz chwiejącemu się tronowi papieskiemu (jak wprzódy posłał był do powstania dwóch synów); czy ugościć w Ruszczy wodza katolików francuskich, składającego hołd cierpiącej w niewoli Polsce; czy utrzymywać ścisły kontakt z katolikami niemieckimi w dobie „Kulturkampfu", jak utrzymywał go był młodzieńcem z katolikami francuskimi w dobie „Kongregacji" — zawsze

i wszędzie, „ultramontanin“ Popiel, jak go tym mianem czernić chcieli liczni i zażarci przeciwnicy, bronił i strzegł najprzedniejszego, w swoim przekonaniu, ze skarbów polskości — zabezpieczającego najlepiej narodowość — skarbu wiary.

„Pamiętaj, żem przysięgał za Ciebie na chrzcie Twoim — mówił do mnie blisko 90-letni starzec na łożu śmierci († 1892) — że będziesz służył Kościołowi i prawdzie, a jeżeli wtedy z całym przejęciem to uczyniłem, bo nigdy obrzędów kościelnych nie odbywałem lekkomyślnie, to już nie wiem, z jakim uczuciem teraz, kiedy przy końcu życia się czuję, choćby je Pan Bóg na dwa, trzy dni przedłużył. Pamiętaj, że w Twoim wieku już jesteś odpowiedzialny! Pamiętaj, że ani dobra nauka, ani starania tych, co Cię otaczają, od złego Cię nie uchronią, tylko łaska Pana Boga! A choć wiem, że Cię uczą, jak się o nią starać, to powiadam Ci, że nie łatwo tę łaskę otrzymać.

Będziesz żył w czasach trudnych, może trudniejszych jeszcze niż nasze; niech te słowa człowieka doświadczonego a Twojego chrzestnego ojca i przyjaciela Twojej zacnej i kochanej Matki, utkwią Ci w pamięci, że tylko miłość prawdy powinna Tobą w życiu kierować!“[1]).

*

Popiel uchodzić może za symbol starej partii krakowskiej w najczystszej, najbardziej konserwatywnej jej postaci; uchodzić może za „człowieka sztandarowego“ starego „Czasu“, którego był współzałożycielem i świetnym publicystą; do niego, jako do przedstawiciela tej szczeropolskiej *gentry*, co nie zatraciła swojej swojskości na niezmierzonych obszarach latyfundialnych, ale górowała też przechowywaną w łonie swoim tradycją nad równym, jarym łanem mas ludowych — do niego nawiązywać winna i częściowo już

[1]) Błogosławieństwo niniejsze zostało spisane na mój użytek „na gorąco“ przez córkę Popiela, ś. p. Zofię.

nawiązuje zdrowa doktryna młodej „inteligencji" polskiej, tak ze swojej strony rozmiłowanej w katolicyzmie. Ale Popiel — to bądź co bądź była teoria, postponowana dziś niejednokrotnie na rzecz haseł modnej *efficiency*, podczas gdy ludźmi władzy, elitą rządzącą, guwernerami po trochę Polski odrodzonej, byli konserwatyści inni, młodsi, „realniejsi" — „stańczycy".

Myliłby się ktoś, kto by sądził, że ten „bohaterski" okres konserwatyzmu polskiego był zarazem jakimś wiekiem jego „złotym". Że tak istotnie nie było, przekonamy się snadnie, wertując zastrzeżenia starego „die-harda" Popiela, sformułowane siedem lat przed jego śmiercią (1885) w stosunku do „Stańczyków" na łamach jezuickiego „Przeglądu Powszechnego". Jadro rozbieżności, hamowanych zresztą i tamowanych wzajemnym uznaniem i najgłębszą wspólnotą celów, tkwiło przedec wszystkim w taktyce, która u „Stańczyków" liczyć się musiała z wymaganiami partii rządzącej. Niemniej, wszystkie niemal te same kryteria, które — po latach czterdziestu, po wielkim kryzysie wojennym — stosować mieliśmy my, młodzi „zachowawcy", w krytyce naszej degenerujących już „stańczyków", znalazły się w diatrybie Popiela, niby most zawieszony nad przełomem lat i przewrotów, pomiędzy doktryną praojca a jego „późnymi wnukami".

Zastrzegał się tam „pan Paweł" najmocniej przeciwko chłodnej historiozofii Bobrzyńskiego, o którym pisał, że „jakkolwiek nie zaprzecza nigdzie idei duchowej, ciągle ja ignoruje, jak gdyby potęgi moralne nie były najważniejszym czynnikiem w życiu narodu". Przeciwnie — zdaniem jego — Szujski mniemał, że „wszystkie następstwa w praktycznej polityki sferze są skutkiem spekulacyjnych pojęć". To quoad doctrinam — i to w stosunku do doktryny Bobrzyńskiego, nie zaś wczesnych „Stańczyków". Ale i im także, choć zapewne sam nie wolny od omyłek w feralnym roku 1863, przyganiał Popiel ducha kompromisu,

tak rozwielmożniającego się w partii w miarę lat i realnych osiągnięć:

„Rzucili się w wir wypadków, których całą oceniali grozę — pisał mianowicie Popiel o roli młodych „Stańczyków" w czasie ostatniego powstania — z tą nadzieją, która już tylu zgubiła i tyle spraw zniszczyła, że nimi pokierować, a przynajmniej zmniejszyć zgubność złego potrafią. Oczywiście stało się inaczej: jak zwykle, dodali tylko rzutowi otuchy i powagi, wzmocnili jego potęgę, a usprawiedliwili cele, nie zyskawszy żadnej w kierownictwie władzy. Ustawicznie powtarzający się to błąd ludzi zacnych a słabych, którzy własne oszukują sumienie mniemaniem, że biorąc w złej albo nierozsądnej sprawie udział, potrafią zgubność jej uczynić mniej szkodliwą"[1]).

*

Szujskiego pamiętać nie mogłem, gdyż umarł w roku przed moim urodzeniem; Ludwika Wodzickiego (1000—1894) również na oczy nie oglądałem, ale z czwórki „Stańczyków", co roku 1858 w małopolskim Tyczynie kładli podwaliny pod galicyjską „rację stanu", zaznałem dwóch — i to nie najpośledniejszych — dwóch Stanisławów: Tarnowskiego i Koźmiana (1836 do 1922).

Ten ostatni w latach mojego rozwoju był już „extraneusem" partii: po świetnym, bujnym życiu, bliższym skalą swoją jakiejś idylli bodaj angielskiego „whipa" torysowskiego, niż szarego na ogół bytowania średniego ziemianina małopolskiego, pan Stanisław po wielkich zasługach kulturalnych w Teatrze Krakowskim, po znacznych sukcesach towarzyskich, które go zaprowadziły aż w podwoje ekskluzywnego zazwyczaj „Jockey-Clubu" wiedeńskiego, i po przeprawach erotycznych, które temu wytwornemu światowcowi na-

[1]) Popiel: „W drugą rocznicę śmierci Jerzego Szujskiego" („Przegląd powszechny" z r. 1885).

dały ostatecznie nimb, kłócący się nieco z nieskazitelnością krakowskich patriarchów — osiadł w Wiedniu i stamtąd, z szerszej areny otwartej na wichry historii z Zachodu i ze Wschodu, spełniał w stosunku do partii swojej podwójną rolę Egerii: Egerii rządzących, grając rolę nie zawsze szczęśliwego doradcy Badenich (sprawa Luegera) i Bobrzyńskich (N. K. N.), z drugiej zaś strony zasilając „Czas“, którego długoletnim był wprzódy redaktorem, pełnymi treści i rozumu tygodniowymi „zapiskami politycznymi“ o wielkiej polityce i dyplomacji europejskiej. Znałem go właściwie już starcem, na którego barkach ciążył nie tylko żywot 80-letni, pełen wrażeń i wzruszeń, ale którego piękną siwiznę złocił blask trzech pokoleń kultury: puścizna Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego i Drugiego Cesarstwa.

Jeżeli Koźmian w ostatnich latach życia stał się wzorem abnegacji, pokory chrześcijańskiej, uduchowienia, to jego przyjaciel Tarnowski — ten wtóry po Popielu symbol konserwatyzmu krakowskiego, człowiek z jednego głazu i jak Popiel, jednej rzymskiej opoki — rysuje się w oczach moich, które Popiela widywały tylko dzieckiem, jako właściwy patriarcha starej, czcigodnej szkoły. Widzę go w pysznym stroju rektorskim, który mu przystawał jak żadnemu ze współczesnych, jak 7 czerwca 1900 roku stoi w barokowym prezbiterium kościoła uniwersyteckiego św. Anny i czuje się, jak nigdy wprzódy, spadkobiercą starych kanclerzy i klerków: Piotrów Wyszów z Radolina, Zbigniewów z Oleśnicy, Janów Kantych. Ale widzę go także i słyszę — jakżeż często w codziennych okolicznościach życia — w jego „willi“ na Szlaku, dokąd mnie od lat dziecinnych sprowadzała zażyła, po dziś dzień nie zmącona przyjaźń z jego synem i duchowym spadkobiercą. Iluż to datom z mojego życia patronował tu g e n i u s l o c i w osobie hrabiego Stanisława:

najwznioślejszym, jak pierwsza komunia św., z której okazji darował mi ozdobny „Żywot Chrystusa“ z własnoręczną dedykacją; najzaszczytniejszym, jak promocja doktorska, której biret zdobywałem faktycznie na Szlaku, zdając ostatnie „rygorozum“ w jednej z komnat chorego podówczas gospodarza; najszczęśliwszym wreszcie, jak data mojego ślubu, którą czcił łaskawy na mnie rektor urządzonym na Szlaku pięknym wieczorem przedślubnym. A ileż rozmów jego zasłyszałem, kiedy w gronie najbliższych, swoich czy moich, przezwyciężywszy wrodzoną nieśmiałość, żywą się stawał kroniką dni przez siebie przebytych i tradycji nabytych od starszych od siebie, a w niezawodnej przechowywanych pamięci. Znał on wszakże Chłopickiego i Skrzyneckiego; znał w Paryżu starego księcia Adama; w Krakowie bywał w salonie siostrzenicy księcia Józefa; a ileż zwiedził świata: z drugim „Stańczykiem“, Ludwikiem Wodzickim, szedł przecie pieszo z Jaffy do Jerozolimy, widział Hiszpanię i Moskwę, Ławrę i Piramidy, Bosfor i Zatokę Neapolitańską. A znał to wszystko dobrze, dokładnie, wyczerpująco. Wśród studiów zaś, podróży i innych przeżyć, przez dwa długie lata cierpiał za ojczyznę w kaźniach ołomunieckich i lwowskich.

*

Kto spojrzy na piękną, mało znaną, reprodukowaną tutaj podobiznę Tarnowskiego z lat ostatnich jego żywota, gdy syt szczęścia i sławy, w pracowni swojej „na Szlaku“, wspaniałym, barokowym nieco pismem zaczerniał liczne „folia“ wykładów, przemówień, szkiców, wspominków, nekrologów, ten niechaj wszakże nie zapomina o innej jeszcze epoce jego życia, nam uczuciowo może bliższej — skoro wiek nasz jest twardy i bojowy — „bohaterskiej“ epoce młodych, pnących się ku znaczeniu i sławie „Stańczyków“.

Od jesieni bowiem owej 1858 roku — która poprzedziła pierwszą „debaklę“ Austrii na polach Magenty i Solferina, kiedy w Tyczynie małopolskim zebrało się po raz pierwszy młode grono „Stańczykowskie“ — aż do jesieni 1874 roku, w której na łamach „Przeglądu Polskiego“ (powstał on w dobie Sadowy) ukazało się surowe potępienie sobkowskiej staroszlachetczyzny w pamiętnym pamflecie Tarnowskiego o „Porcjach“ — sięga owo jego „bohaterskie“ piętnastolecie, tacytowskie magnum humani aevi spatium, zaznaczone chwalebną dlań przerwą więzienną, odpoczynkiem ręki twórczej w kajdanach.

To są w życiu Tarnowskiego lata najszlachetniejszego liberum veto. Młode oczy potomka hetmańskiego gorzkich napatrzyły się widoków w dobie ostatniego powstania, o którym myślał zrazu młodzieniec, że „będzie najszczęśliwszą chwilą jego życia“. Rok 1863 stał się dlań jak dla tylu innych współczesnych przełomem. Brata stracił w potyczce pod Komorowem, zaznał tak więc bliskości bohaterstwa powstańczego, sam ciężkie przecierpiał więzienie, ale iluż poza tym — skarży się w niewydanym pamiętniku[1]) — napatrzył się brudów i mętów społecznych, „które wypryskiwały na wierzch i grały komedię patriotyzmu i bohaterstwa“; ilu się przyjrzał „głupcom i awanturnikom, często prostym szalbierzom, którzy grali rolę, mieli wpływ i znaczenie i niby reprezentowali sprawę, czasem nią kierowali, zawsze się do niej mieszali — te ręce brudne, a nieraz i krwawe, które dotykały czystej sprawy, brukały ją“.

Reakcją na to wszystko „mądrego po szkodzie Polaka“ stała się „Teka Stańczyka“. Nie sam on był jej autorem (Szujski i Koźmian magna w niej również

[1]) Spalonym w oryginale — w pożarze zamku w Dzikowie, w częściowym jednak przechowanym odpisie w rękach syna, hr. Hieronima Tarnowskiego.

pars fuerunt), ale „pazur lwi" młodego hrabiego-publicysty szczerzy się z niejednej karty słynnej „Teki". Te listy to są „Listy Juniusa" czy „Listy perskie" literatury polskiej; godnie w niej stają obok „Listów Anonima" — rzec można, że wartość mają wiecznotrwałą. Taka np. „Aldona, kobieta polityczna", twór wyobraźni Tarnowskiego, ze swoim „kultem bohaterów", ze swoją histerią mundurowa, ze swoim wszędywścibstwem i grandylokwencją — czyliż to nie jest typ żyć godzien wiecznie w literaturze narodu, o którym powiedział był niegdyś wielki wróg jego, że „rozum chodzi w nim z kądzielą w parze"? Tarnowski jest świetnym psychologiem — wskażę tu tylko nawiasem na doceniane znów dzisiaj przez krytykę polską analizy jego literackie[1]) — i jako taki godzien jest stanąć obok największych nauczycieli narodu.

„Z doświadczeń i rozmyślań" poczęły się — w setną rocznicę konstytucji Trzeciego Maja (1891) — studia polityczne, które są niejako uwieńczeniem publicystyki Tarnowskiego. Drugie bowiem piętnastolecie działalności jego politycznej, kiedy był już profesorem, posesorem i rektorem, zrośnięte jest ściślej jeszcze niż poprzedzające z gruntem galicyjskim, którego dojrzały tymczasem działacz poznał był wszelkie wyboje i odłogi. Nikt tak jak on (nawet nie „rogaty" zazwyczaj, ale nie zawsze względem „wielkich panów", Popiel) nie gromi „hrabiów galicyjskich" (patrz mistrzowski konterfekt takiego „bubka" w „Królowej Opinii"[2]); nikt tak nie piętnuje ich zboczeń, ich zwyrodnień, ich niedociągnięć czy przeciągnięć struny; nikt tak nie beszta ich za brak odwagi cywilnej[3]); nikt z wąskiego, ciasnego, dusznego nieraz partykularza galicyjskiego nie potrafi tak skutecznie wyrwać się ciałem i duchem —

[1]) Patrz np. w studium o komediach Fredry wspaniałą charakterystykę „Cześnika" i „Rejenta"!

[2]) Tarnowski: „Studia polityczne", Kraków

[3]) Tarnowski: „Z doświadczeń i rozmyślań" str. 277 nn.

poprzez rodzime niwy sandomierskie — na występy oratorskie czy wywczasy turystyczne: do skrępowanej Warszawy, do zduszonego Poznania, do „niegdyś naszego“ Gdańska, do Wilna „Dziadów“ czy Kowna „Wallenrodowego“. Nałykał się, nadychał iście polszczyzny ten „Wszechpolak“ *avant la lettre*, ten „niepodległościowiec“ *sans phrase*, ten

Stanislao di Tarnovia conte,
Che star potra coi primi nel fronte[1].

*

Na wiele lat przed epoką, którą opisujemy, na łamach tego samego „Czasu“, który tylekrotnie później zajmować miał stanowisko skrajnie filosemickie, wystąpił stary patriarcha Popiel z takim credo w sprawie żydowskiej:

„Ktokolwiek zna religię żydowską[2]), wie bardzo dobrze, że to nie jest tylko ustawa duchowna, ale esencjonalnie także polityczna. Taką wyszła z rąk Mojżesza, taką być musiała do spełnienia wszystkich celów Opatrzności. taką została zachowana, raczej zwichnięta, przez szkoły rabinów w dwutysiącletnim rozproszeniu. Żydzi mniemają się dziś, jak byli, ludem wybranym, wyższym moralnie od drugich, dla nich inne narody to poganie, nie godni, aby się z nimi łączyć, nie tylko w życiu, ale w pożyciu, niegodni nawet owego obcowania materialnego, które tajemniczo ludzi łączy we wspólnym pożywaniu.

Jest tak albo nie? tak jest — a kędy tak nie jest, tam już nie ma żydów; niech przeto starozakonni na dumę i nietolerancję chrześcijan skarżyć się przestaną; nie oni przez 20 wieków byli z prawa wyjęci, oni raczej inne wykluczali narody i tak czynią po dziś dzień, z nieograniczoną pogardą jako wybrani na nie poglądając...“

---

[1]) Torquato Tasso:

[2]) W artykule z roku 1849, cytowanym przez Dębickiego w księdze „Jubileusz „Czasu“, Kraków 1899, str. 139.

W kilkadziesiąt lat później (w r. 1873) gromił znów Popiel[1]) żydów, że

„chcą korzystać zarazem i z prawa, które zarówno z innymi powołuje ich do politycznego życia, i ze swojej siły, którą daje im nie obywatelska, ale żydowska solidarność; (że) pragną równości, a występują korporacyjnie, solidarnie w każdym interesie wobec ludności, która pojedynczo działając, konkurencji wytrzymać nie potrafi, i absorbują dla siebie przemysł, handel i wszystkie przedsiębiorstwa".

I wołał do nich:

„Nie jesteście jakąś obcą, uprzywilejowaną potęgą, a jeżeli macie się za taką i równość wam nie wystarcza, to wolimy z wami walkę..."

„Zważywszy — pisał on w końcu o tym samym zagadnieniu na schyłku lat osiemdziesiątych[2]) — że kapitały skoncentrowały się w rękach żydowskich...; zważywszy, że obok równouprawnienia zachowali jeszcze żydzi przywilej kahałów, szkół (chederów)...; zważywszy, że w każdej sprawie występują solidarnie, którą to solidarność utrzymuje karność religijno-polityczna; zważywszy, że każdy żyd jest wykształcony moralnie przez Talmud — wypływa stąd, że ludność krajowa musi koniecznie ulec plemieniu tak mnożnemu a tak przemyślnemu. Kraków, który nie dawno obfitował w tak szanowne bankierskie firmy..., nie ma dziś ani jednego bankiera katolika...; przechodzą też i kamienice w ręce Izraela...[3]). Ludzie boją się żydów, boją się politycznie..., boją się finansowo..., boją się osobiście. Jeżeli też opinia, czy to ulegając podejrzanemu dziennikarstwu, czy to zastraszona, nie zdobędzie się na (wydanie wojny żydom)..., za lat kilkadziesiąt despotyzm Izraela ciężko zaciąży nad tym krajem".

Oto były poglądy czcigodnego przywódcy konserwatyzmu polskiego tak długo przemilczanego przez „neo-konserwatywnych" jego następców. Czyż więc nie

[1]) „Pisma", I, 130. [2]) „Pamiętniki", str. 199—201.

[3]) Cytowany artykuł z roku 1849 tyczył się sprawy „ghetta" żydowskiego na Kazimierzu i ew. dopuszczenia żydów w obręb miasta, co się później istotnie stało. „Odświeżenie" całej ówczesnej na ten temat dyskusji byłoby nadzwyczaj teraz aktualne.

miał racji Dmowski, gdy pisząc tuż przed samą wojną swój „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce"[1]) i charakteryzując w szerokich rysach taktykę owych „neo-konserwatystów", pytał: „Czy może być coś bardziej temu programowi (Popiela) przeciwnego" i „co powinienby na tę robotę powiedzieć Szujski, gdyby żył, lub Stanisław Tarnowski, gdyby głos w tej sprawie chciał zabrać?"

Miał Dmowski pytać o to rację i prawo, gdyż przytoczone wyżej poglądy Popiela, przekreślone i zapomniane przez bezpośrednich jego spadkobierców, pasują ściśle do tych, jakie — z genialną intuicją polityczną, która go tak często wyróżniała, nie dosyć również uznawaną i docenianą — wypowiedział sam w cytowanym „Upadku myśli konserwatywnej" w Polsce"[2]):

„Żyd nie może być zachowawcą w społeczeństwie europejskim — chociażby nawet to sobie dla jakichś względów postanowił. Cała tradycja tego społeczeństwa jest mu obca, sprzeczna z tym wszystkim, z czym się dusza żydowska w ciągu niezliczonych pokoleń zrosła. Ze wstrętem traktuje on całą przeszłość ludów europejskich, żywi nienawiść do ich religii, na wszelką zaś wyrosłą z tych społeczeństw hierarchię patrzy jako na uzurpatorkę stanowiska należącego się „ludowi wybranemu". Instynktownie wprost dąży on do zniszczenia w swoim otoczeniu europejskim czci dla tradycji, przywiązania do religii, uznania dla jakiejkolwiek hierarchii; łży, ośmiesza, wydrwiwa to wszystko, co dla każdego uczciwego konserwatysty musi być święte. Dzisiejszą swoją pozycję i wpływową rolę zawdzięcza on Wielkiej Rewolucji i dlatego stara się świadomie jej dzieło kontynuować, szerzyć, doprowadzać do krańcowych konsekwencji w pożądanych dla siebie kierunkach.

Wtargnięcie potężnej fali żydowskiej w nasze życie pociągnęło za sobą w tych sferach społecznych, które z żydami w bliższą styczność weszły, takie znisz-

---

[1]) Wydanie z roku 1914, str. 30.

[2]) Rozdział XVII: „Sprawa żydowska", passim.

czenie wszelkich rysów zachowawczych, taki bunt przeciw własnej tradycji narodowej, rozkład poczucia religijnego i nawet elementarnego szacunku dla religii, taki wstręt do wszelkiej, nawet najbardziej uprawnionej hierarchii, że zagroziło nam w pewnym sensie wprost zdziczeniem. Gdyby cały ogół temu wpływowi uległ, zatracilibyśmy właściwie zdolność do życia społecznego, stalibyśmy się anarchiczną gromadą bez wewnętrznej organizacji moralnej, zdolną żyć tylko w karbach nałożonych z zewnątrz.

Tak łatwe przyjęcie się programu filosemickiego w naszym społeczeństwie w okresie popowstaniowym ma swoje dwie przyczyny. Pierwsza — to w ogóle brak silnych zasad konserwatywnych w Polsce...; druga — to umiejętnie narzucona społeczeństwu doktryna, głosząca, że wchłonięcie, zasymilowanie żydów wzmocni nasz naród, doda mu sił do walki o byt zagrożony. Ta fałszywa swą jednostronnością, czysto materialistyczna doktryna, widząca siłę narodu jedynie w jego liczbie i majątku, mogła być łatwo zaszczepiona tylko w społeczeństwie, mającym nienormalnie słabe poczucie tego, co stanowi moralną podstawę narodowego bytu i bez czego największe siły fizyczne i zasoby materialne żadnej wartości nie mają...

Kosztownym niesłychanie doświadczeniem, stratą mnóstwa pozycji w życiu ekonomicznym i społecznym kraju kupił sobie ogół polski nową wiedzę o żydach i zrozumiał w ogromnej mierze niebezpieczeństwo, jakie przedstawiają oni dla narodowego bytu. Tym kosztem wytworzył się moment bardzo przyjazny do odrodzenia się pierwiastków zachowawczych w duszy narodu, do podźwignięcia z upadku zasad, o które w ubiegłych czasach walczył konserwatyzm we wszystkich krajach. Gdyby też istniał w naszym kraju obóz konserwatywny, chwyciłby on ten moment skwapliwie, podniósłby śmiało swój sztandar i pod hasłem usuwania rozkładowego wpływu żydowskiego zgromadziłby pod nim wcale niepoślednie zastępy..."

*

Stało się jednak całkiem inaczej. Wszystko, com wypisał w rozdziale pierwszym tych „Wspomnień" o stanie konserwatyzmu krakowskiego (a ex uno di-

sce omnes!), uwalnia mnie na tym miejscu od dalszych do tezy Dmowskiego komentarzy; czym zaś był ten degenerujący konserwatyzm polski w chwili odzyskania niepodległości, powie nam żyd: przenikliwy, ruchliwy, nahalny dziennikarz, Bernard Singer.

Oto, jak opisuje nam ten kronikarz syjonistycznego krakowskiego „Nowego Dziennika“[1]) złowróżbny seans, kazirodczą symbiozę „panów krakowskich“ z właściwymi „nowymi panami“:

„Rewolucyjny wicher parlamentaryzmu, demokracji i powszechnych wyborów zmiótł ich już dawno z życia politycznego. Nie mieli oni żadnych widoków wejść do sejmu na podstawie powszechnego głosowania. A znaleźli się w Sejmie dzięki przypadkowi, dzięki szczęściu, jako wspomnienie dawnych, dobrych galicyjskich czasów, kiedy Abrahamowicz był władcą Galicji, a Loewenstein wszechwładnym panem na ulicy żydowskiej.

Ale wybory sejmowe nie odbyły się wówczas w Galicji Wschodniej. Krwawe walki toczyły się między Ukraińcami a Polakami, a posłowie odnośnych okręgów do austriackiego parlamentu weszli automatycznie do pierwszego sejmu polskiego.

Było ich 18 — bez oparcia w społeczeństwie, z kompromitującym przydomkiem „konserwatystów“. Cały Sejm był demokratyczny i różowy: narodowi demokraci, ludowi demokraci, a oni byli jedynymi przedstawicielami dawnej galicyjskiej tradycji rządowej.

Jakaż nazwę należy przybrać w tak ciężkich czasach? Jak bronić dóbr, które chłopi chcą parcelować, fabryk zagrożonych reformami społecznymi? Posadzono ich na fotelach skrajnej prawicy w Sejmie, a przybrali niewinne miano: „Klub Pracy Konstytucyjnej“.

„Kapecy“ (tak ich nazywano) stali się guwernerami stronnictw chłopskich, pośrednikami pomiędzy rozmaitymi ugrupowaniami, i podobnie jak ów słynny tancmistrz nauczał Napoleona gestów królewskich, uczyli chłopów Witosa i prawie cały Sejm gestów parla-

[1]) „Kapeki“ (Nr z 2 marca 1929).

mentarnych. Oni byli mistrzami ceremonii przy powstaniu rządu, przy uroczystych aktach o międzynarodowym znaczeniu, w czasie trudnych konfliktów w konwencie seniorów...

Oto odbywa się konwent seniorów. Sejm nie może sobie dać rady ze sprawą Korfantego, który posiada większość Sejmu, by zostać premierem, ale Naczelnik Piłsudski nie chce zatwierdzić jego kandydatury i grozi, że zniesie konwent seniorów. Daszyński straszy gniewem ulicy... Kogo wysyła... konwent seniorów do podyktowania komunikatu prasie. Wychodzi poseł Federowicz,... ~~pomaga mu poseł hr. Baworowski~~...

A uwagę... skupiał on, tajemniczy przywódca klubu, lew salonów, pożeracz serc niewieścich, świetny adwokat, Natan Opoka Loewenstein (Badeni zwykł go nazywać po prostu „Nutka"). Albowiem klub K. P. K. kierował Sejmem, a 5 żydów tego klubu kierowało klubem! Znawcą w sprawach prawnych był Loewenstein. Geniuszem w dziedzinie finansów byl zawsze roztargniony, w brudnym kołnierzyku, w potarganej marynarce, potentat finansowy Henryk Kolischer. Znawcą w sprawach agrarnych był poseł Ignacy Steinhaus, o długich wąsach, jakby zniemczony szlachcic. Mistrzem w zagadnieniach społecznych był poseł Bernard Stern, przewodniczący „Linas cedek" w Buczaczu..."[1])

*

Inny znów moment, związany z wyż wzmiankowaną „sprawą Korfantego", a raczej z „długim przesileniem", wywołanym przez Naczelnika Państwa: Jest koniec czerwca 1922 r., przesilenie ministerialne trwa w całej pełni: obalony został rząd Witosa, w miejsce zaś jego forsuje „Belweder" kandydaturę na premiera „swojego" człowieka, znanego radykała Artura Śliwińskiego. Ręka masonerii pomaga tej koncepcji. Jej powodzenie zależy od „języczka u wagi", jakim są wtedy w Sejmie „Kapecy". Jeżeli rzucą swoje konserwatyw-

[1]) Koniec wywodów Singera opuszczam jako zbyt drastyczny, jakkolwiek wysoce charakterystyczny dla metod żydowskich, osobliwie zaś ich przenikania w obyczajowość polską.

Do rewizji
dnia 5.6.89

no-demokratyczno-żydowskie głosy na szalę Śliwińskiego, większość będzie miał desygnowany premier w Sejmie zapewnioną.

Skrępowany pozycją osobistą, gdyż pełnię w tym półroczu funkcję dyrektora politycznego półurzędowej „Ajencji Wschodniej", uważając wszakże za ważniejszy obowiązek ze swojej strony — zareagowanie przeciw ewentualnemu „harakiri" konserwatystów, przesyłam do krakowskiego „Głosu Narodu", z którym jeszcze sprzed wojny związany byłem współpracą publicystyczną, następujący list otwarty:

„Szanowna Redakcjo!

Nie rozporządzając w tej chwili możnością zamieszczenia niniejszych uwag na łamach organu zachowawczego, jako dotyczących w pierwszym rzędzie sprawy zasadniczej dla konserwatyzmu w Polsce, zmuszony jestem prosić o gościnność dla nich Szanowną Redakcję:

Wczorajsze głosowanie w Komisji głównej Sejmu, gdzie w chwili rozstrzygającej o losach naszego Państwa, być może na długi lat okres, stanęli w zwartym ordynku obok P. P. S., Wyzwolenia, Stapińczyków, N. P. R. i P. S. L. (nie licząc Niemców i żydów) także jedyni firmowi konserwatyści w Sejmie polskim, przemawiający na gruncie K. P. K., jako też przewidywane konsekwencje tego kroku, napełniły niepokojem i troską wszystkich tych, którzy z konserwatywnego punktu widzenia rzecz biorąc, odmiennie wszakże pojmują zadania i taktykę społeczną konserwatyzmu, piszącemu zaś te słowa narzucają jako obowiązek obywatelski otwarte sformułowanie swojego zdania.

Dokonany wczoraj w Sejmie rozłam na dwa obozy, w jednym z których znalazła się cała lewica oraz niedobitki sejmowe byłych aktywistów, w drugim zaś *gros* tych stronnictw, które w przeciągu wojny przyzwyczailiśmy się uważać za ekspozytury ententofilstwa — napełnia mianowicie niepokojem, że już w najbliższym czasie, na tle i w konsekwencji podniecenia i rozmiętnienia wyborczego, odrodzi się w przełomowym okresie budowy i rozbudowy Państwa Polskiego, a zatem na ciężką tego Państwa szkodę, fatalny wojenny

~~Do~~ po popr.
Str. 195 i 202 do reperacji
MP

podział na dwie bezwzględnie zwalczające się formacje, najostrzejszych jedna względem drugiej używające haseł oraz środków.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że w społeczeństwie naszym, a zwłaszcza u jego szczytów, mnożą się oznaki wskazujące na tego rodzaju tendencję; że przy obsadzaniu najwyższych i wyższych stanowisk państwowych od dosyć już dawna dokonywana bywa staranna a mocno pachnąca ostracyzmem w stosunku do poszczególnych jednostek czy grup całych selekcja, nie bacząca na leżący w interesie państwa dobór uzdolnień i wykształceń, że w polemice prasowej, czy to w dziecinnym zacietrzewieniu, czy zgoła z pobudek niskiego karierowiczostwa nadużywa się przeciwnych sobie etykiet stronniczych jako synonimów wszelakiego łajdactwa i przeciwpaństwowej zbrodni.

Nie jest rzeczą konserwatyzmu — takiego przynajmniej, jakim go pojmujemy w roli czynnika ładu i równowagi w niepodległym a praworządnym państwie — rozdmuchiwać te iskry, prawdziwie z czarta zaczerpnięte kuźni, które tląc się poprzez długi przedświt naszej wolności, zażegłe najczęściej dłonią ościennego czy domowego wroga, coraz to wybuchały nieszczęsnym pożarem domowej, międzybraterskiej waśni.

Dalekim od piszącego te słowa jest z pewnością wszelkie odżegnywanie się od lewicy i w czambuł bezkrytyczne jej potępianie. Choć z innych tradycji politycznych wyrosły, miałem sposobność tak w ciągu konspiracyjnej z natury rzeczy pracy na emigracji, jak i później w działalności dyplomatycznej, ocenić patriotyczne walory ugrupowań po tamtej stronie skupionych i duży zapas zdolności, którymi się wśród nich rozporządza. Ale mimo tego trudno mi na dłuższą metę zaakceptować logicznie tego rodzaju sytuację, w której by po jednej stronie Izby miały działać sprzężone z radykalną lewicą i na przydatek z konserwatywniejszymi bodaj chwilowo od niej elementami innoplemieńczymi, rzadkie z konieczności żywioły zachowawcze, z drugiej zaś *gros* umiarkowańszych społecznie stronnictw sejmowych. Snadnie ocenić może każdy bezstronny, jak w takim ustosunkowaniu się wzajemnym sił przeważyć by musiała szala lewicowa nad wątle obarczoną szalą pomiarkowania. Z języczka u wagi stałaby się taka prawica chyba piątym kołem u wozu. A zniweczenie

niezbędnej równowagi parlamentarnej zbyt szybko musiałoby się na nas pomścić.

Natomiast dla piszącego te słowa nie podlega wątpliwości, że tego rodzaju nienaturalny układ sojuszów parlamentarnych prędko odbić się będzie musiał na wewnętrznej strukturze naszego krajowego konserwatyzmu. Nie jest bowiem tajemnicą dla nikogo, że, zwłaszcza w krakowskiej partii konserwatywnej, którą niektórzy z jej adherentów zmuszeni byli opuścić już na skutek stanowiska, jakie zajęła, i metod, jakie stosowała podczas wojny, po każdym tego rodzaju pociągnięciu politycznym ze strony sejmowej jej ekspozytury, znaczyć się musi coraz mocniej głęboki, istniejący na razie pod powierzchnią, rozłam między poszczególnymi jej członkami. Piszący te słowa miał w ostatnich czasach sposobność rozmawiać zarówno z pewnymi — że tak powiem — patriarchami danego stronnictwa, jak również z nowowybranymi członkami Wydziału Prawicy Narodowej, który sformował się był po ogłoszeniu znanego programu. Jedni i drudzy nie kryli szeregu zastrzeżeń co do taktyki stronnictwa i zapowiadali nawet, o ile zaangażowani byli w nim czynnie, swoje ewentualne z niego wystąpienie.

Nie ulega dla mnie również wątpliwości, że krok reprezentantów Prawicy w K. P. K., który wydaje się być handlem politycznym, dokonanym za miskę soczewicy w postaci ulokowania jednego ze swoich na fotelu ministra spraw zagranicznych, pogłębi wydatnie zaznaczony rozłam, powstrzymywany tak długo, jak długo bliższy kontakt i współdziałanie z lewicą można było motywować bardziej ideowymi pobudkami, jak np. względem lojalności dla najwyższej władzy w państwie itp.[1]).

I to mi się wydaje w końcu jedyną dodatnią stroną nieopatrznego kroku K. P. K., iż winien on przyspieszyć konsolidację wszystkich żywiołów konserwatywnych młodszych, tj. takich, które w szkole wojny czy towarzyszącej jej z konieczności konspiracji wytworzyły sobie odmienny pogląd na rolę, jaką wziąć mają na siebie. Nie pod kątem doraźnych korzyści i honorów, oportunistycznych zysków i tranzakcji, ale na da-

[1]) Co do ambicji personalnych w ówczesnym „Stronnictwie Prawicy Narodowej" por. cytowany artykuł Singera.

leką metę wygrywających w końcu haseł, skupić się winien zespół jednostek bezinteresownych a uczciwych, odważnych w zdaniu i jasno starających sobie uświadamiać położenie kraju, nie firmowych tylko konserwatystów, ani firm nawet konserwatywnych, ale przede wszystkim obywateli niezależnych, którym w dzisiejszych czasach najtrudniej zapewne wypłynąć, ale którzy za to wartością swoją wewnętrzną pewne dają gwarancję, że *à la longue* najdłużej utrzymają się na powierzchni.

Z wysokim poważaniem
(—) Kazimierz Marian Morawski

Warszawa, 27 czerwca[1].

*

Zapowiadałem w powyższym liście otwartym, który nie przeminął bez wrażenia, „konsolidację wszystkich żywiołów konserwatywnych młodszych... nie pod kątem doraźnych korzyści i honorów, oportunistycznych zysków i tranzakcji, ale na dalszą metę wygrywających w końcu haseł", konsolidację „jednostek bezinteresownych a uczciwych, odważnych w zdaniu i jasno starających sobie uświadamiać położenie kraju, nie firmowych tylko konserwatystów ani firm nawet konserwatywnych, ale przede wszystkim obywateli niezależ-

[1]) W głosowaniu, które odbyło się 8 lipca nad kwestią zaufania dla nowosformowanego gabinetu Śliwińskiego, „Kapecy" oddali swoje głosy — w wystarczającej ilości — przeciwko wotum zaufania, czym obalili niepożądany gabinet. Ja jednak równocześnie z wysłaniem przytoczonego listu uważałem za wskazane zgłosić dymisję z zajmowanego stanowiska (nieprawdą były wersje w prasie zagranicznej, że zostałem z niego przymusowo usunięty). Najdziwniejsze zaś było to, że w jakiś czas potem, jeszcze w ciągu tegoż „długiego przesilenia", pewnego wieczoru (nie było mnie wtedy w Warszawie) wezwany zostałem do Sejmu, gdzie rzekomo konwent seniorów, „nie mogący sobie dać rady ze sprawą Korfantego", „wentylował" właśnie kandydaturę moją na premiera, równie zresztą mało realną, jak współcześnie wysuwana — kolegi mojego z M. S. Z., Konstantego Rozwadowskiego.

nych, którym w dzisiejszych czasach najtrudniej zapewne wypłynąć, ale którzy za to wartością swoją wewnętrzną pewne dają gwarancje, że *à la longue* najdłużej utrzymają się na powierzchni".

Zapowiedź ta moja doznała spełnienia już w 3½ miesiaca po jej sformułowaniu w prasie, gdy 15 października 1922 r. — po wypełniających całe tygodnie zabiegach, wymianach myśli, podróżach i zjazdach — pojawiła się w pismach warszawskich i krakowskich deklaracja treści nastepującej:

„Świadomym swoich praw i obowiązków obywatelom, tym bardziej w obecnym położeniu odrodzonej ojczyzny, łączyć się należy dla spełniania narodowej powinności.

Bezmiar ofiar, poświęceń i bólów ubiegłej wojny nie wypełnił i nie wyrównał rozłamów i przepaści społecznych ani też nie okupił dla całej ludzkości wyzwolenia oraz pokoju. Natomiast w powstałym po wojnie zamęcie biorą górę nad rozsądkiem i dobrą wolą szalone i złowrogie eksperymenty, wstrząsające w posadach tysiącletnim gmachem chrześcijańskiej kultury i tradycji narodowej. Dążąc pozornie do pokoju i nowego ustroju świata, żywioły nieładu i burzy potęgują w rzeczywistości zniszczenie, a po czterech latach tej wywrotowej pracy powszechnym stało się pragnienie odzyskania utraconych sił moralnych i równowagi.

Może się ono urzeczywistnić jedynie przez wspólny wysiłek wszelkich zdrowych czynników społecznych. Podjąć ten wysiłek jest rzeczą przede wszystkim elementów zachowawczych. W Polsce zaś, w szczególnych warunkach jej powstania i istnienia, jest to wręcz nakazem.

Głęboko o tym przeświadczone grono osób, w których imieniu przemawiają jako inicjatorowie niżej podpisani, powołuje do życia „Stronnictwo Zachowawcze".

Przyszłość Państwa Polskiego, odrodzonego twórczą mocą najlepszych jego synów, wyrosłych ze wszystkich warstw społecznych, opierać się winna na bezwzględnej praworządności, regulującej harmonijne współżycie poszczególnych składników społeczeństwa,

a uwzględniającej dobro i potrzeby każdego z nich; Stronnictwo przeto dążyć będzie do umocnienia w społeczeństwie poszanowania legalnej władzy, jako symbolu Państwa i nieodzownego w nim czynnika bytu oraz ładu. Dążyć będzie ono dalej do zapewnienia należnego Kościołowi rzymsko-katolickiemu stanowiska kościoła panującego jako też do niezachwianego, a dla dobra sprawy narodowej niezbędnego pielęgnowania dziejowej naszej tradycji wraz z całym kulturalnym jej dorobkiem. W przekonaniu, że zdrowy ustrój społeczny i zgodne współżycie poszczególnych warstw tak długo nie doczekają się urzeczywistnienia, póki nie zostanie usunięte znieprawienie dusz, będące jednym z ujemnych wyników wojny, będzie Stronnictwo Zachowawcze stało na straży utrwalonych przez wieki cywilizacji chrześcijańskiej zasad etyki. Za niezbędny czynnik cywilizacji świata, za podstawę normalnego ekonomicznego rozwoju Polski, uznaje Stronnictwo Zachowawcze zasadę poszanowania i nienaruszalności prawa własności. Zasadnicze postulaty zabezpieczenia pracy, jej wolności i opieki nad nią na podstawie sprawiedliwości społecznej, uznaje Stronnictwo za pierwszorzędny obowiązek. Uważa nadto, iż taktyka polityczna stronnictw winna być ściśle koordynowana z ekonomicznymi potrzebami kraju. Zwalczać będzie Stronnictwo wszelką działalność, mającą na celu wywoływanie rozstroju społecznego, posługującą się czy to demagogicznymi metodami oraz hasłami walki klas i nienawiści społecznej, czy też środkami konspiracyjnymi i rozkładowymi, jak również wszelkie dążenia do supremacji jednych warstw społecznych nad drugimi. Zwalczać wreszcie będzie Stronnictwo, przy całym uznaniu dla zasady równouprawnienia zamieszkujących Państwo narodowości nie polskich, wszelkie dążenia ze strony poszczególnych grup narodowościowych lub wyznaniowych do wytworzenia „państwa w Państwie“ i do prowadzenia przez nie w tym celu lub tym charakterze polityki na własną rękę. W końcu Stronnictwo domagać się będzie wiernego dotrzymania obowiązujących nas traktatów i zawartych sojuszów i umów.

Tymi zasadami kierować się będzie Stronnictwo Zachowawcze w swojej współpracy z innymi czynnikami nad budową odrodzonej ojczyzny.“

Pod wyż zacytowaną odezwą widniało 20 podpisów, przeważnie ziemiańskich, chociaż byli w gronie podpisujących i profesorowie uniwersytetu, przedstawiciele zawodów wolnych itd.

*

Przed inicjatorami odezwy powyższej piętrzyły się olbrzymie wprost trudności. Uczył nas wprawdzie przykład starego margrabiego Wielopolskiego i młodych „Stańczyków", że dla Polaków „można coś zrobić" nawet samopas czy samcośnć i nawet wbrew ich woli, ale na odwrót entuzjazmowi niejednego z podpisujących przeciwstawiała się — podświadomie bodaj —wrodzona „skepsis" wiekowych już doświadczeń.

Uczył nas wprawdzie i zachęcał do czynu i wytrwania przykład „Margrabiego", którego (nieżyjący już dzisiaj) wnuk i imiennik zapałem ówczesnym swoim i impozycją przeważył był właściwie wydanie cytowanej odezwy. Krzepił nas dalej pierwszy biograf „ostatniego szlachcica", wychwalając w bohaterze tym swoim, starym „Margrabim", jak i innych praojcach ruchu zachowawczego w Polsce — poczet „ludzi całych, co gdy raz położą sobie fundament i zakreślą ramy, przez resztę ziemskiej wędrówki na tym fundamencie stoją i tych ram nie przekraczają."

„Tacy ludzie — zapewniał nas Lisicki[1]) — w życiu politycznym dużo znaczą. Choć są osamotnieni, choć zawsze pobici i z powodzeniem w rozbracie, nie przechodzą bez śladu i pożytku; oni prostują ścieżki dla następnych pokoleń, rzucają posiew kiedyś owoc przynoszący; oni niepostrzeżenie wpływają na współczesnych, hamują ich uniesienia, chronią chwiejnych od upadku, są żywym memento dla błądzących, opoką i balastem swojego czasu i pokolenia."

---

[1]) „Antoni Zygmunt Helcel", I, 152—3.

Taką w samej rzeczy mogła być wtedy nasza ambicja; cóż, gdy zjawiał się zaraz ostrzegawczo stary Tarnowski i tak nas uczył na podstawie doświadczeń swoich i rozmyślań[1]):

„Straciła (szlachta) — pisał (a my wszakżeż opieraliśmy się głównie na ziemianach) — ...już bardzo wiele (ze swojego wpływu). Dlaczego? Dlatego, że się nie pozbyła dawnego braku cywilnej odwagi, dawnej podejrzliwości, dawnego partykularyzmu. Było jej łatwo stać się siłą istotnie rządzącą; tą się nie stała, bo nie chciała być dotąd siłą jednolitą... Wszystko to pozostałe w nas pierwiastki dawnej demokracji szlacheckiej, tego usposobienia, które przed wiekami i przez wieki oddawało nas zaślepionych w ręce demagogów arystokratycznych, a dziś demagogom demokratycznym nad nami przewodzić pozwala. Ten instynkt i ta pasja równości są w nas tak silne, że nawet umysłowej wyższości nie lubią...

My łatwo i posłusznie poddajemy się kierunkowi jednego człowieka, ale na moralnego i politycznego przywódcę wybieramy zwykle takiego, który nas swoim rozumem i zdolnością nie przyćmiewa i nie przewyższa..."

*

Ziemianinem z urodzenia, z zamiłowań, choć nie z powołania i charakteru był inicjator właściwy „Stronnictwa Zachowawczego", Konstanty Broel-Plater[2]). Wnukiem był owego Cezarego, co najofiarniejszym stał się przyjacielem Mickiewicza i o którym pięknie pisał również Krasiński:

Jeślim ci kiedy był przykro przeciwny,
I miał twe zdanie w dumnej poniewierce,
To-żem nie wiedział, żeś taki przedziwny,
Że tak szerokie bije w tobie serce.

---

[1]) „Z doświadczeń i rozmyślań", str. 149—50.

[2]) Patrz broszurę jego: „W sprawie konserwatyzmu w Polsce". Warszawa 1922.

Synem był Ludwika, który wiele się przyczynił do rozwoju przemysłu hutniczego w dzisiejszym „Centralnym Okręgu"; inżynierem z zawodu, światowcem i podróżnikiem z upodobań; po mieczu spokrewnionym i spowinowaconym z dużym odłamem arystokracji naszej, po kądzieli zaś — z elitą duchową w osobach autorów „Rzymu", „Sacco di Roma" i „Wieczorów nad Lemanem". Plater dojrzał naprawdę w latach wojny. Najpierw jako sekretarz „Centralnego Komitetu Obywatelskiego" miasta Warszawy; potem jako wydawca „Sprawy polskiej" w Piotrogrodzie; w końcu jako jeden z głównych współpracowników Dmowskiego na Zachodzie/posiadał Plater kilka wybitnych zalet, na których w tym okresie zbywało przeważnie innym ludziom z jego warstwy. W dobie bowiem, gdy zatracił się był u nas kontakt, niegdyś tak żywotny w erze Czartoryskich i Zamoyskich, ze stolicami europejskimi, czuł się śp. Konstanty u siebie zarówno w Paryżu i Rzymie, jak w Londynie i Petersburgu. Stąd też ogarniał horyzonty szersze nie tylko niż sfera ziemiańska, ale nawet niż rody historyczne, które z wyżyn „Hotelów-Lambert" zeszły były tymczasem niejednokrotnie na poziom hotelów w Monte Carlo.

Ale inna była jeszcze w Platerze cecha, która czyniła go użytecznym i czujnym w epoce pełnej zagadek i zasadzek. Organizm chory, nieomal że kaleka, ale trawiony ciągłym ogniem niebywałej żywotności; umysł ruchliwy, żywy, skrzący się paradoksem i przekorą, chętnie się przeciwstawiający kwietystom szlacheckim i zadomowionym kołtunom, nie mogący przeto liczyć ani na popularność u optymatów, ani na aplauz demagogów, ten hrabia-*clubman* miewał nieraz zakrój wizjonera, bo subtelną, niesamowitą intuicją górował najczęściej nad rzekomo niezawodnym, a w rzeczy samej tępym nieraz okiem rachmistrzów szlacheckich.

Czy i kto, prócz codziennej obserwacji, „wtajemniczył" go był w arkana przewag w świecie masońskich,

trudno mi dzisiaj dociec. Dość że gdy powróciłem z Rumunii, zastałem kuzyna w pieknym jego apartamencie warszawskim przy ulicy Smolnej, „ruszonego" poważnie „inkubem" grozy masońskiej. Jak mnie dzisiaj, tak wówczas jemu — rozmaici wujowie i ciotki, rozmaici książęta, hrabiowie, ziemianie, rozmaici Bogu ducha winni księża i uczeni w piśmie masoni dokuczali srodze, twierdząc, że „pod każdym krzesłem upatruje wolno-mularza". Może być, że w pogladach Platera bywała czasem i przesada; z pewnością nazbyt pośpiesznie lubił on ludziom niektórym z żyjących przylepiać etykietki masońskie, ale w gruncie rzeczy najgłębiej o tym przekonany jestem dzisiaj: miał rację. A gdyby komuś opinia moja, jako tak bardzo w tejże samej walce z masonerią zaangażowanego, wydawała si stronna, niechaj zaświadczy, że mial rację tych lat piętnaście, które od jego przeminęły inicjatywy, tych lat piętnaście, w których tej pestis perniciosissima, za którą słusznie masonerię uważał, nie tylko sam przeciwstawiał się Kościół katolicki, ale dyktatorowie i narody: Franco, Salazar, Hitler i Mussolini — oni to przeciwko obcym wystapić musieli agenturom, wolni zaś nawet Szwajcarzy (nieudanego dotą zresztą) domagali się w tejże sprawie plebiscytu.

Tych przemian Plater nie dożył, on był w tej walce harcownikiem tylko, był — jak pięknie napisał w jego nekrologu Hieronim Tarnowski[1]) — „tym legendarnym heroldem z wieży Panny Marii w Krakowie, co umarł w chwili, gdy hejnałem pobudził krakowian do obrony miasta przed Tatarami". Nie umarł wszakże cały, gdyż — jak zawsze pisze Tarnowski — „rzeczy, z których przed wojną nieliczne jednostki zaledwie zdawały sobie sprawę, dziś stały się jasnymi licznemu odłamowi społeczeństwa. Walkę, którą w roku 1922 razem z nim

[1]) „Pro fide, rege et lege", nr III, str. III.

podjęło szczupłe grono ludzi, dziś wypisują na swoim sztandarze duże zespoły społeczne i organizacje młodzieży, przyszłości narodu".

*

Zebranie inauguracyjne „Stronnictwa Zachowawczego" odbyło się 29 października 1922 r. w Krakowie jako czcigodnej kolebce ruchu starokonserwatywnego. Wygłosili na nim referaty dwaj spośród inicjatorów nowej organizacji: Plater (o jej genezie i zasadach) i Tarnowski (o praworządności); mówili nadto — stary, zasłużony, pelen żarliwej wiary kresowiec, śp. Michał hr. Sobański, i inny, młodszy, ale równie gorliwy bojownik katolicyzmu, Konstanty Tchorznicki; ale najpiękniej może ujął cele formującego się stronnictwa zagajający to zebranie śp. Karol Klecki, wielki, nie zawsze doceniany za życia uczony, przy tym zaś charakter czysty jak łza i jak stal hartowny.

„Wszystkie w ogóle zjawiska życiowe — wywodził ze stanowiska najbliższej sobie gałęzi wiedzy znakomity biolog — wyrażające się w jakichkolwiek cechach czy własnościach, kształtach lub czynnościach, a tyczące się zarówno całych organizmów, jak i poszczególnych ich części, a nawet najdrobniejszych ich cząstek, są w ścisłej zależności od dwu ważnych, niejako kapitalnych czynników, z którymi wszystko, co żyje, jak najściślej jest związane.

Jednym z tych czynników jest dziedziczność. Ona to sprawia, że każda żywa istota lub poszczególna jej część z wielką uporczywością utrzymuje przekazane jej przez poprzednie pokolenia własności i cechy i coraz silniej utrwala je w pokoleniach następnych; ona to utrzymuje właściwą odrębność każdego tworu, ona zachowuje przez cały czas jego trwania indywiduum, a przez tysiące lat — gatunek. Jest to przeto w naturze czynnik zachowawczy.

Warunki bytu wszelkiego żywego tworu nie są jednak stałe, ale są one zmienne i to w dość szerokich granicach. Wszelkie życie musiałoby ustać, gdyby żywa

materia nie mogła się w pewnej mierze do różnych warunków bytu przystosować. Otóż drugim czynnikiem, związanym z życiem, jest zdolność żywej materii przystosowywania się do zmiennych warunków bytu, jest jej plastyczność. Ona to sprawia, że życie, stosownie do warunków, zmienia się, kształci się niejako w różnych względach, że istoty żywe w ciągłej są ewolucji, że, stosownie do potrzeby, powstają odchylenia od pierwotnego typu, nowe odmiany i rasy. Jest to przeto w naturze czynnik zmienności, ewolucji i postępu.

Z obu tych czynników pierwszy jest niepomiernie silniejszy. Dlatego też nie możemy zmieniać czy wypaczać spraw życiowych w dowolnej mierze i w dowolnym czasie; możliwym jest to tylko w ograniczonym stopniu i w ciągu dłuższego zazwyczaj czasu. Jeżeli usiłujemy nagiać życie do zmian przekraczających właściwe mu granice, a zwłaszcza jeżeli usiłujemy uczynić to w krótkim czasie — życie ustaje, pogwałcony twór ginie.

Prawa natury są tak wielkie i tak powszechne, że podlegają im nie tylko poszczególne osobniki i ich części, lecz także wszelkie zbiorowiska osobników, gromady i całe narody.

Jeżeli naród ma żyć, to musi on zachowywać właściwe mu, dziedzicznie przekazane, a przez tradycję dziejową utrwalone dodatnie, a zwłaszcza wzniosłe cechy duchowe: wiarę ojców, ideały, jakie przyświecały dawniejszym pokoleniom w wielkich chwilach dziejowych i gorące umiłowanie wszystkiego tego, co w dziejach narodu i jego obyczaju było i jest naprawdę pięknym i podniosłym. Na tym tle zachowawczym — naturalna ewolucja duchowa, krzewiąc w narodzie prawdziwy postęp, może go podnosić i doskonalić, nie roniąc nic z tego, co jest własnym jego kulturalnym dorobkiem. Naród, który zerwał z tym, co było w przeszłości jego chwałą, naród, który się wyrzekł ideałów przodków i dał się nagiąć do celów obcych czy nawet przeciwnych jego duchowi, musi utracić tę odrębność, która czyniła go narodem, która była jego racją bytu, musi on przeto jako naród zginąć...“[1]).

*

[1]) „Z zebrania inauguracyjnego Koła krakowskiego S. Z.“, Kraków 1922, str. 6—7.

Gdy to zebranie inauguracyjne S. Z. odbywało się w moim mieszkaniu (w domu żony mojej przy ulicy Basztowej), mnie w Krakowie nie było, bo byłem w Rzymie. Musiałem wyrzec się udziału w tak drogich sercu mojemu poczynaniach, idąc za wezwaniem arcypasterza mojej diecezji, księcia-biskupa Sapiehy.

Zapowiedziane były właśnie wybory do obu izb ustawodawczych. Na liście kandydatów do senatu widniały nazwiska ks. biskupa Sapiehy oraz ks. arcybiskupa Teodorowicza, obu kandydujących z listy „narodowej" nr 8. Dopiero wszakże, kiedy te nazwiska zostały już oficjalnie ogłoszone, spostrzegły się nasze władze kościelne, że fakt ten stoi w sprzeczności z wcześniejszym breve papieża Piusa XI, wydanym wkrótce po jego na tron wstąpieniu, a zakazującym arcybiskupom i biskupom udzielania pozwoleń na wystawianie swoich kandydatur bez upoważnienia Stolicy św.

Zaraz też zebrała się w Warszawie narada z udziałem nuncjusza, kardynała Kakowskiego i przedstawicieli listy „narodowej" celem ustalenia planu działania i uniknięcia niepożadanych następstw, w postaci polemik prasowych i wiecowych, tym bardziej, że kraj przeżywał właśnie gorączkę przedwyborczą, ordynacja zaś wyborcza nie przewidywała podobno wycofania jakiejkolwiek z listy kandydatury (nawet umarłego).

Narada warszawska postanowiła tedy wydelegować do Rzymu jako przedstawiciela prawicy sejmowej, b. ministra b. dzielnicy pruskiej, Władysława Kucharskiego (który jako kandydujący z tzw. listy państwowej wolny był od zabiegów agitacyjnych); zważywszy jednak, że minister nie władał ani językiem francuskim, ani włoskim, okazało się konieczne przydać mu w charakterze *introducteur de l'ambassadeur* osobistość druga, bieglejszego lingwistę, bardziej obeznanego z terenem rzymskim.

Wybór danego komitetu padł pierwotnie na osobę śp. szambelana Michała Karskiego, osobistego przyja-

ciela Ojca św., ale wobec tego, że p. Karski oświadczył niemożność pojechania z powodu komplikacji natury prywatnej, skończyło się na daniu z jego strony listu polecającego do „majordoma“ papieskiego, dzisiejszego kardynała Caccia-Dominioni, minister zaś Kucharski i książę-biskup krakowski zwrócili się do mnie z gorącą namową, ażebym zastąpił szambelana Karskiego.

Pomijając już przykry dla mnie fakt, że mając w ten sposób oddalić się z kraju w końcu października, chybiałem, jak już o tym była wyżej mowa, ważne dla nowej organizacji naszej zebranie inauguracyjne, na którym wygłosić miałem jeden z głównych referatów, liczyć się nadto musiałem, wyjeżdżając do Rzymu, z krępującą okolicznością, że podróż nasza z natury rzeczy odbywać się miała konspiracyjnie (paszporty uzyskać zdolaliśmy w starostwie krakowskim tylko dzięki stosunkom poselskim ministra Kucharskiego), tj. bez kontaktu z naszym przedstawicielstwem przy Watykanie.

Wyjechaliśmy z Polski 28 października. Mój szef czy towarzysz miał na tyle przytomności umysłu czy szczęścia, że na stacji w Dziedzicach kupił sobie ostatnie wydanie krakowskiego socjalistycznego „Naprzodu“, donoszące w nagłówku numeru olbrzymimi literami, że „Papież karci buntowniczych biskupów“. Ten chwyt „ortodoksyjny“ organu Haeckera miał nam oddać z czasem najpoważniejszą przysługę w Watykanie.

Nazajutrz rano, w Wiedniu, otwierając „Neue Freie Presse“, wyczytałem wypisany tłustym drukiem inny nagłówek: „Grosses Blutbad in Italien“. Oto jak wiedeńscy pobratymcy p. Haeckera podawali do wiadomości Wiedeńczyków fakt wybuchu rewolucji faszystowskiej. Przeczytawszy to w czasie śniadania, zapytałem się p. Kucharskiego, jakie są rebus hic stantibus dalsze jego plany. „Jedziemy, panie, dalej“ — brzmiała krótko odpowiedź ministra.

Przejechawszy Tarvisio, czas przepędzałem przeważnie przy oknie wagonu. Zatrzymaliśmy się kilka godzin w Wenecji, która przedstawiała wygląd jakby świąteczny — uroczystego spokoju: tłumy snuły się na placach i nad kanałami bez tej gorączki, którą tutaj obserwować miałem w kilka lat później, po zabójstwie Matteottiego.

Mijając dworzec w Bolonii, ujrzałem na nim charakterystyczny, a zarazem uspokajający widok: pełniła na nim bowiem straż milicja faszystowska, ale, jakby w „avant-scenie" — Włosi są mistrzami w kombinowaniu tego rodzaju efektów dramatycznych — snuli się w malowniczych mundurach poczciwi „karabinierzy" (policjanci), niby wykrojeni z trzeciego aktu „Toski".

Rankiem 30 października, gdzieś na pograniczu Lacjum oraz Umbrii, zatrzymany został niespodziewanie nasz ekspress. Właśnie — jak nas objaśniano — kończyła się koncentracja sił faszystowskich, ostatnie konwoje „marszu na Rzym" docierały z głównej kwatery w Perugii do „Wiecznego Miasta". Był cudny dzień jesienny; krajobraz umbryjski, zawsze przejrzysty a pełen blasku jak fresk Perugina, w tym przedświcie „giovinezzy" nabierał dodatkowych jeszcze zabarwień chwili historycznej. A gdyśmy po długim postoju zajechali nareszcie w samo południe do Rzymu, zdawało mi się, że słońce w późno-jesiennej krasie świeci tu dzisiaj niczym słynne „słońce Austerlitzu".

*

Kiedyśmy zaś po południu znaleźli się wraz z moim towarzyszem na ulicach Rzymu, nic zaiste nie znamionowało, że dokonywa się tutaj rewolucja. Ten „przewrót październikowy" nie budził w nas, cudzoziemcach, grozy. Ludność snuła się wesoło po „corsach" i „piazzach", pokrzykując i śpiewając; dziś, w roku XVI, jest ona na pewno mniej ekspansywna. Wieczorem — jakby

nigdy nic — poszliśmy z p. Kucharskim do teatru bodaj „Argentina". Śpiewano „Cyrulika". Widzownia przepełniona była „czarnymi koszulami" w pełnym, bojowym rynsztunku; gdy tenor lub primadonna wzdragali się bisować ulubioną jakąś piosenkę, rozbawieni faszyści chwytali za karabiny i udawali, żę celują w scenę. Po czym owacjom i śpiewom chóralnym na widowni nie było końca.

*

Nazajutrz wszakże czekała nas interwencja w Watykanie. Zgłosiliśmy się z listem x. Karskiego do msgr. Caccia-Dominioni, który odczytawszy list szambelana skierował nas z kolei do substytuta sekretarza stanu, monsignora, dziś kardynała, Pizzardo, znanego z roli, którą odegrał był świeżo na konferencji genueńskiej. Młody arcybiskup przyjął nas grzecznie, ale chłodno, akcentując ciągle, że kwietniowemu b r e v e Ojca św. musi się stać zadość. Wówczas p. Kucharski, jakkolwiek był niemym raczej, acz wzburzonym, świadkiem dialogu mojego z monsignorem, zdobył się na posunięcie tak mistrzowskiej dyplomacji, że gdyby w rok potem z równą maestrią sterować był umiał skarbem polskim, po dziś dzień — wróżyć bym był mu skłonny e x p o s t i „po szkodzie" — włodarzyłby nim jeszcze jako nasz lord-kanclerz. Wyjął mianowicie z kieszeni i wręczył monsignorowi, podczas gdy ja dodawałem odpowiedni komentarz, sensacyjny szyldzik organu p. Haeckera. Dawka ta „Naprzodu" podziałała piorunująco na monsignora: jak strzała pomknął wprost w stronę apartamentów Ojca św., a kiedy stamtąd powrócił, z udobruchaną już zgoła twarzą zaproponował nam natychmiastowe posłuchanie u kardynała-sekretarza stanu.

„Loggiami" więc Rafaelowskimi przeszliśmy teraz wraz z ministrem do kardynała Gasparrego. Właśnie

Do rewizji
dnia

wychodził odeń w pełnej gali ambasador Francji, „brat" Jonnart. We drzwiach komnaty stał kanclerz Piusa XI, bardzo już niemłody, ale krzepki purpurat. Zasiedliśmy we trzech do rozmowy: kardynał się w niej nazbyt nie chcial angażować, odkładając wyjaśnienie swojego stanowiska do późniejszej konferencji; raz uniósł się wszakże gwałtownie, zdradzając się z wyraźną niechęcią do arcybiskupa Teodorowicza — aż zerwał się, aż pięść podniósł w górę: był w tej chwili więcej pasterzem trzód z Kampanii, z wiejskim swoim *podere*, niż pasterzem dusz na całej kuli ziemskiej. Ale gdy się uspokoił i zapomniał na chwilę o śląskich precedensach pontyfikatu, padła w naszą stronę doniosła obietnica audiencji prywatnej u Piusa XI w sam Dzień Zaduszny.

*

Dumałem o tym, co powiem Papieżowi i co od Papieża nazajutrz usłyszę, gdy pod wieczór Wszystkich Świętych jechałem skroś Via Appia Pignatelli na nieszpory zaduszne do Lateranu. Towarzyszyli mi p. Kucharski i szwagier mój, młody Sandro Mańkowski, urzędnik poselstwa polskiego przy Kwirynale.

Było może pół do szóstej popołudniu, zapadał dopiero piękny wieczór listopadowy i jasno jeszcze było na dworze, kiedy stary *vetturino*, wiozący nas poprzez Kampanię rzymską, zwrócił się do mojego szwagra, z którym znakomicie porozumiewali się po włosku, z uwagą, że trzej cykliści, którzy dopiero co byli minęli naszą dorożkę, których ja zaś wcale w zadumie mojej nie zauważyłem, „zeszli z rowerów zapewne wskutek błota". Zaledwie przebrzmiały jego słowa, aż tu na przedzie dorożki zjawiło się trzech owych cyklistów z zapuszczonymi na oczy „cyklistówkami" i ujrzałem na sercu wycelowany w siebie z ręki jednego z nich pistolet; drugi przykładał tymczasem inny zbir do piersi ministra, podczas gdy trzeci kierował broń

swoją w głowę nastraszonego nią piekielnie dorożkarza. Tymczasem z ust herszta padły słowa: *Il Direttoriato* (dyrektoriat faszystowski) *chiede i documenti* (Dyrektoriat żąda od was dokumentów). Rozpoczęła się rewizja osobista, a po prostu zwykły rabunek: mnie zabrano paszport i pieniądze, ministrowi pieniądze i pierścionki, oszczędzono tylko mojego szwagra. Po ukończeniu zaś tej subtelnej operacji, która miała przejąć później zachwytem korespondenta ówczesnego „Naprzodu"[1]), drab-naczelnik, równie liryczny i ekspansywny, jak jego kolega z mickiewiczowskiego „Powrotu Taty", odbił w oczach naszych teatralnym ruchem pistolet i zawołał: „Patrzcie, co robię, i jedźcie zdrowo do domu!"

W moim przekonaniu — on i jego koledzy byli to bandyci, żerujący w dniach rewolucji i podszywający się pod firmę jej inicjatorów, faszystów. Wracając do kraju, spotkałem w Wenecji jadącego również do Warszawy posła włoskiego Tommasiniego, który gdy mu opowiedziałem o tym napadzie, wyraził się, że było z naszej strony szaleństwem włóczyć się w tak gorącym czasie po Kampanii rzymskiej. Jakkolwiek bądź, nigdy mi się nie wydał Rzym tak piękny, jak w tę noc listopadową po naszym do niego powrocie, a światła na „Corso" stokroć bardziej swojskie niż owych „Zaduszek", które pojechaliśmy święcić w sercu Kampanii.

*

Audiencja u Ojca św. okazała się nazajutrz tylko formalnością. Pius XI pytał mnie o swoich znajomych z Warszawy: Piłsudskiego i Witosa, Skirmunta i Sapiehę, ale ani słowem nie dał nam odczuć, jakie jest w danej chwili jego stanowisko w sprawie kandydatur biskupich. Dopiero nazajutrz rano, w drugiej rozmo-

[1]) A dzisiaj wileńskiego bodaj „Słowa".

wiaz kardynałem-sekretarzem stanu, dowiedzieliśmy się o względnym sukcesie naszej misji, o decyzji mianowicie Papieża, aby pozwolić obu biskupom na pozostawienie nazwisk swoich na listach aż do wyborów, z zastrzeżeniem wszakże natychmiastowego potem złożenia przez nich mandatów senackich.

*

Uzyskawszy w poselstwie przy Kwirynale nowy paszport, 4 listopada o świcie postanowiłem wyjechać w Apeniny do rodziny żony. Ale przed pójściem na dworzec przeszedłem się jeszcze „Corsem" do „grobu nieznanego żołnierza". W pomroce jesiennej, w samym sąsiedztwie Kapitolu, palił się już znicz rozniecony w czwartą rocznicę zwycięstwa. Mnie zaś snuły się po mózgu myśli podobne do tych, które świeżo sformułował był w Krakowie mój przyjaciel, profesor-zachowawca:

„Jeżeli naród ma żyć, to musi on zachowywać właściwe mu, dziedziczne przekazane, a przez tradycję dziejową utrwalone, dodatnie, a zwłaszcza wzniosłe cechy duchowe: wiarę ojców, ideały, jakie przyświecały dawniejszym pokoleniom w wielkich chwilach dziejowych, i gorące umiłowanie wszystkiego tego, co w dziejach narodu i jego obyczaju było i jest naprawdę pięknym i podniosłym. Na tym tle zachowawczym, naturajna ewolucja duchowa, krzewiąc w narodzie prawdziwy postęp, może go podnosić i doskonalić, nie roniąc nic z tego, co jest własnym jego kulturalnym dorobkiem."

*

Uczony wszakże krakowski biolog był także zdania, że „naród, który zerwał z tym, co było w przeszłości jego chwałą, naród, który się wyrzekł ideałów przodków i dał się nagiąć do celów obcych czy nawet przeciwnych jego duchowi, musi stracić tę odrębność, któ-

ra czyniła go narodem, która była racją jego bytu, musi on przeto jako naród zginąć".

Lata 1922—3 znaczą niestety! w dziejach odrodzonej naszej państwowości najsmutniejszą bodaj erę, kiedy dawaliśmy się właśnie naginać do celów nam obcych i wprost przeciwnych naszemu duchowi, państwowej racji naszego bytu, ideałom przodków i chwalebnej przeszłości.

Jeszcze bowiem w roku 1921, po stuletnim prawie letargu, przerywanym co prawda indywidualnymi czy zbiorowymi afiliacjami zagranicznymi, różnych „Wyzwoleń" itp., otwarta została „Wielka Loża Polska"[1]. Tajna, niewidzialna ręka, sprawnie kierująca losami Polski w okresie Sejmu Czteroletniego[2], a zapewne i później — *hidden hand*, „obca agentura" — zaciążyła odtąd nieznośnym znowu brzemieniem nad odrodzoną Polską.

Nacisk jej dawał się odczuwać złowrogo w okresie zwłaszcza od listopada 1922 do listopada 1923. Był to bowiem w nowym państwie pierwszy regularny okres wyborczy z wszystkimi politycznymi jego następstwami; okres wyborów do normalnych ciał ustawodawczych i wyboru pierwszego Prezydenta.

Osobiście byłem w całym tym przesileniu o tyle zainteresowany, że nie pamiętam od kiedy, ale pamiętam, że dosyć wcześnie wysunięta została m. i. na stanowisko prezydenckie kandydatura mojego ojca. Mój ojciec ukończył był właśnie lat 70, a chociaż trzymał się jeszcze krzepko i nic nie zdawało się zapowiadać ataku sklerozy, któremu ulec miał w niespełna dwa lata później, to jednak żyłki politycznej nie miał nigdy i raczej

---

[1]) Patrz Chełmiński: „Masoneria w Polsce współczesnej", 1936, str. 79.

[2]) Patrz Askenazy: „Łukasiński", wyd. II., Warszawa 1929, I. 422.

(Związek Ludowo-Narodowy (który) po upadku kandydatury Zamoyskiego —

wysuwany bywał w tym względzie jako sztandar, często niestety! przez ludzi mniej od niego godnych, nadużywających świetnego jego stanowiska społecznego, jako też gołębiej nieraz iście łatwowierności.

Toteż, kochając ojca i wysoko sobie ceniąc mir, jakim cieszył się w społeczeństwie, najprzeciwniejszy byłem, uwzględniwszy nadto poważny jego wiek i skołatane siły, wysuwaniu osoby jego na najwyższe stanowisko w państwie. Tym razem nie czyniła tego najbliższa mu „partia krakowska", tak często właśnie nadużywająca jego firmowej etykiety, ale na pozór bardzo od niego odlegli „wszechpolacy", którzy w swoim przekonaniu *faute de mieux* (Haller, Paderewski, Trąmpczyński, Zamoyski) „kandydowali" ojca i mieli w końcu na niego głosować.

Zaraz jednak po powrocie moim z Włoch gdzieś w początku listopada z ust śp. Władysława Leopolda Jaworskiego, spotkanego przypadkiem w cukierni, usłyszałem, że na pierwszego prezydenta Polski upatrzony jest nie ojciec, ale Gabriel Narutowicz. Nazwisko tego kandydata znane mi było jeszcze ze Szwajcarii, gdzie przepędził był czas wojny i gdzie go parokrotnie spotykałem, jedyną wszakże dla szerszego ogółu rekomendacją profesora-emigranta mogła być co najwyżej przyjaźń jego z Piłsudskim.

Ileż razy przestrzegano mnie — w złej i dobrej wierze, tak wtedy, jak i później, już w czasie intensywnych studiów moich nad masonerią, abym — mówiąc z francuska — nie „krajał włosów na czworo" i abym nie „szukał południa o godzinie czternastej". Ja zaś starałem się tylko mieć oczy otwarte i wołać głośno — stąd dawany mi z reguły predykat *enfant terrible* — gdy mi się wydawało, że widzę rzeczy niesamowite i podejrzane.

Otóż faktem, który mnie wówczas najmocniej uderzył, było wydarzenie, które przytrafiło się jednemu

z bliskich moich znajomych. Był to działacz zorientowany tak jak ja w kierunku katolicko-narodowym. Ale od lat dziecinnych łączyły go dość bliskie stosunki towarzyskie z kółkiem kobiet, które żyły ~~in odore~~ teozofii. Wiadomo zaś dosyć już powszechnie i całkiem na pewno, że teozofia — w stosunku do kobiet (pań z towarzystwa) — jest dla masonerii tym samym, czym w stosunku do trudniej czy nie wprost dających się pozyskać adeptów męskich (ludzi na stanowiskach) jest „Rotary".

Mój znajomy, nie wyrzekając się frekwentowania tych nieco dwuznacznych salonów, obserwował jednak pilnie i czujnie, co się w nich działo i mówiło. Przekonał się też niebawem i niezbicie, że działają na ich terenie — inspiracją i impulsem — bezpośredni emisariusze masonerii.

Zdarzyło się tak — w końcu listopada czy początku grudnia — że jedna z tych pań, o pięknie zresztą brzmiącym nazwisku historycznym, wyjechała do chwilowej swojej rezydencji za granicę. Był jeszcze w Polsce spokój zupełny, kiedy mój działacz otrzymał od niej stamtąd list (przekazany mi zresztą w oryginale), pełen niepokoju o rzekome strajki jakieś czy inne zamieszki w Polsce, gdzie pozostał był jej mąż, a o których, o ile mi wiadomo, nie donosiła w tym czasie żadna prasa, nawet zagraniczna.

Nie dosyć na tym: w wilię wyboru prezydenta Narutowicza, kiedy w Warszawie panował dalej — przynajmniej z pozorów — „murowany" spokój, otrzymał mój znajomy telegram od tej samej pani, w bardzo przynaglającym już utrzymany tonie a zachęcający go, by nie zwlekał z obiecanymi przezeń rzekomo odwiedzinami w górskim Tusculum hrabiny. Nic by może w tym wszystkim ostatecznie nie było dziwnego — chociaż mój znajomy przyjazdu nie obiecywał i od niego się teraz wymówił — gdyby piękna ekspatriantka

nie była uznała za stosowne powrócić w pielesze rodzinne *ausgerechnet* owego 20 grudnia popołudniu (to już udało się nam skonstatować), kiedy obiór prezydenta Wojciechowskiego zapewnił Polsce od kilku godzin pewną „pieredyszkę" w chaosie.

Cóż o tym wszystkim należy sądzić? Pani X. nie była kobietą polityczną w ścisłym tego słowa znaczeniu, jakkolwiek nieraz jeszcze później — jak o tym już osobiście miałem sposobność się przekonać — używana była przez koła teozoficzne (czytaj: masonerię) do wykonywania pewnych agend masońskich. Pośród licznych darów, którymi ją wyposażyło urodzenie, nie pozbawiona była szlachetniejszych również impulsów. W procesie zaś brzeskim wyszło na jaw, że grudzień 1922 r. był okresem, kiedy w związku z zamordowaniem prezydenta planowana była rzeź narodowców. O tych właśnie zamiarach, przed których w czyn wprowadzeniem wzdrygnęli się ostatecznie sami socjaliści polscy, słyszeć mogła tak czy inaczej urocza bałamutka, stąd szczery jej niepokój w liście, stąd poczciwe ostrzeżenia „między liniami", których — i poza tym — nie brakło, ale stąd także niespodziewane a wyjątkowo punktualne jej marszruty: wyjazd *avant la lettre* (przed zamachem Niewiadomskiego) i powrót w kropce (w kilka godzin po rzekomym „uspokojeniu").

Habent sua fata... mulieres![1])

*

[1]) O Niewiadomskim pisałem już pod niedawnym wrażeniem zbrodniczego jego czynu w „Biuletynie Stronnictwa Zachowawczego", I/3—4, 16—17: „Dalecy jesteśmy od tego, ażeby przypuszczać u śp. Niewiadomskiego jakąkolwiek bezpośrednią konniwencję z zakonspirowanymi żywiołami, ale że był to materiał na spiskowca, a spiskowiec nigdy dokładnie nie wie, z jakiej strony dochodzi do niego sugestia..., więc i utajone sprężyny jego kroku, którego genezę skryła w swoim łonie mogiła, pozostaną zapewne na zawsze tajemnicą".

„Uspokojenie“ to jednakże, szumnie zapowiadane przez pewien odłam prasy, wątpliwego było w istocie gatunku. Zapewne — ściszyć wypadało zaciekłe polemiki personalne, toczone nie od wczoraj, lecz od lat ośmiu przynajmniej, w atmosferze denuncjacji nieraz czy prowokacji. Jedni chcieli drugich „pod sąd“ oddawać okupantów; drudzy wskazywali — w obozie pierwszych — na „zawady“ czy „zapory“, które nazajutrz, prostym zapewne zbiegiem okoliczności, krwią się oblewały. Harcownicy jednej strony drugą rozpalali do czerwoności, nie tylko wypominając jej wszelkie grzechy możliwe, ale lżąc ją soczyście od „belwedurniów“ czy „belwedrani“; lżeni zaś szczuli wówczas na lżących „moraczewszczyzną“ rozjuszoną i „stpiczów“ zajadłych, a znikąd nie było słychać haseł opamiętania, bo pośród kłócących się Wenedów zamilkł na razie, utraciwszy powagę, „chór starców“.

„Starcy“ ci bowiem krakowscy, „panowie małopolscy“, rozporządzający przeszło już 70-letnim kapitałem „Czasowego“ doświadczenia, co z Wielkopolskim przeżyli byli rzeź galicyjską; z Popielem i Adamem Potockim — rok 48; ze Stanislawem Tarnowskim i Koźmianem — 63; z Klaczką, Koźmianem i Adamem Potockim — Sedan i Sadowę; z innymi Potockimi: Alfredem, Arturem, Andrzejem — krwią, zapałem, trudem kitowali gmach autonomii galicyjskiej; z innym wreszcie Tarnowskim: Zdzisławem i jego doradcą, Jaworskim — wypili kielich rozczarowań „wielkiej wojny“ — milczeć teraz musieli na ogół, zawiedzeni, zmatowani, zagrożeni, z rzadka tylko posłuch znajdując dla swoich głosów ostrzegawczych (Bobrzyński).

A jednak do władzy się rwali, tylko że już nie sami, że już nie bezpośrednio, jeno ramienia młodszego, „świeckiego“ — dla duchowych swoich teorii — brachium militare wyglądali od generała zasłużonego w ubiegłej wojnie, od Monka jakowegoś, co by wskrzesił im (niektórym przynajmniej) Franz-Josepha po pol-

sku, od Boulangera chociażby, co by, „powracając z rewii“, zabrał do swoich furgonów gnuśniejących w nieczynności „Chambordów“.

Zbawców tych mogło być tylko dwóch — Józef Piłsudski i Władysław Sikorski. Lecz jakkolwiek pierwszemu z tych dwóch przywiózł swojego czasu Aleksander Skrzyński — jako *don de joyeux avènement* — formalną ich rekognicję, jakkolwiek czcili go żywym, jak później czcić go będą umarłym, na Wawelu, to bliższym był ich Sikorski, „swój człowiek“, rodem ze stołecznego Lwowa, pojętny adept polityków galicyjskich, a przy tym towarzyszący im nie bez sukcesów w misternej ich „anabazie“ znad Dunaju nad Sekwanę, od Hoetzendorfa do Focha[1]).

To miał być salvator po „potopie“ wielkiej wojny: przed reformą rolną, przed bolszewizmem ze Wschodu, przed endecją z Zachodu. Miał być, jeśli nie restitutor in integrum wpływów magnackich i szlacheckich, to premier przynajmniej premii asekuracyjnej na przetrwanie do innych, lepszych czasów.

Tak w dniach zamętu i żałoby powstał rząd Sikorskiego i Skrzyńskiego, następca gabinetu „swojego czło-

---

[1]) Por. Dumaine (ostatni ambasador francuski w Wiedniu): „La dernière ambassade de France en Autriche“, Paryż 1921; str. 186—9 (tłum. Wędkiewicza). „Ci Galicjanie... zapewniają obecnie (1919). na pozór w dobrej wierze, o swej tradycyjnej i niemal mistycznej sympatii, możnaby powiedzieć: o swej miłości do francuskiego narodu... Zręczni pochlebcy, nieznużeni w swych wywodach, zapominają zupełnie o poparciu, jakiego przez pół wieku użyczali w parlamencie wiedeńskim germanofilskiej polityce rządu austriackiego. Co więcej, dają do zrozumienia, że to właściwie my, Francuzi, złamaliśmy wiarę Polakom: wspaniałomyślnie nam to wybaczają i puszczają urazę w niepamięć. Z tymi oświadczeniami łączy się zawsze u Galicjan najostrzejsze potępienie głupoty, egoizmu, ciasnoty horyzontów i obłudy cesarskich ministrów dawnej monarchii; robi to wręcz komiczne wrażenie w ustach byłych dostojników austriackich, którzy całe swe poprzednie życie poświęcali właśnie tej dzisiaj tak przez siebie wzgardzonej polityce...

wieka", Nowaka, i niedoszłej kombinacji ze „swoim człowiekiem", Estreicherem. Zaraz też prasy „Czasu" oraz presje jego wydawców i przyjaciół poszły w ruch dla torowania i wygładzania ścieżek przed upatrzonym prekursorem.

Na placu byli już jednak i młodzi „zachowawcy". Skrępowani dawną swoją przynależnością do kręgu tradycji, interesów czy nawet przesądów, co dziedziczyły się nieraz uporczywie, jak w szkockim „klanie" jakim; rozbieżni czasem, ale jeszcze nie rozbici, postarali się oni zawczasu o to, aby w zjednoczonej nareszcie Polsce z podwórka krakowskiego, szanownego, lecz nie dosyć, ich zdaniem, przewietrzonego, przerzucić mosty do Lwowa („Tygrysowa", niezbyt tu popularnego od czasu jeszcze „Teki Stańczyka"), do Warszawy „warszawistów" i do Poznania, tego niespodziewanego dla wielu polityków z tej dzielnicy przychówku.

Pamiętam już w tym okresie wiele zebrań — ruchu pełnych i wymiany myśli — bądź w salonie warszawskim Platera, zacisznym a rojnym, bądź w spokojniejszej pracowni krakowskiej Kleckiego, bądź na „Szlaku" Tarnowskiego, bądź w Chrobrzu Margrabiego, później zaś nieco w Kielcach albo Busku. Komunikowaliśmy się ciągle też i z Poznańskim, skąd na zebrania nasze zjawiali się Chłapowscy i Bnińscy; ze Lwowa (Alfred Potocki i Stefan Badeni); utrzymywali wreszcie kontakt nieprzerwany z centralą warszawskich „realistów" (wtedy: Henryk Potocki i Władysław Glinka).

Że zaś w tym czasie nie były to „przelewki", czy — co gorsza — „przelewanie pustego w próżne" — dowód w tym, że generał-premier usilnie zabiegał o poparcie warstwy, co była wtedy jeszcze potencjonalną siłą. Na gruncie zaś warszawskim sekundowali mu gorliwie dwaj książęta, dwaj „eks-aktywiści" — Zdzisław Lubomirski i Janusz Radziwiłł: oni obaj — w apartamencie drugiego z nich przy ulicy Bielańskiej — usiłowali,

o cztery lata wcześniej stworzyć „Nieśwież“ i „Dzików“ *avant la lettre* z innym jeno kapelmistrzem przy pulpicie. Tym razem „Fürstenkapelle“ nie doszła jednak do głosu, a i jej solista nie zdołał się na dobre rozegrać i długo jeszcze potem, przy stole biesiadnym u generała Rozwadowskiego, wyrzucał nam ówczesny minister spraw wojskowych, żeśmy skrócili żywot jego premierowski[1]).

*

Czy uprawiając tego rodzaju politykę opozycyjną względem rządu Sikorskiego, warcholiliśmy istotnie, jak nam to skwapliwie gdzieniegdzie zarzucano, czyśmy zwłaszcza „nieśli tylko — siebie“? Czyśmy narażali lekkomyślnie na szwank interesy naszej warstwy; czyśmy bezmyślnie „mącili kadź narodową“ Polski, która wtedy właśnie uzyskiwała wschodnie swoje granice?

Kiedy przeglądam dzisiaj liczne broszury i ulotki, które pisałem i wydawałem w tym okresie, kiedy zwłaszcza — w perspektywie lat nieomal piętnastu — przyglądam się jednej z nich, puszczonej w świat w „decydującej chwili“ (ileż tych chwil rozstrzygających bywało w Polsce odrodzonej!), stwierdzam, że „ząbkują-

[1]) Na tle tej „gry“ przeciwstawnej zachodziły czasem nieprzewidziane incydensa. W grudniu 1922 r. mianowicie po obiorze Narutowicza, jeden z nas, pełniący wówczas obowiązki prezesa w Warszawie, uparł się włożyć cylinder i pójść z hołdem organizacji do Belwederu. Ani nowy prezydent nie cieszył się zbytnią pośród nas popularnością, ani młoda nasza organizacja nie miała jeszcze tytułu „robić się ważną“: dla tych dwóch powodów uchwaliliśmy w gronie naszym krakowskim wysłać depeszę, przestrzegającą — jak brzmi jej tekst — amatora manifestacji przed „nieopatrznymi krokami w stosunku do Belwederu“. Proszę sobie wystawić popłoch, jaki powstał śród najbliższej rodziny adresata, gdy w jego nieobecności, już po zamordowaniu Narutowicza — doręczono jej tego rodzaju telegram.

cym“ zachowawcom nie zbywało już na doktrynie, innej jednak od panującej wtedy w Krakowie, a zbliżonej raczej do doktryny praojców. Z tekstu tej broszury — nie po to bowiem piszę te „Wspomnienia“, by powtarzać samego siebie — krótki tutaj przytoczę tylko wyciąg:

„Powiedzieć trzeba jasno: w państwie takim, jak Polska, dumnym słusznie z wielkich tradycji swoich historycznych, skleconym kmiecym trudem Piastów, a przebudowanym i pod dach doprowadzonym mądrą gospodarką Jagiellonów, rozsadzanym później, w krytycznej dobie, odśrodkowymi dążnościami nie dosyć spojonych ze sobą elementów, polityka narodowościowa stać zawsze będzie na pierwszym planie zagadnień prawno-politycznych...; pewnikiem pozostaje, że jeżeli odrodzona Polska ma być w ogóle Polską, a nie niemożliwymi do pomyślenia w tej właśnie płaszczyźnie europejskiej Stanami Zjednoczonymi pod hegemonią boga Mammona, to głównym gospodarzem we wskrzeszonym po stuleciach państwie stać się jednak powinien ten Sarmata, na którego złożyły się wieki wojennych trudów i pokojowych wczasów, który zwyciężał pod Grunwaldem i ginął pod Cecorą, który z Wielkim Kazimierzem nadawał prawa chłopom i żydom, a z Jadwigą Litwie i Rusi, którego opiewali Mickiewicz, Słowacki, Szopen, Matejko, Norwid, którego strofowali Skarga, Staszic, Krasiński i Wyspiański, który jest zlepkiem cnót i zalet niewątpliwych i wad, z których uleczyć się winien, ale który na tej ziemi, w tym klimacie, przy tych horyzontach przystosował się najlepiej do praw przyrody i na mocy też prawie że przyrodniczej klasyfikacji uważanym być może za autochtona...“

I dodawałem:

„Rozumieją (to) uświadomione czynniki pośród włościaństwa, jak to od dłuższego czasu wykazuje konsekwentna i energiczna propaganda na łamach „Piasta“, z powodu której konstatował jeden z najlepiej znających Polskę dyplomatów warszawskich w rozmowie z autorem uwag niniejszych, że efektywne jej powodzenie wśród szerokich warstw chłopskich wydaje mu się najskuteczniejszym atutem w walce z nieuprawniony-

mi dążnościami mniejszości. Toteż za błahe uważać należy argumenta, którymi się zwalcza powstanie „narodowej" większości..."[1])

*

11 czerwca 1923 r. wezwał mnie w Krakowie do pałacu Pod Krzyżtoporami Wincenty Witos. Desygnowany czy aktualny już premier owego „rządu narodowego" zrobił mi niecałkiem jeszcze konkretną propozycję, abym przy jego boku w Prezydium Rady Ministrów objął stanowisko „naczelnika wydziału prasowo-politycznego". Propozycję swoją motywował przywódca chłopski pragnieniem, aby przy mojej pomocy wytworzyć stronnictwo agrarne, w którym, jak się wyraził, „byłoby miejsce i dla mnie (= siebie), i dla hrabiego Zdzisława Tarnowskiego".

Propozycję Witosa przyjąłem do wiadomości z najżywszą radością. Grały bowiem zapewne podświadomie we mnie — mieszczuchu — też same wtedy struny, w które z takim *brio* jako też siłą przekonania potrafili niegdyś uderzać duchowi nasi antenaci, czcigodni patres stronnictwa krakowskiego.

Wystarczało mi otworzyć pisma Popiela, aby się dowiedzieć, że

„patrząc na upadek wolny, ale ciągły żywiołu obywatelskiego (przyszedł był)... do przekonania, że przyszłe losy społeczności naszej spoczywają na tym, co nazywamy: chłop polski..."

Dalej zaś czytałem u niego:

„Co do mnie, zbliżywszy się do znacznej liczby spomiędzy nich (= włościan), znalazłem zdrowie rozsądku i prostotę serca, wiarę silną i poczucie tych praw

---

[1]) W jesieni 1921 r. udało mi sie przemycić do „Piasta" obszerny wywód o „przyczynach światowego wrzenia" (kwestii żydowskiej), oczywiście anonimowy, prokuratoria skonfiskowała jednak odnośny numer... rzekomo z powodu nieszkodliwych ekspektoracji posła Pluty.

moralnych i organicznych, bez których ludzka społeczność ani się rządzić, ani zakwitnąć nie potrafi, co mnie utwierdza w dawno powziętym przekonaniu, że społeczność nasza tyle sterana, zwątlona, zatomizowana w wyższych warstwach, z tego zdrowego tylko jeszcze rdzenia żywotne latorośle puścić potrafi"[1]).

Wystarczało mi dalej zajrzeć do pism politycznych Tarnowskiego, przejrzeć mianowicie słynny jego pamflet „Porcje", aby przekonać się, jak „liberalne" w najlepszym, najszerszym tego słowa znaczeniu było „nastawienie" tego wielkiego konserwatysty w stosunku do sprawy włościańskiej.

De facto stać się miałem w chwili obecnej pośrednikiem pomiędzy „żywiołem obywatelskim" a „chłopem polskim"; toteż krakowski „Związek Ziemian" — z którym Stronnictwo Zachowawcze w luźnych, nieoficjalnych pozostawało dotychczas stosunkach — zainteresował się żywo moją nominacją i przeprowadził nawet w gronie sympatyzujących z nami członków swoich formalne głosowanie nad zagadnieniem, czy radzić mi objęcie danego stanowiska czy odmowę na propozycję Witosową. Rzecz przy tym charakterystyczna, że za poparciem (w mojej osobie) dla rządu Witosa głosowali hurmem najgorliwsi „belwederczycy" późniejsi spod znaku „Dzikowa A. D. 1927", rezerwę zaś, tj. powstrzymanie się od wyrażenia zgody na objęcie proponowanej mi placówki, doradzał mi jedynie najserdeczniejszy mój przyjaciel, Hieronim Tarnowski.

*

Rozpocząłem zatem urzędowanie w pięknym Pałacu Radziwiłłowskim vel Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Lato było wyjątkowo skwarne, więc tych kilka miesięcy, które przebyłem wówczas w stolicy, rozżarzonej nie tylko natu-

[1]) Pisma, l. c., I, 129 i 159—60.

ralną spiekotą, „dnia upaleniem", ale i bardziej dopiekającym ogniem namiętności ludzkich, pozostawiło mi przedsmak Gehenny czyśćcowej.

Nie powiem wszakże, by te miesiące, spędzone przy „wielkim ołtarzu" władzy, spraw i wpływów, by ta vanitas vanitatum mędrca — męża stanu, nie miała dla mnie również szczególnego uroku; że miała go też ona i dla innych, świadczy krew wylana później w pogoni za jej mirażem na placach i ulicach Krakowa i Warszawy.

Ten piękny pałac, świadek niegdyś warszawskich wczasów księcia „Panie-Kochanku", asambli u *Madame* Zajączek, narad u „Księcia warszawskiego", odnowiony — jak głosił napis — „w roku przywrócenia Legionów", ze swoimi tarasami parkowymi, spuszczającymi się stromo ku Wiśle i terasą fasady tylnej, na której — w ciszy ogrodowej — najłatwiej było odbywać poufne rozmowy, był odpowiednim tłem Poloniae restitutae.

Oto wyszedł właśnie na rzeczony taras Wincenty Witos. Pięćdziesiątki dochodzi, ma za sobą zasługi premierostwa w dniach bitwy warszawskiej, twardej orientacji czasu „wielkiej wojny", nieustępliwości wobec zamieszek 1921 r. Ma przed sobą — Belweder, Brześć, emigrację. Nawdział na siebie, jak niegdyś szlachcic kontuszowy, palone buty, w dni uroczyste nawdziewa czamarę, ale przy całej swojej manierze wsiowej, która u niego nie jest sztucznością, lecz powrotem do natury, ma w sobie — dla mnie przynajmniej — „coś z Piasta", coś z tej ludzkiej przystępności Łokietkowej, gdy wielki król tułał się pośród grot Ojcowa, a przy tym i zrośniętego z urzędem dostojeństwa:

kiedy sieje, orze, miele,
co za godność, jakie wzięcie!

Jest jednak Witos przy tym wszystkim politykiem ze szkoły galicyjskiej, ściśle mówiąc badeniowskiej —

przypadło to moje określenie do smaku takiemu znawcy galicyjskiej ery autonomicznej, jak Studnicki — miewa „chwyty“ i „wolty“ zadziwiające, jest graczem kuluarowo-parlamentarnym, mówcą wiecowym, trybunem ludu, niedoszlym w końcu „Führerem“.

Wyszedł oto na taras Pałacu Namiestnikowskiego (łepiej jeszcze czułby się we Lwowie Pod Kawkami) w towarzystwie starego druha i stronnika, Kuby Bojki, dziś również optymata i literata, niegdyś zaś porówni z Witosem — stracha na wróble czy raczej kawki szlacheckiej autonomii galicyjskiej. Widzę ich, jak posuwistymi przechadzają się krokami po tarasie, na którym sto lat wprzódy gromadziła się zapewne „sosjeta“ *chez la princesse Zayontchek* lub pózniej taki Henryk Rzewuski szeptał coś może poufnego do ucha srogiego kniazia „Erywańskiego“.

Ale nie takich tu tylko pan premier przyjmuje gości: Bojków, Średniawskich, Kowalczuków. Ci są „ważni“, ale między Bochnią, Tarnowem, Wadowicami, tych się załatwia samopas, lecz kiedy indziej, kiedy na pokoje premierowskie wali się Europa, nie „Galilea“, zaraz dzwoni do mnie na górę kolega Angerman, wówczas *secrétaire perpétuel de la Présidence*, że „pan premier prosi do siebie“.

Są bowiem te miesiące — od czerwca do września 1923 r. — porą wyjątkowo świetnych przyjęć, odwiedzin monarszych i ministerialnych, przeglądów i bankietów, rautów i przedstawień. Dopiero co opuścił Warszawę zwycięzca „wielkiej wojny“, pierwszy marszałek Francji trzeciorepublikańskiej, Ferdynand Foch, co w hołdzie tutaj przybył *à toutes les gloires de la Pologne restaurée*, czcząc nie już, jak przodkowie jego duchowi, Polskę jako „naród w żałobie“, ale radujące się w podziemiach Wawelu kości bohaterów jej, dotąd upokorzonych, i — niezawodną patronkę jej z „Jasnej Częstochowy“ i niezłomnego księcia jej Thorwaldsena.

A teraz — z przeciwległego krańca Europy — zjechała nad Wisłę najpiękniejsza tej Europy królowa, Angielka z rodu, Rosjanka z postawy monarszej, wraz z małżonkiem, Hohenzollernem. Za parą zaś królewską zjawili się na Zamku warszawskim dawno niewidziani tutaj goście: Bratianowie i Duki, następcy jakby tych Mohyłów i Costinów, dla których Rzeczpospolita była atrakcją i dla których stanowiła autorytet.

Zajaśniał na nowo w odświeżonych blaskach rokokowych zamek stanisławowski, na którym — zgoła bez uroku tamtego Stanisława, płochego Muz kochanka — robił teraz honory inny Stanisław, pełen *austérité* republikańskiej; po śniadaniu u premiera miałem sposobność służyć jako tłumacz w rozmowie pomiędzy Bratianem a Witosem, pomiędzy kanciastym bojarem przedwojennym, co strzelać kazał „dorobantzom“ do swoich chłopów, a chłopem polskim, co dłoń wyciągnąć się teraz zdawał do swoich bojarów; wieczorem wreszcie, w Teatrze Wielkim, przed wnuczką cara *point de rêveries*, roztańczył się przecudny balet, co swoją wszakże barwnością nie dorównywał feerii, której na imię było: rzeczywistość.

*

I innych jeszcze wielu dni moich dostojnych gości przesunęło się poprzez podwoje Pałacu Radziwiłłowskiego, jak ten np. sir John Hanbury Williams, marszałek dworu J. Kr. Mości Jerzego V, co tu szukać przyjeżdżał chyba śladów przodka swojego, a druha króla Stanisława; lub jak pan Feliks Calonder, co wtedy właśnie z gniazda swojego górskiego przenosił się na śląskie równiny; lub nareszcie — ksiądz kanclerz Seipel, co wraz z ministrem swoim Grünbergerem przybywał się pokłonić imieniem pomniejszonej Austrii Polsce, która w łonie wielkiej niegdyś Austrii godziła się być Piemontem, lecz przenigdy Tyrolem.

Więc kiedy na wielkiej sali Pałacu Namiestnikowskiego powstał w czasie bankietu Witos, zwracając się do gości wiedeńskich, i jął mówić z powagą (choć nie bez charakterystycznego chwilami szeplenienia): „Księże kanclerzu i panie ministrze!...", pomyślałem sobie, że podobnież „trybun ludu szlacheckiego" witać mógł niegdyś pomniejszonego Maksymiliana[1]).

To były jednak „funkcje reprezentacyjne", moje zaś zajęcia właściwe leżały na innym polu. Byłem wszak „szefem prasy", a predykat ten — w normalnych warunkach — wyrażał w sobie rozległe atrybucje i możliwości. Dość pomyśleć, co znaczą dzisiaj w „państwach totalnych" Alfieri czy Goebbels, ile na tym samym, co ja, stanowisku nabroić mógł rządowi swojemu taki Cesare Rossi, a i przed wojną — w Niemczech czy Austrii — *der Pressechef* (tam utarła się ta nazwa) uchodził za personę nie lada. Pamiętam, jak jednego z pierwszych dni mojego urzędowania zjawił się u mnie stary, wytrawny dziennikarz z ery wiedeńskiej, i przemówił do mnie krótko a życzliwie: „Panie kochany! Jaki tam będzie z pana szef prasy. W Austrii — to było co innego. *Pressechef* miał do dyspozycji ordery, subwencje i akta tajnej policji. Nie pomagał na dziennikarza order lub zasiłek z „funduszu gadzinowego", to mu się podsuwało pod nos szantaż. I opór był złamany! Ma pan coś podobnego w swojej szufladzie?..."

Bóg widzi, że nie potrzebowałem się uciekać aż do tak niepoczciwych metod. Pomimo bowiem, że walka z tym rządem „ósemkowym"[2]) była zaciekła, że prze-

---

[1]) Już w końcu mojego urzędowania zaproszony zostałem na *weekend* do Zaborowa, do p. Leona Goldstanda, z „doradcą finansowym" przysłanym przez rząd angielski, p. Hilton Youngiem, ale z zaproszenia nie skorzystałem, będąc już właściwie in statu demissionis.

[2]) Tak nazwanym od listy sejmowej, której wybrańcy stanowili trzon tego rządu.

ciwnicy jego — jak jeszcze zobaczymy — nie przebierali w środkach, a „Sulejówek“ groźne wszczynał ofensywy, stosunki moje osobiste z prasą, nawet opozycyjną, były poprawne. Zapewne, wieleśmy sobie nawzajem nie mieli do powiedzenia; o ile chodzi o kontakt oficjalny, skończyło się właściwie na jednej wizycie mojej w „klubie sprawozdawców sejmowych“, ale dorywczo widywałem się jednak z większością tych panów i powiedzieć mogę, że niemal ze wszystkimi rozstaliśmy się w najlepszych terminach.

Kierownikiem „Pata“ (instytucji de nomine mi podległej i której Witos chciał mnie nawet pierwotnie zrobić kierownikiem) — był Piotr Górecki, legionista, zagorzały Piłsudczyk, ale w stosunkach osobistych ze mną najlojalniejszy współpracownik w guście Hempla (jeszcze jeden dla mnie dowód, jakby Polacy harmonijnie mogli ze sobą współpracować, gdyby ich ciągle nie kłócił „ten trzeci“[1]).

---

1) Górecki jest dzisiaj dyrektorem „Radia“. Zaledwie kilkanaście lat minęło od chwili, gdy w swoim ówczesnym „studio“ na Mokotowie wtajemniczał mnie w zupełnie wtedy nowe dla Warszawy audycje radiowe.

Z komunikatami „Pata“ zdarzały się niekiedy w dobie mojego urzędowania dramatyczne perypetie. I tak np. w nocy z 28 na 29 sierpnia 1923 r. rozesłała ajencja ta komunikat do prasy, w którym zwracała uwagę na artykuł komunistycznej „Rote Fahne“ starającej się wykazać, że współczesna walka w Zagłębiu Ruhry jest cząstką tylko tej wielkiej walki, jaką prowadzą nie tylko Niemcy i Francja, ale także Ameryka i Anglia.

„Na terenie Zagłębia Ruhry — precyzował dalej komunikat nasz urzędowy, streszczając bolszewickie wywody — zmaga się trust Rockefellera z trustem Morgana, gdyż walka trustów amerykańskich przeniosła się na teren europejski. Łatwo wykazać związek głównych współzawodników na polu gospodarczym w Zagłębiu Ruhry z obu grupami amerykańskimi. Morgan pozostaje w kontakcie ze Schneidrem-Creuzot, trust Rockefellera natomiast podtrzymuje stosunki z „Standard Oil Company“ i z „Banque des Pays-Bas“. Ten ostatni bank pozostaje w relacji z francuską grupą wielkiego

Krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny“ reprezentował już wtedy w Warszawie Konrad Wrzos, wyrabiający się na reportera w wielkim stylu. Jakkolwiek z jego organem żadne mnie nie łączyły stosunki, Wrzos postarał się ścisły nawiązać ze mną kontakt. Dbał wszakżeż o to, bym się pilnie stosował do jego godzin, ponieważ zaś, jak się wydaje, telefonował do Krakowa o północy, codziennie niemal na krótki czas przed północą zgłaszał się po informacje do mojego mieszkania. Nieraz po dniu znojnym i z reguły upalnym spałem już twardo, kiedy budził mnie dzwonek Wrzosa. Ocuciwszy się z lekka, szedłem do aparatu i z respektem należnym dla Jej republikańskiej Mości — prasy zdawałem mu chudy zresztą biuletyn o czynnościach i zamiarach rządu (jako bowiem nie-„partyjnik“, in-

---

przemysłu lotaryńskiego Wendela, głównego konkurenta firmy Schneider-Creuzot, w Niemczech Morgan działa przez Stinnesa, a Rockefeller przez „Allgemeine Elektrizitätsgesellschaft“. Przez Stinnesa dąży Morgan do przełamania dotychczasowego monopolu „Standard Oil Company“ na polu naftowym. Dziennik wylicza podróże Stinnesa do Danii, Włoch itd., gdzie wszędzie Stinnes konferował z przedstawicielami trustu Morgana i wykazuje, że Schneider-Creuzot nabył wielkie zakłady stalowe na G. Śląsku, tereny naftowe w Rumunii i rozszerzył swoje stosunki we wszystkich państwach bałkańskich nie tylko za pośrednictwem niemieckiego „Bankvereinu“, lecz także przez „Banque Balcanique“ i tryesteńska „Banca Commerciale“ i przez „Banque Générale de Turquie“ w Konstantynopolu. W ostatnim czasie Schneider-Creuzot wraz z Rotschildem ubiega się o zawładniecie kolejami wegierskimi. Spółka Schneider-Stinnes pogłębia swe wpływy w Europie Wschodniej. Przenoszac swe działania z Austrii do Wegier i Rumunii, stara się przedostać do Polski. „Rote Fahne“ twierdzi, że Morgan na terenie europejskim dzięki poparciu grupy Schneider-Stinnes bierze górę nad trustem Rockefellera“.

Co jak co, ale — przepuściwszy ten komunikat „Pata“ z tych czy innych powodów — poranek 29 sierpnia miałem nader burzliwy i jeździć m. i. musiałem z pewnym politykiem „większościowym“ od redakcji do redakcji, prosząc wraz z nim redaktorów, by komunikatu nie przedruk[illegible] dlaczego — niech czytelnicy osądzą.

formowany bywałem o nich dosyć ubogo). Wrzos odbierał informacje, notował i telefonował lub nie telefonował dalej, ja zaś powracałem z upragnieniem w objęcia Morfeusza.

Bardziej interesujący niż z polską był dla mnie kontakt z prasą zagraniczną, której przedstawiciele zgłaszali się nieraz do premiera. Nie brakło wśród nich Anglików i Amerykanów. Pamiętam, jak przybyło raz do biura mojego dwoje państwa Mac Cormicków, brat i siostra, oboje przedstawiciele naczelnego organu farmerów amerykańskich „New York Times". Postanowili „zdjąć wywiad" z premiera, ja zaś przykazane miałem — ze względu na drażliwą sytuację wewnętrzno-polityczną — omówić z nimi, jak zresztą z każdym zgłaszającym się „interviewerem", treść i zakres ich pytań. Nazajutrz po ich ustaleniu znaleźliśmy się wszyscy troje w kancelarii premiera. Był to najdłuższy wywiad, jakiemu asystowałem — trwał z jakie półtorej godziny. Kiedy lista pytań została już wyczerpana, pani Mac Cormick zwróciła się do mnie i jakby nigdy nic odezwała się: „Niech pan poprosi premiera, by jako szef najliczniejszej w Polsce partii chłopskiej zechciał się wypowiedzieć na temat powszechnego głosowania!" Zdrętwiałem na myśl o możliwych konsekwencjach niedyskretnego pytania: jeżeliby Witos potępił powszechne głosowanie, dopieroż przejedzie się po nim demokracja „opozycyjna"; jeżeli znowu nadto gorąco je pochwali, jakżeż on będzie wyglądał wobec modnych w świecie teorii antyparlamentarnego postępu? Mistrz Wincenty zwąchał jednak pismo nosem i z wybitną dezynwolturą przemówił do mnie, jak następuje: „Niech pan jej powie, że to nie sztuka pytać chłopa polskiego, co on myśli o powszechnym głosowaniu; niech no się ona najpierw popyta swojego amerykańskiego inteligenta, wtedy zaś ja z kolei się wypowiem". Zakomunikowałem pytyjskie orzeczenie premiera ciekawej *miss* w jej rodzimym języku, na co ona z uśmie-

chem porozumiewawczym skonstatowała: *„Oh! very clever's your President, very clever!"*

Nie zawsze jednak udawało się z prasą tak gładko. Pamiętam znowu, jak ówczesny minister spraw wojskowych, generał Szeptycki, z którym zaprzyjaźniłem się mocno w owym czasie, a który zachwycił mnie w czasie rewii rumuńskiej na polu Mokotowskim pyszną postawą swoją na koniu, poprosił mnie, ażebym wobec niezorganizowania biura prasowego w M. S. Wojsk. przysyłał mu codziennie duplikaty wycinków prasowych. Zastosowałem się do jego życzenia, ale ta moja przysługa przyjacielska nie trwała długo: zdarzyło się bowiem tak, że pierwszego zaraz dnia, w którym wprowadziłem w życie podwójny ten „serwis" wycinkowy (tj. dla premiera i dla niego), prasa legionowa wykonała generalną ofensywę przeciwko Szeptyckiemu ex re jeszcze rzekomych błędów jego strategicznych z roku 1920. Generał był żołnierzem, który każdą obrazę honoru gotów był odparować z bronią w ręku, jednakże w obstrzale ognia dziennikarskiego załamywał się nerwowo i niebawem dał mi do zrozumienia, abym ten niemiły „serwis" przestał mu przysyłać.

Naprawdę nie wiem, do jakiej to kategorii — krajowej czy zagranicznej — zaliczyć winienem dwóch stale mnie w tym czasie odwiedzających dziennikarzy: pp. Stefana Lublinera i Floriana Sokolowa. Obaj bowiem nosili nazwiska znane, ale niepolskie: jedno — zapisane jeszcze w rocznikach „wielkiej" naszej emigracji, drugie — błyszczące na kartach wojującego syjonizmu. Lubliner przedstawiał mocno już podówczas spóźnioną tendencję „asymilacji"; Sokołow (syn Nachuma) — kwitnącą w latach pomiędzy „deklaracją Balfoura" a przyjściem do władzy Hitlera platformę syjonizmu. Obaj jednak występowali wobec mnie jako dziennikarze polscy (Sokolow po dziś dzień współpracuje w „Gazecie Polskiej"). Obaj byli ludźmi rozumnymi i gładkimi, więc rozmowa z nimi należała do przy-

jemności[1]); niemniej już wtedy czuło się, że stoi za nimi świat inny, obcy a potężny, z którym liczyć się należy, jeśli się nadal świecić pragnie na powierzchni życia publicznego, a z którego strony jest się czujnie obserwowanym i niemal „inwigilowanym".

*

Położenie zaś rządu z każdym miesiącem stawało się trudniejsze. Premier jego niepopularny był w stolicy: czynniki żydowskie, tak bardzo wpływowe w prasie zwłaszcza i teatrze, robiły ze strony swojej wszystko, aby rozniecać i podsycać tlący pod powierzchnią życia społecznego antagonizm pomiędzy miastem a wsią, oczerniając i ośmieszając w dziennikach i tak zawsze uczęszczanych w Warszawie rewiach postać Witosa, a pośrednio jego współpracowników.

A nie da się zaprzeczyć, że nie wszyscy ci współpracownicy byli „na wysokości sytuacji"; że wiele było prawdy w dzisiejszych insynuacjach pod adresem ówczesnych rządów i rządców „parlamentarnych" — z tym jednym wszakże zastrzeżeniem, że poziom dzisiejszych, jako materiału ludzkiego, nie jest na ogół wyższy od ówczesnego.

Najgorszą zaś było rzeczą, że ówczesny obóz rządzący nie był jednolity, mniej jeszcze może jednolity od obecnego. Mniejsza już z tym, że rozpadał się de facto na dwa zasadnicze trzony: „endecki" z niezbyt spojonymi z nim samym „przybudówkami" i „ludowcowy"; ostatecznie wszakżeż i dzisiaj „lewica" obozu rządzącego — nieraz i głośno — wadzi się z jego „prawicą". Ale co gorsza, w łonie „ekipy" rządzącej, na jej szczytach, w gronie właściwych „prominentów" trafiali się ludzie, których bądź z ideą przewodnią koalicji rzą-

[1]) Nie mogę tego powiedzieć o rasowo im pokrewnym korespondencie prasy niemieckiej, p. Netterze, którego nahalność ustępowała jedynie nahalności drugiego korespondenta „IKC", pana S.

dowej, tak jak miałem ją sposobność wyłożyć pod pseudonimem „Acera"[*]), nie łączyło nic, bądź też, którzy używali wprawdzie miana „narodowców", ale dziwnie jakoś niezwartych, niespójnych, zawrotnych i zawodnych w swojej taktyce.

Do pierwszych należał Maciej Rataj, „Wyzwoleniec", wytworniejszym od innych sposobem bycia i wyglądem, wynurzający się stale na powierzchnię życia publicznego w momentach jego najostrzejszych wstrząsów: wtedy gdy z ręki fanatyka padał prezydent pierwszy i wtedy kiedy drugi pierzchać musiał przed rokoszem. W obu tych zasadniczych dla młodej naszej państwowości przesileniach (1922 i 1926) — z tytułu swojego urzędu i marcowej konstytucji — stawał się Rataj naczelnym regulatorem historii polskiej, „kingmakerem" i „legalizatorem". Potem z przewrotem majowym zanurzać się jął stopniowo w ciemnię i tajnię politycznego niebytu, ale nie zniknął ze sceny zupełnie, przetrwał Brześć i jego erę bez żadnej dla siebie szkody, po to tylko jakoby, aby zluzować Witosa i, gdy ten bawił w Czechosłowacji, niepodzielnie już masą chłopską móc kierować.

Drugim był Stanisław Grabski. Z jednego się pnia konspiracyjnego wywodzący z Dmowskim, całkiem od tego poszedł innymi drogami. Już na emigracji w Rosji, wśród której perypetii trafnie zdiagnostykował fenomen Rewolucji, przewidywał w stosunku do niego nieboszczyk Plater w niewydanym, ale znanym mi pamiętniku, że przyszła Polska wiele mieć będzie kłopotu z jego mentalnością. W okresie, o którym tu mowa, Grabski grał rolę przewodnią w tzw. „Związku Ludowo-Narodowym", jak grał był już swojego czasu wydatną w „Komitecie paryskim". Prawie że go nie znałem osobiście, ale od pierwszej niemal chwili zetknięcia, wzajemna, zdaje się, antypatia, przeciwnie niż z Dmow-

*) Patrz strona 44

skim, rozdzieliła nas od siebie. Pamiętam, że już po nominacji mojej przez Witosa dokładał wysiłków, aby odjąć mi wydział prasowy. Zdaje mi się, że się nie pomyliłem, oceniając już wówczas zgubność taktyki Grabskiego tak dla ściślejszego jego obozu, jak i dla tego szerszego, do którego w swoim przekonaniu należałem[1]).

Warszawa w dniach wiosennych czy jesiennych roku 1923 nie przedstawiała spokojnego obrazu. Jak cztery lata wprzódy, tak i teraz użyła masoneria wypróbowanego przez siebie już za dni rewolucji francuskiej środka *de la grande peur*. Te bomby, które w przeddzień czy w chwili tworzenia się rządu „narodowego" pękały na ulicach Warszawy, tak podobne do tych, co pękają dziś na ulicach Paryża czy Londynu, i te lonty, które później nieco zapaliły prochy cytadeli żoliborskiej — to były wszystko akcesoria z arsenału mańskiego, z kuźni czartowskiej światowego wywrotu.

Równocześnie zaś i równolegle do tej akcji terrorystycznej, której etapem ostatnim stać się miała rzeź ułanów na ulicach Krakowa, szła subtelnicjsza akcja polityczna, mająca na celu rozluźnić spoistość zadzierzgniętej koalicji, wprowadzić do rządu mniej pewne z punktu widzenia politycznego czynniki (Grabski), podstawić mu w końcu nogę i przyprawić go o upadek. W tym względzie każdy epizod stać się mógł dla niego przysłowiową „skórką pomarańczy".

Pamiętam jednego dnia letniego, gdy znajdowałem się właśnie (z raportem czy bez raportu) w gabinecie premiera, zadzwonił telefon. Nie wiedziałem, kto był „u końca drutu", ale z tenoru — jednostronnie zresztą — zasłyszanej rozmowy domyślić się musiałem, że był to marszałek ówczesnego sejmu Rataj. To, co mówił, miało widocznie znaczną wagę, bo zauważyłem, że sze-

[1]) Patrz osobliwie mój artykuł: *J'accuse* w „Dniu polskim" z 10 grudnia 1925.

fowi mojemu w trakcie tej rozmowy drżały ręce. Jak się dowiedziałem później od premiera-interlokutora, informował Rataj Witosa o przybyciu na granicę polską wagonu, w którym znajdował się chory metropolita Szeptycki. Metropolity dawno nie było już w kraju: po zajściach lwowskich bawił był przez czas niejaki w Rzymie oraz Wiedniu, powrót zaś jego obecny był dla rządu „nacjonalistycznego", w którym w dodatku zasiadał brat jego jako minister, z pozorów przynajmniej niedogodny. Zorientowałem się od razu po tej rozmowie, że pozostaje mi rzecz jedna do zrobienia, a to, zanim oficjalna wiadomość o powrocie brata dotrze do ministra spraw wojskowych, starać się przygotować go na jej przyjęcie. Udałem się więc zaraz do pałacu Pod Blachą i zameldowałem się do generała Szeptyckiego. Ten nie przeczuwał zgoła w tej chwili możliwości powrotu brata, gdy bowiem zadałem mu incydentalnie pytanie, gdzie metropolita obecnie bawi, odpowiedział z całym spokojem, że w sanatorium w Wiedniu. Zaznaczyłem z lekka, że rychły jego powrót do kraju nie wydaje mi się niemożliwością, nie chciał jednak wierzyć takiemu przypuszczeniu generał. W tej chwili otworzyły się drzwi od gabinetu i adiutant zameldował ministra spraw zagranicznych, który przybywał z oficjalną już o przybyciu metropolity wiadomością. Nie wiem, czy moje *intermezzo* przyczyniło się w czymkolwiek do złagodzenia w umyśle generała pierwszego wrażenia tej wieści; to pewne, że rycerska jego lojalność wytrzymała świetnie ciężką próbę przywiązania braterskiego.

*

Co jak co, ale w zaczątku tej ponurej jesieni losy moje wydawały się przesądzone. Kalkulacja z konserwatystami — o czym jeszcze niżej — nie wytrzymała ponad trzy miesiące. Wspominałem już, że na gruncie ziemiańskim przyczyniłem się do zachwiania pozycji

generała Sikorskiego jako premiera; dzisiaj, kiedy na gruncie parlamentarnym rysowała się możliwość powrotu jego do władzy — w innym co prawda charakterze, ale z potężnym poparciem Francji i nie bez poparcia obozu rządzącego — stanowisko moje doznawało ipso facto osłabienia.

Wszystko więc sprowadzało się teraz do tego, w jaki sposób zechcą się mnie pozbyć te same czynniki, którym dogadzało było powołanie mnie w czerwcu t. r. Muszę powiedzieć, że ze strony mojego szefa usque ad finem doznawałem poparcia, *fair play:* kiedy raz, jesienią, tłumaczyłem mu w czasie wspólnej przechadzki po ogrodzie prezydialnym, że w tak trudnych warunkach osobistych nie czuję się nadal na siłach wytrwać na powierzonym mi przezeń stanowisku, odrzekł mi Witos tylko tyle, że i on przecie nie czuł się na siłach, kiedy w roku 1920 obejmował stanowisko premiera. Ale zgoła słabsze poparcie znajdowałem na niższych szczeblach drabiny urzędniczej, ba! mogę powiedzieć, że w tym zakresie najgorsze porobiłem doświadczenia.

Nie mam tu bynajmniej na myśli własnego biura prasowego. Skład jego był bez wyjątku zadowalający, miałem w nim kilku współpracowników czy podwładnych i więcej jeszcze niż wprzódy w Bukareszcie liczyć mogłem na ich lojalność. Krakowianin Feikel (zmarły później tragicznie współredaktor „Czasu"); Noyszewski, biograf Żeromskiego; weteran prasy warszawskiej Lutomski; młody filolog Wieniewski i, *last but not least*, serdecznie mi oddany, a nieżyjący już dzisiaj filozof Tadeusz Świstakowski, stanowili zespół poważny i rutynowany. Ale zagrożenie przyszło z zewnątrz.

Tak jak u progu tej mojej kariery urzędniczej spotkałem się ze sprzeciwem i wstrętami ze strony Stanisława Grabskiego, tak u jej kresu natknąłem się na wybitnie demokratyczne metody „ludowcowego" skrzydła większości rządowej. Jeden mianowicie z podsekreta-

rzy stanu, mających wpływ na obsadę i gestię danej placówki, a że sam nie rasowy witosowiec, więc tym gorliwszy neofita, wysunął na miejsce moje wspomnianego tu już w przypisku a zbliżonego do partii ludowców dziennikarza S.

S., gotów z temperamentu swojego piąć się wtedy do władzy „chociażby po trupach" — inna rzecz, kto mu z jego partii dawał na te „wyczyny" placet, a kto musiał taki stan rzeczy tolerować — zawładnął „prawem kaduka" moją kancelarią. Działy się rzeczy takie, że kiedy ja właśnie wtedy wyjechałem na krótki urlop, wtargnął S. do niej, usiadł na moim fotelu i jął bez żenady przyjmować telefony skierowywane do „naczelnika wydziału polityczno-prasowego".

Równocześnie ze strony kół zainteresowanych w usunięciu moim rozpoczęła się istna wojna podjazdowa. Pamiętam np., że do Prezydium Rady Ministrów zgłosiła się wtedy po subwencję grupa Rosjan-emigrantów, lojalistów, pragnących wydać nowy rocznik swojego kalendarza. Przedłożyli mi rocznik jego poprzedni, którego tendencja była zdrowa, antybolszewicka, a który zawierał z racji przepraw roku 1920 m. i. także portret Piłsudskiego; gdy bez względu na ten szczegół zakwalifikowałem dane wydawnictwo do subwencji, moment portretu perfidnie został przeciwko mnie wyzyskany.

Nemezys dziejowa zemściła się jednak rychło na moim antagoniście. Brutalne jego metody, dopuszczalne co najwyżej na gruncie bocheńskim czy wadowickim, zawodziły w stosunku do bardziej europejskich zwyczajów na terenie korpusu dyplomatycznego. Opowiadał mi jeden z moich współpracowników, że wkrótce po moim odejściu wpadł niefortunny mój następca na pomysł rozbudowania prasowej i kinowej propagandy obrazkowej, idąc w tym za świeżym przykładem półurzędowych ilustracyj czeskich. Właśnie odbyły się wtedy w Warszawie uroczystości wręczenia listów wie-

rzytelnych przez nowo akredytowanych posłów Węgier i Japonii. Nieoceniony S. spóźnił się ze sfotografowaniem i sfilmowaniem rzeczonych uroczystości, a że żal mu się zrobiło egzotycznej barwności japońskich cer i węgierskich żupanów, ze zwykłym sobie brakiem żenady zatelefonować kazał jednemu z podwładnych swoich do obu poselstw, że członkowie ich winni, gwoli dokonania zdjęć, stawić się dnia tego a tego, o godzinie tej a tej w pełnej gali przed Belwederem. Dumni synowie Attyli, dbali nade wszystko o świeżo nawiązane stosunki oficjalne z Polską i licząc się z (dziwacznym co prawda) telefonem otrzymanym z Prezydium Rady Ministrów, poszli na rękę przedsiębiorczemu S. i z mieszanymi uczuciami w duszach, ale w pięknych narodowych strojach zajechali ponownie przed rezydencję Wojciechowskiego. Inaczej wziął to jednak przedstawiciel państwa „Wschodzącego Słońca“ i z ostrymi wystąpił remonstracjami etykietalno-protokólarnymi pod adresem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. „Wierzbowa“ rekurowała do „Pałacu Radziwiłłowskiego“, skąd wyszło zgorszenie; mój następca-samozwaniec dostał ostrą reprymendę, w ślad za nią zasłużoną dymisję i miejsce tego kolegi — *avant la lettre* — słynnego „Nikodema Dyzmy“ zajął znowu szef prasy „z prawdziwego zdarzenia“, Adam Romer.

*

Nie w tych zatargach i zamieszkach tkwiła wszakże właściwa przyczyna mojej dymisji. Wiązała się ona z niejasnym i chwiejnym stanowiskiem ziemiaństwa. Tym razem — mniej małopolskiego: u niego, zwłaszcza na zachodzie, imię Witosa miało dźwięk szczególnej próby, coś jakby młodszego brata o dużych możliwościach inteligencji. Gorzej już było z tymi odłamami ziemiańskimi, które podlegały propagandzie „endeckiej“ (tzw. „chaeni“); z ich strony na żadne w mej akcji

liczyć nie mogłem poparcie. Pamiętam, jak pewnego razu zgłosili się do mnie z Wielkopolski dwaj panowie z prośbą, abym ich wprowadził do Witosa. Chętnie zadosyćuczyniłem ich prośbie w nadziei, że z kontaktu między premierem chłopskim a przedstawicielami najzasobniejszego i najrządniejszego odłamu naszego ziemiaństwa wykluć się właśnie może ta kooperacja, o której [redacted] był ze mną Witos w cytowanej rozmowie z 11 czerwca. Panowie ci przyszli, rozmówili się z Witosem, ale nie uznali za stosowne poinformować mnie o treści swojej rozmowy. Nie było to postępowanie z ich strony poprawne; czy zaś było rozumne, śmiem także wątpić. Niedługo po tej rozmowie został wprawdzie jeden z nich wysokim dostojnikiem państwowym; kto wie jednak, czy dla niego samego nie byłoby lepiej, gdyby nie wszedł był na drogę tej „błyszczącej kariery", śmiem zaś twierdzić stanowczo, że dla ziemiaństwa w ostatecznym rezultacie lepiej by było, gdyby czołowi jego przedstawiciele „dogadali" się wtedy z czołowym przedstawicielem włościaństwa[1]).

Tak więc dobiegał do końca krótki *stage* mojego pobytu w pałacu prezydialnym. Do końca przetrwały doskonałe moje stosunki z szefem-premierem i jeżeli później zawistni menerzy konserwatyzmu krakowskiego w opinii szerokiej, nawet u własnej mojej rodziny, robili mi reputację warchoła, który żadnemu nie chce się poddać autorytetowi (*en l'espèce:* zmarłego hrabiego Skrzyńskiego), wskazać tu mogę na niezmącony stosunek mój z tym wyjątkowym chłopem, który tak dobrze rozumiał „konieczności państwowe".

---

[1]) Ani wspominać nie potrzebuję w stosunku do ówczesnej mojej akcji o przedstawicielach stronnictwa krakowskiej „Prawicy narodowej", którzy uznawali Witosa, ale pod warunkiem, że rozmawiać będą z nim wyłącznie sami.

Zdarzało mi się niejednokrotnie mówić z nim o wspólnych sprawach chłopsko-ziemiańskich. Pamiętam — razu pewnego pojechałem na niedzielę do Krakowa. W tamtejszym klubie spotkałem kilku przedstawicieli miejscowego ziemiaństwa, którzy mi zarzucili, że nie dosyć czujnie pilnuję zastrzeżonej tacito consensu linii kooperacji czy „nie-agresji" chłopsko-ziemiańskiej. Dowodem miał tu być ostatni numer „Piasta", mieszczący rzekomo ostrą napaść Witosa na ziemiaństwo, zresztą nie do nabycia tej niedzieli w Krakowie.

Kiedy nazajutrz rano przyjechałem do Warszawy, zgłosiłem się zaraz do premiera. Wracał on właśnie z inauguracji wystawy w Kępnie i w doskonałym był humorze. Zwróciłem mu uwagę, że moi krakowscy „obszarnicy" bardzo są niezadowoleni z ostatniego jego przemówienia na wiecu we Lwowie. „Cóż to w nim mogło panów tych tak dotknąć?" — zapytał mnie Witos trochę „z głupia frant". I zadzwonił na woźnego: „Proszę mi przynieść ostatni numer „Piasta". — Zobaczmyż więc! Aha! Pewnie o ten to chodzi ustęp: „Tak więc, kochani wyborcy moi, poza wszelkimi obciażeniami doby obecnej obarczeni jesteście jeszcze ciężką ojcowizną przeszłości szlacheckiej". W moją zaś stronę zwracając się, dodał rozbrajająco: „Nie masz pan pojęcia, jak się chłopy ucieszyły, gdy się dowiedziały, że są szlachcicami".

*

Jeden wszakże z tych dni spędzonych przy boku Witosa wynikał dla mnie pewnik, że nawet przy dobrej woli ze strony przywódcy masy chłopskiej (inaczej kto by mu kazał do boku swojego mnie powoływać) i przy maximum wysiłków indywidualnych z mojej strony — niczego się tutaj nie uzyska, jeżeli na poparcie tego rodzaju akcji nie zszereguje się tymczasem zwartego frontu ziemiańskiego, ożywionego nie tyle

niedościgłym już zapewne ideałem utrzymania nieuszczuplonej ojcowizny, ile jakąś wyższą ponadklasową ideą.

Pod tym kątem widzenia — trzymiesięczny pobyt mój w Pałacu Radziwiłłowskim nie był stracony. Fakt, że jako przedstawiciel jednej z grup zachowawczych powołany zostałem do boku premiera, podziałał niewątpliwie podniecająco na tendencje organizacyjne w łonie ziemiaństwa. Reszty dokonały wypadki październikowe i listopadowe: wybuch w cytadeli warszawskiej, dotychczas mimo sensacyjnych zeznań prasowych w dużej mierze nie wyjaśniony, jak również i rzeź krakowska ułanów, której nieobcą także była „ukryta ręka“ masonerii, zreflektowały na czas pewien biernych nawet i zaślepionych[1]).

*

Dwa lata następne[2]) wypełnione zostały dla mnie całkowicie organizacją „Stronnictwa Zachowawczego“. Były to lata ciężkich zmagań, nieustającej czujności, by

---

[1]) Zamach na cytadelę będzie z pewnością w niedalekiej już przyszłości tematem interesujących dociekań historycznych. Dużo by na niego światła rzucić mogły wspomnienia ówczesnego ministra spraw wojskowych, generała Szeptyckiego. Co do mnie, zarejestrowałem w swojej pamięci ciekawą tendencję usunięcia mnie z Warszawy na czas wybuchu. Dlaczego się tak działo, nie umiem sobie wytłumaczyć, faktem jest jednak, że przedłużono mi spontanicznie urlop spędzany w Krakowie, o którego przedłużenie wcale nie zabiegałem; osobnym mianowicie listem wysokiej figury ministerialnej zamówiony zostałem do Warszawy dopiero na następny dzień po zamachu, tak że o jego dokonaniu dowiedziałem się w drodze powrotnej. Chodziło prawdopodobnie o możność obserwacji bezpośrednich po zamachu, o których od naocznego świadka słyszałem, że mogły wypaść bardzo interesująco.

Co do udziału masonerii w zamachu listopadowym wystarczy wskazać chociażby tylko na słynną depeszę pochwalną mecenasa Lednickiego do jego sprawców.

[2]) Dymisję z Prezydium Rady Ministrów otrzymałem (na własną prośbę) 10 listopada, w cztery dni zatem po rebelii krakowskiej.

nie rozpadła się w gruzy ta z trudem wznoszona budowa, perfidnych i w końcu skutecznych podkopów pod nią ze strony potęg wrogich, którym nade wszystko na tym zależeć musiało, by się nie zwarły, nie spoiły, nie uzdolniły do czynu warstwy — piastunki tradycji oraz kultury.

Leży przede mną pokaźny, z górą 200-stronicowy „Biuletyn" „Stronnictwa Zachowawczego"[1]). Zawiera on — w okresie od listopada 1923 do sierpnia 1925 — roczniki konserwatyzmu polskiego. Byłem jego redaktorem, więc nie mnie sądzić, czy za te dwa brzemienne lata młodej naszej państwowości, lata, które poprzedziły przewrót majowy, spełnił on funkcję, którą w innych latach — niewoli i emigracji — spełniały „Roczniki Polskie" Kalinki i Klaczki.

Byłem redaktorem tych zeszytów, które mało kto dzisiaj zna, do których mało kto zagląda, ale które miały ambicję, by w latach chaosu i pomieszania pojęć reprezentować konserwatyzm czysty, bezkompromisowy, integralny.

Na rozwoju młodego stronnictwa zaważyły od razu dwa fakty, fakty przystąpienia do niego niemal in corpore dwóch „Związków Ziemian": krakowskiego i lwowskiego. W faktach tych leżała siła nowej organizacji, ale leżała także jej słabość: siła, bo siłą był jeszcze wtedy udział moralny i przede wszystkim materialny koło trzystu ziemian, właścicieli nieraz wielkich majątków; słabość, gdyż przewaga ziemian w nowej formacji, jakkolwiek mieli oni prawo się uważać za najbardziej powołanych przedstawicieli konserwatyzmu, paczyła nieraz cele zakreślane jej przez inicjatorów, a po drugie — gdyż rekrutowali się ci ziemianie w przeważającej większości z Małopolski, nadając tym samym nowej organizacji niepożądany charakter jednodzielnicowy.

---

[1]) Poprzednio wyszło jeszcze pięć numerów tego „Biuletynu" litografowanych.

Do dr po popr.
Str. 215 do superrewizji 5.6.39

Mankamenta te doznałyby zapewne wyrównania, gdyby pośród leaderów ówczesnego ziemiaństwa małopolskiego trafiały się talenta polityczne przynajmniej w takiej mierze, jak za dni Popielów i Tarnowskich. Niestety! było z tym jednak całkiem inaczej: w miejsce dawnej generacji, pełnej jeszcze na ogół kultury politycznej i żywej tradycji autonomicznej czy powstańczej, doszły tu do głosu żywioły politycznie świeże, świeże także pod względem afiliacji do masy szlacheckiej.

Oczywiście byłoby wszystko jedno, gdyby pośród tych ziemian przypływ nowej krwi wykazał był rezultaty dodatnie, bo wszak i pośród starej plejady polityków galicyjskich czy konserwatywnych szlachectwo nie było regułą ani obowiązkiem: nie byli szlachcicami Zyblikiewicz ani Klaczko; nie liczyli się do optymatów z rodu Kalinka ani Szujski, a przecież zasługi ich dla ruchu, dla teorii zwłaszcza konserwatywnej były niespożyte. W nowym jednakże uwarstwowieniu ziemiaństwa małopolskiego dawał się odczuwać brak „rogatych" szlachciców jak Popieł czy takich „oświeconych" magnatów jak Tarnowski.

Prezesem krakowskiego „Związku Ziemian" był podówczas Aleksander Dworski. Człowiek niewątpliwie zacny, dobrej woli, ogładzony, z urodzenia jednak i horyzontów Galicjanin, więc nazbyt się liczący z lokalnymi wielkościami wątpliwego wymiaru, nie dosyć zaś imponujący na zewnątrz, na innych, pozagalicyjskich terenach. Nie żywił Dworski skądinąd, przyznać mu to trzeba, wybujałej nieraz u wielu swoich kolegów ambicji politycznej, padał wszakże ofiarą tej nieznośnej wady szlacheckiej, o której tak trafnie w swoich „Doświadczeniach i rozmyślaniach" pisze Tarnowski: „Na moralnego i politycznego przywódcę wybieramy zwykle takiego (człowieka), który nas swoim rozumem i zdolnością nie przyćmiewa i nie przewyższa".

Dworski był o tyle światły i uczciwy, że czuł dobrze, iż na ciężkie dzisiejsze czasy, w których bardziej zapewne potrzeba charakterów niż rozumów, nie wystarczą chciwie dotąd czerpane recepty politycznych doktorów krakowskich (z „Prawicy Narodowej“), że konserwatyzm w zjednoczonej Polsce — o ile w ogóle ma przetrwać — winien zaczerpnąć również z kapitału doświadczeń i skłonności politycznych innych dzielnic. Pomagali mu wydobyć się z zaklętej orbity tych przeżytych już wpływów krakowskich inni ziemianie, wybitni nieraz w swoim zawodzie, jak np. śp. Jan Mycielski, niestety jednak cała ta ewolucja dokonywała się u nich wszystkich nazbyt połowicznie czy nieśmiało.

Nad dzielnicą tą bowiem, w znaczniejszej, niż w innych się to działo, mierze ciążył jeszcze ustrój jakby „klanowy“. Minęły już były czasy „szczęsnej“ autonomii galicyjskiej, w których de facto rządziło się krajem trybem niejako folwarcznym, kiedy Potoccy, Sanguszkowie, Tarnowscy i Lubomirscy na zachodzie i w centrum, a Badeniowie, Sapiehowie, Gołuchowscy *e tutti quanti* na wschodzie kraju nadawali ton, wiele zresztą nieraz w zakresie władzy swojej robiąc dobrego. Dziś — jakby cięciem miecza wojennego — przerwany został z dnia na dzień ten stan czy „błogostan“ rzeczy i — po większej części — sprawdziło się na tej oligarchii powiedzenie starego Chateaubrianda: „*L'aristocratie a trois âge successifs. Le premier, l'âge des supériorités; le second, l'âge des privilèges; le troisième, l'âge des vanités; — sortie du premier, elle degenère dans le second et s' éteint dans le troisième*“.

Z dokonaną tak w obrębie własnej choćby dzielnicy wielką przemianą liczyć się nie chciał ten neokonserwatyzm krakowski typu Dworskiego i Ski. Z pięknego przywiązania do ziemi płynęły dlań wskazania sprzeciwiające się „reformie rolnej“, ale bojować o nie zamyślał dalej w oparciu o przebrzmiałą już konstruk-

cję stanowo-galicyjską: czuł się w gruncie rzeczy bliższy krakowskiej „Prawicy“ — pomimo niezbyt wielkiej ufności do „leaderujących“ jej profesorów — ponieważ przewodził jej szyldowo ziemianin-latyfundzista, hrabia Zdzisław Tarnowski, niż zdrowszym nawet elementom pośród „narodowej demokracji“, na której szczytach nie widział firmowych ziemian, a której słusznie miał do wyrzucenia różne niewczesne „grabszczyzny“.

Na czym wszakże warstwie tej zbywało najwięcej, to na szerzej pojętej i niegdyś tak w Krakowie zwłaszcza żywej kulturze politycznej. Dość wziąć do ręki pamiętniki jednego ze starokoserwatystów krakowskich, Popiela czy Tarnowskiego, by odczuć, czym bywał w pierwszej połowie XIX wieku możniejszy lub mniej chociażby możny dwór szlachecki, jak ta piękna np. rezydencja w Kurozwękach, gdzie w długie wieczory czytywano: to „Jerozolimę wyyolona“ w tłumaczeniu Kochanowskiego, to „Dworzanina“, to Jana Kochanowskiego“[1]) lub niedaleki od niej pałac w Dzikowie.

Od kultury literackiej do kultury politycznej krok niedaleki: młody Tarnowski, powróciwszy z ołomunieckiej kazamaty, sięgał w bibliotece ojcowskiej po tom Modrzewskiego „De emendanda republica“ i z lektury jego wysnuwał pierwsze fragmenta swoich „Pisarzy politycznych“, zanim sam się nie stał pisarzem politycznym najprzedniejszej miary i nie stworzył — w luźnych studiach i pamfletach — cennego kompendium „skutecznych sposobów“ ku „naprawie Rzeczypospolitej“.

Ale inne to były czasy, kiedy po szlacheckich i magnackich dworach takie się rodziły i kształciły publicysty i profesory: *l'ère des privilèges* (wedle znanego wyrażenia Chateaubrianda) wyjałowiła, odduchowiła polską *gentry:* na jej szczytach szlachetna pasja łowiecka, za przykładem austriackich jej komilitonów, rozrosła się była ponad zwykłą miarę; trofea myśliwskie

[1]) Popiel, „Pamiętniki“, str. 103.

odnogami swoimi przycieniły jak gdyby wszelką inną „senatorską wspaniałość"[1]). Ale i na nizinach nie bywało lepiej; tam, jeśli nie panował wszechwładnie, to nierzadkim bywał typ, wykrojony jakby ze satyry Rodocia, wyznający po prostu:

„Nie, nie czytam i kwita,
Powiedz mi sąsiad: po co?
Na diabła mi czytanie!
Tylko łeb mi, mój panie,
Te piśmidła klekocą.
Ja zresztą z książką w łapie
Za kilka minut chrapię..."

Rwał się więc wskutek tej „niehramotności" odwieczny związek warstw naszych wyższych z Zachodem, słabo tylko zażywiany wyprawami rozrywkowymi do stolic zaborczych, do Paryża, do „Monte", w przejeździe na odległe wyprawy myśliwskie. Ale — co gorsza — rwał się ten kontakt z rzeczywistością europejską także i wskutek tego, że współczesny Sarmata, absorbowany zresztą więcej teraz u siebie w domu, niż w poprzedniej erze „niepróżnującego próżnowania", stronił na dobre i od własnych stolic czy ośrodków, wpadał tam najczęściej „jak po ogień", nie zaś jak po światło, czując się tutaj w dobie raptownych przemian demokratycznych gorzej niż we własnych pieleszach. Mogła ta abstynencja mieć i strony dodatnie w porównaniu do czasów zaborczych, gdy Warszawa czy Kielce, Lwów czy kontrakty kijowskie dawały pole do popisów rozrzutnego nieraz „bałagulstwa", ale w tej ewolucji nowoczesnego Polaka tkwiła także groźba, że „bez nas" stanowić się będzie „na nas", zwłaszcza kiedy sprawę publiczną zlecimy niepowołanym do niej najczęściej „faktorom".

---

1) Por. Steed: „Through thirty years" w tłum. francuskim.

Jak to sto lat temu opisywał Henryk Rzewuski podobne nastroje ziemiańskie w „Kazaniu księdza Marka"[1])?

„Wszyscy pragną rządu, a żaden z poczciwszych rządzić nie chce... rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjąć. Pod różnymi postaciami do wszystkich naszych panów udawałem się: zawsze ta sama odpowiedź. Przebrydle domatorstwo, nałogowe lenistwo! Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego; błagałem, mówiłem: „Jedź do Warszawy, zajmij się rządem! Cała Litwa twoja. Ratuj ojczyznę..." Aż płakał, tak się rozczulił: „Ja z torbą pójdę, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała". „Ale to nie idzie o ofiary z majątku lub narażania życia, ale siedź w Warszawie i zajmij się rządem!" Oto wiesz, com wycisnał na koniec? — „Panie kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Michał Rejten w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije!" Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan wielki i chętnie większą część majątku dla ojczyzny by oddał; ale „uczciwszy uszy, jakże to siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł wymykać się od żony, ażeby po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szorstynie, kiedy pani wojewodzina, siedząc w Krystynopolu, myśli, że mąż gospodarstwem się trudni". Byłem u Sapiehy, kanclerza: „Nie może" (Kocha ojczyznę, ale rządząc nie może mieć procesów, a jakże żyć bez konferencjów prawie codziennych z jurystami?). — A pan Mniszech, marszałek w. korony, kocha ojczyznę, ale bała bała, jak zasiądę się w Warszawie, dyspozytory zapomną gospodarstwa, kiedy ja nie będę ich na sesji w Dukli uczyć". A pan krakowski? „Tego to, Panie Boże jedyny, niech no się obmuruję w Białymstoku, to o ojczyźnie pomyślę". A książę Sanguszko, wojewoda wołyński? — „Mopanie, ja będę siedział w Warszawie, a stado moje sparszywieje?"

*

Właściwy żywot nowego stronnictwa zaczął się w końcu listopada 1923 r. Wtedy bowiem zorganizowany został pierwszy pełny jego zarząd. Prezesem został Dworski, stwarzając tak w osobie swojej unię personalną pomiędzy stronnictwem a zachodnio-małopolskim „Związkiem Ziemian". Plater i Klecki zostali wi-

---

[1]) „Pamiątki Seweryna Soplicy".

ceprezesami; przez osobę Kleckiego nawiązać pragnęliśmy bliższy kontakt także z „inteligencją“ małopolską.

Zresztą w zarządzie — i to znowu była jego słabość — mało było „firm“ społecznych, a nawet politycznych. Był nią niewątpliwie sędziwy pan Artur Zaremba-Cielecki, zasłużony działacz społeczny, honorowy prezes galicyjskich „Kółek rolniczych“. Cielecki należał do tych konserwatystów, o których powiada Lisicki, że „gdy raz położą sobie fundament i zakreślą ramy“, odtąd „na tym fundamencie stoją i tych ram nie przekraczają“. Potomek rodziny wojskowej, obdarzony niepospolitym temperamentem, nie był śp. Artur nadto popularny pośród krakowskich „rabinów“ politycznych nowej szkoły, którym prawd w oczy prawić się nie wahał. Był kresowcem z wszystkimi pięknymi, dodatnimi cechami tego typu. Przystał od razu do nas, niosąc nam hojną dłonią najcenniejszy wtedy dla nas ze skarbów: autorytet patriarchy.

Pierwsze to walne zebranie krakowskie, odbywające się pod bezpośrednim wrażeniem mordu „nieodżałowanej pamięci rotmistrza Lucjana Bochenka, podpor. Mieczysława Zagórowskiego i żołnierzy, padłych bohatersko w obronie państwowego ładu“, stwierdzało w rezolucji swojej, że „jest zadaniem wszystkich żywiołów szczerze narodowych i otwarcie zachowawczych przeciwstawiać się z większą, niż dotychczas, odwagą i konsekwencją próbom wywołania zamętu i przewrotu...“

W myśl słów ostatnich rzeczonej rezolucji przystąpili też „leaderzy“ właściwi S. Z. (tak brzmiał oficjalny skrót nowego stronnictwa) do przeciwstawiania się „z większą, niż dotychczas, odwagą i konsekwencją, próbom wywołania zamętu i przewrotu“. Następny więc zaraz „Biuletyn“ (grudniowy) przyniósł „bojowe“ akcenty Platera w postaci jednego z najlepszych artykułów, jakie w swoim życiu napisał, ataku *à fond* przeciwko profesorowi Askenazemu jako politykowi. Gorzej jednak było z reakcją na „zasadnicze“ artykuły

pisma: w zetknięciu z naszymi piórami (Platera i moim) zaczęła się bowiem od razu załamywać linia większości naszych komilitonów ziemiańskich.

Zawrzało zaś formalnie w kociołku krakowskim, gdy podążył z odsieczą naszym usiłowaniom tak znienawidzony wtedy w rodzinnym swoim mieście Adolf Nowaczyński. Ani Plater, ani ja nie widzieliśmy bowiem racji, aby nie przedrukować w naszym „Biuletynie" (w „Głosach prasy") gwałtownych jego inwektyw:

„Wreszcie! Wreszcie! Tylko czy to znów nie na papierze tylko pozostanie? Czy dacie sobie radę? Bo przecież próby już były! Czy uda wam się czegoś dokazać? Broel-Plater piękne nazwisko i chlubnie w dziejach zapisane... Może się wreszcie uda. Tylko musicie się, panowie, wziąć ostro do camorry Enkainitów, do tych rojowisk mechesowskich w „Czasie", do tej familii meteczkiej, co „Czas" obsiadła od 30 lat, musicie poprzepędzać tych... zaropiałych w Krakowie belfrów i bakałarzy, przemądrzałych od niemieckich miesięczników, te patetyczne, zapoznane miernoty jurystyczne... i tych pańskich dziadów i dziadowskich panów... Stwórzcie bojówkę tradycjonalistyczną, kamelotów odporu, trzydziestu młodych ludzi dobrej rasy, sportsmenów, bokserów, którzy tym „czasownikom" napędzą kilka funtów strachu. Zboksować tych jubilatów raz potężnie, a zejdą ze sceny... (W Krakowie) jest dużo anglomanów. Oni chyba zrozumieją wartość angielskich cytat: *„Better a witty fool than a foolish tory"*[1]).

*

Był to kaliber za mocny na „osiadłe" temperamenty ziemiańskie, z którymi nie kwadrował zgoła daudetowski styl „Pamfletów" Nowaczyńskiego, jak im nie

---

[1]) „Myśl Narodowa", nr. 49 (1923). Aluzja o „anglomanach" odnosiła się zapewne do artykułu „Czasu" z dnia 5 lutego 1922, który brmiał jak następuje:

„Ziemianie nasi mają zawsze jeszcze słabość do Anglii. Niechby ją naśladowali! Nie ma tygodnia, żeby jakiś lord angielski nie

dogadzała niegdyś poważniejsza proza „Teki Stańczyka“ czy „Porcji“. Tamten Tarnowski Stanisław wszedł był już do Panteonu przeszłości, ale żył Tarnowski Zdzisław (człowiek najlepszej zresztą wiary i woli), był prezesem atakowanej przez nas „Prawicy Narodowej“, a jeśli trzeci Tarnowski — Hieronim szedł z nami lojalnie i nieugięcie, to wspólnie z nim, w zarządzie S. Z., zasiadali inni, również powiązani węzłami rodzinnymi z cytadelą przeciwnika, bardziej zaś liczący się z przynależnością swoją do rodzinnego „klanu“ członkowie.

Bez względu na te tarcia wzrastały szeregi naszych członków i to nie tylko — ilościowo — na samymże terenie zachodnio-galicyjskim, do czego skłaniała ich dyrektywa „Związku Ziemian“ (i gdzie m. i. przystąpiła do nas sędziwa córka patriarchy konserwatyzmu, Popiela), ale dzięki cennym akcesom i na innych terenach. I tak w tym okresie udało nam się pozyskać na członków dwóch wybitnych ziemian, mieszkających częściowo w Warszawie, a to tyle zasłużonego dla kultury polskiej ordynata Edwarda hr. Krasińskiego, jak również powinowatego jego i spadkobiercę równie świetnego, jak on, nazwiska, prezesa wołyńskiego „Związku Ziemian“, Stanisława hr. Czackiego — obu konserwatystów twardych i bezkompromisowych, którzy obaj wytrwali przy nas u s q u e a d f i n e m.

Ale sukces największy czekał nas na terenie lwowskim. 10 marca 1924 r. odbyło się tam zebranie inauguracyjne Koła lwowskiego S. Z. Pamiętam tę ciemną,

mówił na publicznym zgromadzeniu, a prasa całego kontynentu nie powtarzała jego wywodów. Czyżby nie było możliwym, iżby i u nas wystąpił publicznie jakiś polski lord Doddery (= ramol, trotel), Oldbore (= stary nudziarz) lub Buttonholer (= ten, co trzymając za guzik, wierci dziurę w brzuchu), albo jakiś reprezentant z tak rozgałęzionego w Polsce, a tak czysto polskiego rodu Gingerbread'ów (pierników), Willy Nilly'ów (= pierdołów) lub Dilly Dally'ów (= gap).

duszną, po brzegi natłoczoną salę rady powiatowej lwowskiej przy ulicy Mochnackiego i nie bez dumy wspominam uroczystą chwilę, w której inicjatywie kilku „dynamiczniejszych“ jednostek (do których w tej pracy organizacyjnej zaliczyć winienem primo loco prezesa Dworskiego) udało się sprowadzić do wspólnego mianownika wszystko nieomal, co w zawierusze wojennej przetrwało było jeszcze ze świetnej bądź co bądź autonomiczno-galicyjskiej „ekipy rządzącej“. Z dumą patrzałem na tę salę, do której na zew Platera, mój i Dworskiego stawili się chętnie żyjący w tym mieście weterani pobliskiej sali sejmowej. Widziałem pośród nich wytworną sylwetę Leona Pinińskiego, wielkorządcy i mecenasa, profesora i dyletanta; widziałem postać ostatniego marszałka tej sali sejmowej, Stanisława Niezabitowskiego, i imponujący „masyw“ śp. Stanisława Starzyńskiego, prezesa naszego nowego tutejszego koła. Nie przybył najstarszy z nich, Dawid Abrahamowicz, ale zgłosił do nas akces w osobnym liście odczytanym na zgromadzeniu, w którym akcję naszą nazwał „akcją dziś najważniejszą dla utrwalenia bytu i rozwoju państwa polskiego“[1]).

Właściwego inicjatora S. Z., Platera, nie było na tym zebraniu lwowskim, gdyż wtedy już poczynała nurtować w nim choroba śmiertelna, która go zabrać miała w trzy lata później. Na mnie zatem i na Hieronimie Tarnowskim spoczęło zadanie wyłożenia obecnym ideologicznych założeń stronnictwa.

Do nich zaś przywiązywaliśmy my, jego inicjatorowie, najwyższą wagę. Ileż razy zarzucano nam — ze strony komilitonów naszych ziemiańskich — że nie traktujemy polityki realnie. My zaś, nie zrażając

---

[1]) Niechaj mi wolno będzie wspomnieć tu jeszcze z najżywszą wdzięcznością żyjącego po dziś dzień sędziwego, a wiecznie młodego p. Adolfa Cieńskiego, który również, jak jego rówieśnik śp. Cielecki, był pionierem zabiegów naszych na gruncie lwowskim.

się tego rodzaju zarzutami i współdziałając z popierającymi nas „związkami ziemian" w ich akcji przeciwko radykalnej „reformie rolnej" (Plater na terenie warszawskiej „Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich"; Tarnowski i ja na terenie komisji politycznej krakowskiego „Związku Ziemian"), wskazywaliśmy — sądzę, że nie bez racji — braciom-ziemianom, iż nie wystarczy zmagać się z przeciwnikiem na jawnych jego przedpolach, ale że go tępić należy koniecznie i w tajnych jego schronach, *l'attaquer* — jak mówi Francuz — *à ses oeuvres vives*. To było dla nas jasne już wtedy, a nie dopiero „po szkodzie", kiedy na przykładzie [illegible] (w r. 1936) wykazało się dobitnie, jakie to siły tajne zażywiają akcję antyziemiańską.

*

Zaczynaliśmy zaś rewizję naszą — od przyjaciół.

„Co... nas, zachowawców — pisał Plater w „Biuletynie" za styczeń-luty 1924 — najbardziej razi i co nas, mimo całego uznania dla jej nowoczesnego, prawdziwie europejskiego programu w dziedzinie ogólnej polityki państwowej od narodowej demokracji i zbliżonych do niej formacji politycznych dzieli, to ta znana nam dobrze i w niejednej wypróbowana okoliczności konspiracyjność szwajcarskiego typu. Szwajcarskiego — powiedzmy — gdyż jest nam wszakże wiadomo, że to na rapperswilsko-genewskim pniu wyrosły pierwsze narodowo-demokratyczne latorośle, w atmosferze karbonariuszowskich przysiąg i mazzinistycznego wolnomyślicielstwa. Posiew trafił na grunt dusz szlachetnych i mądrych, jak Popławski, Balicki, Lutosławski, realistów, jak Dmowski. Ale ta „Liga Polska", która niewątpliwe też usługi oddała polskości, wlokła za sobą śladem pasma dziejowego, niby ciężki balast, właśnie swoją konspiracyjność, sprawiającą, że w tajnych kuluarach sprzysiężenia zbyt często wpływ się przesuwał z rąk partyjnością skrępowanych statystów w ręce kreatur wysoko postawionych w hierarchii. Skutkiem tego waliły się na kraj i partie klęski i partia ta, która w kadrach swoich jednoczyła czasem większość tego, co

istotnie w Polsce jest z rdzennie narodowych soków, tak że niejednokrotnie śmiała się utożsamiać z narodem — przez osobliwy paradoks, jakby bez realnej przyczyny, a tylko mocą wewnętrznych rozpęknień — przegrywała sprawę i stawała się tarczą słusznych pocisków z tej strony, która w narodzie reprezentuje to co najmniej jest narodowego. Konspiracja, jak każda rzecz ludzka, miała pozornie i dobre swoje strony. Nie zapomni ten, kto wojnę na emigracji przeżył, źródła podniosłych patriotycznych wzruszeń, jakie czerpał w chwili, gdy waliły się armie, pierzchały nadzieje, a tu, od Moskwy i Murmanu, spod najcięższego pruskiego ucisku, z zoportunizowanej Galicji i ze świetlanego Paryża zbiegali się „węzłem konfederacji" związani narodowcy, krzepiąc się nawzajem, umacniając słabych a wątpiących, śląc emisariuszy do kraju. Nie zapomni, jak „mdłe panienki", nie ze sztyletem już w ręce na zaborcę, ale z opanowanym pamięciowo stosem dokumentów, deklaracji, protokółów, informacji, z narażeniem życia, mienia i spokoju najbliższych, pod pozorem choroby i kuracji przekraczały neutralną granicę, aby nieść ziomkom kordiały wytrwania. Nie zapomni szlachetnych a tyle zwalczanych postaci Aleksandra Skarbka, Mariana Lutosławskiego i wielu innych. Ale zarazem zada sobie pytanie, czy ta konspiracja — logiczna, jeśli nie konieczna w czasach niewoli, gdy w grze było zjednoczenie i niepodległość, nie szkodzi więcej, jak pomaga w dniach państwowości, gdy w grze jest nadal co prawda całość i nietykalność granic, ale gdzie ta konspiracja, w ostatnim choćby pięcioleciu, okazywała się oczom zdumionym i gubiącym się w mrokach owym „granatem, co pęka we własnych szeregach", o którym tak wymownie pisał Klaczko..."[1]).

Natychmiast z Platerem przystąpiliśmy do generalnej ofensywy przeciwko żywiołom wywrotowym. Rozdzieliliśmy przy tym pomiędzy siebie role: Plater objął w „Biuletynie" naszym stały referat polityczny, ja zaś podjąłem się wykazywać wpływy Loży na odcinku zwłaszcza kulturalnym. W dwóch sążnistych artyku-

[1]) Por. „O konspiracjach", artykuł Adama Doboszyńskiego w „Prosto z mostu" z 12 i 13 marca 1939 r.

łach: „Arcana imperii"[1]) i „Arcana imperii... litterarum"[2]), na kilkunastu bitych, dwuszpaltowych stronicach starałem się zebrać w możliwym komplecie informacje, jakich dostarczyło mi doświadczenie powojenne w zakresie masonerii i pomocniczych jej organów — był to niejako mój *maiden-speech* na tematy, które z czasem wypełnić miały całą niemal produkcję moją literacką i zasadnicze wycisnąć piętno na życiu moim i indywidualności.

*

Ten atak *à fond*, frontowy i usiłujący — w myśl haseł programowej naszej rezolucji — „przeciwstawiać się z większą, niż dotychczas, odwagą i konsekwencją próbom wywołania zamętu i przewrotu", musiał sprowadzić po przeciwnej stronie wyraźną reakcję. Doszły nd słuchy np., że zwalczany przez nas z usilną bezwzględnością marszałek Rataj wyraził się o naszym „Biuletynie", że „mała tapchła, ale niezmiernie dokuczliwa"; inny lewicowiec, dyplomata, kolega mój z M.S.Z., twierdził o nas, że jesteśmy jedynymi w Polsce, którzy pozwalamy sobie na zupełnie samodzielną politykę; ruszył nareszcie do kontrataku przeciwko nam i samże symbol powojennej demagogii, samaż antyteza zachowawczości, Jędrzej Moraczewski, z artykułem pt. „Zachowawtzen"[3]).

Nie sądzę, aby ten artykuł miał być oryginalnym płodem pióra byłego premiera. Sądzę raczej, że on mu użyczył swojej firmy, artykuł zaś sam napisany został przez jakiegoś „Robotnikowego" lub nie-„Robotnikowego" żydka zdenerwowanego świeżym naszym atakiem

[1]) „Biuletyn Stronnictwa Zachowawczego", II, 3—4,12—19.

[2]) Tamże, II, 7—10, 15—22: por. także „Konserwatyzm nowoczesny i jego uzasadnienie tamże, II, 11—12, 6—11 i niektóre artykuły „Pro fide, rege et lege".

[3]) W „Robotniku" z 26 i 27 marca 1925.

na „Wiadomości Literackie". Artykuł, będący właściwie satyrą na styl „Biuletynu" czy raczej mój własny, upstrzony był tylko — dla niepoznaki — kilkoma „obsceniami" i kilku kłamstwami w zwykłym stylu p. Moraczewskiego, jako to insynuacja, że Plater uczestniczyć miał swojego czasu w uroczystości odsłonięcia wileńskiego pomnika Katarzyny, lub twierdzeniem, że ja sam wyznawałem podczas wojny orientację austriacką. Kończył się zaś artykuł pół żartem, pół serio apostrofą do ministra spraw wewnętrznych: „Panie ministrze!... nie pozwól drukować Biuletynu S. Z.!"

Nie te jednak ataki były groźne dla spoistości i egzystencji rzeczonego stronnictwa. Niebezpieczeństwa tkwiły wewnątrz niego, ogniskowały się zaś przede wszystkim w grupie jego lwowskiej. Od „przybytku" tego — powiedzieć to trzeba wyraźnie — „boleć" musiała nieraz „głowa" „leaderów" naszej organizacji. Lwowianie bowiem nie wnieśli do niej ze sobą żadnych nowych „świateł" teoretycznych; dawni ich przywódcy, postarzawszy się, trzymali się raczej z daleka od „rzeczywistej rzeczywistości"; młodsze zaś temperamenty z punktu grawitować poczęły taktycznie do miejscowej grupy „Chaenów" (tj. „Chrześcijańsko-narodowych"), wpływając tym stanowiskiem na luźny tylko utrzymujących z nami kontakt ziemian poznańskich i wzajemnie ze strony swojej podlegając ich oddziaływaniu.

Dwa te zatem lata 1924—1925, zamiast być dla S. Z. śmielszym a samodzielnym rozwinięciem skrzydeł do lotu, wypełnione zostały nieomal w całości walką o tzw. „fuzję". Przywódcom ziemiaństwa — Dworskiemu na ich czele — przyświecała bowiem złudna koncepcja, że o ile się uda, mechanicznie chociażby, połączyć maximum elementów ziemiańskich pod wspólną etykietą partyjną, osiągnie się ipso facto konkretny cel polityczny. Nie mieli zaś przy tym na uwadze, że forsowana przez nich „fuzja" nie była w rzeczy samej konsolidacją istotnie konserwatywną, ale niebacznym i nie-

wczesnym podporządkowywaniem się obcym sobie i w rezultacie zawodnym zgoła celom.

Grupa ta bowiem, która rywalizowała wtedy z nami o wpływy na „duszę" ziemiaństwa, to nie była grupa konserwatywna. Obfitowała ona w talenty i temperamenty — „leaderem" jej efektywnym był profesor Stroński, czołowy i bojowy antagonista Piłsudskiego; nominalnym — profesor Dubanowicz, firmant konstytucji marcowej; dalszymi „asami" — profesorowie Dą- ~~browski i Kasznica, dalszymi „asami" — profesorowie~~ browski i Kasznica... Wyobrażała ten świat, który „zawalić" sie miał pod ciosami Piłsudskiego i z tym światem wcielonym w wymienionych polityków sprzymierzyć sie teraz postanowili późniejsi zelanci ziemiańscy Marszałka[1].

*

Ale nim to nastąpiło, pozostawała nam do wygrania jedna jeszcze karta, pozornie nie pasujaca do gry politycznej Dubanowiczów i Strońskich. Kartą tą był — król. Wizja jego roiła sie snadź już po głowach starych „Stańczyków", skoro jeden z nich, Stanisław Koźmian, krótko przed śmiercią wyznawał, co następuje: „Dożyliśmy czasów, w których ludzie wyprawiają, zwłaszcza u nas, cudactwa, ale Bóg sprawia cuda... Na dalszą metę zachowawcze stronnictwo nie może mieć innego programu, jak tylko monarchiczny"[2].

Nie sami wszakże konserwatyści (i bynajmniej nie wszyscy) podjęli teraz sztandar monarchistyczny. Podnosił go skądinąd otwarcie i śmiało sędziwy biolog, profesor Szymon Dzierzgowski[3], zbliżony politycznie do

[1] Nie mogło nas — antykonspiratorów par excellence — usposabiać przychylnie dla zamierzonej „fuzji" przekonanie wystarczająco umotywowane, że wpływały na nią przemożnie czynniki tajne pod maską tzw. „Rycerzy prawa".

[2] „Czas" z 2 stycznia 1922.

[3] „Demokracja a monarchia", Warszawa 1925.

narodowej demokracji; podnosił kolejno cały szereg innych działaczy, starszych i młodszych, cywilnych i wojskowych, których zabarwienie polityczne wszelkie wykazywało odcienie: od „regencyjnych" kolorów okupacyjnego aktywizmu do szkarłatnej czerwieni ewoluującego „Wyzwolenia".

Nie pozostaliśmy za tą ewolucją w tyle: w myśl wspomnianej tradycji „stańczykowskiej" ujął ten sztandar latem już 1924 r. w ręce bezpośredni jej spadkobierca Hieronim Tarnowski, w rok zaś potem (we wrześniu 1925 r.) w znakomitym studium pt. „Legitymizm a cezaryzm"[1]) wyłożył odrębny nasz pogląd na zagadnienie monarchistyczne, odcinając nas zarazem od możliwych a ryzykownych w tym zakresie eksperymentów.

Po krótkim wstępie, poświęconym teoretycznym i historycznym źródłom władzy monarszej, wywodowi jej zatem z łaski Boga, który — wedle doktryny chrześcijańskiej — „przelewa część swojej władzy na człowieka lub ludzi na to, by strzegli oni prawa Bożego na ziemi i wykonywali to prawo", i ludzkiemu jej rodowodowi „od władzy ojca rodziny począwszy poprzez władze patriarchy rodu, szefa klanu czy plemienia, naczelnika szczepu aż do władzy królewskiej w zorganizowanym już narodzie" i po ustaleniu różnic zasadniczych pomiędzy legitymistyczną ewolucją z Bożej łaski a cezarystycznym uzurpatorstwem, wywodzącym się z przewrotu rewolucyjnego, stwierdzał Tarnowski, co następuje:

„Cezaryzm nie może... wspierać swoich podstaw na przeszłości i na tradycyjnych instytucjach narodu, bo powstał z tego, co jest tej przeszłości i tej tradycji wrogim, i wie, że wszystko, co z nimi prawdziwy ma związek, musi być względem niego wrogie. Dlatego instytucje w mowie będące albo usuwa, albo jeżeli je zacho-

[1]) „Biuletyn Stronnictwa Zachowawczego", II, nr 11—12, str. 25—8.

wuje, to zachowuje jedynie ich nazwę, zmieniając ich istotę, ograniczając ich zakres działania, starając się je zniekształcić i pozbawić wpływu. Tak cezarowie rzymscy spodlali rzymski senat, a „comitia“ ludowe stawały się pod ich władzą zbiegowiskiem hołoty, której jedynym ideałem bylo uzyskać panem et circensem.

Zamiast hierarchii, łączącej władzę z poddanymi, wprowadza cezaryzm biurokrację, co niby chiński mur oddziela rządzonych od rządzących. Parlamentaryzm jest również jego wrogiem, bo z tego parlamentu przecie mogłaby także przemówić tradycja i wola narodu, a on wbrew tej tradycji i bez, a czasem nawet przeciwko tej woli, zagarnął władzę naczelną. Więc w stosunku do parlamentu stosuje cezaryzm zasadę „divide et impera“, wygrywa stronnictwo przeciwko stronnictwu, wyzyskując słabe strony charakteru ich przywódców, obniża tak powagę życia parlamentarnego i doprowadza przedstawicielstwo narodowe do jałowych walk lub politycznego marazmu. A rządzi poza parlamentem: „drogą administracyjną“, „funduszem dyspozycyjnym“ i „ochraną“...

Czując... brak prawowitości swojej własnej władzy, obawia się cezaryzm samopoczucia i sumienia narodowego i dlatego nie tylko nie pragnie podniesienia się moralnego poziomu społeczeństwa, ale wręcz przeciwnie. Również każda wybitniejsza jednostka staje się w jego pojęciu jego wrogiem, gdyż obawia się w niej najczęściej możliwego konkurenta. Stąd rządy miernot lub niskich charakterów, jak rządy wyzwoleńcze w Rzymie Cezarów — a społeczeństwo ujęte w jeden szablon, poddane jednemu strychulcowi: „motłoch i cezar, oto jest Rzym cały“ ...Władza... rewolucyjna... traktuje... rząd i społeczeństwo jako dwa zupełnie sobie obce, a czasem nawet wrogie czynniki. W jej pojęciu — z jednej strony stoja rządzący, z drugiej zaś rządzeni; z jednej strony fiskus, z drugiej podatnik; z jednej urzędnik, z drugiej społeczeństwo...

W Polsce daje się w ostatnich czasach odczuwać pragnienie monarchistycznej formy rządu... Pragnienie zdrowych, lecz niestety luźnych, nie połączonych ze sobą w ideową całość elementów w narodzie wyzyskać mogą jednostki, którym nie o dobro narodu, lecz o własne chodzi wyniesienie. W czasach wielkich

Do dr po popr.
Str. 263
do superrewizji

przewrotów światowych nie zbrakło nigdy takich jednostek — nie brak ich więc pewnie dziś u nas. Jednostkom zaś takim dostaje zwykle sprytu, energii i bezwzględności, a popleczników swoich umieją oni skupiać w konspiracyjnie zorganizowane zespoły i prowadzić za ich pomocą bardzo skuteczną propagandę. Toteż tego rodzaju jednostki łacno mogą skorzystać ze zdrowego a odruchowego dążenia do monarchii w Polsce i pokusić się o władzę królewską w Polsce — na początek może o dyktatorską — czy to może za pomocą zamachu stanu, czy też odpowiednio przedtem przez zręczną agitację przygotowanego plebiscytu. To byłby cezaryzm w Polsce".

*

Lecz i ta karta „królewska" wytrącona została nam z ręki. W końcu bowiem lutego 1926 r. miało współzawodniczące z nami stronnictwo „Chrześcijańsko-narodowe" — w ostrożny co prawda sposób: „w miarę jak wzmogą się rzeczywiste warunki i ujawniające się usposobienie społeczeństwa w tym kierunku" — wysunąć w uchwałach swoich przywrócenie „dziedzicznej władzy królewskiej". To — ze strony niedawnych republikanów spod znaku frankofilskiej „Rzeczypospolitej" — była wyraźna koncesja na rzecz nowych swoich aliantów ziemiańskich, uczyniona im *in articulo mortis*: śmierci naszej jako odrębnego czynnika politycznego.

Zgon zaś ten nastąpił już wcześniej, 3 bowiem lutego 1926 r. Jak zwykle w wypadkach przewlekłej choroby, poprzedziły go bezskuteczne zresztą zabiegi ratownicze. Bezskuteczne być one musiały, bo w kulisach przygotowywał się już intensywnie przewrót majowy, dojrzewał nowy cezaryzm polski, a usłużni „kingmakerzy" — w samymże łonie ziemiaństwa — torowali zawczasu ścieżki nowemu swojemu elektowi. Okazało się raz więcej — jak i w uprzednim wypadku z Sikorskim — że pomimo postępującego demokraty-

zowania się Polski żaden premier i żaden przewrót nie zdołają ruszyć z miejsca, jeżeli nie zapewnią sobie poparcia najoświeceńszej, jeśli już nie najzamożniejszej, warstwy narodu, że nie wystarczy nowemu cezarowi aklamacja legionów, ale żądnym on będzie moralnego senatus consultum potomków hetmańskich i kanclerskich.

Roku więc przewrotu majowego, na trzy zaledwie miesiące przed jego wybuchem, zebraliśmy się w sali Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie. W oprawie pięknych fresków Wyspiańskiego odbywał się ten ponury pogrzeb wskrzeszonej na krótko idei zachowawczej. Że to był pogrzeb, czuli dobrze chyba wszyscy, a nie najsłabiej — nieżyjący już dzisiaj rektor Starzyński, inicjator „fuzji", ale nazbyt zrośnięty półwiekową nieomal działalnością swoją parlamentarną z konserwatyzmem starego typu, by nie czuć, że przykłada ręki do kompromisu, co ukazać się w końcu miał kompromitacją[1]).

Zabrał głos Hieronim Tarnowski[2]):

„Założyciele „Stronnictwa Zachowawczego" — brzmiały zasadnicze jego wywody — jedynej we współczesnej Polsce placówki czystej myśli konserwatywnej, stojąc wobec ewentualnej likwidacji stronnictwa, oświadczają, że projektowana na znanych warunkach fuzja ze stronnictwem „Chrześcijańsko-narodowym" nie doprowadzi, zdaniem ich, do istotnej konsolidacji ziemiaństwa, a dla idei zachowawczej będzie wprost zgubną. Założyciele S. Z. stwierdzają dalej, że większość członków Koła krakowskiego na zebraniu w dniu 7 z. m. jako też jednomyślne uchwały zarządów Kół: krakowskiego i warszawskiego w dniach 23 z. m. i 2 b. m. dały wyraz temu samemu, co i oni, przeko-

[1]) Istotnie, po przewrocie nawrócił śp. Starzyński do czysto konserwatywnych zasad, broniąc wytrwale zachwianej praworządności w państwie.

[2]) Plater na zebraniu tym był nieobecny, chorując wtedy w Rzymie.

naniu, że zatem byliby oni uprawnieni prowadzić w dalszym ciągu walkę przeciwko zamierzonemu zlaniu się S. Z. ze stronnictwem Ch. N.

Z drugiej wszakże strony zdają sobie założyciele S. Z. sprawę, że w razie utrzymania przez nich stronnictwa w jego dotychczasowej formie, ci członkowie stronnictwa, którzy by wówczas do stronnictwa Ch. N. wstąpili, wstępując tam w charakterze nie zbiorowej grupy, lecz jako poszczególne jednostki, nie osiągnęliby w stronnictwie Ch. N. nawet tego wpływu i tego głosu, jaki na podstawie znanych warunków (fuzji), w razie przystąpienia w charakterze stronnictwa, osiągnąć będą mogli.

Nie chcąc przeto w najmniejszym chociażby stopniu szkodzić interesom ziemian, należących dotąd do S. Z., założyciele oświadczają, że w poczuciu powagi chwili wstrzymują się od zwalczania na walnym zebraniu zamierzonej fuzji, przed której niebezpieczeństwami niejednokrotnie przestrzegali.

Założyciele S. Z. nie wstępują do stronnictwa Ch. N. i proszą Prezydium o podanie tej decyzji do wiadomości prezydium drugiego stronnictwa. Uważają przy tym za swoje prawo i obowiązek wyrazić tym z członków prezydium i stronnictwa, którzy istotnie przyczynili się do jego rozwoju, uznanie i podziękowanie za pracę, z natury rzeczy nierozgłośną i poza kulisami widowni politycznej prowadzoną, niepozbawioną wszakże niejednego poważnego rezultatu. Tym z dotychczasowych kolegów, którzy wstąpią do Ch. N., życzą założyciele S. Z. możliwie skutecznej pracy nad wprowadzeniem w życie wspólnie dotąd przez nas bronionych zasad..."

Fuzja uchwalona została większością koło stu głosów.

*

Kości zostały rzucone. Poważny zastęp ziemiaństwa polskiego, złożony z najzasobniejszych bodaj jego przedstawicieli (Małopolski wschodniej, jak wcześ-

„Za"

niej już Poznańskiego), oddawał się mocą tej uchwały pod komendę prof. Strońskiego i towarzyszy. A czynił to — przypominam — w momencie dojrzewającego przewrotu majowego. W przeddzień zwycięstwa Piłsudskiego szeregował się wokół najzacieklejszego dotąd jego antagonisty.

Trudno było o niewcześniejsze postanowienie. Przy całym uznaniu dla wielkich talentów profesora Strońskiego a szczerej sympatii dla niejednego z partyjnych jego komilitonów, pozwalam sobie dać tutaj wyraz wątpliwości, czy losy Polski nie byłyby się były ukształtowały inaczej i szczęśliwiej, gdyby ze strony właśnie tej grupy — w pierwszych latach tworzenia się odrodzonej naszej państwowości — prowadzona była w stosunku do Piłsudskiego i piłsudczyków polityka inna, względniejsza, zgodniejsza, bardziej apartyjna i apersonalna[1]).

Dalszy, żałosny obrót sprawy tej jest wiadomy. W lutym szli ochoczo a bezkrytycznie pod komendę strońszczyków[2]); w czerwcu zaś musiał (czy raczej wolał) p. Dworski, cofając się pośpiesznie do Kanossy, głosić wszem wobec i każdemu z osobna:

„Marszałek Piłsudski dokonał zamachu stanu i wziął faktycznie władzę w swoje ręce, by zapewnić ład i dobrobyt, by utorować drogę uczciwości... W tej pracy ratowania politycznego i gospodarczego bytu państwa ma za sobą całe patriotyczne społeczeństwo"[3]).

*

[1]) Pogląd ten rozwinąłem m. i. w rzadkiej bibliograficznie broszurze, wydanej pod pseudonimem „Mordax": „Król i dyktator", Warszawa.

[2]) Krytykowano wtedy w owych kołach m. i. fakt zamieszczenia przeze mnie w „Biuletynie S. Z." obiektywnej recenzji „Roku 1863" Piłsudskiego.

[3]) „Czas" z 2 czerwca 1926.

Nie sposób bawić się w hipotezy i dociekania, co by się było z Polską stało, gdyby zdobyła się w przełomowej chwili na obóz zachowawczy, będący w rzeczy samej „żywym memento dla błądzących, opoką i balastem swojego czasu i pokolenia".

Tak się nie stało, a grzech ten zaniedbania wielką obciążył odpowiedzialnością nie przewidujących, ale charakterami też nie dorastających do swoich zadań ówczesnych przywódców ziemiaństwa.

Czy jednak oni tylko jedni — mniej od nas wtedy, bądź co bądź, zdający sobie sprawę z istoty położenia — dali się obciążyć taką odpowiedzialnością? Czy my, właściwi „leaderzy", istotni inspiratorowie, wolni byliśmy podówczas — nie wszyscy zapewne, lecz niektórzy — od owej ambicji władzy, która dla „fuzjonistów" ziemiańskich zatrutym okazała się po przewrocie majowym haszyszem?

„Nie jesteśmy bez winy — pisał Popiel po ostatnim powstaniu do księcia Jerzego Lubomirskiego... — Było obowiązkiem większej własności, było obowiązkiem klas wykształconych zachować społeczeństwo nasze od tych nieszczęść. Jeżeli własność, jeżeli tradycja, jeżeli kultura, jeżeli stanowisko duchowe nie obronią społeczności od burzy wywołanej przez przewrotność i niedoświadczenie, toć słusznym byłoby mniemanie tych, co rozumieją, że ten balast już dzisiaj niepotrzebny. Odwaga cywilna, o której brak nas oskarżają, jak jest kwiatem społeczności,... tak zaledwo można żądać, aby się pojedynczo objawiać mogła: musi mieć oparcie w pewnym stronnictwie, z którego czerpie siłę..."[1])

I konkludował:

„Powtarzam — zastęp ludzi połączonych jednymi zasadami na niewzruszonej podstawie koniecznie potrzebny; bez tego kierunku stałego nigdy nie będzie,

[1]) „Pisma", I, 72.

a więc nie będzie właściwie polityki, bo sercem, uczuciem w chwilach politycznych powodować się nie można, na morzu zaś politycznym chwile spokoju są krótkotrwałe, a nie wiadomo, skąd wiatr zawieje. Dziś nawet byłoby do życzenia, aby się wybitniej odrysowały dążności. Takiego zorganizowania żywiołów krajowych pewne stronnictwo dopuścić nie chce i dlatego każdy zawiązek jego roztrąca i wszystko zrobi, aby ludzi z silnym przekonaniem odosobnić"¹).

Nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania na tym miejscu list jednego z moich przyjaciół, współczynnego wówczas ze mną, z oceną działalności S. Z.:

„W jesieni 1922 r. — pisał on do mnie — byliśmy garstka ludzi, byliśmy lekceważeni, nazywano nas „monokonapistami" (jako że mogliśmy się na jednej kanapie pomieścić), a w 1923 zawładnęli zupełnie krakowskim Związkiem Ziemian... i uzyskaliśmy bardzo poczesne miejsce w Radzie Naczelnej organizacyj ziemiańskich. W tym i Wileńszczyzna grawitowała ku nam, a w 1924 r. ...zawładnęliśmy lwowskim Związkiem Ziemian i osiągnęliśmy poważne wpływy w Poznańskim. Na początku naszego rozwoju stosowano wobec nas „konspiracje milczenia", gdy zaś to się nie udało, gdy nasz wpływ się rozszerzał, zaczęto nas kokietować... Najlepszym dowodem, że mieliśmy wpływ, że ten wpływ wnikał w społeczeństwo i zaczynał osiągać rezultaty, że się nas przeciwnicy obawiali, nie dla naszej ilości ale jakości — jest właśnie cytowany... artykuł Moraczewskiego.

A gdy nie udała się ani konspiracja milczenia ani kokietowanie wtedy rozbiło nas od wewnątrz, pokazując naszym członkom... niestety nie orientującym się dość „co w trawie piszczy" — „gruszki na wierzbie" obiecując im szersze i szybsze urzeczywistnienie głoszonych przez nas... haseł i celów.

Po tym zaś inne żywioły... doprowadziły ziemiaństwo od Chaenów do B. B. W. R., używając m. in. *par la grande peur* (wiadomo, że tego środka używają od rewolucji francuskiej) o jego byt materialny, który

¹) Tamże, I, 62—3.

w oświetleniu tych żywiołów był tylko w ten sposób do uratowania.

Skutek tej perfidnej roboty był ten, że materialnie pozycja ziemiaństwa nie doznała żadnego polepszenia, a prestiż ziemiaństwa w społeczeństwie dzięki polityce ludzi, którzy nie zasługując na to bynajmniej, grali rolę *leaderów* ziemiaństwa, bardzo w kraju stracił.

*

„Nie w ludzkiej mocy zniewolić zwycięstwo. Godzien jest chwały, kto na nie zasłużył".

Czy nie byłbym osobiście na tę „chwałę" lepiej sobie zasłużył, gdybym, zamiast żałować kilkuletnich wysiłków i chronić uparcie to, co nieodwołalnie było już stracone — całokształt S. Z. — poszedł był za radą niektórych dalej patrzących przyjaciół i z ich garstką starał się był przetrwać burzę, „choć pobici i z powodzeniem w rozbracie, ...prostując ścieżki dla następnych pokoleń, rzucając posiew kiedyś owoc przynoszący,... chroniąc chwiejnych od upadku", „dla ochrony czynnika", o którym pisał Plater w swojej broszurze programowej, że go „niczym nie można zastąpić, a wobec braku którego powstać musi luka, mogąca być zapełniona wyłącznie... anarchią albo samowolą jednostki".

Wychodziłem z tej krakowskiej sali lekarskiej w poczuciu przegranej, ale nie bez poczucia, że nieśmy przegrali, szedłem z najbliższymi ku temu dalekiemu celowi, co „wygrywa na wieki". To poczucie mieli też i inni. Nazajutrz po katastrofie S. Z. jadłem śniadanie z jednym z synów Andrzeja Potockiego, tego męża stanu, którego brak dał się krajowi odczuwać w epoce wojennej i powojennej[2]). Młody arystokrata, adherent konserwatyzmu krakowskiego, nie zaangażowany w naszej robocie i mający się nadal angażować czynnie w robocie nam przeciwnej, zdobył się przecie w stosunku do mnie na zwierzenie: „To, coście robili, to była robota najporządniejsza".

Niemniej — po raz drugi, w zapasach z rodzinnym moim miastem, z aniołem-geniuszem *loci* — wychodziłem pokonany. *Nemo propheta in patria sua* — powtarzać mogłem sobie melancholijnie za Kiplingiem:

„Prorocy wielkiej czci doznają wszędzie
Z wyjątkiem wszakże miejsc swoich rodzinnych,
Gdzie każdy, znając ich od lat dziecinnych,
Z reguły raczej urągać im będzie.

Póki są próżni, złośliwi i młodzi,
Brakiem uznania martwią się niezwykle
(O czym niech świadczą ich utworów cykle),
Lecz ten im właśnie na dobre wychodzi.

To, czym Niniwy gród darzyć ich zdoła
(Licząc w tym pobyt w brzuchu wieloryba[1]),
Mniej dla nich waży niż wiejska sadyba,
Gdzie o ich sławę nie troszczą się zgoła..."[2]

---

[1]) Takim Jonaszem czułem się niekiedy w Warszawie.
[2]) Tłumaczenie Józefa Birkenmajera.

Rozdział piąty:

W OKRESIE STUDIÓW NAD MASONERIĄ

(1926—1938)

„Przewrót majowy“ i pierwsze jego konsekwencje: „*La grande peur*“. Od Nieświeża do Dzikowa. Powrót do studiów naukowych: *credo* historyczne, pierwsze zdobycze ~~zdobycze~~ w kraju i za granicą; spotkanie się dwóch ekip badawczych; podróże orientacyjne po Niemczech; pierwszy cykl wykładów propagandowych. Udział w „Akcji Katolickiej“; zjazd katolicki we Fryburgu. „Najczarniejsze“ lata: choroba śmiertelna żony; proces z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym“. Przełom w sprawie żydowskiej: stara doktryna katolicko-zachowawcza; nowe poglądy i stare przesądy. Paralela między Polską a Italią. Grób w Carpegni.

Motto do wszystkich rozdziałów
– do wyboru na osobnej karcie
lub kartce! (do tego specjalnie
rozdziału ew. zmienić; ustalić
porządek cytatów!)

Cytat dodatkowy:

„Wszystkim poezjom i prawom [illegible]
na ziemskim świecie zmienne,
a jednak w poezji żyją, a żyją dla-
nie, tego nie omylili! Otóż, jak
zawsze poezja [illegible], która
tak na ziemskim tym świecie
bycia sposobem, pełna wolności, [illegible]-
[illegible], a, [illegible] w poezji [illegible]
[illegible], [illegible] upadła i zginie,
[illegible] ją o tej [illegible] bardzo [illegible],
[illegible], nie umieją w poezji
żyć, [illegible] w górę nie być wy-
wołane."

(Górnicki)

„Nie! w tym Zachodzie wszystko do szpiku kości się zmaterializowało: ani iskierki tu świętego ognia, ani poczucia jakiejś wyższej myśli. Punt in servitium, a Moskwa wywiera urok fatalny. Trzy demokracje: francuska, amerykańska i moskiewska opasują naszą wycieńczoną ludzkość i zanurzą wszystko, co było cywilizacją, światłem, świętością. Cóż tu Zachodowi prawić o tym, by nas postawił jako zaporę przeciw bizantynizmowi, kiedy on sam na wskroś toczony Bizancją i Moskwę czuje w swoim łonie... Zaprawde, powiadam ci, kochany Panie Kajetanie, wszyscy na Zachodzie, tak w Anglii jak we Francji, przymilają się do Moskwy, wszyscy bez wyjątku ubiegają sie o jej łaski, o jej sojusz — bo Moskwa jest najprawdziwszą demokracja. Motłoch i car! Prąd wieku ku niej wszystkich porywa, my jedni jesteśmy anomalią w tym wieku, bo wyobrażamy coś niematerialnego: tradycję, wiarę, ideę, bo wyobrażamy przeszłość; w tym nasza zasługa, nasza cnota, ale w tym także nieodzowny na nas wyrok potępienia przed teraźniejszością, która w przestrzeni tylko atomizm osoby, a w czasie tylko atomizm chwili uznaje..."

(Julian Klaczko do Kajetana Morawskiego 24 listopada 1864 r.; drukowane u Stanisława Tarnowskiego: „Julian Klaczko", II, str. 9—10).

„Pani, Pani!
Wszak z pomarłym sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani
Po raz drugi zdeptać węża!
Wszak z nowego wieku dnieniem
Sprawiedliwość się odnowi
I ty powiesz szatanowi,
Że lud polski Twój — zwycięża
. . . .

Świeć im oczu Twych spojrzeniem
Niech przepada kłamca stary,
Który wieków był złudzeniem!

(Zygmunt Krasiński, „Przedświt")

„Jeżeli jest(eś) pisarzem katolickim, jeżeli w polityce jest(eś) przeciwnikiem tajnych spisków, a rewolucję odróżnia(sz) od wojny o niepodległość, wtedy przywiązuje się do... (twojej) osoby niepopularność, potępiająca z góry bez wyboru a nieprzezwyciężona."

(Stanisław Tarnowski o publicystyce Koźmianów poznańskich.)

Pisałem w wilię Zielonych Świątek 1926 r. w osobno wydanej ulotce:

„Będąc wolnym, będąc historykiem i spędziwszy do tego szereg lat w najgorętszej epoce dziejowej na Zachodzie, twierdzę, że to, co się stało, że to, co się ciągle dzieje, że to, co się jeszcze z biedną Polską dziać będzie, jest prostą rezultantą działań tych stowarzyszeń tajnych, które od lat blisko dwustu uwzięły się na zagładę naszego katolickiego kraju. I twierdzę z całą odpowiedzialnością obywatela w przełomowym momencie, jako jeden z tych, którzy w ostatnich latach wszystkie swoje zasoby umysłowe poświęcili obserwacji naszego życia społecznego, że kto tej oczywistej prawdy widzieć nie chce, ten albo należy do tych, którym już jej widzieć nie jest wolno, albo jest analfabetą, nie mającym dość rozumu i pilności, ażeby się należycie poinformować i dorównać innym bardziej wykształconym, albo po prostu (jest) tchórzem, który się lęka konsekwencji swojej świadomości, a w takim razie lepiej, by nie żył w momencie, kiedy i tak kulkę oberwać łatwo.

Przez cztery lata — wraz z moimi najbliższymi — starałem się tłumaczyć moim współrodakom, że Polskę spychają do grobu po raz wtóry zakonspirowane mafie, kierowane z wrogiej jej zagranicy. Jestem głęboko przekonany — sądząc drzewo po owocach jego — że emisariusze tych szajek siedzą zarówno po prawicy jak po lewicy, że nie brak ich zarówno w Związku Ludowo-Narodowym jak i w Polskiej Partii Socjalistycznej. A już osobliwie dzika orgia masońska, prowadzona... przez indywidualności zresztą tak ze sobą sprzeczne..., a mająca na ostatecznym celu rozbicie spoistości naszej armii, pouczyła mnie dostatecznie, że owe (najrozmaitsze) przyczyny, o których górnie opowiada nie-

uświadomiona częściowo nasza prasa, nie są korzeniem zła, gdyż korzeń ten leży w dobrowolnym czy przymusowym spisku „braci“ powiązanych ze sobą i z zagranicą konspiracyjnymi węzłami.

Póki się tej prawdy nie nauczymy, póki na ostrzeżenia prawdziwych społecznych zachowawców, do których mam zaszczyt należeć, będziemy odpowiadali błazeństwami lub słomą się wykręcali, póty trwać będzie ten obłędny, chocholi taniec, którego od siedmiu już lat z górą jesteśmy świadkami. Ale, jeżeli z należytą pokorą potrafimy się zwrócić po naukę do historii, mistrzyni narodów, jeśli potrafimy rozplątać te potępieńcze nici, które snuły się już podczas Baru, przed rozbiorami i podczas Insurekcji, i za Napoleona, i w dobie Listopada, i w erze Styczniowej, i w erze Wielkiej Wojny, to może słowami Goethego powiemy i o dzisiejszej sytuacji: *Das ist des Pudels Kern,* a może wtedy znajdą się tacy — nawet pośród należących do masonerii — którzy uznają, że narzucona im przez podstęp lub wyjednana pokusami przynależność do sekty mniej waży od dobra Polski, którzy zbuntują się złym mocom i rzucą na dobrą szalę wpływ, którym rozporządzają.

Albowiem inaczej chocholi tan trwać będzie dalej. Twarzy Chochoła nie widzimy, widzimy tylko jego ręce, ale te ręce rozpostarły się już i ogarnęły olbrzymi kawał administracji państwowej (wybitni urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych mówili mi przed tygodniem, że za rządów hr. Skrzyńskiego zmasonizowanie tego ministerstwa dobiegło szczytu). O ile się nie opamiętamy, okaże się, że na próżno brzmiał nam złoty róg wyzwolenia, a czapka z pawich piór naszej niepodległości okaże się raz więcej błazeńską czapką Stańczyka.“

„Spiski — konstatował ze swojej strony na przeszło 60 lat już przede mną praojciec — Popiel[1]), rozplątując te same, co ja i bliscy mi współcześni „potępieńcze nici“ — ...już dlatego samego, że tajemne, nie są nigdy w ręku ludzi prawdziwie politycznych albo stają się narzędziem polityki obcej: w r. 1830 francu-

[1]) „Pisma“, Kraków 1893, I, 63.

skiej. w r. 1863 włoskiej. Wewnątrz zaś roztaczają społeczność na próchno, fałszują moralność, niszczą hierarchię, poniżają charaktery..."

Rozumiał ową doktrynę starego Popiela, wysnutą z tragedii powstańczych, jak my naszą wysnuliśmy z przeżyć „wielkiej wojny", syn jego Jan († 1910), dzielny żuaw papieski; wyczuwał intuicją i nerwem polemisty niedaleki jego sąsiad, Jerzy Moszyński († 1924), syn sybiraka, sam zaś z ducha wielopolszczyk; wyczuwała sercem kobiety owa entuzjastka paryskich „Roczników Polskich" Kalinki i Klaczki, sama publicystka katolicka z ducha poznańskich Koźmianów[1], która w roku 1902, po zdanej przeze mnie maturze, brała ode mnie — mocno tym zdziwionego — słowo honoru, że nigdy do żadnej tajnej organizacji nie przystąpię.

Ale Jan Popiel czy Konstancja Morawska rodzili się oboje niedługo po katastrofie listopadowej, jak rodził się w sześć zaledwie lat po niej Stanisław Tarnowski, podczas gdy pokolenie z drugiej połowy stulecia — *du stupide XIX-ème siècle* — o sprawach tych wiedziało już dziwnie mało. Krwawa, złowroga nić schowała się tymczasem pod powierzchnię, Loża zeszła z powrotem do podziemi; nasze pokolenie wstępowało wskutek tego w odmęty „wielkiej wojny" i następującego po niej okresu „nieświadome owoców z drzewa dobrego i złego".

*

Na firmamencie zaś przedmajowym łyskało się przeraźliwie. Pamiętam, wiosenną ową porą, „seans" jeden w gabinecie warszawskiego „Klubu myśliwskiego", gdzie senator z „Wyzwolenia", zalatujący na

[1] Stanisław Tarnowski: „Konstancja Morawska", nekrolog w krakowskim „Przeglądzie Powszechnym" (1917), uzupełniony w osobnej broszurze.

odległość masonerią, zapowiadał mnie i paru innym osobom groźne i krwawe dni, jakie czekały właśnie Polskę.

Pamiętam rozmowę z Rozwadowskim i Zagórskim, gdzie drugi zwłaszcza, starszy mój z lat dziecinnych kolega i zresztą nie „mój człowiek", najczarniejsze co do losu swojego zdradzał przeczucia (Rozwadowski też mi ze swej strony oświadczył, że niebawem przyjdzie mu „życie drogo sprzedać").

Snuły się przecie po Polsce — wtedy i później — figury spod ciemnej gwiazdy masońskiej: różne Francuzy, bezkrytycznie fetowane przez nowopolskich matadorów: Godarty, Paul-Boncoury lub też ten wielki mason o „Chrystusowej" twarzy, znany mi już sprzed wojny, Henry Wickham Steed, którego po przewrocie majowym spotkałem kiedyś wieczorem u ks. Kazimierza Lubomirskiego.

Wisiała w dniach tych majowych w powietrzu polskim sztucznie znów wytwarzana groza, *la grande peur*. Drżał w oczach moich, w Krakowie, stary Władysław Leopold Jaworski, mówiąc do mnie bezpośrednio po przewrocie i niewątpliwie z głębi przekonania, że „tylko biskupi potrafiliby może pogodzić zwaśniony naród". Trwożyli się i inni konserwatyści.

Pamiętam tak nader charakterystyczny wieczór, spędzony w niedzielę 30 maja 1926 r. w pałacu Raczyńskich na Krakowskim Przedmieściu, u ówczesnego prezesa Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich, ks. Kazimierza Lubomirskiego. Siedzieliśmy tam wtedy w kilka osób: nieżyjący już, podobnie jak gospodarz, Konstanty Plater, Janusz ks. Radziwiłł, Zdzisław ks. Lubomirski, Eustachy ks. Sapieha, późniejszy minister Aleksander Meysztowicz, późniejszy referent Konstytucji Kwietniowej Wojciech Rostworowski itd. Nastrój był przygnębiony niepewnością co do wyniku zapowiedzianego na dzień następny wyboru Prezydenta.

~~do dr~~ po popr.
str 274 do superrewizji
5.6.39 mr

Czekaliśmy na wiadomości z przeciwległego Pałacu Radziwiłłowskiego (Prezydium Rady Ministrów), gdzie już urzędował pan Bartel. Koło 11-ej w nocy uchyliły się drzwi salonu księcia i stanął w nich kuzyn jego, jak noc ponury, Adam hr. Tarnowski, nieszczęśliwy niegdyś ambasador austriacki w Waszyngtonie, *oiseau de mauvais augure* czy raczej *prophète de malheur:* „Bartel każe wam powiedzieć — mówił głosem grobowym hrabia Adam — że w razie komplikacji z wyborem Prezydenta Piłsudski gotów jest wycofać się do Sulejówka, a Warszawę zostawić na łasce tłumów".

*

Ostro sądzili wówczas przewrót konserwatyści niektórzy[1], wkrótce jednak odmienili zdania. Bo i jak to śpiewa dziś o nich wybitny poeta żydowski[2]):

A gdyby tak majowe dni
W pamięci świeżej wskrzesić?
Twój syk mi jeszcze w uszach brzmi:
„Powiesić ich, powiesić."

A potem sejm, a potem blok,
Banknotów moc i czeków,
Na lewo krok, na prawo krok...
Już wieszać chcesz... endeków.
„Za mordę wziąć", „parlament — chrzan",
„Pod ścianę", „działać czas".

Panującą wówczas ~~w stronnictwie krakowskim~~ tendencję mniej lirycznie, a więcej logicznie ujął młody polityk galicyjski, wielkie noszący nazwisko, dr Jan Bobrzyński[3]):

„Ratunek (= sanacja) może i musi wyjść... ze stanowczego nawrotu do realizmu życiowego i ściągnięcia psychiki społeczeństwa... na grunt na wskroś ma-

[1]) Por. artykuł wstępny „Czasu" z 16 maja 1926 r.
[2]) Julian Tuwim w „Szpilkach" z ——— 1938 r.
[3]) „Odrodzenie państwa przez obiektywizm gospodarczy", 1927, str. 6—7 i 13.

terialistycznych rozważań gospodarczych... (;) skłonić (należy) każdego obywatela do postawienia sobie fundamentalnego pytania: Gdzie leży mój prawdziwy interes materialny?... Zewnętrznym, praktycznym wcieleniem zasad, wyżej wyłożonych, jest stworzenie w szerokich sferach naszego społeczeństwa, bez różnicy stanu, zawodu, narodowości i wyznania, dobrze zorganizowanego i uświadomionego frontu, złożonego z tych wszystkich ugrupowań politycznych, związków, zrzeszeń, instytucji i rzesz obywatelskich, które okażą się zdolne zrozumieć należycie realne interesy własne i państwowe i dążyć zechcą wspólnie do oparcia życia publicznego i pracy państwowej na trzeźwych założeniach „gospodarczych"...

*

Dwunastolecie 1926—38 wypełnione było w życiu moim po brzegi walką z masonerią.

Późno stosunkowo zbliżyłem się do tego zagadnienia. Mieszkając przez lat blisko cztery w Szwajcarii, która jest jedną z central światowego wolnomularstwa, ignorowałem niewątpliwe tu ślady robót tajnych od Kalwina do Mazziniego. Pamiętam, pod koniec urzędowania mojego w Bukareszcie, śniadanie w gronie Polaków szefa mojego hr. Skrzyńskiego, w czasie którego Skrzyński zadał mi pytanie, co myślę o masonerii, ja zaś mu na nie dałem pełną jeszcze naiwności odpowiedź, że uważam masonerię za rodzaj utylitarno-komfortowej instytucji w rodzaju „sleeping-carów". „I nic więcej?" — zauważył hr. Skrzyński.

Po przewrocie majowym miałem sposobność stykać się niejednokrotnie z byłymi masonami, których uważać mogłem w tym czasie za „braci śpiących". Jeden z nich „przepowiedział" mi pierwsze dojście do rządów premierowskich pana Bartla; inny — osobiście mi dotąd nieznany, choć kolega z fachu, zjawił się w mieszkaniu moim krakowskim w przejeździe przez to miasto, o późnej nocnej godzinie, aby mi się zwierzać dekonspiratorsko na temat rzekomych najdostoj-

niejszych w Rzeczypospolitej afiliacji; innego, byłego premiera, zastałem kiedyś — jak mi sam wyznał — „na krawędzi samobójstwa“, tak mu się snadź ci „współbracia“ potrafili dać we znaki. Vestigia terrebant.

To były fakta, lecz jeszcze nie akta. Tych nieco zabrakło badaczom polskim, kiedy przed nimi — nie bez mojej własnej winy, a jednak w nie ze wszystkim logicznie dający się wytłumaczyć sposób — zatrzasnęły się podwoje krakowsko-krzeszowickiego archiwum Potockich, mieszczącego główne w Polsce zbiory wolnomularskie. Trzeba było wobec tego przerąbywać sobie inne korytarze do tych podziemi: podjąłem się pionierskiej tej roboty.

Od lat dwunastu byłem poza pracą naukową. Uczeń Potkańskiego, Zakrzewskiego, Czermaka, Krzyżanowskiego i Tokarza, rychło i wyraźnie przeciwstawiłem się ówczesnej „szkole krakowskiej“.

Pisałem w krakowskim „Museionie“ z grudnia 1913 r. m. in.:

„Podczas gdy między Renem a Wisłą rosnąca fala demokratyzacji niwelowała także teren naukowy, podczas gdy zwycięskiemu cesarstwu zabrakło tytanów na miarę tych, co stawiali podwaliny i wiązania jego gmachu, a sprężysta biurokracja pruska wycisnęła swoje piętno także na uniwersyteckiej armii ducha i postępu — to we Francji, oszołomionej na czas pewien porażką i skłonnej wtedy do przyswojenia sobie metod i działań zwycięzcy, wziął wkrótce górę rodzimy charakter, który od czasów wersalskiego rozkwitu literatury wyrażał się w formach twórczości umysłowej wykwintnych i obliczonych na intelektualną elitę...

Postulat... filozoficznego wykształcenia dla wszystkich humanistycznych badaczy, postulat, który i u nas jest żywy i domaga się realizacji, stał się poniekąd naczelnym wskazaniem polemiki wywołanej w Paryżu trzy lata temu przez literata, ukrywającego się pod

mianem Agathona, polemiki, do której przyłączyło się wkrótce i to najczęściej w sensie potakującym wielu wybitnych przedstawicieli świata naukowego i literatury francuskiej. Byłoby zaś niesprawiedliwością, przeciwko której z góry się zastrzec należy, gdyby się zapoznawało, że i w Niemczech istnieją sporadyczne wysiłki ku takiej unifikacji na gruncie filozoficznym rozstrzelonych kierunków intelektualnych, by wymienić najgłośniejszy choćby protest przeciw rozdarciu i sproszkowaniu życia duchowego współczesnej doby, zawarty w słynnym dziele Euckena.

Z tym postulatem filozoficznego wykształcenia wiąże się drugi, niemniej aktualny i narzucający się mózgom myślącym, który bym określił jako postulat opanowania otaczającego nas życia. Postulat ten wprowadzili znowu na porządek dzienny, wyprzedzając w tym względzie Francuzów, praktyczni Anglicy, jak świadczą programowe przemówienia Jamesa Bryce na kongresie w Rzymie i premiera Asquitha. Według ich poglądów dążyć winien współczesny angielski historyk czy w ogóle uczony do rozszerzenia i pogłębienia w sobie poczucia życia, zmysłu otaczającej go i zakrzepłej w przeszłość rzeczywistości, a w rezultacie do wszechstronnego, przenikającego wszystko, czego się tknie, humanizmu.

W tym celu powinien on dużo podróżować, uczyć się obcych języków, studiować psychologię cudzoziemców, używać na pięknie natury i sztuki, śledzić życie polityczne i przemiany literatury. Ideał to nie nowy: przed wieloma dziesięcioleciami wyraził go już był (obok Micheleta) Leopold von Ranke, głosząc, że historyk ma „asymilować sobie wszystko, co jest pięknego i wielkiego (w dziejach)“ i w tej dążności asymilacyjnej, w tym procesie przetwórczym silnej indywidualności stawał na stanowisku Goethego:

Was du ererbt von deinen Vätern hast,
Erwirb es, um es zu besitzen!

Z tego, co się dotąd rzekło, wynika już jednak, że tak jak historyk nie może się odcinać od prądów i wpływów otaczającego go życia, jeśli chce wykształcić swoją indywidualność we wszystkich możliwie kierunkach, a nie tylko w obranym jako zawód, tak też i historia nie może zrywać kontaktu z tętnym własnego narodu. Obowiązuje ją po dawnemu określenie Cycerona: historia est testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae, nuntia vetustatis, czyli — jak stary wykłada Naruszewicz — „historia jako oświata prawdy, iściec i sędzia dzieł starożytnych, powinna mówić do ludzi, onych nauczać i prostować..."

Doszliśmy w ten sposób logicznie do innego zagadnienia, które wyłoniło się w trakcie omawianego sporu, do kwestii historycznego stylu. Łączy się ona z samą istotą humanistycznej wiedzy — takiej przynajmniej, jaką ją pojmowały stulecia. Jeśli wielki przyrodnik francuski Buffon powiedział: *le style, c'est l' homme même*, to już przez to samo dał do zrozumienia, jak wiele znaczy indywidualność pisarza, wyrażająca się w jego sposobie wysławiania się, tam gdzie przystępuje on do nauk o człowieku, jakimi są historia, historia literatury i im pokrewne... Ernest Renan wyraził się, mówiąc o znaczeniu stylu, że „dziejopis ma tylko jeden cel na względzie: (swoją) sztukę i prawdę; dwie te rzeczy są bowiem nierozdzielne, sztuka zawiera tajnie najpoufniejszych praw rzeczywistości", a gdzie indziej stwierdził w odniesieniu do nauk humanistycznych: „Forma, styl są (w nich) trzema czwartymi myśli".

A właśnie kwestia stylu czy bez-stylu jest głównym jablkiem niezgody między zwolennikami jednej metody i drugiej. Ta sama tendencja, która pragnie fakta historyczne, bieg dziejowych wypadków, życie ludzkości wtłoczyć w martwe kanony na wzór i modłę przyrodoznawczych, tendencja idąca z Niemiec, chcia-

łaby także pióru historyka narzucić mowę fachową, niepodległą wzruszeniom i afektom, wolną od wszelkiego subiektywizmu.

Wszyscy koryfeusze współczesnej historiografii byli najpierw ludźmi (w najszerszym tego słowa znaczeniu), a potem dopiero historykami. Weźmy szkołę romantyczną we Francji z jej umiłowaniem kultury, tradycji i pomników średniowiecznych, z jej poetycznością, która z rozmarzonej atmosfery „Młodej Francji" przenikała także do mózgów historyków (Thierry'ego, Micheleta i pomniejszych); weźmy szkołę romantyczną w Niemczech, natchnioną przez Herdera, której przywódcą był wspomniany już Ranke, teoretykiem zaś do pewnego stopnia Schopenhauer; przypomnijmy sobie wreszcie z angielskich historyków Macaulaya (i francuskich — Taine'a)

...fanatycy obiektywizmu mają w swym arsenale dialektycznym groźne względem tych historyków-psychologów argumenta. Kwapią im się przypomnieć nieśmiertelne zarzuty Goethego:

die Zeiten der Vergangenheit
Sind uns ein Buch mit sieben Siegeln.
Was ihr den Geist der Zeiten heisst,
Das ist im Grund der Herren eigner Geist,
In dem die Zeiten sich bespiegeln[1]).

Cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie,
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych... Lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony, czym są wszystkie dzieje?...

[1]) Por. Mickiewicz: „Popas w Upicie":

I prawda: średniowiecze po swojemu rozumiało Arystotelesa, humaniści po swojemu średniowiecze, następne wieki na swoją modłę strawestowały starożytność, romantyzm upiększył wieki średnie. Czyż nasza epoka — któż jest tym śmiałkiem, co nam to zaręczy? — pytają ci „obiektywiści" — więcej posiada od tamtych rozeznania i sprawiedliwości? Czy mniej ma przesądów od scholastycznych systematyków, przeindywidualizowanych humanistów, utopistów Rewolucji i idealistów romantyzmu? Czy nie wyczuwamy na niej materialistycznego piętna, czy nie robimy rozpaczliwych wysiłków, aby się wyzwolić z okowów, w które nas zakuł pozytywizm? Czy — słowem — jesteśmy już jako Bóg, aby móc sądzić zeszłe wieki?

To wszystko prawda. Ale... prawdą jest także, że żadna metoda nie jest w możności naprostować przyrodzonych krzywizn i zboczeń współczesnej, zbiorowej czy indywidualnej umysłowości. Na każdą książkę bowiem, jako na dzieło rąk ludzkich, składają się zalety i wady jednostki. Każda intuicja ma luki i usterki, podobnie jak każda uwaga, każda pamięć i każdy wysiłek. I w historiografii, jak w każdej nauce, muszą synowie wetować błędy ojców. Lecz tak jak w sztuce przechodzą (by użyć poetycznej reminiscencji) sztukmistrze niesieni falą czasu i zawiśli od jej chwilowych prądów, ale pozostaje po nich w spadku moc najczystszych natchnień i siew szlachetnych myśli, tak też w historiografii, u tej malarki i nauczycielki życia zawsze mieć będzie walor, po odtrąceniu indywidualnych pomyłek i uprzedzeń, to, co stanowi rdzeń istoty historyka: jego pogląd na świat, jego stosunek do problemów czasu i narodu, jego uczucia i skłonności umysłowe, jego styl i impuls twórczy. Tylko ci spośród obcych i naszych historyków, którym nie brakowało iskry Bożej, talentu, którzy swą oryginalną indywidualność zapisali trwale w pamięci współczesnych i potomnych, stworzyli dzieła klasyczne, tj. o nieprzemija-

jącej wartości i owocnym wpływie, stworzyli szkołę lub przynajmniej pobudzili innych ludzi do myślenia. Bo — jak pięknie powiedział jeden z historyków niemieckich — erudycja — to martwy stos drew i podpałek, intuicja — to ogień, który go zapala. Im silniejszy ten ogień w duszy historyka, tym jaśniejsze zdoła rzucić światło na przeszłość dziejową, na losy i twórczość dawnych pokoleń i narodów".

*

Studia moje właściwe nad masonerią rozpocząłem zaraz po przewrocie majowym, tj. latem czy jesienią 1926 r. Ciężko mi było wracać — po tak długiej przerwie (dwunastoletniej) — do pracy naukowej i, gdyby nie pełna poświęcenia, jak zawsze, zrozumienia i systematyczności pomoc żony, prawdopodobnie byłbym ruszył z miejsca nieskończenie trudniej, albo i wcale.

Przedwstępne prace (orientowanie się w bibliografii przedmiotu) prowadziłem bowiem w tej dusznej, pełnej niepewności i rozstroju atmosferze, jaka cechowała drugą połowę 1926 r. oraz pierwszą 1927 roku. Zwolna jednak poczynało mi się w głowie rozświetlać, na tę zaś lux in tenebris — przeróżne złożyły się przyczyny.

Jedną z naczelnych była — zarozumiałość Loży, jak również stojącego za nią świata żydowskiego. Ten wielki zwycięzca „wielkiej wojny" — jak to bywa zwykle od wieków ze zwycięzcami — przed „upadkiem dumnego", ściślej mówiąc: przed rokiem 1933, tj. przed przyjściem do władzy „Hamana"-Hitlera, pysznił się i reklamował niebywale przewagi swoje w ciągu dziejów, które z „golusu" i ghetta wyprowadziły żydostwo na wielką arenę zwycięstw wersalsko-palestyńskich.

Nuże więc, w tłoczniach drukarskich amerykańskich, londyńskich, paryskich, berlińskich czy wiedeńskich jęły się tłoczyć po wojnie owe niezliczone druki,

komponowane ad maiorem Trianguli gloriam, owe niezwykłe kompendia — „grimoire'y", układane przez „wtajemniczonych" kabalistów, okultystów, „różokrzyżowców", masonów, w których, pośród niebywałych bredni, potwornych orientalnych baśni — jak gdyby z mętnego koryta wezbranego prądu wyławiać przychodziło badaczowi złociste ziarnka rewelacji faktycznych.

Dołączyła się do tej nieraz zakapturzonej, tj. dla „braci-mistrzów" przeznaczonej prozy, trafiającej jednak i do rąk „niepowołanych", wspaniała iście, zwłaszcza pod względem szaty zewnętrznej, literatura specyficznie żydoznawcza, jak np. ta monumentalna encyklopedia żydowska, której gmach, niczym duchowy „tempel" Salomonowy, wzniósł się był w powojennym Berlinie, na gruzach monarchii Hohenzollernów, ale przedwcześnie przepędzony z niego został przez spadkobiercę ich potęgi, Hitlera.

Dołączyły się do tych rewelacji, świadomych i pełnych górnego samopoczucia niedyskrecji, własne studia biblioteczne i archiwalne. Odświeżałem sobie w pamięci zatarty wojną i jej przeżyciami obraz stulecia XVIII, z którym zetknąłem się przed laty dwudziestu pod sklepieniami pałacyku Potockich w Krakowie i skąd wyniosłem garść wyników badawczych, tyczących się „pana Ignacego", króla Stanisława, hetmana Branickiego i garść impresji tyczących się dworu zwłaszcza w Łazienkach[1]).

Innym już wszakże okiem, jak to zaznaczyłem w przedmowie do „Źródła rozbioru Polski", patrzyłem teraz, po wojnie, na starych znajomych z Zamku królewskiego, Radzynia czy Białocerkwi. Kiedy zjawiłem

---

[1]) Zachętą dla mnie w pierwszym okresie pracy były świetne pamiętniki przedwcześnie zmarłego uczonego poznańskiego, Teodora Tyca, który wcześniejszej mojej działalności naukowo-literackiej poświęcił w nich kilka ciepłych wzmianek.

się znowu — po tak długiej nieobecności — w przebogatym archiwum Czartoryskich w Krakowie, gdzie nie stało już tymczasem Smolki i Sokołowskiego, nie pytałem się w mych poszukiwaniach o rozkosznych szambelanów „króla Stasia", Trembeckich, Węgierskich czy księcia-biskupa warmińskiego, ale tropić jąłem, niby sędzia śledczy, innych zgoła dworaków: zakonspirowanych i nieraz skrachowanych wisielców jak ów Boscamp, jeden z szefów kancelarii królewskiej; szarlatanów, nie bez kultury zresztą, jak ów August Moszyński, jeden z najbliższych powierników i totumfackich króla jegomości; magów wreszcie rewolucyjnego formatu, jak Francuz Toux de Salverte, wszędobylski konspirator, czujący się u siebie w ogrodach królewskich, w kwaterach barskich, w pałacach targowickich.

Czcigodne archiwum Czartoryskich, ta „świątynia Sybilli", patriis naufragiis erepta, otwierało mi teraz, doświadczeńszemu i czujniejszemu niż przed dwudziestu laty, niebywałe perspektywy i przekopy w kierunku tego, czym była naprawdę tragiczna rzeczywistość, która poprzedziła rozbiory. Spowiadał mi się król, a raczej wysłuchiwał „nauki moralnej", jakiej mu udzielał jego *directeur spirituel* Moszyński w zakresie celów i tradycji masonerii; spowiadał się cudaczny de Toux, chełpiący się w jednym z listów bezgranicznym zaufaniem czy raczej posłuszeństwem dlań króla; rozświetlała mi się psychika, taktyka i dynamika wszystkich tych przybłędów z zagranicy, dyssydentów i konfidentów: Aubertów, Boscampów, Glayre'ów. Trudno tu było marzyć o systematycznym jakimś badaniu: najkapitalniejszy dla mnie memoriał Moszyńskiego wyławiałem z korespondencji królewskiej pod inną literą niż w indeksie, schowany wśród dokumentów bez znaczenia, niezrozumiany i pominięty przez wcześniejszych badaczy.

Z Krakowa przeniosłem się do Drezna. Nie poznałem starego archiwum saskiego, które przeprowadziło się podczas wojny do zbytkownego gmachu przy Düppelgasse. Nie zapomnę nigdy tej chwili, kiedy usiadłem znów przy stoliku archiwalnym i jąłem przeglądać spisy korespondencji Flemminga. Oto nagle zeszedł z katedry i zbliżył się do mnie jeden z nieznanych mi bliżej dyżurujących urzędników archiwum. W ręku trzymał kopertę z jakimiś „fiszkami", a podając mi ją, wyrzekł dobitnie słowa: „Oto dokumenciki, tyczące się pana, które, być może, pana zainteresują". Przyznam się, że wobec takiego dictum nie czułem się zbyt spokojny w sumieniu „politycznym": wszakże od czasu, jak tu byłem po raz ostatni, przeszła przez świat „wielka wojna", runęły dynastie Hohenzollernów i Wettynów, ja zaś — wiedzą o tym już dobrze czytelnicy — co porabiałem czasu wojny w Szwajcarii. Mój jednak mentor w okularach niczego takiego nie miał na myśli: on tylko z precyzją karabinu maszynowego czy dokładnością najgrubszej naukowej „Berty" wycedził mi następujące pouczenie: „W tej kopercie przechowaliśmy wszystkie kartki zamówień, jakie pan wypisał pod naszym adresem za swoich poprzednich pobytów w tym archiwum. Być może, że się panu one w czym teraz przydadzą". Wyznam, że to nieoczekiwane pouczenie napełniło mnie gorącym podziwem dla niewątpliwych zalet tego narodu, tak mu przydatnych w organizacyjno-technicznej stronie każdej pracy.

*

Gdzieś też około tego czasu, może zaraz po przewrocie majowym, zetknąłem się i nawiązałem bliski kontakt z dość liczną grupą inteligencji warszawskiej, składającej się w dużej jednak części z elementów, które tu napłynęły z innych stron Polski. Przewodził jej duchowo nieżyjący już dzisiaj człowiek, z uzdolnień

i zawodu fachowiec nauk ścisłych, idealista i ideowiec, jeden z tych, jakich tylu wydała już ze swojego łona, w okresach prób zwłaszcza i ucisku nacja polska, niejednokrotnie przemieszana szlachetną cudzoziemską domieszką. Nazwiska tu jego nie wymieniam, choć spokojny jestem, że z czasem przejdzie do potomności, zbyt wielki bowiem wpływ wywarł na młodsze pokolenie i na nas starszych. Sam dla siebie nie chciał niczego: honorów ani majątku, żył w biedzie, kochał Polskę i pamięć po sobie zostawił świetlaną. Jako polityk — bo i do czynnej mieszał się polityki poza rozległym kompleksem historycznych i matematycznych swoich studiów — mógł się mylić, ale nie mylił się nigdy sercem, jeżeli kiedy mylił się rozumem: szlachetny instynkt brał w nim zawsze górę nad taktyką dnia, nieraz bojową: gdym go odwiedził raz ostatni ciężko już chorego, widział z tą prawą szczerością, która go nie zawodziła, pewne własne omyłki i dłoń gotów był wyciągnąć do przeciwników. Non omnis mortuus est i pewny być może „za grobem zwycięstwa".

Porozumiewałem się nieustannie z jego grupą, która poza nim liczyła w swoich szeregach kilka mózgów znamienitych, kilku pracowników niestrudzonych i wyszkolonych. Byliśmy z Platerem (który żył jeszcze w czasie mojego z nimi się poznania) w położeniu jakby ekipy robotniczej, przekopującej tunel przez podnóże góry, ekipy, która drążąc jedną jej ścianę i docierając do przeciwległej, spotyka się w połowie drogi z ekipą inną. Takim był nasz los i nasze szczęście, z pionierskiej zaś tej naszej współpracy wynikły dzieła — mam nadzieję, że — trwale, a pewność, że poczytne — „Zmierzch Izraela" i „Źródło rozbioru Polski".

Zamknę ten ustęp opisem innej podróży, którą przedsięwziąłem — oczywiście na koszt własny (o subwencjach w tym czasie nikt z nas i marzyć nie mógł) — latem 1929 r. po południowych Niemczech. Ukoń-

czywszy kurację w Marienbadzie, puściłem się na „wojaż", który był zarazem jakby wyprawą w nieznane krainy tajemnic.

Zacząłem od Norymbergi, cudownego miasta, które znałem nie tylko z wcześniejszej, studenckiej autopsji, nie tylko ze wspaniałego dramatu Wagnera, ale i z lat dziecinnych, kiedy z tchem zapartym wczytywałem się w przedziwne przygody alchemika tamtejszego Drosselmayera („Dziadek do orzechów").

Na dworcu czekała mnie jednak niespodzianka. Snuły się po nim dość nowe w powojennych Niemczech postaci, wczesne „brunatne koszule" hitlerowskie. Właśnie odbywał się — w tych Niemczech jeszcze stresemannowskich — jeden z pierwszych tutaj zjazdów narodowo-socjalistycznych, które później do tak wielkich rozrość się miały rozmiarów. Dowodem pośrednim, że ruch był w zaczątku, było moje niezorientowanie się w tym, co reprezentują mundury hitlerowskie. Spytałem więc o wyjaśnienie tragarza, ten zaś grubym bawarskim akcentem odrzekł mi: *„Dös sind alles Leut', die die Juden nicht gerne haben!"*

Nazajutrz bodaj po południu wybrałem się taksówką z Norymbergi do pobliskiego Kraftshof, ażeby zwiedzić jedną z najstarszych — dostępnych już wtedy dla publiczności — „lóż stołowych", związaną zarówno z interesującym mnie w szczególności „Zakonem Kwiatowym", jak i późniejszą masonerią (Wieland). Taksówka z trudnością przeciskała się przez ulice starożytnego grodu natłoczone po brzegi dziarską zwłaszcza młodzieżą z „pałkami gumowymi" w ręku.

Z Norymbergi pojechałem do Frankfurtu. Tam pociągali mnie już nie „różokrzyżowcy" i alchemicy, nie Leibniz czy Drosselmayer, ale mistrze ich właściwi w Kabale, sędziwi a doświadczeni w tajnej wiedzy rabini miejscowego ghetta, z którego wyszły w świat już w roku 1615 pierwsze manifesty masońskie. Zwie-

dząjąc piękne miasto nad Menem, siedzibę niegdyś ulubionego mi Schopenhauera (który tak bardzo niecierpiał swoich współmieszkańców-żydów), spędziłem dobrą chwilę na miejscowym kirkucie, nie tak zresztą sugestywnym, jak ghetto praskie czy krakowskie, zwłaszcza zaś zatrzymałem się czas dłuższy w starym domostwie Rotszyldów, gnieździe tej przepotężnej w dziejach rodziny. Znając już nieco losy jej rozwoju z czytanej właśnie monografii Cortiego, dziwić się musiałem tej zawrotnej karierze, co ich z nizin jakiejś polskiej mieściny, poprzez „kuczki“ i „pogromy“, których ślady widne są jeszcze we Frankfurcie, doprowadziła na szczyty polityki europejskiej, na stopnie tronów i niejako ponad ich baldachimy, przyczyniła się do zgruchotania Napoleona, do wtrącenia na powrót do grobu wyrywającej się z niego Polski, do opanowania Anglii, do skrzywienia kolei historycznych Francji i Hiszpanii, do zasugestionowania Metternicha, Bismarcka i Balfoura...

Pokłoniwszy się na ostatek wolnomularzowi Goethemu w jego tutejszej siedzibie, pojechałem na niedzielę wdzięczną doliną Menu do położonego niedaleko Wilhelmsbadu. W drodze mignął mi się Offenbach, gdzie niegdyś „król narodu żydowskiego“ Jakub Frank pędził żywot zaiste monarszy. W Wilhelmsbadzie zastałem ten sam palacyk, w którym przed półtora wiekiem rozstrzygały się losy monarchii francuskiej: na tle zachowanych po dziś dzień stiuków i złoceń rokokowych snuły mi się w wyobraźni złowrogie postacie Cagliostrów, Weishauptów, Mirabeau...

Zakończyłem tę pełną wrażeń podróż eskapadą do Hesji. I tu spotkałem Rotszyldów: za ich wszakże pieniądze powstał wspaniały pałac Wilhelmshöhe, prawdziwy Wersal niemiecki, a również inne bodajże rezydencje tej chciwej na ziemskie pokusy dynastii, która naznaczyła piętnem „czarnej ręki“ ostatnie karty dzie-

jów niepodległej Polski, jak to staram się wykazać w moim „Źródle"... Kassel i Marburg dopełniły mi wrażeń zaczerpniętych w Norymberdze i Frankfurcie.

*

Nie będę się w niniejszym przedstawieniu trzymał porządku ściśle chronologicznego wypadków, sądząc, że ważniejszym od tego jest ich związek wewnętrzny. Dlatego przechodzę od razu do pierwszych wyników mojej pracy, jak zarysowały się one w porządku propagandowo-publicystycznym.

Niedługo po przewrocie majowym, którego wstrząsy przyczyniły się, jak u wielu innych, do przywrócenia mi nadwątlonej wiary, zbliżyłem się do tworzącej się wtedy właśnie w Polsce „Akcji Katolickiej". Redagowałem w tych latach nieregularnie zresztą wychodzące czasopismo „Pro fide, rege et lege", w którym miałem m. i. szczęście opublikować doniosłe orędzie antymasońskie nowego prymasa Polski, ks. Augusta Hlonda, wygłoszone na Zjeździe Katolickim w Poznaniu (w samąż trzecią rocznicę mordu ułanów krakowskich) po objęciu przez niego rządów na stolicy św. Wojciecha.

Z nowomianowanym kardynałem miałem zaszczyt zetknąć się po raz pierwszy w Dukli u serdecznego mojego przyjaciela Hieronima Tarnowskiego, latem 1927 r. Jego Eminencja ksiądz Prymas przebywał wtedy na wywczasach u swojego kolegi w episkopacie, księdza biskupa przemyskiego, z Jaślisk zaś przybył do Dukli, aby razem z nami górską pielgrzymką odwiedzić pustelnię błog. Jana Duklana. Piękną była chwila, gdy tego letniego wieczora w starej rezydencji mniszchowskiej, w której mieściła się niegdyś jedna z pierwszych polskich lóż masońskich, wzniósł obecny jej gospodarz, bojowy z dziada pradziada katolik — puchar na cześć

pierwszego dostojnika kościelnego Polski, który tak wspaniale miał odrodzić tradycje prymasowskie.

W kilka lat później, kiedy w auli uniwersytetu poznańskiego witałem uroczystym przemówieniem kongres katolickiej młodzieży słowiańskiej i nie omieszkałem uderzyć w nim w tony pobudki do boju ze skrytymi a perfidnymi wrogami wiary, nieoczekiwana mnie za to a doraźna spotkała nagroda. Wieczorem mianowicie, na raucie w pałacu prymasowskim, na tej Wyspie Tumskiej, która pamięta brzaski naszej państwowości i wiary, zbliżył się do mnie gospodarz — kardynał Hlond i, dziękując mi w gorących słowach za ton mojego przemówienia, ofiarował mi swoją pomoc i protekcję dla dalszych prac moich badawczych. W ten sposób, w dniu tym — powiedzieć mogę bez przesady — u stóp Opoki Piotrowej trysnęło „Źródło rozbioru Polski".

*

Był to rok 1933, jednakowoż od lat już blisko czterech — z otwartą przyłbicą — występowałem na mównicach publicznych, głosząc małą krucjatę przeciwko nieprzyjaciolom Krzyża.

W Lublinie, w auli uniwersyteckiej, na kongresie „Odrodzenia" w roku 1929 — mówiłem do tłumnie zgromadzonego zespołu katolickiej młodzieży głównie o wczesnych „arkanach" masonerii, o szturmie „brata" Karola-Gustawa z „wysoko pnącym się słonecznikiem", o „Pannie, co jasnej broniła Częstochowy".

W Warszawie, następnej zimy, w trakcie możliwie intensywnych studiów nad istotą „Kabały" żydowskiej, będącej, jak wiadomo, rytualno-symboliczną podstawą masonerii, wygłosiłem — na zmianę — cykl odczytów w rozwijającym się podówczas świetnie „Obozie Wielkiej Polski", uprzystępniając w ten sposób młodzieży

wszechpolskiej pierwsze i, jak sądzę, najbardziej doniosłe rezultaty moich badań.

Żywo mi stoi w pamięci duszna, ciasna, natłoczona po brzegi kwatera „Obozu“ przy ulicy Złotej i „wiszące u moich warg“ oczy młodych słuchaczy, skupione wokoło swojego „wodza“. Widzę w otoczeniu Romana Dmowskiego [illegible] oblicze Tadeusza Bieleckiego, jednego z najbliższych jego pomocników, dla mnie zaś przyjaciela najwyższej próby i prób najcięższych; inteligentny, sceptyczny nieco wyraz Jana Rembielińskiego, którego głębokie studium w pierwszym numerze „Podbipięty“ zasłużyło na to, by je postawić obok najświetniejszych kart, jakie kiedykolwiek napisane zostały na temat konspiracji; widzę innego serdecznego przyjaciela, Jana Pożaryskiego, prezesa wówczas C. I. E. (*Confédération Internationale des Etudiants*), i tylu, tylu jeszcze innych, starszych i młodszych, zacnych, wypróbowanych, co „przetrzymali“...[1]).

W Poznaniu — też w roku 1930 — miałem zaszczyt przemawiać, w obecności dwóch kardynałów (Hlonda i późniejszego Marmaggiego) na miejscowym Kongresie Eucharystycznym na temat stosunku inteligencji katolickiej do kultury. Na krótko przedtem zaprosił mnie Roman Dmowski do Chludowa i zorganizował dysputę nie dysputę, w każdym razie odczyt mój o temacie tym samym, ale o charakterze bardziej naukowym. W pięknym ogrodzie chludowskim, w słoneczny dzień czerwcowy, starła się ze sobą jakby za dni Renesansu rdzenna prawdziwie elita: był [illegible] wśród niej nestor — Ignacy Chrzanowski („młoda mistrzu, masz siwiznę!“), autor późniejszej świetnej rozprawy o masońskim zgonie Lelewela; był [illegible] inny tuz historiografii polskiej, znakomity Bujak, który po

---

[1]) Miłą pamiątką z tego okresu był mi wręczony przez Dmowskiego egzemplarz „Świata powojennego i Polski“ „z wyrazami prawdziwej przyjaźni“ w dedykacji autorskiej.

kilku latach, nie bez przykrości osobistych, ułatwić miał „synowi marnotrawnemu" historiografii powrót na łamy czcigodnego „Kwartalnika Historycznego"; był — drugi, że tak powiem (obok mnie) „Ajaks" dziejów polskiego *settecenta*, antagonista, od którego wiele się nauczyłem, Władysław Konopczyński; Kraków reprezentował obok niego inny znakomity, a pełen polotu twórca, Wacław Sobieski; Poznań — mediewista Tymieniecki. Honory domu robiła wraz z córką, panią Niklewiczową, urocza i natchniona Hiszpanka, Sofia Casanova.

Brakło tylko „muzyki i tańca", gdyż był to prawdziwy powrót „syna marnotrawnego". Dwanaście lat stronił od przybytku Kliony, co mu bardzo za złe mieli nie sprzeniewierzający się jej jej adepci. Wprawdzie, w półoficjalny [redacted] sposób ofiarowywano mi niegdyś w tworzącym się uniwersytecie poznańskim katedrę historii kultury; ku żalowi mojego ojca odmówiłem, bałamucąc się wtedy mirażami dyplomatycznymi, nie żałuję tego jednak, bo, pominąwszy już fakt, że siedząc na katedrze, nie byłbym się zapewne mógł dokopać „Źródła rozbioru Polski", Bóg jeden raczy wiedzieć, jakbym zdołał był z moim niespokojnym nieco temperamentem przebyć „Scyllę i Charybdę" braci Jędrzejewiczów.

Prosto z Kongresu Eucharystycznego w Poznaniu podążyłem na zjazd „Międzynarodowego Zjednoczenia Studiów Katolickich" we Fryburgu szwajcarskim. Udział w tym nader interesującym zebraniu zawdzięczam wyłącznie młodszemu mojemu koledze, prof. Oskarowi Haleckiemu (mogę dodać, że on, jego koledzy Tokarz i Wędkiewicz i kilku jeszcze innych uczonych naszych, których zresztą mógłbym wyliczyć na dziesięciu bodaj palcach, bynajmniej nie solidaryzowało się z tym osobliwym bojkotem, jaki względem mnie stosowali zwłaszcza uczeni krakowscy, niepomni choćby zasług i usług mojego ojca, przeciwnie zaś,

chcący kadzidłami, spalanymi nieraz obłudnie ku czci jego, mnie po prostu zadusić).

Nie należał do nich szlachetny Halecki, od którego w niejednej ciężkiej okoliczności życia mojego doznałem poparcia. Teraz zabierał mnie ze sobą nad urocze brzegi Sariny. Po jedenastu latach ujrzałem znowu starą, poczciwą Szwajcarię z jej operetkowymi szaletami i pełnymi nieraz wytrawnej powagi ludźmi. Był to dzień św. Piotra i Pawła, więc poszedłem na wstępie pomodlić się do przepięknej katedry, zdobnej w witraże Mehoffera, potem zaś udałem się na posiedzenie kongresu. Był to rok 1930, samaż chwila ewakuacji Nadrenii przez Francuzów. Pacyfizm święcił jeszcze swoje triumfy, Hitler nie jawił się żydom nawet w koszmarze.

„Okrągły stół" ten fryburski miał też wygląd nader charakterystyczny. Siedziały bowiem przy nim naprzeciwko siebie dwie „ekipy", obie świetnie dobrane, ale nie mogące się ze sobą porozumieć, bo żaden z uczestniczących w nich Francuzów czy Niemców nie władał językiem kontrahenta. Aż dziw, bo Niemcy — to byli głównie Nadreńczycy-centrowcy. Francuzom przewodził niezmiernie wymowny i znany też w Warszawie msgr Beaupin, niestety! demokrata, co mu nie przeszkadzało płakać rzewnymi łzami, gdy mówił do nas o nieuniknionych i wnet sprawdzonych skutkach dokonywającej się ewakuacji. Żeby nic nie brakowało do sielanki pacyfistycznej, przewodnictwo sprawował wytworny pan Epstein z Londynu. Ze Szwajcarów prym trzymał znakomity autor „Europe tragique", Gonzaga de Reynold. Halecki mało stosunkowo sam przemawiał, ale spełniał funkcję tłumacza pomiędzy Francuzami a Niemcami, „regulował ruch" w nowoczesnej wieży Babel. Czynił to świetnie, ale niezupełnie wiernie: zwróciłem mu na to uwagę po posiedzeniu, twierdząc uporczywie, że w żadnym z oryginalnych przemówień, francuskich czy niemieckich

nie było tych ciepłych zwrotów o Polsce, które się pojawiały w jego tłumaczeniach. Arcymistrz propagandy!

Wieczorem, nad urwistym brzegiem Sariny, naprzeciw jarzących się świateł Fryburga i pod jarzącym się gwiazdami nieboskłonem nadalpejskim, zasiedliśmy we czterech do uczty przyjacielskiej. Był Halecki, Reynold, *abbé* Grémaud, spiritus movens stowarzyszenia, i ja; na stole stały butelki przedniego wina z własnej winnicy hrabiego Gonzagi w Cressier pod słynnym Morat (Morgarten). Reynold był tego wieczora wyjątkowo świetny, mniej pełen groźnych przeczuć „Europe tragique", wytworny zaś i cięty, jak tylko autor „La démocratie et la Suisse" być potrafi.

Pisałem już w końcu drugiego rozdziału niniejszych „Wspomnień", że ta podróż szwajcarska wiąże się dla mnie z pewnym tragicznym wspomnieniem: w Lozannie dowiedziałem się wtedy o rozpoczynającej się chorobie śmiertelnej mojej żony. Ten ostatni rok jej życia, spędzony wraz ze mną, był pomimo przejmujących cierpień dalszym z jej strony pasmem poświęceń i niesłabnącego zainteresowania dla wspólnej naszej pracy. Traf tak zdarzył, że w dzień, kiedy opuszczała mnie na zawsze, jadąc do Włoch, aby w tamtejszym klimacie, pod opieką matki i sióstr, bezskutecznych próbując kuracji, przepędzić ostatnie lata życia, zasiadałem właśnie do konstruowania zasadniczych rozdziałów mojej książki. Tak mi się dzisiaj wydaje, że w owej chwili wypełniło się posłannictwo nasze wspólne, „zapisane w niebie" — jak o szczęśliwych małżeństwach głosi znane przysłowie — a wyproszone żarliwymi jej modlitwami.

Ale jeżeli dzięki poprzednio wyszczególnionym okolicznościom miałem już zgromadzony niejako ar-

senał badawczy, to rozwój ofensywy mojej był dopiero naprawdę w zaczątku.

Przystąpiłem do niej w jesieni roku 1932. Czyniłem to w wyjątkowych dla siebie okolicznościach, nigdy bowiem przedtem ani potem sytuacja moja materialna nie była tak wyjątkowo zła. Obarczony dość liczną rodziną, pozbawiony przez rewolucję rosyjską świetnych zrazu perspektyw finansowych, nie rozporządzający w tym czasie żadnym stanowiskiem a spotykający się w swoich o nie zabiegach z twardą nieraz odmową, zdany byłem w niejednym wypadku w tych Norwidowych „zmaganiach ze światem" po prostu na pomoc przyjaciół. Tych mi Opatrzność nie poskąpiła.

Miałem co prawda we wszystkich okresach życia bardzo zaciekłych przeciwników i wrogów, ale mogę na odwrót z równym powiedzieć przekonaniem: *viel Freünd', viel Ehr'!*

Podkreślić tutaj pragnę — znowu s i n e i r a e t s t u d i o, skoro trudności te dawno mam już za sobą — specyficzne warunki, jakie w tym czasie komplikowały moje położenie. Należałem wszakże do szeregów „Akcji Katolickiej", organizacji będącej wtedy dopiero w zaczątku, więc nie rozporządzajacej ani cenną tradycją organizacyjną (o ile nie wchodziły tu w grę bogate jej zasoby, nagromadzone stuleciami w samym Kościele), ani też zwłaszcza zgranymi kadrami działaczy. Toteż w wielu bardzo wypadkach szwankowała dotkliwie współpraca apostolska świeckich z duchownymi, zainicjowana przez Piusa XI. Słabości ludzkie i bolączki wieku splatały się nieraz w kłębowisko, podcinające rozmach bardziej dynamicznych, uświadomionych czy gorliwych jednostek. Nieszczęśliwe waśnie partyjne, krótkowzroczny nieraz oportunizm, przede wszystkim zaś — w niektórych, dość jaskrawych wypadkach — niepohamowana odpowiednim wyrobieniem duchowym zawiść klasowa, naturalna w dobie przerostów demokratycznych, sprawiały, że w obozie ka-

tolickim w Polsce tak bardzo zagrożonym, wymagającym przeto największej spoistości — zamiast jednej wszechjednoczącej „kopuły“ mnożyły się wcale nie imponujące, a nieraz nawet zwalczające się nawzajem „kapliczki“.

Zapewne, że wśród hierarchii duchownej, pośród kleru, zwłaszcza zaś młodszego — trafiały się, jak zawsze w dziejach Kościoła katolickiego, jednostki nieprzeciętne, rozumiejące w pełni prądy i wymagania wieku. Od grobu św. Wojciecha szły co pewien czas na kraj natchnione wskazania, w poszczególnych zaś środowiskach „Akcji Katolickiej“ wrzała robota, zagrzewana ogniem zelotyzmu. Wdzięcznym sercem wspominam tu zwłaszcza czcigodne środowisko płockie, centrum doskonale zorganizowanej roboty „akcyjnej“. Nie zapomnę też nigdy najmilszego pobytu na kursie A. K. na Wołyniu (w jesieni 1932 r.), kiedy pomiędzy dwoma odczytami o masonerii, wygłoszonymi w Łucku na użytek miejscowej inteligencji, kanclerz miejscowej kurii biskupiej obwiózł mnie łaskawie po całym niemal Wołyniu, wtajemniczając w czarowne piękno tej ziemi, grodu nad Ikwą oraz w masońskie ciekawostki [redacted] rezydencji Wiśniowieckich i Mniszchów nad Horyniem. Najlepsze również wspomnienia mam z innych środowisk katolickich w Bydgoszczy, Częstochowie, Kielcach, Kowlu, Łodzi, Radomiu itd.

A w samej także Warszawie, po parafiach i na stanowiskach prefektów, wśród księży świeckich i w niektórych zakonach, nie brakowało ludzi, którzy gorącym sercem umieli wielkie nawet rozwiązywać trudności. Do tych garnęła się przede wszystkim inteligencja świecka, wyczuwając w nich istotnie powołanych przewodników i wzory. Gorzej jednak — dużo gorzej — było ze spójnią organizacyjną: znam wypadki, że działacze katoliccy latami całymi, dla powodów [redacted] zapewne drugorzędnych, nie bywali powoływani do współpracy w „Akcji“. Najgorzej może przedstawiała

się wszakże, nie wiem właściwie dlaczego, współpraca ta na tak bliskim mi terenie prasowym.

Oczywiście i w tym zakresie nie szczędzono wysiłków. Pallotyni z zacnym Ojcem Turowskim na czele stworzyli, niestety bez powodzenia, codzienny katolicki organ prasowy; mocną za to dłonią utrzymywali przy życiu dwa pożyteczne, choć zapewne niedostatecznie rozbudowane (zwłaszcza pod względem poziomu) organa periodyczne: szanowny „Przegląd Katolicki“ i popularną „Rodzinę Polską“, której miałem zaszczyt być w ciągu roku 1928 naczelnym redaktorem. Jezuici przenieśli z Krakowa do Warszawy znakomicie redagowany „Przegląd Powszechny“. Inne jeszcze zakony czy instytucje współpracowały tu w dziele propagandy katolickiej. Ale jeżeli zbywało na jakimś ośrodku jednoczącym istotnie poszczególne usiłowania, jak nim był np. w Poznaniu wielki dom wydawniczy „Świętego Wojciecha“, to cóż dopiero mówić o tej spójni duchowej, bez której nie łatwo marzyć o wspólnej ofensywie.

Projekt takiej ofensywy (prasowej) wszczęty został istotnie w jesieni 1932 r. wskutek mocnych wezwań papieskich ze strony Ojca św. Piusa XI, który jako *scienziato* i polityk-realista żywił zawsze wielkie zrozumienie dla doniosłej roli dobrej prasy. Tejże jesieni usłyszałem z ust ówczesnego nuncjusza a dzisiejszego kardynała Marmaggiego pełne życzliwości oświadczenie, że to ja upatrzony zostałem przez sfery kościelne na naczelnego redaktora mającego powstać w Warszawie dużego dziennika katolickiego. Zaraz też na tę wiadomość która przeniknęła poza mury nuncjatury, rozpoczął się ze strony kolegów moich, dziennikarzy katolickich, istny szturm na nieistniejącą jeszcze placówkę. Mieszkałem wówczas na szóstym piętrze bez windy (gdyż spółdzielnia, w której zamieszkałem, spóźniła się, niestety, dwa lata z jej wykonaniem) — odwiedziny więc moich szanownych kolegów, osiwiałych

nieraz weteranów prasowych, miały coś w sobie z bohaterskiego marszu na Monsalwat. Jakież więc było ich (uzasadnione zresztą) rozczarowanie, gdy 16 grudnia t. r. zaproszeni zostaliśmy niemal wszyscy na uroczyste zebranie katolickie, które było w rzeczywistości pogrzebem I klasy, jako że oświadczono nam na nim po tylu rozbudzonych nadziejach i rozhoworach, iż z tej wielkiej akcji prasowej nic na razie nie będzie. Irritabile genus vatum — przyznam się jednak, że mało kiedy widzieć mi się trafiło taki gwałtowny „bunt klerków"[1]).

Długi czas niedobrze się także działo w „Zjednoczeniu Pisarzy Katolickich", gdzie za pomocą „klucza partyjnego" starano się rozwiązywać tarcia i trudności polityczne: dopiero w ostatnich czasach — przyznać to trzeba — przy niewątpliwie wygładzonej powierzchni naszego życia kulturalnego, przynajmniej o tyle, że wpływy „Wiadomości Literackich" nie docierają już tam, gdzie panować winien Krzyż, nie Gwiazda Dawidowa, literaci katoliccy zaczynają uzyskiwać przynależne im w społeczeństwie stanowisko.

Rozłamy polityczne, którym jeszcze nieco więcej miejsca poświęcę poniżej, przyczyniały się również oczywiście do skomplikowania sytuacji. Pamiętam tak

---

[1]) Por. artykuł warszawskiego „Świata" z 26 listopada 1932 r., pomachiawelsku, iście zredagowany celem utracenia „personaliów" imprezy prasowej, o której wyżej mowa. Dotyczący ustęp jego brzmiał jak następuje:

„Wkrótce zacznie wychodzić w Warszawie wielki dziennik katolicki, wydawany przez Episkopat polski. Ma on mieć z góry zapewnionych 100.000 prenumeratorów. Na redaktora naczelnego upatrzony został Dr K. M. Morawski... Szef prasowy rządu Wincentego Witosa (to *ad usum* sfer ziemiańskich), zdolny historyk i publicysta, broniący z zapałem idei monarchistycznej (to na użytek demokratów) i zwalczający namiętnie masonerię. W ostatnich czasach występował najczęściej na łamach „Gazety Warszawskiej" (to na użytek panującego reżymu — uwagi w nawiasach moje — przyp. autora).

doskonałe i na wysokim utrzymane poziomie zebrania, odbywające się już po przewrocie majowym w pałacu tyle zasłużonego dla sprawy i kultury katolickiej Józefa hr. Tyszkiewicza, twórcy znanej biblioteki. Miał to być stały *clearing house* różnych kierunków czynnych w katolicyzmie polskim i — istotnie — to „bractwo św. Michała" (bo front jego był zwrócony również przeciwko masonerii) trwało i prosperowało tak długo, niewątpliwe oddając usługi sprawie, póki niezależne od nas wszystkich nietakty czy niedociągnięcia nie położyły przedwczesnego kresu pożytecznej instytucji.

Hrabia Tyszkiewicz był — obok zmarłego Michała hr. Sobańskiego — jednym z pierwszych prefektów warszawskiej „Sodalicji Mariańskiej". W tej przynajmniej instytucji — pod ~~doskonałym~~ pełnym taktu kierownictwem Maurycego hr. Haukego, prefektów Brelewskiego i Daszkiewicza — czuliśmy się wszyscy doskonale, znajdując wśród „braci sodalicyjnej" niezawodne poparcie w każdym kierunku.

Prosperowały także kursy lubelskie i bielańskie w pięknej i stosownej oprawie starych drzew i murów, zorganizowane bez zarzutu — szkoda tylko, że Uniwersytet Lubelski z tych czy innych względów nie pokusił się o wejście w ślady Fryburga czy Lowanium, współzawodnicząc z tymi starszymi od siebie wszechnicami jako właściwe centrum katolickiej elity duchowej, zwłaszcza zaś podejmując tę śmiałą ofensywę antymasońską, jaką z takim powodzeniem wszcząć miał z czasem w Katowicach jeden z jego dostojnych protektorów, biskup Stanisław Adamski.

Brakowało też — i tu powracam znowu do własnych moich w tym czasie trudności — takiego centrum, o którym marzył szlachetny, pełen instynktów chrześcijańskiego naprawdę miłosierdzia śp. Eustachy Korwin Szymanowski, tj. stworzenia w Polsce „*Centre catholique*", instytucji na wzór istniejącej we Fran-

cji, która by myślała przede wszystkim o zabezpieczeniu materialnym w razie potrzeby twórców i bojowników katolickich. Pozwolę sobie dla przykładowej ilustracji wpleść tutaj dygresję czysto osobistą:

Pod koniec roku 1931, będąc wtedy w pełni twórczości naukowo-literackiej, ale przygnieciony brzemieniem niespodziewanych ciosów, załamałem się na czas pewien nerwowo. Pamiętam jedenaście kolejno nocy bezsennych, spędzonych w Krakowie moim rodzinnym w niepokoju i rozterce. Równocześnie dochodziły mnie szerzone celowo odgłosy z kół masońskich, tak jeszcze wtedy wpływowych w tym starym mieście, a zwłaszcza w kołach jego naukowych, gdzie mi insynuowano, że nigdy nie zdołam wykończyć mojej roboty[1]). Istotnie na to się zanosiło.

Masoneria miewa dobre wywiady i zdawała sobie z tego sprawę, że — jak powtarzać lubiano o mnie — „idę z procą na słonia". Sądzę też, że gdyby koleje mojego losu potoczyły się były dającym się logicznie przewidzieć sposobem, to skazany byłbym istotnie na katastrofę taką przynajmniej, jaka nieraz już spotykała zbyt śmiałego działacza, pozbawionego oparcia o grunt sobie przyrodzony. W moim jednak wypadku oparcie takie się znalazło, a to w łonie własnej mo-

---

1) Bardziej natomiast uczułem się zaskoczony, kiedy — na dwa tygodnie przed ukazaniem się mego „Źródła rozbioru Polski" — w poważnym wydawnictwie katolickim wyczytałem taką o sobie opinię:

„Aż się człowiekowi chce zgrzytać zębami, gdy widzi się, że ten dziedzic świetnego nazwiska, sam świetny stylista, a jednocześnie pierwszorzędnie wyszkolony pod względem metodycznym historyk, obdarzony niepospolitą bystrością wzroku w najgłębszych zakulisowych sekretach dziejów, częstuje nas raz po razu artykulikami na parę stroniczek, gdy przecie mógłby zająć w Polsce miejsce takiego Taine'a czy Sorela."

Zdaje mi się, że odgadłem inspiratora czy nawet autora tych dwuznacznych pochwał.

jej rodziny, której jedna linia, związana ze mną najtrwalszymi uczuciami lat dziecinnych, wykazała w stosunku do mnie maximum solidarności i serca. Lubię sobie przypominać pewną rozmowę, przeprowadzoną w ponury dzień grudniowy z kimś mi bliskim, ale wówczas nie tak bliskim, aby jego stanowisko nie było stanowiło wtedy dla mnie jednej z tych przedziwnych niespodzianek, których nie skąpi nam życie. Dlatego — po dziś dzień jeszcze, gdy uspokoiły się fluktа, w których omal że nie zatonął był statek mój życiowy z wiejącą na nim flagą antymasońską — jawi mi się ówczesny mój interlokutor (a kochany kuzyn), który tak chętnie i bezinteresownie podał mi wówczas „przyjacielską dłoń w zapasach z światem" pod postacią jakiejś *bonne fée*, jakiejś *beffany* włoskiej, on, który od jednego zamachu — na mój nie-masoński tym razem *signe de détresse* — podjął się zastąpić wszelakiego gatunku *„centres catholiques"*1).

W grudniu 1932 r. wygłosiłem pierwszy w Warszawie publiczny cykl wykładów o wpływie masonerii na rozbiory Polski. Urządzony on został — tak jak poprzedni — z inicjatywy młodzieży, nie zaś bez pomocy tego gorliwego jej kierownika, jakim był zmarły przedwcześnie ksiądz Szwejnic.

Pora tych wykładów była burzliwa, ponieważ na uniwersytecie szerzyły się właśnie gwałtowne rozruchy antyżydowskie. Wykłady moje odbywały się w wiel-

1) Wspomnieć też pragnę tutaj z wdzięcznością — spośród wielu tych, którzy podali mi w tym czasie „przyjacielską dłoń w zapasach z światem" — Hieronima Tarnowskiego, wojewodę Adolfa Bnińskiego i — *last but not least* — Jerzego Kowalewskiego, którego złote prawdziwie serce i trzeźwa inteligencja nie zawiodły mnie nigdy.

kiej sali Towarzystwa Higienicznego, przez którego estradę przeszło poprzednio tylu prelegentów i prelegentek teozoficznych. I teraz — pośród tłumnie zgromadzonej na tej sali publiczności — błyszczała lśniąca siwizna i odcinał się charakterystyczny profil wielkiego mistrza „Wielkiej Loży Polski" Andrzeja Struga; na jego twarzy — jak mi o tym mówił obserwujący go w czasie wykładu Nowaczyński — malowała się duża melancholia. Prócz tego w gronie kilku polityków obecny był też na sali komisarz miasta Warszawy, wojewoda Jaroszewicz, który przybył na Karową głównie w obawie, bym ekspektoracjami moimi nie zaostrzył rozruchów studenckich. Płonne obawy! Wszystkie trzy wykłady spłynęły w poważnym nastroju sali, prelegent zaś miał to zadowolenie, że tym razem udało mu się w niejakiej mierze naznaczyć coram populo zacierane dotąd przez lisów masońskich ślady.

Nie tylko jednak do takiej publiczności i o tak drażliwych tematach dane mi było mówić w tym czasie. W kilka oto miesięcy później, na ratuszu warszawskim, w chwili kiedy się jakby wydawało, że dojdzie do porozumienia pomiędzy dwiema zwaśnionymi stronami (marzec 1933), miałem zaszczyt przemawiać do Prezydenta Rzeczypospolitej, kardynała, nuncjusza, wielu ministrów i polityków na uroczystej akademii papieskiej. Pamiętam jak dzisiaj, gdy mówiąc wzrok mój kierowałem z estrady, tuż nad głową siedzącego pode mną premiera Prystora, ku wsłuchanemu w moją prcę ministrowi spraw wewnętrznych Pierackiemu. Onże to był bodaj jednym z inicjatorów prowizorycznej „zgody" na tej sali, przejściowego colloquium charitativum, i on także, w kilkanaście zaledwie miesięcy później, padł ofiarą pomsty „czarnej ręki" za niepopełnione przez siebie winy.

Innym razem, ze sceny Teatru Polskiego, w tym akustycznym i sugestywnym przybytku sztuki drama-

tycznej wielbiliśmy na dwa głosy z Weyssenhoffem zbyt często dziś poniewierany przez złośliwych karłów geniusz Krasińskiego. Jeszcze później, w 250 rocznicę odsieczy wiedeńskiej, znów na ratuszu warszawskim dane mi było złożyć imieniem stolicy hołd arcychrześcijańskiej i arcyrycerskiej postaci króla Jana.

Ale nie w tych obchodach i oracjach leżał sens propagandowej mojej pracy. Stanowiły go raczej „objazdy apostolskie“ — że użyję tutaj sardonicznego określenia „Boya“ — po głuchej nieraz prowincji, nie pomijając jednak i znamienitych ośrodków kultury naszej regionalnej. Jakąż np. uciechę zgotował mi Lwów, Lwów młody, Lwów akademicki, zapraszając mnie na wiosnę 1934 r. do wygłoszenia wykładu w otworzonym niedawno auditorium maximum jego uniwersytetu! Zaprosił mnie co prawda tak późno, że zaledwie zdążyłem przybyć na czas aeroplanem i tegoż wieczora wobec blisko tysiąca słuchaczy wygłosiłem odczyt o masonerii i rozbiorach. Wzruszenie się jednak dla mnie wzmogło, kiedy po ostatnich słowach prelegenta cały amfiteatr zerwał się z miejsca i z piersi młodzieży wzbiła się pod stropy nieśmiertelna nuta „Warszawianki“.

Poznań także nie szczędził mi chętnych słuchaczy, ale wdzięczniejszych prawie nie miałem ponad alumnów archidiecezjalnego seminarium wileńskiego. Kilka wtedy dni bawiłem pod Ostrą Bramą (na przedwiośniu 1934 r.); mieszkałem w przyjaznym klasztorze („a u Dominikanów pewnie masz kuzynów“); w dzień zwiedzałem pod umiejętnym kierownictwem najpiękniejsze zabytki; potem przy posiłkach rozmawiałem z wieloma z najmilszych tutaj ludzi; wieczorami zaś wykładałem na zwykły sobie temat: to dla szerszej publiczności, to dla wyborowej inteligencji z śp. Marianem Zdziechowskim, takim. później znawcą masonerii, na czele; to, jak wspomniałem już, w seminarium

duchownym. Na zakończenie owej uczty duchowej pojechałem wśród srogiej jeszcze zimy, pod Wilno do Bolcienik Mickiewiczowskich, do kolegi mojego i przyjaciela Adama Żółtowskiego, żonatego z Puttkamerówną z rodziny „Maryli".

Ale i zapadlejsza prowincja dostarczała mi czasem pocieszajacych wrażeń. Mogę powiedzieć, że z moją „profilaktyką" antymasońską objechałem zwlaszcza Kongresówkę (bo rodzima, lecz zażydzona Galicja słabiej reagowała na kulturę moich szczepionek). Na północ dotarłem do Suwałk, na zachodzie nie pominąłem Kalisza; zaglądałem nieraz i do mniejszych środowisk, zwłaszcza tam, gdzie miejscowi pasterze mieli zrozumienie i okazywali gorliwość względem postulatów „Akcji Katolickiej". Z rzadka tylko spotykałem się z szykanami; jakiś dyrektor np. seminarium nauczycielskiego w Białymstoku, dowiedziawszy się, że mam mieć wyklad o 7, już o 6 zaryglował wychowanków swoich w gmachu seminaryjnym, aby nie mogła ich moja propaganda „zdeprawować".

Raz tylko dane mi było przemawiać w tych materiach w języku obcym, a to na VII Międzynarodowym Zjeździe Historyków, który odbył się w Warszawie na przełomie lata i jesieni 1933 r. Wystąpiłem na nim w podwójnym charakterze, co tak bardzo gniewa dotąd niektórych moich współfachowców: „naukowca" i dziennikarza. To analizowałem ex cathedra zawiłe problemy historii dyplomatycznej XVIII stulecia i zabierałem głos w dyskusji o nich naukowej: to znów przedzierzgałem się w reportera, niezgorszego podobno, referując, dzień za dniem, przebieg imponującego kongresu na łamach „Gazety Warszawskiej". Wieczorem zaś, a czasem i po południu, uczestniczyłem w rautach i *garden-parties* kongresu. Mogłem wtedy być dumny, obserwując, jak zgromadzeni w tak wielkiej liczbie cudzoziemcy, znający tyle pięknych miast

i tyle skarbów artystycznych, nie skąpili jednak podziwu dla pełnych wytworności, a także współczesnego zbytku rezydencji naszego ostatniego króla.

*

Quand les Francais ne s'aimaient pas — oto był tytuł broszury głośnego publicysty francuskiego o Francji w erze sprawy Dreyfusa. Tenże tytuł, nieco go tylko przerobiwszy, zastosować by się dało do pomajowego dziesięciolecia.

Pierwsze lata pomajowe były latami ciężkich zmagań się w narodzie, utajonej dalej wojny domowej, jadzacych się, a czasem krwawiących uraz bratnich.

Z izby sejmowej, z łamów prasy, z odezw i ulotek przenosiła się ta rozterka wewnętrzna w głąb życia społecznego i towarzyskiego, kłóciła i rozrywała rodziny, stwarzała niejako — jak się o niej wyrażono — „okupację" i „emigrację" wewnętrzną.

Pamiętam ten czy inny salon warszawski — chociaż nader rzadko udzielałem się wtedy po salonach, coraz bardziej zasnuwając się w samotność domową — w którym rysował się wtedy jaskrawo, niczym podczas wojny, gdzie salonów tych prawie nie było, przedział na dwie zwalczające się „orientacje". Pani domu, zamiłowana w ścieraniu się opinii, zgromadziła oto w wytwornych komnatach — po jakimś „Brześciu", dajmy na to czy „Berezie" — przedstawicieli bardzo skrajnie zaznaczonych kierunków. Oto wielka dama, której panieńskie nazwisko brzmi tak bojowo, jakby hejnał z wieży nieświeskiej, styka się z zapalonym profesorem, którego linia polityczna przecina się pod najostrzejszym kątem z linią „zamachu majowego". W jednym z kątów salonu stoi jeden z ministrów tegoż reżymu, jeden z najwybitniejszych ze swoją wykwintną małżonką, a przytula się do nich „wrząca, zacięta" poetka, *virago* „sanacji". Ta trójca wołała się

wyodrębnić, bo w przeciwległym kącie salonu, niby stado spłoszonych kuropatw, zbili się w kupkę zaproszeni przez eklektyczną gospodynię „endecy", „endekoidzi" i inni podejrzani o *niebłagonadiożnosť* goście. W takich warunkach słabnie nieraz konwersacja, „anioł przelatuje" przez komnaty, czasem zaś znowu „potępieńcze spory" kończą się gromkimi wybuchami sarmackiego temperamentu.

Trafiają się jednakże „pieredyszki". Pamiętam taki *réveillon* w innym, również „eklektycznie" nastrojonym domu, na przełomie lat 1926—27 czy 1927—28. W tym domu sytuacja przedstawia się całkiem inaczej: przy „sylwestrowym" bowiem zasiadają stole w pełnej wzajemnej kurtuazji i zgodzie: aktualny szef sztabu wojsk pomajowych z żoną; dalej — jeden z wybitnych premierów przedmajowych z uroczą małżonką; dalej — jako „bufory" — nic nie mający wspólnego z polityką mistrz Fałat i podróżnik Sztolcman i jeszcze opozycjonistów po parze.

Tak wyglądają kontakty władców chwili z konsumentami „czarnego chleba opozycji". Gorzej znacznie kontakty „totalnego" — przynajmniej w zamiarach swoich — Molocha państwowego z helotami przeznaczonymi przezeń na pożarcie. Narysuję tu parę „szkiców węglem" w miłym przeświadczeniu, że tacy „Zołzikiewicze" lat pomajowych coraz się bardziej grążą w otchłań zapomnienia.

Najpierw drobny epizod z głuchej prowincji. W latach 1933/5 dwóch moich synów uczy się w pewnym gimnazjum na prowincji. Rzeczone gimnazjum przechodzi wszakże w tym okresie przez wzmożenie tzw. uczuć „państwowych", zmienia skórę, a nie jest to łatwy proces fizjologiczny.

Moi dwaj adepci tego gimnazjum im. Stanisława Leszczyńskiego — to są dwaj bliźniacy, o których napomykałem już na wcześniejszych kartach tego pamięt-

nika, mówiąc o wilczycy na Kapitolu. Nie zawsze jednak linia ich życiowa, choć bliźniaczo podobni są do siebie, musi koniecznie być ta sama.

19 marca 1934 r. obchodzić ma owo gimnazjum imieniny Józefa Piłsudskiego. Gorliwy dyrektor i pełne nowych dreszczów ciało nauczycielskie postanawiają zgodnie „przemianować" nazwę szkoły z imienia Leszczyńskiego na imię Józefa Piłsudskiego. Toteż wychowawcy i „Straż przednia" im. braci Janusza i Wacława Jędrzejewiczów zbierają chciwie podpisy młodzieży na petycję do marszałka, żeby się raczył zgodzić na patronat swojego nazwiska. Przychodzi kolej i na moich bliźniaków: „Dromio" podpisuje gładko; „Antipolus" — wyznający ostro zarysowane poglądy polityczne — uchyla się od dania podpisu. Ta odmowa nie poprawia jego pozycji naukowej, która zwłaszcza w zakresie języków obcych nie dorasta do prowincjonalnego nawet poziomu. Nie twierdzę, by się za to posypały nań represje, ale persona grata to ten bliźniak-protestant nie jest. Na szczęście jednak dla niego rachunek miejscowych matadorów zrobiony został niejako „bez gospodarza". Bo oto — jeszcze przed 19 marca — nadchodzi odpowiedź z kancelarii solenizanta, która brzmiała: „Pan Marszałek bardzo sobie nie życzy, żeby każda dziura na prowincji miała się nazywać od jego nazwiska". Proszę sobie wystawić, jak po takiej odpowiedzi wyglądać musiały twarze wykwitowanych inicjatorów, a jak z drugiej strony urosła w cenie postać młodego analfabety-lingwisty, który prostym swoim umysłem przewidział był jak gdyby „arkana" kancelarii belwederskiej. Że zaś nasz Władysław Śmiały wykręcał się swojego czasu rzeczonej „Straży przedniej" argumentem, że w żaden sposób nie może pozwolić na despekt, jaki by spotkał w razie zmiany nazwy gimnazjum zacnego króla Leszczyńskiego, przeto ten ucieszny dramat skończył się pięknym „happy-endem", kiedy przewidującemu młodzień-

cowi zlecone przemawiać na urządzonej **ad hoc** akademii ku czci Stanisława Leszczyńskiego.

Boleśnie wszakże wypadło dla mnie spotkanie z władzami skarbowymi na wiosnę 1933 r. Chodziło mi wtedy o fakt wielkiej wagi, o możność dla najstarszego syna mojego jazdy do chorej, umierającej właściwie matki, z pielgrzymką do Rzymu. Syn mój znajdował się pierwotnie na liście uczestników pielgrzymki z grupy „Odrodzenia" i miał dzięki temu paszport zapewniony; pochorowawszy się jednak krótko przed wyjazdem na anginę, przez kogoś z nieopatrznych czy nawet złośliwych kolegów skreślony został z wiadomej listy. O tej tragicznej okoliczności — chora bowiem matka oczekiwała z wielkim upragnieniem syna, nie widziawszy nikogo z nas, pozostałych w kraju, przez blisko dwa lata — dowiedziałem się dopiero na dwa dni przed wyjazdem pielgrzymki, tj. dokładnie w sobotę po południu. Nie tracąc ducha, zatelefonowałem **stante pede** do starszego mojego kolegi z lat krakowskich, wiceministra spraw zagranicznych Jana hr. Szembeka. Muszę powiedzieć, że hrabia Szembek z kurtuazją i uczynnością przyjął mnie natychmiast w swoim mieszkaniu, gdzie miał właśnie śniadanie dyplomatyczne. Gdy mu jednak przedstawiłem wypadek mojego syna, rozłożył bezradnie ręce, mówiąc od razu, że jest to sprawa nadmiernie skomplikowana, zważywszy, że istnieje w tej chwili dosyć zaostrzony konflikt „kompetencyjny" pomiędzy Ministerstwem Spraw Zagranicznych a Ministerstwem Skarbu i to właśnie o paszporty. Obiecał jednak dołożyć ze swojej strony wszelkich starań i nie wątpię, że w istocie dołożył najgorliwszych.

Minęła niedziela. Byłem zamówiony do M. S. Z. na wpół do dwunastej przed południem, ale już o dziesiątej stawiłem się w nuncjaturze u najzacniejszego kardynała Marmaggiego. Prosiłem nuncjusza, aby raczył raz jeszcze okazać mi tylokrotnie wypróbowaną

przyjaźń dla mnie i mojej rodziny i prosiłem go, żeby zechciał zatelefonować do Ministerstwa Spraw Zagranicznych (minister Beck był wtedy nieobecny), wstawiając się za przywróceniem mego syna na listę paszportów pielgrzymki. Msgr Marmaggi udał się w tej chwili do telefonu i zawiadomił o swoim życzeniu wiceministra Szembeka. Byłem przekonany, że ta interwencja dziekana ciała dyplomatycznego wywoła skutek pożądany. Stało się jednak inaczej. Dopiero o godzinie pierwszej, a zatem już przed odejściem pociągu do Rzymu, przyjęty zostałem przez Szembeka. W najserdeczniejszych słowach dał mi on wyraz swojemu żalowi, że wobec oporu ze strony Ministerstwa Skarbu czuje się bezsilny. Jak się dowiedziałem później, argumentom mojego starego przyjaciela nie udało się przekonać wiceministra skarbu, w którego resorcie leżały wówczas decyzje paszportowe i który w żaden sposób nie chciał zrozumieć, że są sytuacje, w których ból umierającej matki winien pokonywać słuszne nawet ze stanowiska państwowego zastrzeżenia formalne. Cóż miałem robić: uścisnąłem prawicę Szembeka, pojechałem na dworzec cofnąć czekającego na mnie syna i uprzedziłem telefonicznie o ciężkim zawodzie biedną jego matkę.

Kiedy mowa o ministrach, miałem także pośrednio do czynienia z nieżyjącym już ministrem poczt i telegrafów Boernerem. W okresie bowiem jednego z tzw. „bartlowań" zauważyłem, że moja korespondencja dochodzi mnie w niebywale uszkodzonym stanie. Pewnego np. popołudnia doręczono mi dwa listy: jeden ze Sidmouth z Anglii, drugi z Instytutu Geograficznego w Krakowie — oba otwarte i nawet nie zalepione, tylko włożone do innej koperty i przewiązane sznurkiem. Niewiele się namyślając, kropnąłem nazajutrz „list otwarty", który „Gazeta Warszawska" zamieściła na tytułowej stronie, zarzucając w krótkich, ale kategorycznych słowach ni mniej ni więcej tylko stosowanie

przez niektórych funkcjonariuszy pocztowych polskich metod policyjnych rosyjskich. Zrobił się znaczny „huczek“, wniesiona została interpelacja w Sejmie, na którą minister odpowiedział, wywodząc m. i., że działałem jako funkcjonariusz Ministerstwa Spraw Zewnętrznych (!). Najprzykrzejszy był jednak dla mnie koniec tej afery: oto nazajutrz po opublikowaniu mojego „listu otwartego“ zatelefonował do mnie ówczesny dyrektor poczty z Krakowa (na którego zrzucono pewnie winę wszczętego zamieszania, skoro jeden z inkryminowanych listów nadany był w Krakowie), abym się wstawił za nim do ministra, wyrażając opinię, że to nie on jest winny. Uczyniłem oczywiście zadość prośbie biedaka, nie wiem jednak, czy moja interwencja mu w czymkolwiek pomogła[1].

*

„Takie były zabawy, spory w one lata“, a jeżelibym chciał usyntetyzować czytelnikom diapazon owej epoki, to spróbowałbym im nakreślić obraz uroczystości, która odbyła się w Warszawie pod koniec roku 1930. Stanęła wtedy nareszcie wykończona do ostatniego szczegółu wielka Biblioteka Krasińskich na Okólniku, dzieło życia i pięknej zasługi serdecznego mojego przyjaciela od lat młodych, hrabiego Edwarda Krasińskiego. I znowu — jak wiem od gospodarza, z autopsji i z własnych przeżyć — niezwykłe były trudności, aby w tym wspaniałym gmachu, gdzie święcić się miało przede wszystkim polską kulturę, zgromadzić tak bardzo zwaśnioną pomiędzy sobą elitę stołeczną. Przybył więc Prezydent Rzeczypospolitej, niektórzy ministrowie, uczeni i literaci. Sala była pełna, ale po bokach, w obrębie monumentalnej klatki schodowej i w mniejszych salach widziałem twarze opozycjoni-

[1] Śp. Dutczyński pożegnał ten świat roku następnego.

stów, uchylających się wyraźnie od kontaktu z oficjalną sferą. Ja sam wahałem się, czy pójść na uroczystość. I przyznam się, że uległem w tym względzie jak zazwyczaj, namowom żony, która ciężko już chora, uważała, że mi nie wolno w ten dzień, wieńczący żywot wypróbowanego przyjaciela, świecić w jego domu nieobecnością. Dla panujących w tym czasie stosunków jest jednak również charakterystyczne, że z przeciwległego politycznego krańca wzdragał się przybyć na tę uroczystość mój mistrz Szymon Askenazy.

*

Mówiłem ostatnio tutaj o święcie kultury polskiej, nie potrzebuję zaś dodawać, jak bardzo leżał mi zawsze na sercu jej dobrobyt. Wyszedłem z rodziny szlacheckiej, której koleje nie rysują się wydatniej w głębi dziejów, ale która w ostatnich stuleciach zajaśniała niezwykłą, jak na stosunki polskie, produkcją intelektualną. Nie wiem, czy jest u nas druga rodzina — chociaż literackich rodzin w Polsce nie brakło (Fredrowie, Kochanowscy, Koźmianowie, Morstinowie i i.) — która by wydała ze siebie w krótkim czasie tylu pisarzy, wybitnych nieraz: Nowaczyński, pisząc swoją „Wartę nad Wartą", doliczył się ich bodaj siedmiu. Cóż mam powiedzieć dopiero o dalszych „obciążeniach dziedzicznych" własnej generacji: każdy z moich synów wywodzi się przecież od dziadka po mieczu, filologa i historyka; od dziadka po kądzieli, cenionego w swoim czasie komediopisarza, jak również od dwóch pradziadów, obu po kądzieli: poety-podróżnika i poety-humanisty.

To całe bogactwo kultury, dość niezwyczajne pod sarmacką strzechą, zawdzięczać muszę dobrym tradycjom szlacheckim. Zdarzało mi się z nich korzystać pełną dłonią. Kiedy spędzałem wywczasy w pięknym pałacu kochanych kuzynów moich Platerów w Biała-

czewie, który był niegdyś własnością światłego marszałka Małachowskiego, a dzisiaj jeszcze olśniewa blaskiem artystycznej kultury Kubickich czy Lancich, zmarły mój kuzyn Konstanty wyciągał dla mnie z archiwum zapomniany tam piękny list „Arystydesa polskiego", zawierający program sejmu czteroletniego (opublikowany przez mnie po śmierci Platera)[1]). Innym razem, w podgórskim Dobrzechowie, zniszczonym niestety barbarzyńską dłonią Rosjan-najeźdźców, inny przyjaciel, Józef Michałowski, znosił mi z istniejącego tam jeszcze archiwum Koźmianów (był prawnukiem Kajetana) egzemplarz wczesnych pism Mickiewicza, haniebnie pokreślony i popstrzony zirytowanymi uwagami starego klasyka[2]). Innym znowu razem, jak już wspominałem, pod Wilnem, zacny mój monachijski kolega, Adam Żółtowski, prowadził mnie wraz z żoną, Puttkamerówną z domu, do gaiku, gdzie wraz z „Marylą" odpoczywał niegdyś na kamieniu Mickiewicz, po czym wracaliśmy do dworu bolcienickiego odczytywać razem odpowiednie ustępy z korespondencji „Filomatów".

To była ta stara kultura szlachecka, kultura najlepszego formatu i gatunku, pleniąca się niestety! na wąskim tylko odcinku naszego życia, tak zaburzanego zewnętrzną okupacją i rozterką wewnętrzną. Tej kultury już nie było niestety na szczytach, przynajmniej było jej mniej i w mniej może równomiernym stopniu: dwory szlacheckie, bądź co bądź, w okresie zwłaszcza niewoli stanowiły te twierdze, o których mówi Konopnicka. Na szczytach — myślę tutaj o szczytach magnackich — bywało bardzo rozmaicie. Można, schematycznie rzecz biorąc, powiedzieć, że pośród tych wielmożów, którzy tak długo, bo może aż w sedno

---

[1]) „Program sejmu czteroletniego w liście nieznanym jego marszałka" („Pro fide, rege et lege", zeszyt 3 — 1928).

[2]) „Pseudoklasyczne dąsy" („Czas" — —).

XIX czy nawet XX wieku, stanowili o losach Rzeczypospolitej, współczynnik cielesny, materialny czysto zmagał się wciąż z czynnikiem duchowym: walory rasy, wyrobione tradycją wojaczki, wysiłku fizycznego, ryzyka nie zawsze równoważyły się z duchowymi istotnie wartościami. Stąd przewaga strony zewnętrznej, nieraz świetnej: blasku, szychu, pychy o charakterze mocno wschodnim, rażącym bardziej wyrafinowane w kontakcie z Europą umysły, nad realnym kapitałem elity narodowej. Oczywista, że i pośród tych rodzin magnackich znakomite świeciły wyjątki, wtedy zaś świeciły tym jaskrawiej, że zasięg ich promieniowania wydatnie przenosił możliwości szlacheckich dworów: wystarczy wymienić tu trzy tylko nazwiska rodowe: Czartoryskich, Krasińskich i Zamoyskich, a te powiedzą nam wszystko, co da się tylko powiedzieć o wyżynach patriotyzmu, mecenatu i nawet geniuszu, na które wspiąć się potrafiła magnateria polska.

Z burżuazją bywało gorzej: wiemy dobrze, jak nasze mieszczaństwo ogarnięte zostało wczesnym paraliżem wywołanym przez konkurencję żydowską. Świadczą po dziś dzień mury Krakowa, Lwowa, starej Warszawy, fary i rynki, nagrobki i klejnoty, czym mogła być warstwa Korniaktów i Bonerów, Wierzynków i Dekertów, gdyby wojny szwedzkie i gorszy od nich najazd żydowski nie były złamały wskutek tej ekonomicznie. Później nastąpiły w łonie tej warstwy pewne reakcje:

> Kiliński był szewcem,
> Ocalił Warszawę.

W Poznaniu Marcinkowskich i Wawrzyniaków zbudził się najwcześniej renesans „stanu trzeciego“, wobec jednak niesprzyjających warunków niewoli rozwijała się ewolucja ta tylko stopniowo.

Oczywiście, że w nienaturalnie przerywanym procesie kultury polskiej dotkliwe ziały luki i błędy.

Boczyła się więc od innych warstw arystokracja, zamykała nieraz w skorupie hardego i nieprzystępnego wspólnej niedoli ekskluzywizmu, za co zapłaci względną niepopularnością — o ile jej tego nie powetują częściowo właściwe demokracji snobizmy — w erze wszelakich „machayomachii“. Chorzala dalej — jakby nic się nie bylo zmieniło w jej ustroju i koniunkturze — szłachetczyzna na sarmatyzm i domatorstwo, odcinała się — dobrowolnie nieraz — od bijących zawsze na Zachodzie źródeł kultury, tak chciwie przez nią niegdyś frekwentowanych, w dobie zwłaszcza jagiellońskiej. Dzisiaj inaczej: iluż szlagonów może śmiało powiedzieć o sobie:

> Moja chata skraju,
> niczoho ne znaju.

Nietęgo jest również z tą kulturą w łonie tzw. inteligencji (najczęściej l u c u s a n o n ł u c e n d o). Rozpada się ona na rozmaite nawarstwienia: biurokrację, pochłoniętą zazwyczaj walką o byt i troską dnia codziennego; sfery gospodarcze, najwnętliwiej przeniknięte jadem trucizn żydowskich; drobnomieszczaństwo, nie widzące nic poza „forsą“ — *je suis un affreux bourgeois* i — cieniutką na koniec warstwę „intelektuałów“, nieraz głodomorów, zdaną najczęściej także na terminatki u wrogo względem kultury rdzennej nastrojonych mocarzy dnia.

Cóż wobec tego dziwnego, że kultura, nagromadzona stuleciami i nie uszczuplona nawet za dni niewoli, tak przeraźliwie topnieje i zanika w naszych oczach, że szczyty literackie są po prostu przeważnie szczytami reklamy, że talenty niszczeją z głodu, a spryciarze wydymają się jak purchawki, że akademie dają wawrzyny „Wiechom“, podczas gdy Norwidzi po dawnemu umierają w przytulkach.

Przy całym zrozumieniu dla prawa, jakie przysluguje warstwom dotąd upośledzonym do wzniesienia

się na wyższe stanowisko społeczne, niesposób rąk nie załamać, co się zresztą bez przestanku czyni — nad postępującym „schamieniem“ powojennego społeczeństwa. Ton literatury, poziom radia, kodeks obyczajowości pouczają nas do syta o trudnościach związanych z przebyciem pewnych etapów społecznych. Ileż razy zdarzało mi się na ulicach Warszawy spotykać „inteligentów“ dużo lepiej ubranych ode mnie, z teczkami pod pachą, najspokojniej i najpubliczniej wycierających nos w rękę. Zapewne — chustka to konwenans, jednak uzasadniony. A cóż dopiero powiedzieć o takim widoku, jaki miał jeden z moich przyjaciół, kiedy śpiesząc się na dworzec, minął biegnącego w tę samą stronę przechodnia, który w pośpiechu potrącił jakąś damę. Z ust barbarzyńcy nie padło słowo „przepraszam!“, ale swojskie „psiakrew“. Czyż dziwić się wobec tego można, że szanowna dyrekcja tramwajów warszawskich, pouczona nieokrzesaniem swoich klientów, wywieszała przez pewien czas przynajmniej w wagonach tramwajowych pouczające szyldziki: „Uśmiechnij się!“, „Powiedz: dziękuję!“ itp.? Oto niefortunne balasty „młodszości cywilizacyjnej kultury“.

*

Młoda zaś ta stosunkowo kultura na groźne w tym czasie narażona była niebezpieczeństwa. Otwórzmy znowu pisma jednego z wielkich publicystów katolickich:

„Idzie teraz na nasz kraj wielkie niebezpieczeństwo — pisał 40 przeszło lat temu znakomity jezuita, ojciec Marian Morawski[1] — czy też wielka próba, jakiej nie doświadczył w przeszłości. Chmara żydów mieszkała u nas od wieków, ale nie wnikała w naszą społeczność, trzymana była z daleka odrębnym wychowaniem i położeniem prawnym. Gdy za naszej pa-

---

1) „Asemityzm“, Kraków 1896.

mięci zapory prawne zostały usunięte, nie od razu skutek dał się uczuć w całej pełni, musiały nowe przyjść generacje. Dziś już wielu żydów naukowo wykształconych pnie się w górę, zdobywa różne stanowiska w ustroju naszego kraju. Ale to są, jak się zdaje, dopiero harcownicy na przedzie idący; gdy się rzuci okiem na gęste tłumy tego szczepu za nimi stojące, które też prawdopodobnie i to niebawem w tym ruchu wezmą udział, to strach przechodzi na myśl, co grozi naszej religii, obyczajom i narodowości. Środki obronne, o których mówiliśmy poprzednio, ograniczyć tylko mogą, może opóźnić ten pochód, powstrzymać go zupełnie nie mogą. Jedynie siły moralne, wzniosłe zasady i uczucia religijne, jako też narodowe, wszczepione wychowaniem, spotęgowane życiem, zdolne są postawić nasze skarby duchowe tak wysoko, że ich ten zalew nie dosięgnie".

Wcześniej zaś jeszcze od „Ojca Mariana" tak interpretował zawiłości kwestii żydowskiej inny wielki pisarz katolicki, zarazem zaś mistrz w duchu konserwatywnym pojmowanej historiografii, ojciec Walerian Kalinka[1]:

„...ów lud nieszczęśliwy, stokroć godny pożałowania, któremu wściekła nienawiść podszepnęła to najfatalniejsze zaklęcie: Krew Jego na nas i na nasze syny! Bóg usłyszał to słowo i potwierdził je. Od dziewiętnastu wieków krew ta ciąży na potomstwie tego ludu i ściga je zemstą nieustającą. Ileż tajemnic, ileż sprzeczności w życiu, w charakterze, w cierpieniach, w historii tego narodu, których niczym nie wytłumaczy, jedno ta klątwa straszliwa. Ziściły się na nim owe tak przerażające zapowiedzi, jeszcze przez Mojżesza wyrzeczone. Najdziwniejsze, najmniej do wiary podobne choroby dręczą ten lud i każda zaraza, która gdziekolwiek spadnie, jego przede wszystkim dziesiątkuje. Od wieków żenią się oni i pomnażają z tak zadziwiającą płodnością, że powinni by, zda się, świat cały od dawna zapełnić, a tymczasem nigdy nie mogą przekroczyć tej liczby, jaka wynosiła ich ludność za

czasów państwa judzkiego... Na próżno lichwą, giełdą i gorączkową pracą dobijają się majątku, drugich rujnują, siebie nie bogacą, choć się znajdzie między nimi kilku milionerów, miliony za to nędzarzy; choć sobie zdobędą na chwilę pieniężną przewagę, zawsze jakaś katastrofa niespodziana rozchwieje ich moc, zburzy ich fortuny. Na próżno, gdziekolwiek zajdą, a cisną się wszędzie, skwapliwie przyjmują język, ubiór, rodzaj życia mieszkańców, zawsze pozostaną tułaczami; wszędzie obcy, wszędzie wzgardzeni i wszystkim służąc, ze wszystkimi będą w wojnie; wloką swój nędzny i spodlony żywot, nie czując nawet tej podłości. Na próżno prawodawstwo nowoczesne i indyferentyzm nowoczesny równają ich i jednoczą z chrześcijanami: w duszy ich, na twarzy pozostanie zawsze toż samo piętno. Zawsze będą ciż sami, jak byli przed wiekami, jak byli w Jerozolimie, a dlatego, aby zawsze służyli na świadectwo Męki Pańskiej..."

Proroctwa księdza Kalinki i obawy księdza Morawskiego spełniły się w sposób zadziwiający. Nie darmo wzywał ostatni z nich w cytowanej właśnie w wyjątkach broszurze, ażeby „na publicznej arenie, w prasie, w literaturze, w pracy prawodawczej, wykrywać i zwalczać mężnie doktrynę i akcję żydowską, ze wszystkich najgorszą, osłaniającą się nazwą liberalizmu, a zmierzającą, jak mówiliśmy, do odchrześcijanienia społeczeństwa".

Niestety! nie zawsze tak się działo. W okresie życia polskiego, który właśnie opisuję, wersje i infiltracje żydowskie dosięgły największego nasilenia i szczytu. Penetrowały — powiedzieć można — wszelkie odcinki i warstwy społeczeństwa rodzimego, dyktowały modę, rozdawały laury, narzucały bojkoty.

Nigdy nie zapomnę, jak na przełomie lat 1926 zwłaszcza i 1927 obserwować mogłem pęd tej zalewającej, zdawało się, wszystko w Polsce fali. Od jej naporu — jak w czasie powodzi — żadna na pewno nie chroniła tama, tama nawet najlepszych tradycyj familijnych. Na

poparcie zaś tak bardzo pesymistycznego mojego na te lata poglądu znowu drobny przytoczę epizod.

Działo się w mieszkaniu nieżyjącego już kuzyna mojego, Konstantego Broel-Platera, w Warszawie przy ulicy Smolnej; działo się ponurego grudniowego popołudnia 1926 r. Właśnie odbywać się miało u mojego kuzyna trochę liczniejsze zebranie konserwatywne, rozstrzygnąć mające o dalszej, „pomajowej“ linii polskiego ziemiaństwa. Chodziło na tym zebraniu o kategoryczne zeszeregowanie się przy rządzących w Polsce kierunkach politycznych. Odmówiłem udziału w tym zebraniu, na chwilę jednak przed jego rozpoczęciem zjawiłem się w mieszkaniu mojego kuzyna, u którego czułem się jak w domu, i poprosiłem kamerdynera, ażeby mnie wpuścił do gabinetu hrabiego, gdyż miałem napisać pilny list do Krakowa do żony. Prośbie mojej stało się istotnie zadość.

Tymczasem do mieszkania Platera zaczęli napływać „leaderzy“ konserwatywni. Nie dochodził mnie odgłos ich rozhoworów, gdyż gabinet ciężkimi zasłonami oddzielony był od salonu, w którym toczyć się miały obrady. Za to, pisząc mój list, słyszeć musiałem dokładnie głosy panów wchodzących do przedpokoju. W przedpokoju tym stał telefon. Chyba już wszyscy zaproszeni siedzieli w salonie, gdy do mieszkania zadzwonił ostatni z nich — powszechnie znany w Warszawie ziemianin. Gdy kamerdyner otworzył mu drzwi, pan ten poprosił o możliwość porozumienia się z kimś telefonicznie. Cóż było robić? Niedyskrecja moja była przymusowa. Nieostrożny hrabia wymienił ku mojemu przerażeniu nazwisko jednego z najbardziej znanych bankierów żydowskich w Warszawie, na przydatek członka tak wpływowej loży masońskiej „B'nai Brith“. Wezwany zgłosił się do aparatu i w tej chwili padło zdumiewające w jego stronę zapytanie: „Czy pan dyrektor jest zdania, że należy namawiać

już w tej chwili konserwatystów na porozumienie z wielkim przemysłem (Łodzią)?" Komentarze chyba zbyteczne.

Cóż więc dziwnego, że w szereg lat potem pytał mnie w rozmowie prywatnej ten znakomity dyplomata, jakim był poseł japoński w Warszawie, Nobubumi Ito, dlaczego sfery rządzące w Polsce, jego zdaniem, ulegają tak bardzo sugestii żydowskiej. Cóż miałem mu na to odpowiedzieć? Pamiętam, że mówiłem o niektórych węzłach rewolucyjnych, zadzierzgniętych pomiędzy Aryjczykami a Semitami jeszcze w latach 1905—6, jak również i o węzłach małżeńskich, które tak często i to właśnie na szczytach, złączyły były Semitki z Aryjczykami.

Zapewne, że skądinąd urzędująca w Warszawie dyplomacja, z małymi wyjątkami, robiła wszystko na świecie, ażeby tej „okupacji" żydowskiej pójść jak najbardziej na rękę i „wyobcować" z Polski autochtonów. Opłakane ambasady panów: Andrzeja de Panafieu i Juliusza Laroche mogą pod tym względem pójść niemal w paragon — jako przeciwstawianie się przyrodzonym tendencjom miejscowego społeczeństwa — z jakimś chyba „prokonsulatem Stackelberga".

Pracując w moich studiach masońskich nad strukturą dworu Stanisława Augusta, natrafiłem m. i. na zagadkową postać szambelana Barnevalla, szkockiego *earl of Trimlestown*. Nie mogąc w żaden sposób sprecyzować tej postaci na zasadzie żadnej z korespondencji królewskich, zwróciłem się do jednego ze znanych mi dyplomatów angielskich, akredytowanych przy rządzie polskim, z prośbą o możliwą wskazówkę. Trafiłem dobrze, bo doświadczony Anglik napisał mi sam formularz listu do tygodniowego wydania „Times'a", listu, który odniósł — po upływie szeregu miesięcy — nadspodziewany sukces, przynosząc mi dokładną informację z dalekiej aż Australii, gdzie stacjono-

wany był wtedy właśnie aktualny *earl of Trimlestown*. Jeżeli tu jednak ten szczegół przytaczam, to wyłącznie ze względu na ciekawszą jeszcze glosę, którą mój znajomy Albiończyk dodał na miejscu do przesyłanego mi przez siebie formularza: „*Dear sir!* Jakżeż mi miło, że mogę Panu oddać tę drobną usługę, dzięki której dowie się cała Wielka Brytania, czytająca, jak wiadomo, w niedzielę „Weekly Times", że istnieje w owym kraju tubylec, który całej swojej energii nie wysila na przygotowywanie pogromów w stosunku do niewinnych żydów". *God save the King!*

*

Dużo wszakże dotkliwsze i niebezpieczniejsze były tego samego gatunku penetracje od wewnątrz. Za jedną z najniebezpieczniejszych, bo działającą na najrozleglejszym froncie, sączącą się nieustannie i najrozmaitszymi kanałami do mózgów niekrytycznych, uważałem promieniowanie na całą Polskę słynnego „Pałacu prasy" w rodzinnym moim Krakowie. Tej penetracji postanowiłem ostro się przeciwstawić.

Nie mówiąc już o dawniejszych atakach moich na „Ikaca", które podjudziły, jak o tym wiem dokładnie, gniew krakowskich potentatów prasowych, ściągnąłem na siebie ich *vendettę*, publikując w jesieni 1930 r., w czasie dokonywujących się wyborów sejmowych, na łamach „Gazety Warszawskiej", z którą stale w tych czasach współpracowywałem, artykuł pt. „Zmierzch optymatów".

Reakcja „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" nie kazała na siebie długo czekać. Zimą 1930/31 zjawił się w mieszkaniu moim policjant, przynosząc mi pozew p. Mariana Dąbrowskiego. Pierwsza rozprawa w warszawskim sądzie okręgowym naznaczona została na koniec lutego.

Szanse wygrania tego procesu były dla mnie istotnie minimalnie, skoro „Ilustrowany Kurier Codzienny" należał wtedy do organów popierających najgorliwiej rządy „pomajowe". Niemniej rozwinąłem *maximum* energii, aby zebrać jak najobfitsze materiały dowodowe, przy czym gorliwie mnie wspierał mój doradca prawny, obecny zaś dziekan palestry warszawskiej, p. Leon Nowodworski.

Pierwsza rozprawa nie posunęła zbytnio sprawy naprzód. Przewodniczył jej późniejszy prezes sądu w procesie brzeskim p. Hermanowski i nie zaoponował powołaniu przez naszą stronę nowych świadków. Na drugiej jednak rozprawie, która się odbyła w czerwcu tegoż 1931 r., nowodesygnowany referent sprawy, sędzia Lauter zarzucił mi, że prezentuję sądowi świadków jednostronnie dobranych, jako że figurowały na ich liście — obok jednego senatora z B. B., który istotnie na korzyść moją zeznawał — nazwiska Korfantego i Nowaczyńskiego. Wskutek tego wystąpienia sędziego Lautera doszło pomiędzy nim a obroną do scysji tak gwałtownej, że rozprawa znów została odłożona.

Przerwa ta w biegu postępowania sądowego trwała rok bez mała. Co się tymczasem działo za kulisami „Pałacu prasy" i jak się kształtował zwłaszcza stosunek wielkiego koncernu do sfer rządowych, okryte jest dla mnie po dziś dzień mgłą tajemnicy. To pewna, że kiedy w kwietniu 1932 r. znalazły się strony ponownie naprzeciwko siebie w „pałacu Paca", skonstatować mogliśmy olbrzymią zmianę w nastrojach sędziowskich. Przewodniczył trybunałowi pełen wytwornej dystynkcji sędzia Kozakowski, znany z procesu Niewiadomskiego. Ciężkie z nim miewał przeprawy adwokat ówczesny „Kuriera", krakowianin Bertold Rappaport, któremu się ciągle wydawało, że Warszawa to Kraków i że można się w niej „szarogęsić". Niemniej

prawdziwym *coup de théâtre* — potężnym odbijającym się echem nie tylko w świecie krakowskiej, i warszawskiej prasy, ale także na politycznej arenie — był wyrok pierwszej instancji, wyniesiony 17 maja 1932 r. przez sąd okręgowy warszawski[1]).

Cóż z tego, że inne później zawiały wiatry, że — po interwencjach obrotnych i wpływowych mecenasów Paschalskiego i Wasserbergera — skazany zostałem w instancji drugiej na miesiąc więzienia, który darowany mi wszakże został z mocy amnestii Prezydenta Rzeczypospolitej. Wrażenie pierwszej instancji — twierdzę to z całą pewnością — pozostało silniejsze, zwłaszcza, że strona przeciwna posługiwała się tym razem świadectwem osobnika nader wątpliwej wartości[2]).

„Przemawiać w każdej sprawie odnośnie do pewnych zasad — pisał swojego czasu Paweł Popiel w nekrologu innego znakomitego publicysty katolickiego, Maurycego Manna — nie stanąć nigdy ze sobą w sprzeczności, każdy wypadek uważać za tło i przykład do zastosowania, objaśnienia, wytłumaczenia zasady, słowem, na przykładach wykładać i nauczać teorii politycznej tak, aby wchodziła w życie, w uczucia, aby wykorzeniała przesądy, a siała zdrowe, organiczne pojęcia, to już nie dziennikarstwo, to kurs polityki, to księga żywa praw, czytana z wysokiego pulpitu, jak kiedyś księgi dla nauki ludu czytano w świątyni jerozolimskiej...[3]).

Natchnione te słowa wielkiego Popiela miałem nieustannie w pamięci, głosząc je również w mowach moich obrończych na sali sądowej pałacu Paca. Uwa-

[1]) Por. motywy tego wyroku w „Kurierze Warszawskim“ z 3 czerwca 1932 r.

[2]) Bliższe o nim szczegóły w książce Boya-Żeleńskiego: „Znasz li ten kraj?...“, Warszawa b. r., str.

[3]) Popiel: „Pisma“, II, 314.

żałem bowiem, że taki proces, to — używając słów patriarchy konserwatywnego — już nie dziennikarstwo. to kurs polityki, w którym przemawiać trzeba „odnośnie do pewnych zasad", uważając dany wypadek „za tło i przykład do zastosowania, objaśnienia, wytłumaczenia" tychże zasad.

Sprawa żydowska, która była istotnym tłem tego procesu (rzecznikami mojego antagonisty byli przecie wyłącznie niemal żydzi) posłużyć tutaj mogła i istotnie posłużyła mi (stąd wielkie wrażenie procesu tego w opinii) do objaśnienia, wytłumaczenia na żywym przykładzie, jak oddziaływają na aryjskie społeczeństwo infiltracje żydowskie, penetrujące do jego głębi. Dzisiaj minęło zapewne już wrażenie owych rozpraw. „Ilustrowany Kurier Codzienny" stanowi po dawnemu strawę, jedyną nieraz strawę umysłową, całej niemal zachodniej Małopolski oraz wielu domów chrześcijańskich (także i ziemiańskich) poza jej obrębem. Smutnie powiedzieć, że znajdowali się także i znajdują pisarze, z głośnym nieraz nazwiskiem, katolickim i narodowym, którzy bez żenady do niego piszą w zamian za kadzidła czy też zyski. Niemniej jednak takie „łaźnie", do jakich należał wyrok pierwszej instancji mojego procesu, niewątpliwie przeczyszczają atmosferę i skłaniają inkryminowane pisma, jak to się stało i w tym wypadku, do mniej lub więcej szczerej zmiany frontu.

Sprawa żydowska bowiem jest dla narodu naszego tak ważną; zdobycze niepodległości bez jej załatwienia stają się tak dalece iluzoryczne, że dzisiaj zwłaszcza urasta ona do najbardziej kapitalnego zagadnienia naszej państwowości, do istnego *arcanum imperii*.

Ma wszakże ta sprawa żydowska oblicze też inne, uwydatnione za granicą, dajmy na to w kazaniach wielkopostnych kardynała Faulhabera: wiąże się ona

intymnymi fibrami wychowania naszego religijnego, z biblijną podbudową wiary i etyki chrześcijańskiej; dlatego tak nieraz ciężko katolikom, gruntującym wiarę swoją także na Starym Testamencie, odróżnić moment, w którym tradycja biblijna się łamie i przechodzi, skażona, w gąszcz ohydny talmudycznych i kabalistycznych rojeń. Odraza narodów chrześcijańskich do guseł i zabobonów, krwawych nieraz, u współmieszkańców ich z getta, stanowiąca jedną z zasadniczych momentów struktury społecznej tak zwalczanego dziś i nie bez powodu przez żydów średniowiecza, zwolna tylko, pod naporem potężniejących i pasożytujących w łonie społeczności chrześcijańskiej sekt i lóż, przeszła we wzajemną pod hasłem liberalizmu i tolerancji asymilację.

W łonie narodów chrześcijańskich nie zanikły jednak doszczętnie te pierwiastki, które stanowiły o integralności ich tradycji i których strzegł czasem nieświadomy tylko instynkt. Odrodziły się one potężnie po „wielkiej wojnie", odrodzeniu zaś temu — w przeciwieństwie do poprzedniego pseudo-Odrodzenia — towarzyszył renesans irracjonalizmu, mistyki i wiary. Inteligencja poczęła się wyzwałać z zawojów, które pętały ją, jak Łazarza, w „pobielanym grobie", wśród „obrzydliwości spustoszenia". Młodzież poczęła świadomie dążyć do niepodległości duchowej, natrafiając wszakże w tym nawrocie na przeszkody i trudności mnożone przez opór wroga. Bierna część społeczeństwa niemrawo tylko nadążała za postępującą ewolucją, wyrwać się w żaden sposób nie mogąc z przesądów „wczoraj" i oderwać od złudnych korzyści „jutra".

*

Ewolucja tych pojęć, w zawrotnym dziś nareszcie odbywająca się tempie, przypadła w życiu moim na okres, który śmiało określić mogę jako „najczarniejsze

lata". Wychowany w warunkach łatwych, nie przystosowanych do „żelaznych" nieraz wymagań ery wojennej i powojennej, znalazłem się nagle na stanowisku odosobnionym, ale nie pozbawionym tej odpowiedzialności, jaką mi dawała coraz pogłębiana w świadomości własnej przynależność do pewnej tradycji i pewnej „szkoły". Oderwany się czułem od środowiska, w którym wzrosłem, które zaś prawie całe ze względów przeważnie materialnej i społecznej koniunktury znalazło się na przeciwnym mi stanowisku. Współpracować musiałem zatem z elementami, z którymi nie byłem związany partyjnie, do których zbliżyłem się dopiero podczas wojny lub po wojnie, które różniły się najczęściej ode mnie przynależnością do innego pokolenia, u których jednak cenić musiałem jasny sąd w zakresie polityki zagranicznej, naczelnych zagadnień wewnętrznych i — niejednokrotnie — hart patriotyczny.

Odosobnienie to moje spotęgowało się jeszcze, gdy utraciłem — najpierw w życiu codziennym, potem zaś i doczesnym — najwierniejszą, a pełną zrozumienia towarzyszkę życia, wyręczycielkę i pomocnicę w pracy. Toteż te pierwsze lata naszego czterdziestolecia, w których idea zwolna szła do triumfu, w których jednak przeciwko sobie wszelkie się miało pozory, te lata zmącone przez *la foire sur la place,* zaburzone bratnią rozterką, zatrute i skażone obcymi nalotami z Bolszewii i rodzimego getta, dla ludzi zorientowanych jak autor tych „Wspomnień", a chcących niemniej — za radą starego Popiela — „nie stanąć nigdy ze sobą w sprzeczności" — tylko czarnym znaczone być mogły kamieniem.

*

Toteż dla kogoś, który — jak nieustannie starałem się to zaznaczać na kartach tych „Wspomnień" — wzrósł był w orbicie kultury rzymskiej, łacińskiej, ro-

mańskiej, który bronił się całą duszą zarówno od jałowych mechanizmów germańskich („Dwie metody"), jak opędzał od trujących *wostoczności* „Diabła-zwycięzcy" — prawdziwym wytchnieniem, ulgą w ustawicznych opresjach, zadatkiem ochłody duchowej stał się szereg krótkich, z tragicznej przyczyny osobistej wynikających, ale jakże podnoszących niemniej ducha, pobytów w odrodzonej Italii[1]).

Jesień 1933 r., wiosna 1935 r., znowu jesień 1935 r. i znowu wiosna 1937 r. — te cztery pielgrzymki, te pełne wrażeń tygodnie, spędzone w kraju o najstarszej europejskiej kulturze, o największej ciągłości historycznej, o najtrwalszym napięciu religijnym o największej różnolitości krajobrazów, o najwyższym bodaj polocie inteligencji ludzkiej, wetowały mi wszystkie te przykrości, upokorzenia, niedociągnięcia, niezrozumienia i niedoczekania, jakie stanowić musiało pasmo dni pozornie bez jutra.

Wracałem umocniony do dalszej walki, podniesiony na duchu widokiem uroczystości watykańskich („pielgrzymka narodowa" 1933 r.); artystyczno-kulturalnym rozmachem faszyzmu, który w oczach moich stwarzał Rzym nowy, niepodobny do tego, w jakim przed laty trzydziestu niezawodnym przewodnikiem był mi mój ojciec, niepodobny do tego, jaki tak pięknie maluje mój stryj w zakończeniu „Sacco di Roma", swojski mi jednak, acz odmienny, bo promienny blaskiem niezniszczalnego geniuszu Latynów. Pamiątką mi była jednego z tych pobytów rzymskich fotografia wcielającego dziś ten geniusz „Ducego", opatrzona własnoręcznym jego podpisem; żywego oglądałem kilkanaście miesięcy potem, już po rozgrywce abisyńskiej, w czasie wielkiej rewii lotniczej w Cianpino.

Te pobyty włoskie prześwietlone są jednak dla mnie w całości wspomnieniem innym, świętszym i trwalszym, niż przelotne wrażenia sprawozdawcy. W tym współczesnym Rzymie, dyktującym po dawnemu losy światu, w tej dynamicznej, tętniącej życiem metropolii, trafiają się przecie zakątki, w których w otoku nowoczesnych gmachów i technik zachowały się na szczęście nietknięte niemal oskardem przebudowy zakątki niezrównanego „wczoraj".

Takim świętym wzgórzem przeszłości jest Awentyn, Awentyn Wojciecha i Jacka i cudnych bazylik, które pamiętają przedświty starych chrześcijan i świty młodych zakonów. Na tym świętym wzgórzu — obok czcigodnych klasztorów św. Sabiny i św. Aleksego — wznosi się również stary kościół św. Saby. Ten kościół — to synteza wielowiekowej ekstazy religijnej i artystycznej: od wczesnych mozaik i sarkofagów począwszy do przewiewnej renesansowej *loggii*.

Ten kościół szczególnie mi jest drogi, najbliższy ze wszystkich przybytków *Romae sacrae*. To ostatnia parafia mojej żony, w której obrębie tak dotkliwych doznawała cierpień, z bezbrzeżną znoszonych cierpliwością i gdzie zakończyła życie 24 listopada 1935 r., w dzień św. Jana od Krzyża, wielkiego mistyka hiszpańskiego, tak jak i w jej pobożności nie brakło z pewnością śladów płynącej w jej żyłach krwi hiszpańskiej.

W zeszłoroczny zaś Wielki Czwartek, gdy na przełęczy Adriatyku i Apenin zmagały się już ze sobą wiosenne podmuchy nizin umbryjskich z mroźnym jeszcze, górskim powiewem, dane mi było nareszcie w skalistej Carpegni pochylić czoła nad mogiłą Tej, która spoczywa tu snem wiecznym pod opieką swoich praojców. Tam też, na tle ruin średniowiecznych, które znał już Dante, przy wtórze górskich strumieni, rwących jak żywot współczesnego

człowieka, w oczekiwaniu zmartwychwstania i nadziei wieczystego z Nią połączenia wyryć kazałem dwa napisy nagrobne. Jeden z nich brzmi:

„Miła Bogu i ludziom, której pamiątka jest w błogosławieństwie. Przyszły mi po społu z nią wszystkie dobra i niezliczona poczciwość przez ręce jej"[1]).

A drugi:

„Przyłóż mnie jako pieczęć do serca twego, jako pieczęć do ramienia twego, bo mocna jest jako śmierć miłość..."[2]).

Rozpocząłem pisać w sierpniu 1936 r. w Opinogórze, skończyłem — w Warszawie, 16 maja 1938 r. w wilię drugiego święta św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

---

[1]) Psalm 30, 2.
[2]) Pieśń nad pieśniami, 8, 6.

422 - 161